

Romuald Wernik

Nie wróca bociany na Graniczną

opowieść kresowa



ROMUALD WERNIK

Nie wróć bociany na Graniczną

Miasteczko, w którym akcja tej opowieści się toczy, leży na Wołyniu. Które to jest miasteczko, ten, kto Wołyń zna, odgadnie bez większych trudności. Potrzebne było autorowi jako tło do opisywanych wypadków, chociaż inne miasteczko mógł wybrać. To, co na stronach tej książki się dzieje, nie zawsze w tym miasteczku miało miejsce. Czasami prawdziwymi wypadkami autor się posługuje, czasami takimi, które tam mogły się wydarzyć, lub wydarzyły się gdzie indziej. Podobnie jest z nazwiskami książki bohaterów. Niektóre są prawdziwe, niektóre zmyśłone. Nie jest ta książka opowieścią autobiograficzną, chociaż autor, wzorem wielu innych, korzystał czasami z własnych doświadczeń i znajomości opisywanych terenów.

ROMUALD WERNIK

Nie wrócą bociany na Graniczną

Opowieść kresowa



„WOŁANIE Z WOŁYNIA”
BIAŁY DUNAJEC-OSTRÓG 2019

© Copyright by Romuald Wernik
Londyn 1998

© Copyright by Ośrodek „Wołanie z Wołynia”,
Biały Dunajec 2019

Redaktor serii
Ks. Witold Józef Kowalów

Korekta
Irena Dejneka
Ludmiła Poliszczuk

Obraz na okładce
T. Axentowicza

Wyd. I – Londyn 1998 r.

ISBN 978-83-88863-71-1

Ośrodek „Wołanie z Wołynia”
skrytka pocztowa 9
34-520 Poronin, Polska

~~~~~  
**“Воляння з Волині”**  
**вул. Князів Острозьких, 4а**  
**35800 м. Остріг, Рівненська обл.**  
**Україна**



Drukarnia Akcydensowa  
Oroz Andrzej  
✧ Wydawnictwo ✧  
Tel. 787-630-035 – Kraków

**O**t, taka to sobie była uliczka. Niewybrukowana i bez chodników. Latem pokryta warstwą kurzu i bose dzieci biegały po niej szurając stopami i udając, że jeżdżą na łyżwach. Tumany brunatnego prochu za nimi się wtedy podnosiły, jak dym z ogniska. Po deszczach pozostawały na niej kałuże i błoto. Gdy wyschły trochę, brązową maź okrywała na czas krótki skóra porysowana pajęczyną pęknięć, łamiąca się później na małe odpryski, przypominające kształtem rozbite szkło. Gorące promienie miały je wreszcie *na* mąkę, którą najłżejszy wiaterek unosił w górę, chcąc brudnym pyłem zasłonić słońce.

Po deszczach i topniejących wiosną śniegach, na drodze pozostawały głębokie koleiny, bo wyjeżdżały nią chłopskie wozy na wiosenne orki i wysiewy. Po osie w nich nieraz grzęzły. Tylko wiosną i we żniwa właściwie toczyły się chłopskie wozy po tej drodze. W czasie innych pór roku było na niej spokojnie i raz dziennie może tylko jakiś pojazd się pokazywał. Więcej bywało jednak dni, w których należała tylko do dzieci. A zimą, gdy zawiąło uliczkę śniegiem, sanie Marczuka lub Szymczuka raz w tygodniu, w dzień targowy nią przepchać się usiłowały. Musiały, bo bramy ich gospodarstw na tę uliczkę wychodziły i nie miały wyboru.

Graniczną, tę uliczkę nazwano. Trochę na wyrost, bo jakaż to ulica skoro wzdłuż niej tylko siedem domów stało. Ciągnęła się chyba z kilometr, pola uprawne przecinając. Tylko na jej ślepym końcu, torem kolejowym zamkniętym, przy którym stał tartak, tłoczyło się tych kilka domów, jakby dla nich brak było miejsca gdzie indziej, albo sobie ten teren nie wiadomo czemu upodobały. Tartak miał swój własny podjazd „od miasta”, wzdłuż torów kolejowych się ciągnący. Nazwali ulicę ojcowie miasta Graniczną, bo rozdzielała miasto od sąsiadującej z nim wioski. Właściwie, kiedy po stronie „od wsi” stały przy niej tylko zabudowania gospodarstw Marczuka i Szymczuka, była to polna droga, którą oni na pola wyjeżdżali i nie miała nazwy. Ale gdy trochę dalej od nich, ale po tej samej stronie, kupił kawał gruntu Szezemeta i wybudował porządną chałupę z kamienia, a po stronie „od miasta” pobudowało się trzy rodziny kolejarzy i woźny gimnazjum, postanowiono awansować drogę na ulicę i dać jej jakąś nazwę. Długo radni nad tym radzili. Piłsudczycy napierali by ją ochrzcić imieniem marszałka Józefa Piłsudskiego, ale że już jedna ulica jego imienia

w mieście była, ustąpili bez oporów. Zresztą powątpiewali czy można taką, zafajdaną uliczkę imieniem Marszałka nazywać. Wtedy pan Miecio, złośliwy i mojżeszowego wyznania fryzjer, zaproponował by uliczkę nazwać imieniem Romana Dmowskiego. Wiedział bestia, że przy niej ukraińskie lub mieszane rodziny mieszkały, a na jej końcu stał tartak żydowski. Endecy zaraz w jego złośliwości się zorientowali, zaprotestowali i w końcu przyjęli nazwę kompromisową.

Uliczka została Graniczną. Wioska, którą od miasteczka oddzielała była ukraińska, o bielonych chatach i strzechach ze słomy, duża i zamożna, jak to na Wołyniu. Ziemia uprawna wokół niej była czarna, lessowa i gwarantowała dobre urodzaje. Otaczały chałupy gospodarstw sady owocowe, a przy drogach i wzdłuż płotów rosły drzewa wiśni. Zatrzęsienie tych wiśni było w sezonie i tak biedni jak i bogaci bez wyjątku, zajadali się wtedy pierogami z wiśniami, które zalewali śmietaną ci, którzy ja mieli. Nad wioską górowały cerkiew i ruiny pałacu Lubomirskich, który spłonął w czasie pierwszej wojny światowej i już nie został odbudowany. Do stojących wysokich jego ścian tuliły się jeszcze ozdobne kamienne kominki, których ani żywioł, ani czas, ani kamienie celujących w nie chłopców nie zdołały zniszczyć. Otaczały go wiekowe dęby, wśród których po nocy duch starej księżnej spacerował. Wielu ludzi podobno ją widziało jak po wzgórzu chodziła pokaszlując i laską się podpierając. W białą krynolinę była ubrana i szal z frędzlami na ramiona narzucony, który frunął za nią na wietrze, jak prześcieradło na sznurze do suszenia powieszone w czasie wiatrów jesiennych. Gdy na rozparcelowanych gruntach na brzegu wioski osiedlili się osadnicy i otwarli w najlepiej zachowanym skrzydle pałacu mleczarnię, ta prawic z miejsca spłonęła w tajemniczym pożarze. Wszyscy wiedzieli, że to księżna nic mogąc znieść, że jej spokój zakłócają, pożar wzniciła. Od tego czasu nikt nie ośmielił się wejść na wzgórze zamkowe po nocy i nawet dziewczuchy z swoimi chłopakami wołały chodzić na łąkę czy w zboże, a nie pod dęby.

Od ulicy Granicznej do wioski z kilometr i to „z hakiem” było. Oddzielały ją pola Marczuka, Szymczuka i Szeremety, zawsze wypieszczone, zadbane i równo zasiane zbożem, prosem czy hreczką. Wiosną ulica Graniczna najpiękniej wyglądała. Soczystą zielenią kokietowały oziminy na polach wzdłuż niej rosnące, a później gdy zakwitła hreczka i bielila się jak okiem sięgnąć, tylko trochę różowo nakrapiana, to patrzące na nią dzieci zaczynały się obliżywać. Poduszone w misce truskawki, zabelone śmietaną im się przypominały. A gdy wreszcie

zakwitły wiśnie i od kiści obfitych kwiatów zaczynały uginać się gałęzie, zapowiadając obfitość owoców, oczu od nich nie można było oderwać. W pianie kwiecia tonęły domy i stodoły, biel w oczy kłuła. A pachniały te kwiaty i brzęk wokół nich panował, bo już pszczoły tyśiącami z uli wyległy i pracowały od rana do wieczora.

Po drugiej stronie ulicy, od miasta, stały domy trzech kolejarzy i woźnego gimnazjum. Nieduże, parterowe, cynową blachą kryte, o modnych w latach trzydziestych dużych oknach, nazywanych szumnie „weneckimi”. Otoczone były sadami i rzędy drzew owocowych spływały od nich po łagodnym zboczu aż do przedmieścia miasteczka. Tam dopiero rozpoczynały się drewniane kładki leżące wzdłuż płotów otaczających ogródki parterowych domków, dochodzące do szerokiej wybrukowanej bazaltową kostką ulicy prowadzącej do centrum miasta. Wzdłuż niej leżały już chodniki z płyt cementowych. Dzieci mieszkające przy ulicy Granicznej uczęszczały do szkoły w miasteczku i musiały przejść ponad kilometr po miedzach między polami, zanim doszły do przedmieścia i chodników. W deszcze, gdy zboże już wyrosło, wracały do domów po pachy mokre, w zimie brodziły po pas zanurzone w śniegu.

– Ot tobie i ulica – wydymał nieraz usta z pogardą, stojąc przy płocie i rozmawiając z sąsiadem, zwrotniczy Karpiński, patrząc na kałuże błota. – Żeby chociaż wybrukowali, to jeszcze.

– Symboliczna – pan maszynista Szwedziuk odpowiadał, – Ukrainką wioskę od polskiego miasta dzieli.

Z Bogdaszowa, ukraińskiej wioski po drugiej stronie miasta leżącej pochodził i z ukraińskiej rodziny, tylko żonę miał Polkę, uciekinierkę po rewolucji bolszewickiej spod Smoleńska. Katolicyzm przyjął i za Polaka się uważał.

Iiii tam – wtrącał się do rozmowy pan woźny Bałandziuk – Polak, ale z Ukrainką żonaty. – Potrzebna nam ta Graniczna jak psu piąta noga. U mnie jak już panie Szwedziuk tak chcecie, granica środkiem łózka małżeńskiego przechodzi.

– Błotnista po deszczu, zakurzona w upały – biadolił często pan konduktor Raczek, którego buciki zawsze jak lustro się świeciły i każde ich zabłocenie lub zakurzenie jak tragedię przeżywał – To pęknięcie przez dupę nie droga.

Dosadnych powiedzeń lubił używać i używał często ni w pięć, ni w dziewięć. Z braku poczucia humoru go znano i z tego powodu miał wiele nieporozumień, więc ciągle był obrażony na kogoś oraz mało z kim rozmawiał.



A niechć do awansowania polnej drogi na ulicę, u mieszkających wzdłuż niej właścicieli domów wynikała z powodu podatku miejskiego, zwanego szarwarkiem. Pokąd ulica Graniczna była tylko polną drogą nie musieli go płacić. Po przyłączeniu do miasta obłożono ich powinnościami. Więc domagali się teraz przynajmniej jej wybrukowania, ale nikt ich nalegań nie słuchał. Elektryczność jednak do tych kilku domów doprowadzono, tylko komu to było potrzebne? Naftowe lampy mieli i można je było przenosić w każdy kąt pokoju, tam gdzie światło było potrzebne. A elektryczność? Jedna żarówka pośrodku sufitu na drucie wisiała, a po katach było ciemno. I jeszcze Zygmunt Bałandziuk namówił młodszego brata, żeby wykręcił żarówkę i wsadził palec, to się będzie świecił jak reflektor. Chłopak posłusznie włożył palec do gniazdka, Zygmunt pstryknął kontaktem i Stefką tak trzepnęło, że spadł ze stołu i nabił ogromnego guza. Miał szczęście, że na tym tylko się skończyło. Później uczyć się nie chciał i był całkowitym idiotą, a pani Bałandziukowa opowiadała, że to wszystko przez tę elektryczność. Z czasem nawet latarnię przed domem Karpińskiego ustawiono i ten się wściekał, ale nikomu nie mówił dlaczego, i tak każdy wiedział, że zaczął się bać gruszek z sadu Szwedziuka nocą podkradać, wiedząc, że ten go w świetle od latarni gotów zobaczyć.

A grusze u pana Szwedziuka rodziły owoce ogromne, żółte i soczyste. Nikt w okolicy takich gruszek nie miał. Gdzieś z jakiejś szkółki pod Lwowem sadzonki przywiózł. Takie słodkie te gruszeki były, że pszczoły i osy na nie się łakomiły. Psuły je, dziurki w nich tocząc. Ody właściciel gruszek był w dobrym humorze pozwalał je zrywać dzieciom. Pszczół się wtedy musiały strzec, bo nie jedno w palec dźgnęły, gdy sięgały po owoc nie zauważywszy, że pszczoła już go sobie upodobała. Raz Marusię Marczukową tak opadły, że wybronić się przed nimi nie mogła. Pod luźną bluzkę kilka się jej wcisnęło i pokąsało tak, że spuchła. Zygmunt śmiał się wtedy z niej jak durny i mówił, że jej cycki urosły. Oczywiście, że to było nieprawdą, bo Maruśka czternaście lat liczyła i od roku już cycki miała i wciąż zdawało się, że jeszcze się jej powiększają z dnia na dzień. Pokażne wtedy już były i zaczęła nimi chłopaków fascynować. Inne dziewczyny z Granicznej ulicy młodsze były i albo płaskie jak deski, albo takie jak włoskie orzechy miały. Tylko Jewdochia, siostra Marusi starsza od nich była i bawić się już z nimi nie chciała. Powszechną szkołę w ubiegłym roku ukończyła i przy gospodarstwie pomagać musiała. Chłopaka też miała, który wieczorami ze wsi do niej przychodził i później miedzą w pole na spacer wyprowadzał. Po co? Gromada z Granicznej w gło-

wę zachodziła i tylko Zygmunt po co w zboże szli wiedział i wszystko wiedzącą głową kręcił. „Nie powiem, bo nie uwierzycie”, mówił chłopcom, gdy pytali. „Kiedys sami zobaczycie”.

## 2

Słońce grzało, wakacje były w pełni i młodzież z ulicy Granicznej postanowiła wybrać się nad rzekę do kąpeli. Zawsze gromadą chodzili i zwartą grupę stanowili. Mieli kolegów i koleżanki szkolne w miasteczku, ale by się z nimi spotkać, kawał drogi trzeba było odwalić. Starsi więc tylko w niedzielę, po kościele na zbiórki harcerskie w mieście zostawiali, a młodsze dzieci z niecierpliwością na ich powrót oczekiwały. Do rzeki od ich domów, tylko wzdłuż tartaku trzeba było przejść, przekroczyć tor kolejowy do Szepetówki prowadzący, za sowiecką już granicą leżącej, by znaleźć się na łąkach otaczających jeziora i Ujście je przecinające. Łąki były podmokłe, o soczystej i wysokiej trawie, bliżej brzegów jezior w bagna się zamieniające i utrudniające do nich podejście. Suchszy grunt otaczał dopiero brzeg rzeczki głębokim korytem w kierunku jezior płynącej i nad nią trawa nie była ani tak wysoka, ani tak soczysta jak na mokradłach. Tam przeważnie szli i kąpali się w brodzie, który gospodynie z Nowomyślska przekraczały wracając z koszami po targu w miasteczku. Tu chociaż nie głębokie było miejsce, ale za to dość szerokie i dno rzeczki pokrywał piasek, a nie bagno jak gdzie indziej. Przechodząc w dni targowe tym brodem, nauczone doświadczeniem baby, zazwyczaj najpierw oglądały się na wszystkie strony i sprawdzały czy jacyś chłopcy w trawie się nie kryją.

Nie kończącej się rozrywki chłopakom dostarczały. Chowali się bowiem w trawie i widząc zbliżające się kobiety naciągali proce. Obserwowali jak jedna z nich zadzierała spódnicę i utkawszy jej rąbek za pas, zabierała od towarzyszek koszyki i przenosiła je na drugą stronę rzeki. Tej dawali spokój. Podniecenie myśliwskie ich ogarniało dopiero gdy reszta bab, podnosząc coraz wyżej spódnicę by ich nie zamoczyć, zaczynało przekraczać bród. Coraz głębiej wchodziły do wody. Najpierw ich białe uda było widać i chłopcy wiedzieli, że za chwilę obnażą ogromne siedzenia.

– Jak fanarami świecą – szeptał zawsze Janek Karpiński z podziwu, że baby tak białe i duże dupy mieć mogą, wypuszczając pierwszy pocisk z procy.

Niewiasty piszczwały, rzucały się w popłochu do przodu, moczyły spódnice, a później wygrażały pięściami i klęły w kierunku uciekających w głąb łąki chłopaków.

- A żeby was poskręcało.

- A szczob was traścia murdowała.

Kto czy co ta „traścia” była, nigdy się nie dowiedzieli. A dzień dzisiejszy nie był targowym, więc chłopcy nawet proce w domu zostawili. Kąpać się szli. Grzało niemiłosiernie i brodząc przez łąkę spływali potem. A łąka kokietowała wzrok mnogością kwiatów. Żółciła się od jaskrów, różowiła od rdestów i firletek, bieliła krwawnikiem i złocieniem. Pachniała trawą i brzęczała od roi pszczół. Motyle jak miniaturowe, kolorowe latawce fruwały nad nią z lekkością pióra przez powiew wiatru niesionego, czasami ważka zafurczała gdzieś blisko skrzydłami. A na mokradłach, blisko jezior brodziły podnosząc z namysłem nogi poważne bociany. Dwa z nich na Marczuka stodołę ogromne gniazdo wybudowały i wracały do niego co wiosny. Klekotały nieraz wieczorami, kłócąc się nie wiadomo o co. Nikt ich nie ruszał i szacunkiem otoczone były. Wiadomym jest, że skrzywdzony bocian może żagiew z palącego się na kartoflisku ogniska przynieść i wetknąć z zemsty w strzechę, albo niezamężnej córce dziecko podrzucić.

- Nie patrz w tamtą stronę, bo się zapatrzyysz i bocian ci dziecko przyniesie - straszył Basię Karpińską Zygmunt Bałandziuk. Najstarszy był, czternastu lat już dobiegał, chłopakami przewodził i dziewczętami już zaczął się interesować. Matka mówiła o nim, że babiarz z niego będzie i że za wcześnie dojrzewa,

- Głupis - wpół wierząc, wpół nie wierząc odcięła się Baśka,

- Nie wierz ty mnie, nie wierz - straszył ją dalej Zygmunt. - A co będzie jak przyniesie? Z dzieckiem do szkoły nie będziesz chodziła. Zdarzało się, że nie jedna niechcący na bociana spojrzała i ten zrozumiał, że dziecka chce. Za mądre to one nie są. Lepiej się ubezpieczyć przed nieszczęściem.

- A jak - na wszelki wypadek zapytała.

- Najlepiej w najbliższy stóg głowę schować i zadrzeć na plecy sukienkę. Jak zobaczy, że ty do niego gołym zadkiem się wypięła, to zrozumie, że dziecka nie chcesz. Najwyżej się obrazi.

- Ot, wymyślił. Świństw nie mów, bo mamie powiem.

Nad brodem czekała już na nich Hańdzia z Nowomylska.

Kąpać się lubiła i zawsze z nimi w brodzie się pluskała. Chałupa jej rodziców na wzgórku za rzeką stała i całą łąkę było z niej widać



jak na dłoni. Dziś także jak przez trawy brodzili zobaczyła. Godzinami w wodzie siedzieć potrafiła i czuła się w niej jak ryba. Tylko, że za bardzo mądra nie była.

Rozbierać się zaczęli. Chłopcy na lewo od brodu, za krzakiem wierzby, dziewczęta na prawo w wysokiej trawie. Pierwsi chłopcy do wody skakać zaczęli wybiegając po kolei zza krzaka i zakrywając dłońmi to, czym ich natura w kroku obdarzyła. Później dziewczęta z trawy wychodzić zaczęły jedną ręką zakrywając zapowiedź biustu a drugą łono. Skacząc do wody zaciskały nosy palcami, odsłaniając to co przedtem chciały zakryć. Tylko Baśka w majtkach się kąpała, a Marusia w lnianej koszuli, która jej za bluzkę i za majtki wystarczała, po nałożeniu na nią spódnicy. Najstarsza była. Zygmunt opowiadał, że już miesiączkowała i że jej moszonka na cipie wyrosła.

- Handzia nurkowała raz po raz i wszystkich w podziw wprawiała. Nad rzeką wyrosła, z rzeką zżyta była, co lata każdą wolną chwilę w wodzie spędzała. W swoim żywiole się czuła.

- Ale na wznak to ty nic potrafisz - drażnił ją Zygmunt mrugając do Janka.

- Potrafię!

- Nie bujaj. Jak umiesz to popływaj.

- A co ja głupia? Tylko popatrzeć chcesz i dlatego namawiasz.

- A czy ja już nie widział? Nie umiesz i nie wypieraj się.

Tego Handzia nie mogła znieść, żeby ktoś nie wierzył, że ona na wznak pływać nie potrafi. Przewracała się na plecy i zaczynała siec wodę nogami. Za każdym razem jak ją Zygmunt do tego sprowokował. Chłopcy przestawali wtedy pluskać na siebie wodą i patrzyli. Tyle razy już widzieli i zawsze w podziw wpadali, że u Handzi w tym miejsca inaczej wygląda niż u nich. Żeby tak zaabsorbowani nie byli, to zauważyli by może chłopaków z Nowomyśla, jak wzdłuż krzaków wierzby w kierunku ich leżących na trawie ubrań się skradali. Za to strzelanie z proc do gospodyń z ich wsi chcieli się zemścić. Janek pierwszy wyszedł z wody i z miejsca krzyk podniósł.

- Ubranie zginęło - zaalarmował towarzyszy. Zapomniał nawet przykryć ręką rozkrocze.

Dziewczęta chichotać zaczęły. Odwracały niby to głowy, ale zezowały w jego kierunku. Wskoczyła z wody reszta chłopaków. Rozgarniali gorączkowo trawę, ale ich ubrań w niej nie było. Wyszły z wody też zaniepokojone dziewczęta i z radością stwierdziły, że ich sukienek nikt nie ruszył. Co robić? Do domów nago wracać nie mogli, a i pewno awantura by ich czekała, bo u rodziców się nie przelewało.

Wreszcie kiełkować im w głowach zaczęło, że ubrania ich zapewne zabrali chłopcy ze wsi. Przypadli do Handzi.

– Musisz do wsi iść i złodziei szukać. Niech ubranie oddadzą – prosić ją zaczęli.

Po godzinie dopiero Handzia wróciła, gdy już szczękali zębami i zaczęli wątpić, że wróci. Przyniosła toboń spodni w koszulę Janka owinięty. Niczego w nim nie brakowało.

– Macie – powiedziała. – Ale żeby wy więcej w żopy haziajkom nie strzelali. Raz jeszcze któryś z procy strzeli, to chłopaki ubranie znowu wam zabiorą i już nie oddadzą. I mordy nabić gotowi, bo starsi od was i więksi.

Już słońce układać się zaczęło do snu za horyzontem i ostatnie jego promienie zamalowało niebo na czerwono. Jaskrawa i taka mocna ta czerwień była, że wciąż jeszcze w oczy raziła. Nawet wieża kościoła w tej czerwieni się schowała i nie było jej widać, tylko mosiężne krzyże na cerkwi w Nowomylsku błyszcząły jakby były wykute ze złota. Od rozgrzanej słońcem w ciągu dnia łąki parny zapach kwiatów i traw unosił się ku górze, ciężki i tak mocny, że aż w nosie wierciło. Motyle już fruwać nad nimi przestały i osiadły na żdzieblach do snu. Jeszcze zapóźniona pszczoła gdzieśgdzie uwijała się wśród kwiatów i w ciszy wieczornej te jej brzęczenie wydawało się głośniejsze niż za dnia. Woda pod stopami idących cmokała i usuwając się im z drogi skakały na boki żaby. Bociany gdzieś zniknęły. Pewno odleciały do swych gniazd i żaby z tego się ucieszyły. Rozkumkały się nagle i rejwach ich głosów ponad łąką szedł. Zmrok zaczął już zapaść, gdy dzieci do swoich domów doszły.

– A wy gdzie się włóczyli do późna – naskoczyła na synów pani Bałandziukowa. – Ja ciebie pokaże, jak ty mnie na kolację nie przyjdiesz jeszcze raz – pogroziła Zygmuntowi pięścią.

Starszy był od innych dzieci, to powinien wiedzieć, że czasu należy pilnować.

### 3

**T**ego wieczora Zygmunt wywabił z domu Janka Karpińskiego i Romka Szwedziuka, a gdy schowali się za komórką na rupiecie, w sadzie jego ojca stojącej, zdradził dlaczego ich zebrał.

– Jagoda poszła z swoim parobkiem w żyto. Podkradniemy się, jak się trochę ściemni.

Nie wiedział wtedy, że te wieczorne spacery Jewdochii, Jagodą kiedyś w szkole powszechnej przezwana i później już tak nazywaną poza rodziną, będą przyczyną płaczu i awantur w rodzinie Marczuka i złośliwych uciech sąsiadów.

Chłopcy ruszyli miedzą prowadzącą między zbożem Marczuka a pszenicą Szeremety, po łagodnym wzgórzu, na grzbiecie którego rośło proso. Zygmunt już sprawdził, że w tym prosie była wydeptana nieduża kotlinka, w której Jagoda z swoim Iwasiem do pieszczot się układała. Cicho chłopcy szli, pochyleni do przodu by ich głowy nad zboża nie wystawały, tak jak nauczyli się na podchodach harcerskich. Idący przodem Zygmunt dał znak by skręcili w pszenicę. Zawahali się. Wiedzieli, że gdyby na jej deptaniu przyłapał ich Szeremeta, to gotów ich kułakiem w karki zdzielić. Ciekawość strach jednak przemogła. Na czworakach pełzli kilka metrów, by wreszcie dotrzeć do celu. Ostrożnie, tając oddechy, rozgarnęli żółtą już słomę pszenicy.

Ujrzeni dwa wzniesione do góry kolana Jagody i podskakujący między nimi goły zadek Iwasia. W górę i w dół podskakiwał, w górę i dół... Hi, hi – nie mógł opanować chichotu Romek, ale szturchnięty w żebra łokciem Zygmunta, natychmiast się uspokoił. Wreszcie, jak orzekli później, Iwasiowi pompowanie pewno się znudziło albo nim się zmęczył, bo zsunął się z Jagody i położył na boku ciężko sapiąc. A Jagoda nie śpieszyła się aby ściągnąć w dół gdzieś pod jej piersiami zrolowaną spódnicę i leżała rozkraczona z wzniesionymi w górę kolanami jeszcze dłuższą chwilę. Wstydu za grosz dziewczyna nie ma, zgorszył się Janek i jednocześnie się zdziwił. W rozkroczu Jagody czupryna czarna wyrosła, nie gorsza niż na jego głowie. Nienaturalne to, orzekł z miejsca. Niemożliwe żeby to aż tyle tych włosów tam było. Jeszcze rok, czy dwa i warkocze zaplatać będzie dziewczyna musiała jak rosnąć nie przestaną. I wtedy przypomniał sobie, opowiadania babci o wilkołakach, łatwo ich poznać, bo im bujne włosy na kości ogonowej rosną. A u wilkołaczek? Pewno z przodu. U normalnych dziewcząt kępka tam tylko wyrasta. To wiedział. Nie czupryna zaraz, jak u Jagody. I Janka opadł strach, że może dziewczyna jest wilkołaczką, że zaraz zawyje jak wilk i kły obnaży. Nie mógł już strachu opanować. Zerwał się z pszenicy i ruszył w kierunku domu. Za nim Romek i Zygmunt. Na drodze przy domach dopiero się oglądnęli. Iwaś ich nie gonił, bo zanim nałożył portki już byli daleko,

A w parę miesięcy później brzuch zaczął Jewdochii rość. Pewno od tego, że już przedtem Iwaś ją wiele razy napompował. Zakryć go

obszerną spódnicą nie było już można i stara Marczukowa spotykając sąsiadki z nieszczęściem się nie kryła. Wzdychała ciężko i rozkładała bezradnie ręce.

– Ot, bieda – wzdychała. – Nie upilnowała ja i zawierzyła Jewdochii, że z Iwanem się nie położy. Nie wytrzymała suka. Takie to teraz młodycie. Zaswędzi im i nie czekają. Bajstruka w mojej rodzinie jeszcze nie było, a teraz taki wstyd...

Sąsiadki głowami ze zrozumieniem kiwały. Współczuły jej. Wzdychały. Pocieszały jak mogły. A Marczukowa pocziwą kobieciną była. Drobną, pracowitą, cichą, niekłótniwą. Wszyscy ją lubili. Całe życie robotna była i co niedzielę do cerkwi chodziła. Dwóch synów się dochowała, ogromnych i jak niedźwiedzie silnych parobków, też jak ona pracowitych i żadnych kłopotów z nimi nie miała. Mrukliwi byli, do żeniaczki się nic palili, chociaż był im już czas i nawet nie dużo pili. I dwu córek ... Też z nimi kłopotów nie miała... Aż do teraz.

– Żeby jej płótna na majtki nie żałowała, to pewno by i nieszczęścia nie było. Wstydziliby się dziewczyna zdejmować – orzekła pani Bałandziukowa, ale inne powątpiewały.

– Jak wolę Bożą poczuła, to już nic jej powstrzymać nie mogło. Taka teraz młodzież – stwierdziła pani Karpińska autorytatywnie, bo sama już Janka nosiła, gdy ślub brała, tylko nikt o tym nie wiedział.

Gdy Marczuk nieszczęście córki zauważył najpierw za uźdę wiszącą na gwoździu chwycił i plecy Jewdochii wygarbował, a później zaczął grozić, że Iwana zabije albo i gorzej.

– Jajca ja jemu jak knurowi wykastuje – krzyczeć zaczął i za sierp wiszący na ścianie chwycił. – Niech tylko się tu pokaże. Ot, swołocz. Ot, cap śmierdzący...

– Ostaw ty jego ojciec nam – prosili synowie. – Już my go dopadniemy.

– Jewdochia przyjemność miała, żopą jak suka merdała, a my za nią oczyma musim świecić wśród ludzi – biadoliła Marczukowa.

Jewdochia siedziała w ciemnym kącie, trzęsła się ze strachu o ukochanego i chlipała, ale nie za głośno, bo bała się, że gdy ojciec usłyszy to jej jeszcze raz dołoży. A wiedziała, że wyjściem z sytuacji, o którym nikt nawet nie pomyślał, było jej małżeństwo z Iwasiem. Tylko czy Iwaś ją weźmie, jak ojciec należnych jej dwu hektarów im nie da? Wiedziała, że teraz nie czas było o tym rozmawiać. W dodatku Iwasia do wojska powołali i czas nagił. Ślub trzeba by jej wziąć zanim dziecko się urodzi. Jak go nie weźmie, to kto wie czy Iwaś o niej przez



te dwa lata w wojsku nie zapomni. Z matką postanowiła wtedy się rozmówić, wiedząc, że matka to jednak matka i kobieta praktyczna. Gdy w kilka dni później rozmowę z nią o tym zaczęła, ta w złość znowu najpierw wpadła, a później pomyślała, że córka ma rację.

– Oj doniu, ty moja doniu – westchnęła. – Jak z bajstrukiem sama zostaniesz, nieszczęśliwa twoja dola będzie. A nie przestrzegałam to ja was? A nie mówił to batiuszka w cerkwi, żeby nie dawać chłopakom przed ślubem? Mówił! A niektóry jak dostanie to, co każdy z nich chce, to później ostawi i więcej nie chce... Nie tak jak dziewczyny. Żeby Iwaś tylko taki nie był.

– Nie. On nie taki. Zawsze jemu mało.

– I jak tu ojcu powiedzieć żeby wybaczył? I jak swatów Iwanowi ślać, gdy już, dziecko w drodze?

A Jankowi to, co widział w prosie, spokoju czas dłuższy nie dawało. Pewnego dnia odwiedził po szkole babcię, która w mieście, parę domów od kościoła mieszkała.

– Babciu. Czy są wilkołaczycy na świecie. Takie jak wilkołaki, tylko samice.

– A skąd to tobie do głowy przyszło, wnuczku?

– Ot, tak.

– A pewno są. Jak wilkołaki są, to i wilkołaczycy być muszą – kawałek ciasta z wiśniami na stole przed nim postawiła i szklankę mleka.

– A jak ich poznać? – nawet poczęstunku nie dotknął, chociaż ciasto lubił.

– Włochate pewno są bardzo, tylko łkaki pod sukienkami przed ludźmi chowają.

Janek już pewny był, że Jagoda wilkołaczką jest. Postanowił się pilnować. Gotowa mu nie wybaczyć, że podglądał jak ją Iwaś pompował. Zygmunt tylko mu nie wierzył, gdy z swoich podejrzeń się zwierzył. A gdy Baśka mu któregoś dnia powiedziała, że ludzie mówią iż Jagodzie bocian dziecko niedługo przyniesie, roześmiał się.

– Dzieciuch ty? Jaki bocian? Iwaś ją między nogi napompował i teraz brzuch duży nosi. Z tego brzucha jej dziecko wylizie.

– Wymyślił – zgorszyła się. – Wstydziliby się ty, takie wymysły opowiadać. Mamie powiem, to zobaczysz.

A w niedługim czasie rozeszło się po sąsiadach, że Iwaś swatów będzie ślać i wkrótce wesele Jagody się odbędzie, zanim młody do wojska wyjedzie. Tylko Marczuk nie chciał tych dwu hektarów Jago-

dzie dać, które dostać w posagu miała. Nabiegała się swacha Stećkowa od chałupy Marczuka do wioski i zpowrotem, zanim sprawę załagodziła, z powodu której wesele mogło się nie odbyć. Ustalono w końcu, że Marczuk na tych dwu hektarach będzie nadal gospodarzył, aż do powrotu Iwasia z wojska. Za to Jagoda u niego w domu pozostać miała po weselu i dopiero po powrocie męża, do chałupy jego rodziców się przenieść. Ojciec i matka Iwasia przystali na to chętnie, bo wiedzieli, że z Jagody na czas najbliższy żadnej pomocy na gospodarstwie mieć nie będą. Najwyżej może przy wypasie krów albo przy łuskaniu grochu. A Iwaś porządnym chłopakiem się okazał. Z miejsca do winy się przyznał, niczego się nie wypierał i przed małżeństwem się nie bronił. Co mu tam? I tak do wojska na dwa lata szedł, a gdy wróci dwa hektary ziemi na niego będą czekać, para krów i koń przez ojca obiecany. Z miejsca na swoim panem zostanie, a jeszcze większym, gdy własną chałupę z czasem postawi.

Któregoś dnia dwu statecznych gospodarzy z wioski zajechało konno do Marczuka, z butelkami wódki w kieszeniach kurtek. Wyżywianymi ręcznikami byli przepasani i w świątecznie wyczyszczonych butach. Nawet pęki wstążek koniom do uzd przypięli. Oficjalnie w imieniu Iwasia o rękę Jagody poprosili, korale jako gościniec od narzeczonego jej wręczyli i zapili warunki umowy między rodzinami, przedtem przez swachę uzgodnione, oraz ustalili datę ślubu. Wyjechali późnym wieczorem z sprośną piosenką na ustach. Dobrze sobie dogodzili, bo synowie Marczuka na konie ich wsadzać musieli. Wszystkie dzieci z ulicy przy płocie stały ciekawe tego co w domu Marczuków się dzieje i cieszyły się bliskim weselem. Tylko Zygmunt na uboczu trochę stał. Nie w pobliżu bramy, ale przy wyłamanych sztachetach do sadu.

Na Marusię czekał. Obiecała mu, że pozwoli za cycki się pomacać. Dawno ją do tego namawiał, ale świnią go tylko nazywała i udawała obrażoną. Teraz obiecał, że jej ołówek i gumkę da, bo swoje zgubiła w szkole i bała się, że jak ojciec o tym się dowie, to jej plecy wyłoi. Skąpy był i pieniędzy nie lubił wydawać. Ciemno już było gdy swaci odjechali i przyjść wreszcie mogła. O jabłoń przy dziurze w płocie rosnącą się oparła i zapytała:

- Masz gumkę i ołówek?

- Mam - nie wiadomo czemu jakoś chrapliwie to słowo powiedział.

- No, to macaj.



Zygmunt ręce na piersiach Maruśki położył. Wyczuł dwie wypukłości przez len okrywającej je koszuli. Ciepłe były. Parę razy palce na nich zacisnął. Miękkie. Natężył słuch. Chciał chlupanie mleka w nich pod naciskającymi palcami usłyszeć. Przecie do karmienia dzieci dziewczynom cycki rosną. Nic nie usłyszał i to co trochę rozczarowało. Miał dosyć, opuścił ręce.

- Już - jakimś miękkim i ciepłym szeptem zapytała Marusia. - Jak chcesz to możesz jeszcze... pogłaskaj.

Ale Zygmunt już zaspokoił ciekawość i cieszył się myślą jak mu koledzy będą zazdrościć, gdy im o tym, czego dokonał, opowie. W jaki podziw ich wprawi! Uwierzyć pewno nie zechcą.

## 4

**Ż**niwa już były w pełni i kończyły się wakacje. Miał to być ostatni rok w szkole powszechnej Zygmunta, Romka i Marusi, Janka przedostatni. Reszta jeszcze dzieciarnią była I do różnych młodszych klas chodziła. Dnie wciąż były upalne, a wieczory długie i piękne, więc korzystać z nich mogli po lekcjach, ale wiedzieli, że wkrótce przyjdzie jesień ze słońcami, później zima i że kończą się ich harce po polach i łąkach, aż do następnej wiosny. A kusiły ich te pola, na których złota pszenica kładła się teraz pod kosami kosiarzy i pod sierpami niewiast. Gdzie okiem sięgniesz rzędy chłopów wyrzucało miarowo na boki trzymanymi w rękach kosami, zagarniając pszenicę, która układała się przed nimi w złote fale. Ten i ów przystanął na chwilę, przetarł oczy z zalewającego go potu, czasami spojrzął na niebo klnąc w duchu, że to słońce tak praży, a później znowu zagarniał kosą pszenicę ze zdwojoną siłą. Baby i dziewczęta kręciły perewesła i wiązały snopy. Czasami wyprostowywały się, kładły ręce na taliach i przeciągały się by ulżyć strzykaniu w plecach. Wszyscy ciężko w tym czasie pracowali, nawet dzieci gospodarzy. Układały snopy w kopy. Marusia też na pola ojcowskie wychodzić musiała i pokąd żniwa się nie skończą, na wypoczynek i przyjemności czasu nie miała.

Ulicą Graniczną toczyły się załadowane wysoko snopami wozy do stodoł Marczuka, Szeremety i Szymczuka. Przez bramy na podwórze przecisnąć się nie mogły i kurz podnosiły, który wkrótce przemalował na brązowo malwy, nasturcje i astry rosnące w ogródkach przed domami kolejarzy. Karpiński znów kłął w żywy kamień, że ulicy jesz-

cze nie wybrukowano, a pan Raczek mu wtórował. Szwedziukowa przestała podlewać kwiaty, bo po podlaniu kurz na nich zamieniał się w błoto. Młodzieży to nie przeszkadzało. W tym czasie nawet Zygmunt zapominał o dziewczętach. Chłopcy bawili się w wojsko. Każda kopa zboża, każdy stóg był zamkiem, którego jedni bronili, a drudzy atakowali szablami wystruganymi z kijów. Zmęczeni, kładli się pod jakimś stogiem i patrzyli na fruującą nad nimi pajęczynę babiego lata. „To włosy aniołów”, informował ich Janek. Babcia mu to powiedziała.

Wieczorami kosiarze wracali do domów. Z kosami na ramionach szli mężczyźni, z grabiami i sierpami kobiety i dziewczęta. Jak strumyki do jeziora, spływali ze wszech stron malowniczymi grupami ku wiosce. Czerwieniły się wyszywane rękawy na koszulach mężczyzn i kobiet. A idąc śpiewali. Rażniej było wtedy wracać i droga się tak nie dłużyła. Płynęły melodie po polach, ponad nie wzbijał się zawsze zawodzący tenorek zapiewający.

*Hej tam, tam na hori*

*Żeńci żnuuuuć,*

*A pod pid horoju,*

*Doły, dołynoju*

*Kozaki iduuuuć... – od Nowomylska kilka głosów ciągnęło.*

*Naszczo meni czorni browi,*

*Naszczo kari occhi,*

*Naszczo lita mołodiji,*

*Weseli, diwoczi? – kilka dziewcząt od Zdołbicy żywszą melodią, tę od Nowomylska zagłuszyć się starało.*

A później przyszedł okres kopania ziemniaków. Na polach nać pozostawała i dosyć ziemniaków by je piec na ogniskach. Dym z nich piął się ku niebu wieczorami. Wysoki, prosty jak kominy na cementowni w miasteczku. Ziemniaki parzyły palce, spalone ich skórki smażyły usta. Tylko ten, kto nie jadł ziemniaków na ognisku pieczonych, ze tak wspaniale smakuja, nie zrozumie. Wracali do domów usmarowani na czarno, narażając się na sforsowanie matek. Dopiero po wykopkach ziemniaków miał się odbyć ślub Jagody z Iwasiem. Zbyt zapracowani byli wszyscy o tej porze roku, by mogli sobie pozwolić na zmarnowanie kilku dni na weselu w czasie żniw i zbiorów, gdy pilna robota czekała na polach. A wesela tu były huczne i trwały kilka dni. Raz w życiu mogły sobie rodziny dziewczyny i jej chłopaka na takie pijaństwo i obżarstwo pozwolić. Drugi raz może już dopiero na stypie pogrzebowej, gdy matka albo ojciec zemrze.

A Jagodzie w międzyczasie brzuch coraz, większy rósł, tak że ręcznikiem musiała go podwiązywać i szeroko jakoś chodziła, gdy kwaśne mleko pracującym na polach wynosiła. Baśka zaczęła się zastanawiać czy ten Janek czasami nie miał racji, gdy mówił, że dziecko z brzucha wyłazi. Bociany z stodoły Marczuka też któregoś dnia zniknęły i wtedy była już prawie pewna, że nie wrócą zimą by w śnieg i mróz przynieść dziecko. Wreszcie zapytała raz nauczycielki, skąd się biorą dzieci i czy na pewno bociany je przynoszą, tak ją te pytania dręczyły. Później tego żałowała. Pani Krotowska zwymyślała ją od świnek, a na wywiadówce poinformowała jej matkę, że Basia ma „niezdrowe” zainteresowania i że jest „seksualnie rozbudzona”. Ta też ją skrzyczała i dziewczyna postanowiła, że od tego czasu będzie polegać na informacjach Janka.

A temu ciarki po plecach szły, za każdym razem jak Jagodę zobaczył. Jej duży brzuch go niepokoił. Był pewien, że ogromnego wilkołaka urodzi i zastanawiał się, czy z miejsca zacznie on nocami ludzi napadać i krew ludzką żłotać, czy dopiero jak dorośnie. Postanowił przy pierwszej okazji babci się o to zapytać. A babcia Janka po rewolucji bolszewickiej gdzieś z dalekich kresów na Wołyń uciekła. Podobno duży majątek tam miała i miejscowych chłopów leczyła, bo do lekarza było daleko i nikt nie mógł sobie na niego pozwolić. Teraz utrzymywała się z tych umiejętności w majątku nabytych. Leczyła biedotę różnymi ziołami, których ona tylko tajemnice знаła, zamaśniała choroby, a młodym lubczyku dostarczała, który w ogromnej butli na jej szafie stał. Raz na rok go gotowała i ceniła go bardzo wysoko. Zygmunt nawet Janka o ten lubczyk prosił, żeby odlał trochę z tej butli, jak babci w domu nie będzie. Chciał Marusię nim napoić, żeby mu pozwalała na wszystko co zechce. A nęciło go, co u Marusi pod spódnicą oglądać i często ją namawiał, ale ona nie pozwalała. Niestety, nie zawsze dziewczęta chłopcom ulegają i ich zachciankom są powolne. A co im tam by szkodziło? Marusia nie chciała nawet wtedy, gdy jej czekoladkę kupił. Butla z lubczykiem stała wysoko i ciężka była, więc Janek dotknąć się jej nie ośmielił.

Babcia też dzieci u biedoty i po wsiach przyjmowała. Duże powodzenie miała i nawet te niewiasty, które na akuszerki było stać, jednak ją wołały. Miała tych przyjętych dzieci w okolicy chyba z kilka setek. I Janek wiedział, że na poród Jagody, też proszona będzie. Postanowił ją ubłagać by dziecko dobrze oglądała, czy nie kudłate się urodziło i z kłami. A tak na co dzień, to babcia od innych się nie róż-

niła i co dnia do kościoła chodziła. Nawet w zimie, kiedy tak w nogi zimno było, że trzeba było nimi tupać by krwiobieg wrócił i ksiądz się denerwował, krzycząc żeby przestać, bo nikt kazania nie usłyszcy. Skoro babcia czary zamawiała i diabła z ludzi i bydła wypędzać musiała, to oczywiście z panem Bogiem blisko też żyć potrzebowała. Bez jego pomocy nic dałaby szatanowi rady. Szacunkiem ludzi się cieszyła, a chłopci po wsiach nawet jej się bali, co babci było na rękę. Nikt się z nią o zapłatę nie kłócił i nikt z zapłatą za jej usługi nie zalegał.

Tylko za przyjęcie dziecka, jego rodzice babci nie płacili, ale goście biesiadujący na jego chrzcinach. Taki zwyczaj był. W czasie uczty po powrocie z cerkwi czy kościoła, babka albo akuszerka dwa kieliszki na talerzu stawiała, napełniała wódką i po kolei do każdego z obecnych przypijała. Ci po wychyleniu kieliszka, jakąś monetę dla niej na talerzu kładli. Jak dużo gości na chrzcinach było, to pani Alicja też dużo kieliszków wychylić musiała do każdego przypijając i nawet mężczyźni jej mocnej głowie nadziwić się nie mogli. Po każdych chrzcinach na własnych nogach do domu wracała. Później te przez nią przyjęte dzieci – jak małe to z rodzicami, starsze same – kraszanki jej na Wielkanoc przynosiły. Nieraz tyle ich naniósł, że babcia świnia nimi przez kilka dni karmiła, którego w chlewiku w sadzie stojącym hodowała. Setki dzieci znała, od najmniejszego po prawie dorosłych, co roku ich odwiedzin oczekując i że zdrowe są się ciesząc. Szczególnie Ołesia, syna zamożnego gospodarza z Bogdaszewa upodobała. Blondas z niego był, o kędzierzawej czuprynie, niebieskich ochach i dziewczęcej cerze, takiej, że gdy chłopcy kolędować z gwiazdą chodzili, jego zawsze za anioła przebierali. Złościło go to nawet, ale z czasem do tej roli przywykł. Żadnego roku od urodzin nie przepuścił i co Wielkanocy kilka kraszanek jej w chusteczce za rogi związanej przynosił, wesołych świąt życząc. A z Bogdaszowa do miasteczka z pięć kilometrów było.

Raz tylko nieprzyjemności babcia miała a i to przez lubczyk. Większą ilość go Wasylkowi ze Staromylska sprzedała, bo był synem bogatego gospodarza i szastał pieniędzmi. Przysięgał, że jest zakochany i dziewczyna go nie chce, a bez niej żyć nie może. Oszukał babcię. Różne dziewczuchy tym lubczykiem poił i później obronić się przed nimi nie mógł. Łazły do niego jak pszczoły do miodu, chociaż niektórzy plotkowali, że dlatego iż był bogaty i przystojny. Nawet Ksenia, która jałówką jeszcze była i nienaruszona. Trzy dziewczyny w ciągu jednej wiosny Wasylko w poważny stan wpędził i gdy ich ojcowie opadli go któregoś dnia z widłami, na babcię i jej lubczyk całą winę



zwalił. Przyszli wtedy do babci z pretensjami i na naradę. Babcia pertraktacje z nimi, Wasylkiem i jego ojcem zaczęła. Wasylko z Ksenią zgodził się ożenić, a jego ojciec po krowie w posagu dwu innym poszkodowanym dziewczętom dał, które wkrótce znalazły mężów. Od tego czasu babcia tylko po kilka łyżek lubczyku klientom wydziela, ale też jej lubczyk ogromnym powodzeniem zaczął się cieszyć i w cenie wzrósł.

Pogoda zaczęła się psuć, gdy Marczuk po sąsiadach ruszył by ich zaprosić na wesele Jagody. Mleko od niego brali, przez drogę tylko po sąsiedzku mieszkali, więc wypadało. Co prawda katolikami byli, a ślub młodych miał się odbyć w cerkwi, ale nikomu to nie przeszkadzało. Każda niemal tu rodzina jakichś prawosławnych krewnych miała i w różne święta, katolickie czy prawosławne, nawzajem się odwiedzali. Dużo domów w jeden dzień obejść nie mógł, bo w każdym do którego zaszedł wódką go poczęstowano i po kilku chodzić mu już było trudno. Następnego dnia zmądrzał i wozem do wsi wyjechał. Wiedział, że jak mu nogi odbierze, to jego koń sam do domu trafi.

Marusia znowu do szkoły nie przychodziła, bo w domu roboty dużo było w związku z weselem, a Jagoda nie bardzo mogła jej pomagać. Dzieci sąsiadów uciechę miały. Raz, gdy koleżanki do Jagody się zeszły by kołacz weselny upiec, korowajem tu zwany, pod oknami stali patrząc jak w dużej dzieży go miesiły, a później kwiatami z bibulek zdobiły. Wypiły przy tym nie mało i przez otwarte okno nad sad ich tradycyjne dla tego obrzędu pieśni płynęły.

*Nychto ne whadaje*

*Szczo toj korowaj maje,*

*Kopu jajec, drożdżyj garneć,*

*O toj korowajeć...*

Na weselu po kawałku tego korowaju każdy obecny dostał, a dzieci cukierkami się objadły, bo gdy młoda para z cerkwi wozem wracała, stary Marczuk rzucając w nich pszenicą z cukierkami witał, bogactwa, szczęścia i sytych lat życząc. Deszcz lał w ten dzień i trochę wesele popsuł. W następne też nie przestawał. Całe szczęście, że już po żniwach było.

A dzieci, czy deszcz czy zimno, po błocie miedzami do szkoły chodziły i coraz bardziej martwiły się, że tak długo będą czekać do następnego lata. Najmniejszy, Stefan Bałandziuk, ledwo nogami w ogromnych, na wyrost kupionych bucikach przebierał i ciągnął



po ziemi za okładki trzymanymi zeszytami i książkami. Ciągłe miał w szkole awanturę, że takie zabłocone. I spóźniał się, bo jak doszedł do przejazdu kolejowego, to o szkole zapominał. Stał z otwartymi ustami i na przejeżdżające pociągi patrzył. Gdy jeden przejechał, to on czekał na następny. Godzinami tak potrafił stać zanim o szkole przypomniął. Gdy nauczycielka donosiła Bałandziukowej, że Stefan się spóźnia i z zabłoconymi zeszytami przychodzi, ta wiedziała, że to przez tę elektryczność. Trzepnęła go kiedyś i rozum mu przytępiła. W dodatku, gdy Stefan stał raz przy szlabanie obok wozu, który aż szlaban podniosą czekał, zaprzężony weń koń chwycił go zębami za głowę i oskalpował lepiej od noża Indianina. Całe szczęście, że właściciel konia szybkość umysłu zachował, wyrwał skalp Stefana zwierzęciu z pyska, jak piuskę na spływającą krwią głowę mu go nałożył i dobrze przyklepał. Przyrósł z czasem jak ulał.

– Całe szczęście, że koń skalpu nie zjadł, bo pewno myślał, że to siano – opowiadał później Zygmunt – Stefan by chodził łysy jak ten nasz burmistrz... Tylko burmistrz pewno już ze sto lat ma.

Czym innym był zaprzątnięty, by młodszym bratem za bardzo się przejmować. Zaprzyjaźnił się z nowym kolegą, który znalazł się w jego klasie. Rudy on był, piegowaty i Mośkiem go wszyscy nazywali, a jego ojciec sklepik ze śledziami przy rynku prowadził. I gdy któregoś dnia ksiądz powiedział na lekcji religii, że jeśli ktoś nie jest ochrzczony, to do nieba nie pójdzie, Zygmunta to zmartwiło. I ubił rudzielca i o dziewczynach z nim rozmawiał, bo Mosiek córki wszystkich sklepikarzy w miasteczku znał, nawet gimnazjalistki. Postanowił więc Zygmunt Mośka ochrzcić i przysługę mu dobrą wyświadczyć. Chciał po dobroci najpierw Mośka pod pompę zaprowadzić, ale ten nie był pomysłem zachwycony. Wyrwał się i zaczął uciekać. Tak rozpoczął się codzienny rytuał. Zygmunt z kilku kolegami łapali przed szkołą Mośka i prowadzili pod pompę. Tam lali mu na głowę wodę i któryś wypowiadał formułkę, zaczynając słowami: Mieczysławie ja ciebie chrzczę... Mosiek wierzgał i kopał, ale nic to nie pomagało.

– Nie bądź durny – perswadował mu Zygmunt. – Rycerskiego imienia Mieczysław nie chcesz, tylko Mośkiem na całe życie zostać? I do nieba nie chcesz iść?

Na wszelki wypadek co rana go chrzcili. Po miesiącu Mosiek zrezygnował z oporu. „Będzie chrzest”, pytał na widok kolegów, zbliżając się do szkolnej bramy. Ich też te chrzty zaczęły w końcu nudzić, tylko już nie Mosiek ale Mietek wtedy na niego wołali. Równym chłopac-

kiem był. Prezerwatywy im później po 10 groszy sprzedawał, które kupował od handlującego czym się dało stryja. Po dwa grosze na każdej zarabiał, ale o tym kolegom nie wspominał. Nie były one im właściwie potrzebne, tylko starsze dziewczęta nimi gorszyli. Pokazywali je jakiejś, a ta jeśli wiedziała do czego służą oblewała się rumieńcem wstydu i mówiąc „ty świnió” przeważnie uciekała. Którego na prezerwatywę było stać, zaraz myślał, że jest dorosłym, na don Juana się zgrywał i przymierzał ją w jakimś ciemnym kącie. Niejeden później martwił się, czy zdoła ją zapełnić gdy dorośnie, bo luźne były i zapewne na wyrost wyprodukowane..

– Pewno dla Zepelina robione – Janek z przekąsem raz stwierdził.

## 5

**Z**ima nadeszła. Nie od razu. Najpierw przymrozki po nocach się zaczęły. Ścięły kwiaty w ogródkach, trawy na łąkach i miedzach, i liście na drzewach, które jeszcze opaść nie zdążyły. Ścięły też w gruzy rozjeżdżone błoto na drodze i skiby zaoranych ściernisk. Jeszcze w niektóre dni słońce potrafiło zmóc te nocne przymrozki, stopić szrony na gałęziach drzew i znowu gruzy drogi w błoto zamienić. Aż przyszedł taki dzień, że słońce świeciło jasno, ale mróz już mu nie ustępował. I któreś nocy spadł śnieg. Bez żadnej zapowiedzi, że spadnie. Nie prosił jak to w niektóre jesienie bywało, ale opadł dużymi płatami, obfity jak kwiecie na drzewach wiśni wiosną. Całą noc jak pierze z rozprutej pierzyny sypały się płaty i gdy ludzie wyjrzeni rankiem przez okna, zobaczyli, że świat białym puchem jest pokryty. Bielszy był od lnianego płótna, które baby rozkładały wiosną na łąkach by je słońce wybieliło. I wiatr ze śniegiem przyszedł. Przenosił tę pierzynę śniegową z miejsca na miejsce, układał w duże zasy, później przepychał je gdzie indziej, jakby nie mógł zdecydować się w którym miejscu mają pozostać. Wzdłuż drogi je poukładał, pod ścianami domów i wzdłuż płotów.

Na gałęziach drzew spadające płatki osiadały, na dachach domów, na stodołach i oborach. Nawet sztachety w płocie w czapki ubrał. Dzieci z ulicy Granicznej, które gromadą do szkoły chodziły, w tym dniu postanowiły po torach kolejowych za tartakiem wyruszyć. Ławiej po szpałach wzdłuż szyn było iść, niż po zasypanych śniegiem miedzach. Uważać oczywiście trzeba bardzo było, by pod pociąg nie

wpaść. Dużo wypadków zimą na torach się zdarzało, gdy nimi gospodynie wiejskie na rynek chodziły. Ubrane w kozuchy, owinięte kilku chustkami, obwieszane tobołami nie słyszały nadjeżdżających pociągów i co zimy pociąg którąś zabijał. A i kolejarzy trzeba było się strzec. Spędzali, jak kogoś na torach zobaczyli.

Zygmunt za Marusią szedł i pomyślał, że tak się opatuliła, że z ciągnięciem jej do jakiegoś kąta do wiosny trzeba będzie poczekać. Ubrana była w kozuch i wysokie buty, owinięta kraciastą chustką i pewno dla ciepła majtki też nałożyła, których latem nie nosiła. Nic to go fascynowało co Marusia pod spódnicą ma, bo widział i u Handzi w czasie kąpieli w rzece oglądał, tylko, że Marusia już prawie dorosła była, z cyckami, więc i zarost jej tam musiał się pokazać. Wiedział, że dziewczyna już jest gotowa by z nią to robić, co Iwaś z Jagodą i o czym od starszych chłopaków się nasłuchiwał. Korcić go wiec zaczęło żeby też popróbować. Po nocach mu ostatnio się śniła i nawet, że leży na niej i pompuje ją tak jak Iwaś Jagodę. Gdy się obudził, to tak jakoś przyjemnie mu było i stwierdził, że kalesony mokre ma w kroku. Nic wiedział co o tym myśleć. „Niemożliwe, żebym się zeszczął”, uwierzyć nie mógł. A dzień świętego Mikołaja wtedy się zbliżał i dzieci modlić się zaczęły przed spaniem, by święty im przyniósł to, co dostać pragnęły, chociaż wiedziały, że nie zawsze Mikołaj prośb dzieci wysłuchuje. Gdy Janek zapytał Zygmunta, co by chciał dostać od świętego Mikołaja, Zygmunt bez wahania odpowiedział:

– Maruskę bez majtek.

Janek się roześmiał. Myślał, że Zygmunt żartuje.

– Tego to on nie przyniesie. Ja narty chciałbym dostać. Drugi rok o nie proszę, ale ojciec forsy nie ma.

Od kilku tygodni Zygmunt skromne kieszonkowe odkładał by kupić Marusi piórnik, żeby już ołówków nic gubiła, chociaż nie było to w jego interesie. Nawet zadowolona była, gdy go dostała na szkolnym Mikołaju. W biskupim stroju przyszedł, z białą brodą, w otoczeniu aniołów i z diabłem, który wszystkich różgą siekł. Stefkowi Balandziukowi najwięcej się wtedy dostało. Tylko zawsze ponury osiłek Bogdan nie wytrzymał, jak go diabeł różgą za mocno po plecach zdzielił. Przywalił diabłu pięścią w oko i Staszek, syn kominiarza w czarny trykot z przyszytym ogonem ubrany, rozplakał się na głos. Przyklejone do czoła rogi od tego uderzenia mu odpadły. Ksiądz Głowacz, który za Mikołaja był przebrany i łatwo się denerwował, szybko porządek zaprowadził walnąwszy Bogdana pastorałem po

plecach tak mocno, że pastorał mozolnie wystrugany przez nauczyciela stolarki na pół się przełamał. Aniołowie w płacz uderzyli i dopiero jak Mikołaj zaczął prezenty z worka wydostawać uspokoiło się na sali. A worki z prezentami, które rodzice do szkoły przynieśli, na ośle wjechały, którego pan Prus, właściciel cementowni dla swojej córki trzymał i zgodził się wypożyczyć. Zapomniano o nim po rozdaniu prezentów, bo każdy papier rozwijał chcąc zobaczyć co dostał. A osioł najpierw stał znudzony w kacie, a później zaczął lać. Dopiero uciecha była. Lało się z niego i lało, doczekać się nie było można aż skończy. Dzieci ze śmiechu się pokładały, tylko woźny Barszczewski bardzo się tym zdenerwował, bo podłogę wycierać musiał. A dziewczęta rumieniły się i piszczały ze wstydu, bo osłowi ta sikawka z której lał wydłużyła się tak, że niemal podłogi sięgała. I osła widocznie to bawiło, że młodzież gorszy, bo zaczął się bestia śmiać. I-ha, I-ha – ryczał i uspokoić się nie chciał. Bolek później opowiadał, że osioł taką sikawkę ma, bo jest głupi, co zresztą każdy wie. Gdy Pan Bóg zwierzęta stwarzał, to ten osli Adam na miejsce wielbłąda się wepchnął i ma teraz to, co wielbłąd miał dostać.

Janek nie był z Mikołaja zadowolony. Upragnionych nart nie dostał, a Romek i Zygmunt od kilku lat już je mieli, więc czuł się bardzo pokrzywdzonym. Kłął na świętego choć nie wypadało i w dodatku nauczyciel gimnastyki najstarszych chłopców na kurs narciarski zaczął zapisywać, a Janek marzył by nań pojechać. W Ostrogu miał się kurs odbyć i chłopaki ze wszystkich szkół powiatu mieli się do niego zjechać. Zaraz po świętach Bożego Narodzenia. To jeszcze w gorszy nastrój go wprawiło. Całe szczęście, że Edek, który do jego klasy chodził, jeżdżąc na łyżwach nogę złamał i zgodził się swoje narty mu pożyczyć. Wspaniałe te narty były, bo Edka ojciec wyszynk przy rynku prowadził, pieniądze miał i stać go było by synowi kupić najlepsze.

Tymczasem w domach przygotowania do świąt się zaczęły. Chłopcy każdą wolną chwilę jeżdżąc na nartach spędzali, bo matki wołały ich mieć poza domem. Pomimo, że noce wcześniej zapadały i zaraz po powrocie ze szkoły zmrok się zaczynał, niebo było przeźnawnie czyste, bo mróz panował i przy bieli śniegu nawet nocą było jasno. Na zamrożnięte jeziora nieraz się wybierali, już śniegiem pokryte, z którego trzcina wysoka wystawała po rozlewiskach zamrożniętych brzegów. Jechali tunelem oczeretów, jak jakimś zaczarowanym lasem. Łamały się i trzeszczały kładąc się przed nimi. Kruche były zimą i z kiści na ich czubach puch beżowy się sypał, który wiatr po białej powierzchni jeziora przed nimi gnał.



Wreszcie choinki na rynku się pokazały i Marczuk, wdzięczny za prezenty dla wychodzącej za mąż Jagody, obdarował sąsiadów snopkami pszenicy, które po kątach stołowych pokoi miały w święta stać. Pszenicy w stępie wyłuszczonej też każdemu sąsiadowi dał, bo wiedział iż stęp nie mają, a pszenica na kutię była potrzebna. Bez niej nikt tu wigilii nie mógł sobie wyobrazić. On do świąt jeszcze się nie szykował, bo był prawosławny, a u nich święta w dwa tygodnie później się odbywały. Przez kilka dni młodzież i dzieci na dwór nie wychodziły. Lepili łańcuchy na choinkę, dzbanuszki z wydmuszek z jaj, owijali w srebrne papierki orzechy. Cały rok te srebrne papierki troskliwie zbierali, składając je w kostki po zjedzeniu każdej czekoladki.

A przed wigilią śnieg zaczął znowu padać i nie zamierzał przestać. Z miejsca zasypał żużel, który pan Szwedziuk wokół swych gruszy rozsypał, by zające na nich kory nie podgryzały. Zły był, bo w wigilijny poranek musiał do Marczuka po słomę iść i pnie nią obwiązywać. A śnieg walił dużymi płatami i nie przestawał. Świata widać nie było. Mgła bieli horyzont zasłaniała. Niemal w oczach rosły coraz wyższe zasy. Po okna zabezpieczone watą i naftaliną przed zimnem sięgały i drzwi też trudno było otworzyć. Co je ktoś drewnianą łopatą do wkładania chleba do pieca odkopał, już śnieg znowu pod klamkę sięgał. Ulicy nic było widać. Metr a może i więcej na niej śniegu leżało, tak jak na polach i tylko ci, którzy ją z okresu letniego pamiętali, wiedzieli, że pod śniegiem droga się kryje.

– Tata. Jak taki śnieg pada, że nieba i gwiazd nie widać, to skąd będziemy wiedzieć, kiedy czas do wigilii zasiadać – dzieci pytały. Chuchały na szyby, ręką je przecierały, przykładaly nosy do szkła. Nic, tylko biel było widać. Wychuchane miejsce mróz prawie natychmiast na biało zamalowywał, tak, jak wszystkie okna, a później w jakieś dziwne kwiaty i liście paproci. I z parapetów kapalo na wyfroterowane podłogi.

Na pasterkę, już wiedzieli, wybrać się nie będą mogli tej nocy. Daleko było do miasta i śnieg sięgał wyżej pasa. I wciąż padał, nie przestawał. Za dnia, w pierwszy dzień świąt będzie łatwiej pójść do kościoła. Romek się martwił czy przez te śniegi pan Karczuk do nich na wigilię się przepcha. Starym kawalerem był i kiedyś w armii Petlury służył. Później przez kilka lat oficerem kontraktowym w polskim wojsku był, pokąd nie przeszedł w stan spoczynku. Matce Zygmunta, gdzieś pod Żytomierzem w trudnej sytuacji pomógł, gdy ze swego majątku uciekała po rewolucji bolszewickiej. A gdy w mia-



steczku osiadł, co roku był przez nią zapraszany na święta. Nic mu nie przeszkadzało, że katolickie były. Opłatkiem się z wszystkimi przy stole dzielił i na pasterkę chodził. Bas wspaniały miał i jak kolędy śpiewał, to sufit się trząsł. A Romek go lubił, bo bardzo ciekawie wspominał jak z bolszewikami wojował. Wspaniały gawędziarz z niego był. Opowiadał jak konno na ich pozycje szarżował, szablą ciął i jak „bolszewickiej swołoczy” głowy po ziemi się toczyły. Wybałuszonymi oczyma na zbierających trupy patrzyły, z wywalonymi językami... Śniły się później po nocach Krysi, młodszej siostrze Romka i budziła się z krzykiem. Raz to podobno pan Karczuk kilkadziesiąt tych głów ściął, ręka mu spuchła od tego ciągłego szablą machania i przez tydzień na temblaku musiał ją nosić. Całe szczęście, że zawieszenie broni wtedy było, bo by już kosić nie dał rady. Jak spuchlizna odeszła, znowu rąbał gdzie się dało.

Pan Szwedziuk był nawet trochę o niego zazdrosny, chociaż żadnej przyczyny ku temu nic miał. Właściwie bardziej o to, że Romka oczarował, niż o panią Marię. A on też przecież pod Kijowem w 1920 roku był, też w kawalerii służył i też w szarży na hordy bolszewickie udział brał. Nawet ciął tego i owego, ale tak barwnie jak pan Karczuk nie potrafił o tym opowiadać. Był raczej człowiekiem spokojnym, małomównym i niełatwo go było wyprowadzić z równowagi. Bardzo rzadko się unosił i Romek nie pamiętał, żeby go kiedyś w ucho trzasnął, gdy coś przeszkrobał. Życie rodzinne i rodzinę bardzo kochał, z nikim zatargów nie miał i poważali go sąsiedzi. Tylko za bardzo pobożny nie był. Jak ksiądz po kolędzie przychodził, to do komórki szedł drzewa do pieca urąbać. Nie chciał, by ten go sforował, że rzadko w kościele bywa. „Żyć trzeba po chrześcijańsku, a nie czas na klęczkach marnować”, nieraz mówił, co denerwowało panią Marię, bo dzieci to słyszały.

## 6

**A**utobusem chłopców z miasteczka do Ostroga zawieziono. By przejechać trzydzieści kilometrów, cały dzień mu niemal zajęło. Przepychać się przez zasypy musiał, chociaż droga szeroka była i kostką bazaltową w Janowej Dolinie rąbaną wybrukowana. To pęki wikliny pod koła pomocnik kierowcy musiał podkładać, to piasku podsypywać. Wreszcie zmarznięci i głodni wyładowali się w seminarium nauczycielskim, mieszczącym się w budynku obok dawnego klasztoru

Kapucynów, z przylegającym do niego pięknym rokokowym kościołem. W XIX wieku zamieniono go na cerkiew.

Zaczął się wspaniały tydzień beztroskiej zabawy i całe dnie spędzone na harcach po śniegu. Pędzali ryzykancko ze wzgórz i narty niosły ich po zboczach z coraz większą szybkością. W uszach gwizdało i przejmujące zimno starało się wdrzeć za poły kurtek. Nic to! Ten i ów walił się do śniegu, podnosił i dalej pędził. Nic go w tym oczarowaniu szybkością zatrzymać nie zdoła. Nikt nogi czy ręki nie złamał i za cud to poczytać można.

Zygmunt, Romek i Janek zawsze razem się trzymali. Najczęściej zjeżdżali po zboczu góry zamkowej, na której mury siedziby książąt Ostrogskich stały, w kierunku płaskiego terenu nad zamrażającą Willią. Ta rzeczka, kiedyś fosę zamku w wodę zaopatrująca, teraz sowiecko-polską granicę stanowiła. Latem toczyła się leniwie po mokradłach ją otaczających, zimą zamrażniętych jak i ona i pokrytych śniegiem. Już w pierwszym dniu przystał do nich Witek, który był uczniem pierwszej klasy gimnazjum kupieckiego w Równem. Bolszewikiem albo komunistą go koledzy z jego szkoły przezywali i chłopak wtedy się denerwował i z pięściami do nich skakał. Duży z niego był osiłek, więc przeważnie uciekali przed jego gniewem.

- Czego oni ciebie bolszewikiem nazywają - zapytał się go raz Romek.

Okazało się, że Witek dopiero kilka lat temu przez granicę sowiecką do Polski z matką uciekł. W czasie po wielkim głodzie, który tam panował. Ludzi tysiące wymarło, kotów, psów i wron nie było, bo ludzie zjedli. A gdy już głód zelżał i ludzie odetchnęli, prześladowania się zaczęły. Ojca Witka rozstrzelano.

- Za co - zapytał Zygmunt.

- Bo Polakiem był. Jak Polak, to albo deportowali, albo rozstrzelali. Nikt nie pytał za co. Jak Polak, to znaczy wróg ludu.

- Nie bujasz ty? - nie wierzyli.

- Jej Bogu, że prawdę mówię - Witek zegnał się szeroko, by wątpliwości nie mieli.

- A kto to tak mówił?

- Komuniści.

Gdy któregoś dnia znowu jakiś gimnazjalista z Równego „komunista” na Witka zawołał, we czwórkę się rzucili. Natłukli go tak, że mu krew nosem poszła i płakać zaczął. Jak uciekał, Zygmunt pięścią za nim pogroził.

- Nie będziesz ty już Witka obrażał i komunistą nazywał. A jak nazwiesz to znów mordę skujem! - krzyknął.

Pomogło, bo nikt Witka już przezywać się nie ośmiewał i Witek do chłopców jeszcze bardziej przylgnął. Tylko jak z góry zamkowej zjeżdżali, to przestrzegał by za daleko się nie zapuszczali i do granicy za blisko nie podjeżdżali. Jak Romek do zamarzniętej Wilii podjechał, to Witek przybladł i zębami zaczął szczekać ze strachu.

- Czego ty? - Janek zapytał.

- Żeby go tylko nie zagarnęli. Wołaj go, by wracał. Z bolszewikami nic nie wiadomo.

W rok później to co mówił przypomnieli i zrozumieli przed czym i dlaczego ich przestrzegał. Ale przez ten rok wiele się stało, czego przewidzieć nie mogli i o czym nawet w koszmarnych snach im się nie śniło. Beztroskie lata dziecięce się nagle dla nich skończyły, by nigdy już nie wrócić i ich świat się zawalił. Teraz, że przesadza, im się wydawało i nawet straszili go, do rzeki naumyślnie podjeżdżając, pokąd sprawa z krową nic wybuchła.

Któregoś dnia to się stało. Nie jakiś chłopak na nartach, ale durna krowa granicę przekroczyła. Jej właściciel wzdłuż zamarzniętej rzeki później biegał i ją wołał, ale za krową przez rzekę przejść się nie ośmiewał. Jeszcze kilku przybiegło, jakieś baby. Rejwach się podniósł, ktoś bydlę przyniesionym snopkiem siana zaczął kusić. Krowa postąpiła chwilę, oglądając się na wołających ją ludzi, ale na siano nawet nie spojrzała. Później zaczęła powoli iść w kierunku dymiących na horyzoncie kominów zabudowań kołchozu. Chłop za głowę się złapał, jego żona zawodzić zaczęła. Krowa dużą część ich majątku stanowiła.

- Ubju Iwana kak sobaku - chłop niewiedzącemu Iwanowi zaczął wtedy grozić, który pewno krowy nie upilnował, albo drzwi do obory zostawił otwarte.

- Już on jej nie zobaczy - zapewniał chłopców Witek - Zjedzą ją bojcy albo kołchoźnicy. Ot, durna.

Kilkudniową sensacją przejście krowy przez sowiecką granicę było, niemal przez cały okres pobytu chłopców w Ostrogu. Całe miasteczko nią się pasjonowało. Nawet miejscowa gazetka o tym pisała. A jej właściciel po urzędach chodził, spodziewając się, że sprawą się zajmą. Podobno jacyś oficerowie KOP-u spotkali się z sowieckimi oficerami i pertraktacje o zwrot krowy się rozpoczęły. - Nie zwrócą już jej - zapewniał chłopców Witek, gdy o tej sprawie rozmawiali wieczorem. - Złodziejską naturę mają. Jak coś zachwycą, to już nie oddadzą.

Miał rację. Nie oddali. Miejscowa gazetka napisała, że podobno znaleźć jej nie mogą. Twierdzą, że pewno wilki ja zjadły. Szukali podobno, szukali i nie znaleźli, chociaż krowa to nie igła w stogu siana. A jej właściciel jeszcze kilka dni na zamarznąętą Wilię przychodził, siano po brzegu rozrzucał, mając nadzieję, że bydlę na nie się skusi i wróci.

– Ot, durny chłop – Witek chłopcom powiedział. – Krowę już dawno bojcy zjedli, albo zamknęli w kołchoźnej oborze.

A Romek zaczął o ojca się bać, po rozmowach z Witkiem, gdy z Ostroga wrócił. Maszynistą przecież ojciec był i do Szepietówki, na sowiecką stronę jeździł. Żeby go tylko nie zagarnęli. Pan Szwedziuk zawsze jednak wracał i różne dziwa z tej Szepietówki przywoził. Raz przywiózł na przykład krzesiwo i hubkę, bo zapalek tam w sklepach nie było, a on palił. Staremu Marczukowi je później podarował i ten cmokał z zachwytem. Jak na polu pracował i był wiatr, to mu zapaliki gasły gdy skręconego papierosa przypalał, a hubka tliła się w najgorszą pogodę. Czasami, po podróży ojca, Romek rozczarowanie przeżywał, bo się spodziewał, że jak ojciec jedzie za granicę, to coś dla syna powinien przywieźć, a ten wracał zawsze z pustymi rękoma. Ojciec odgadywał pewno jego myśli, bo kilkakrotnie powiedział: „nic tam kupić nie można, pustki w sklepikach”.

– Jak to? – dziwił się Romek. – Jak to możliwe, żeby sklepy były i nic w nich nie można było kupić.

– Ano nie ma nic, tylko puste półki.

Janek narty Edkowi musiał po powrocie zwrócić, chociaż ten wciąż nogę w gipsie unieruchomioną miał. Czuł się tym przez los pokrzywdzonym. Na cały świat był zły, a najbardziej na ojca, że mu tych upragnionych nart nie kupił. Jak ktoś o świętym Mikołaju wspomniał, bo dostał od niego to, czego oczekiwał, Janek się unosił i bluźnić zaczynał. Kolegom ciarki po plecach szły od strachu, że go jakaś kara straszna za to spotka. „W dupie ja mam, tego waszego Mikołaja” – krzyczał i czerwieniał ze złości. Że na prawosławie przejdzie odgrażał się i do świętego Mykoły modlić się zacznie. Tego, którego na ołtarzu ławry w Poczajowie w czasie wycieczki szkolnej widział. Zeza co prawda na ikonie ma, ale twarz dobrą i pewno prośb ludzkich wysłuchuje. Ojca szlak pewno będzie trafiać, jak zobaczy, że on w niedzielę do cerkwi zamiast kościoła poszedł. I katechetę Grabika też, za karę, że buja. „Proście, a będzie wam dane” – zawsze mówił. A jakże? Prosił przecie o narty od kilku lat. I co? Dostał? Tymczasem jak kole-



dzy na wzgórze za jeziorami się wybierali, to on szedł z młodszymi dziećmi, ciągnąc za sobą saneczki. Gdy sanki zarywały się później w śnieg, oni mijali go pędząc jak zwariowani. Jak na złość! A gdy usypali ze śniegu próg i skoki zaczęli uprawiać, to musiał zagryźć usta, by się nie rozpłakać z zazdrości.

## 7

**Z**ima ku końcowi się miała. Najpierw woda pod śniegiem zaczęła się zbierać i wlewała się do bucików dzieci, gdy do szkoły szły, albo z niej wracali. Zawsze z mokrymi nogami w ten czas chodzili. I śnieg zszarzał, stracił tę biel, która w słońcu w oczy raziła. Z sopli lodu na okapach dachów wiszących, krople wody opadały. W mieście czasem duży sopel się urywał i z dźwiękiem bitego szkła roztrzaskiwał się o cement chodnika. Po kilku słonecznych dniach przez śnieg czarne plamy ziemi zaczęły się na polach ukazywać i woda płynąć przydrożnymi rowami, wgłębieniami kolein na drogach i między bruzdami skib zaoranych jesienią pól. Wreszcie, nie wiadomo kiedy, śnieg prawie zniknął i już tylko kurczące się jego plamy w zagłębieniach pozostały i na północnych zboczach wzgórz za jeziorami. Całą okolicę i nawet nawierzchnie ulic w miasteczku maź błota pokrywała. Ulica Graniczna w brudną rzekę się zamieniła i jak trzeba było przejść do sąsiadów, ludzie trzymając się płotów chodzili, żeby się nie pośliznąć. Słońce coraz mocniej jednak przygrzewać zaczęło i w południe para nad polami się ukazywała i nawet z mokrych kurtek chłopców szła.

A gdzieś przed Wielkanocą oziminy zaczęły się zielenić, łąki za torem i kępy trawy na miedzach i przy płotach. Na drzewach pąki obierały. Największe były na kasztanach wokół kościoła rosnących. Bażki na wierzbach się otworzyły i to był znak, że wiosna jest już w pełni. Słońce coraz częściej się pokazywało i coraz mocniej grzało z każdym dniem. Powoli, powoli drogi i pola suszyło. Jeszcze jeden dzień, może jeszcze kilka i rolnicy na pola zaczną wyjeżdżać by orać i bronować. Ten i ów z łopatą do przydomowego ogródka wychodził i parę skib ziemi przewracał, próbując czy już nie czas kopać i kwiaty wysiewać. Na brzegu lasu, za jeziorami śnieżyczki od dawna już się pokazały i baby z Nowomyśla całe kosze ich pęczków na rynek przynosiły.

Wreszcie ziemia przeszkła na tyle, że rolnicy na pola z pługami wyjeżdżać zaczęli. W którą stronę byś spojrzał, konie pługi ciągnęły



odwalające równe rzędy skib. Ptactwo się pokazało, którego w zimie nie było prawie widać i dziesiątki wron za pługiem szło lub zoraną ziemię obsiadało. Gdy orający z bata strzelił by konia przyspieszyć, podrywały się do lotu i rejuwach podnosiły, jakby je kto skrzywdził. Dużo jaskółek też się pokazało i wysoko fruwały, co wszystkich cieszyło, bo, że deszczów nie będzie zwiastowały. Na powrót bocianów najbardziej ludzie czekali. Gdy wrócą, już na pewno wiadomym będzie, że przyszedł koniec zimy. A zdradliwa przecież potrafiła czasami być. Już ciepłe dni nic raz jeden po drugim następowały, już śniegi stopniały, już drzewa owocowe kwitnąć zaczęły, a ona wracała po nocy jak złodziej i mrozem świat ścinała. Kwiaty na jabłoniach i gruszech, i czereśniach, które po raz drugi już nie zakwitną. Wiadomym wtedy było, że marny ich zbiór będzie w tym roku i że będą drogie.

A od kilku lat sensacja wybuchała regularnie co roku na wiosnę i ludność miasteczka na wiadomość o niej i w tym roku z niecierpliwością oczekiwała. Sennie życie się w nim toczyło, nic ważnego nie działo i najmniejsze wydarzenie sensacją się stawało. We Lwowie Gorgonowa pasierbicę zabiła, gdzieś w Paryżu czy Berlinie Kaziuk Mackiewicz kasy ogniotrwałe rozpruwał i międzynarodowa policja go szukała, tu jak pani Słupska oko mężowi podbiła, bo się zalał w piątek, to przez tydzień o tym mówiono. Gruba Kaśka i tej wiosny zawodu jednak mieszkańcom miasteczka nie sprawiła. Sprzątaczką na posterunku policji była. Nocą tylko jeden czy dwu policjantów służbę w nim pełniło i nie wiele do roboty mieli. A w celi łóżka gotowe na aresztantów czekały, Kaśka pod ręką była i nuda panowała. Więc tak jakoś się zdarzało, że Kaśka na jesień grubieć zaczynała, a na wiosnę dziecko rodziła. W tym roku już piąte. Dopiero ludzie językami mleć zaczęli, zgadywać czyje ono, ale dojść tego było trudno. Policjantów z tuzin na tym posterunku służyło, jak najmniej mówić o tej sprawie w ich interesie było, szczególnie tych, którzy żony mieli. Kaśka też milczała, bo awantury nie chciała mieć i posady stracić. Żonaci na kolegów kawalerów winę za dziecko zwalali, a że kilku ich było, więc też na ojca dziecka nie można było wskazać z pewnością. Podobno po parę złotych wszyscy co miesiąca się składali, by Kaśka na utrzymanie dzieci miała, których wychowaniem jej matka się zajmowała.

W tym roku Kaśka porodziła w niedzielę palmową, w czasie gdy tłumy ludzi do kościoła szły trzymając w ręku gałązki wierzby ozdobione pęczkami barwinku i okręcone kolorową bibułką. Pani Alicja,

babcia Janka jak zwykle dziecko u niej przyjęła i zła była, bo do kościoła pójść nie mogła. Pierwszy raz jej to w życiu się zdarzyło, żeby nabożeństwo w Niedzielę Palmową opuściła. Gdy ludzie po sumie z kościoła wychodzili, wiadomość z ust do ust podawana wszystkich obiegła i wiadomym się stało, że Kaśka powiła syna. Ten i ów śmiechu powstrzymać nie mógł. Nawet dzieci perypetie Kaśki interesowały. I młodzież, która uganiała się po placu przykościelnym, okładając dziewczęta palmami i skandując:

*Palma bije, nie ja biję*

*Za tydzień, Wielki dzień.*

Wielkanoc przyszła w słońcu skąpana. Tuż przed nią bociany na Marczuka dom powróciły, jak zapowiedź dobrej pogody. Przekładały teraz patyki na swoim gnieździe, zajęte były i święta ich nic nie obchodziły. Gdy do kościoła chłopcy szli, nawet w ich stronę nie spojrzały. Marusia przy bramie stojąca palcem na nie wskazała i powiedziała: „bociany wróciły”.

– Uważaj ty teraz Maruśka – Zygmunt odkrzyknął. – Do ciebie im najbliżej.

– Ot, durny – wzruszyła ramionami.

W kościele tłok panował, tłum ludzi przez kruchtę i otwarte drzwi na dziedziniec przykościelny się wylewał. Gdy z wnętrza gruchnęło potężne „Wesoły nam dziś dzień nastał”, ci na dziedzińcu stojący też pieśń podchwycili i radosne słowa między domami ulicy Kościelnej popłynęły. Ptaki na kasztanach wokół dziedzińca rosnących spłoszyły, które nad dach kościoła się wzniosły i krążyły dokoła czas dłuższy, zanim na wieży usiąść się zdecydowały. Na kasztany dłuższy czas zniżać się bały. A te białały kwiatami strojne i liśćmi dużymi były gęsto pokryte, o tej porze roku soczystymi i jaskrawymi, których kolor spłowieje dopiero latem od promieni gorącego słońca. W czerwcu tyśiące chrabąszczy na nich się pokaże i brzęczeniem, buczeniem wypełnią powietrze. Babcia Janka, że one hymn na cześć lata śpiewają, mówiła.

Wierni nie śpieszyli się po nabożeństwie do domów, tylko przystawali grupami, składali sobie życzenia i o grubej Kaście rozmawiali. Pan burmistrz jak zwykle nienagannie ubrany w sztuczkowe spodnie, czarny żakiet i melonik ze starostą rozmowę prowadził. Stojące obok nich małżonki budziły zainteresowanie wciąż wychodzących z kościoła. Na głowach miały duże kapelusze ozdobione buketami sztucznych kwiatów. Wyroczniami mody były w miasteczku

i wiele pań swe stroje na ich wzorowało, a nie na ilustracjach żurnali, które im krawcowe pokazywały. I teraz zachodziły w głowę, czy te kapelusze ze Lwowa zostały przywiezione, czy może tylko od Rabinowicza z Równego. Doktorowa Ławicka z kwaśną miną je minęła. Od lat o palmę najelegantszej kobiety w mieście z nimi walczyła. Mały, okrągły kapelusik na głowie miała, piórkami ozdobiony, gdyż uważała, że nie wypada do kościoła przychodzić w kapeluszu z dużym rondem I ołtarz ludziom zasłaniać. Dziwiła się, że takie elegantki jak burmistrzowa i starościna o tym nie wiedzą.

Kupa chłopaków z wieży kościelnej tłum na dziedzińcu kościelnym obserwowowała. Starsi na papierosa tu się po nabożeństwach chowali. Że ich ktoś zobaczy, czy skrzyczy, obawy nie było, bo nikomu piąć się po schodach nie chciało. Wieża bardzo wysoka była i nad miastem górowała. W tym dniu więcej ich się zebrało, niż w normalną niedzielę i umawiali się na popołudnie w parku, gdzie kraszanki mieli po trawie katulać. I nagle głupi pomysł Zygmunтови do głowy strzelił. Wychylił się przez okrągłe okno, które czekało, aż parafianie na zaplanowany dla niego zegar się złożą, wycelował w melonik burmistrza i rzucił kraszankę. Zły na napuszonego pana był, bo ten go raz skrzyczał, że na miejskiej pływalni jego córkę, która już do gimnazjum chodziła, przez wypadnięty sęk w ścianie, jak się rozbierała podglądał. Ci, którzy widzieli co się stało, zataili oddechy. Jajko w samo denko melonika trafiło i źle ugotowane rozprysnęło się na ramiona czarnego zakietu. Hurmem ruszyli z wieży i ten i ów mało nóg na schodach nie połamał. Za późno już było. Zachrystian na dole stojący, drzwi między schodami wieży a kruchtą zdążył zatrzasać i zabezpieczyć skoblem. Za chwilę posterunkowy przybiegł i po jednym zaczął chłopaków wypuszczać, zapisując każdego nazwisko. Zygmunt bardzo ładnie się zachował, trzeba mu przyznać. Że to jego jajko burmistrza trafiło wyznał, tylko twierdził, że był to wypadek. Wyśliznęło mu się po prostu z ręki. Ojciec go w ucho w domu zajechał i na tym się skończyło. Ale w oczach wielu chłopców i dziewcząt, za bohatera zaczął uchodzić. Nawet u Marusi.

Gdy kilka dni po Wielkanocy siedzieli rozleniwieni słońcem na belkach przywiezionego do tartaku drzewa, Marusia jakoś dziwnie na Zygmunta spojrzała.

- Słyszałam, żeś ty burmistrza trafił. Ale strzelec z ciebie - powiedziała.

- A niby nie - Zygmunt pierś dumnie wypiął.

A gdy czas było na kolację do domów wracać, Maruśka się ociągała i Zygmunt z nią został, gdy inne dzieci już odeszły. Siedzieli we dwoje na belce i w zachodzącym słońcu twarze grzali. I wtedy Zygmunt ni z tego ni z owego głośno westchnął.

- Czego ty - dziewczyna zapytała.

- Pokazałaby ty mnie już Marusia. Za cycki już dała potrzymać, to czemu opierasz się.

- A co ty nie widział? Ot, przyczepił się, jak rzep do psiego ogona. Wstyd to.

- Zakochany ja - Zygmunt znowu westchnął.

Jakoś uważnie, powłóczyście wtedy na niego spojrzała. Zawahała się. Może nawet chciała, ale się przemogła. Wstydlivości dziewczynskiej nie mogła opanować. Wstała i obciągnęła kwiecistą spódnicę.

- Świnia z ciebie - powiedziała odchodząc. Rozzłościł się wtedy na nią. Czekoladkę jej kiedyś kupił, piórnik na Mikołaja, a ona taka niewdzięczna. I czym częściej Marusia mu odmawiała, tym bardziej on zobaczyć u niej chciał.

Nawet przebiegło mu przez głowę, czy nie umówić się z chłopakami by ją przytrzymali, jak na łące będą i niech wierzga i krzyczy, ale bał się, że rodzicom powie I ojciec go pasem nakroi. Nie ucieszyło go nawet, gdy Janek mu powiedział, że Zośka, córka aptekarza, za pięć groszy pokazuje, jak ktoś ciekaw. W czasie przerw, za szkolną ubikacją. Za darmo też, na zasadzie „ty mnie pokaż, to ja tobie pokażę”. Nawet Stefek Bałandziuk na którejs przerwie popatrzeć poszedł, a później wydanych pięciu groszy odżałować nie mógł i opowiadając o tym, pluł przez kilka dni z obrzydzenia.

## 8

Gdzieś po prawosławnej Wielkanocy nagle zmarła Marczukowa. Jeszcze przed świętami krzątała się po domu, ciasto piekła, jajka w skórce od cebuli na złoto barwiła, kielbasy przyrządzała, salceson i kaszanek, bo mąż świniaka zabił, a gdy po powrocie wozem z cerkwi do stołu zasiadła, wódkę nie gorzej od męża i synów kropiła. I z koszykiem prowiantu, kraszanek i wódki z rodziną następnego dnia na cmentarz poszła, by z zmarłymi czym chata bogata się podzielić, wspominać ich i pamięć zapisać. A na cmentarz za wsią z kilka kilometrów było i już ciemniało jak z niego wróciła. Dzwony cerkiewne od



dwu dni dzień i noc biły, z Zmartwychwstania Pańskiego się ciesząc i blisko cerkwi mieszkający spać nie mogli. Synowie Marczukowej dzwonić do cerkwi chodzili i wszyscy chłopcy na zmianę, tak prawosławni jak i katolicy. Uciecha to przecież była i jedyna w roku okazja.

A w kilka dni po świętach, gdy już rodzina ostatnie kołacze z miasą dojadła Marczukowa poczuła się źle i że ją dusi skarżyć się zaczęła. Wezwano babcię Janka i ta, że ma serce osłabione orzekła i jakimiś ziołami ją napoiła na wzmocnienie. Później zmartwionego Marczuka na stronę wzięła.

– Spracowana ta wasza żona – powiedziała. – Organizm całkowicie wyczerpany ma i nic ja już jej poradzić nie mogę. Na bóle jej tylko dam, by się nie męczyła, a wam radzę na najgorsze się przygotować.

Chora spokojnie po wypiciu ziółek leżała, bóle jej ustały i nawet rumieńców dostała. Do wieczora drzemała, drugą szklankę ziółek wypila i niemal z miejsca zasnęła. Z tego snu już się nie obudziła. Marczuk syna posłał zaraz do wioski by trumnę od stolarza przywiózł i krewnych zawiadomił. W godzinę, chłopak wrócił, a z nim kilka niewiast, które ciało do trumny przygotować miały i siedzieć przy nim aż do pogrzebu. Widząc, że trumnę syn. Marczuka wozem wiezie, sąsiedzi śmierci Marczukowej się domyślili.

W sobotę pogrzeb się odbył. Gdy od domu Marczuków głośnie opłakiwanie zmarłej dobiegło, hołosem po wioskach zwanym, wszyscy sąsiedzi przed bramy swoich domów wyszli by zmarłą uszanować. Od podwórza Marczuków zawodzące głosy córek było słyszeć. Matkę żegnały.

*Moja luba mamunesejku, na szczo wy mene teszyły,  
woźmit że mene z soboju, na maju ja tu szczo robyty...*

*Oj, joj, joj, joj – Maruśka z Jagodą załkały.*

*Wsi ptaszejki ozywajuc, a moja mama do zemli ide,*

*Nichto-ż tu ne znaje, jakaż to ja teper bidna serotojka została...*

*Oj, joj, joj, joj...*

Wozem trumnę wieziono do cerkwi i Marczuk końmi powoził. Przy nim pop siedział w czarną kapę ubrany, bo za daleko było, by przed trumną na piechotę mógł iść. Tylko Taras, starszy syn zmarłej z dużym krzyżem przed wozem szybko szedł by konie za bardzo nie zwalniały kroku. Potężny z niego osiłek był, o barach jak u zapaśnika i grubych łydkach, które ledwo w cholewach butów się mieściły. Ponuro zawsze patrzył, spode łba i twarz do pogrzebu pasującą miał,



która na co dzień razila a teraz była w sam raz. Na dalszych dwu wozach sąsiadów, wszystkie niewiasty jechały, za nimi mężczyźni nadążyć się starali. Niektórzy już wcześniej do cerkwi poszli i grupa dzieci się w niej zebrała. Raczej z ciekawości niż potrzeby.

Marczukowa leżała w otwartej trumnie, jakaś drobna, mała, skurczona jeszcze po śmierci się wydawała, gdy pop panachidę zaczął odprawiać. Bas gromki miał i echo jego głosu o wysoki sufit kołatało, gdy śpiewał. Szloch z zdwojoną siłą po cerkwi poszedł. Dzieci bliżej trumny się przysunęły, popatrzeć co się dzieje. Przy głowie zmarłej miska gotowanego ryżu stała, zaprawionego miodem i kolorowymi landrynkami ubrana. Na stypie mieli ją ludzie jeść. I Zygmunt zauważył, że mucha, która po nosie zmarłej chodziła, teraz na ten ryż się przesiadła, a zaraz później Marusię, której ramiona to w dół to w górę podskakiwały od płaczu. Pomyślał, że więcej pracy po śmierci matki będzie miała w domu i że może kąpać się do rzeki latem nie będzie mogła chodzić. Że to Marczukowa poczekać z tą swoją śmiercią do jesieni nie mogła, przez głowę mu przeleciało.

Sprawdziły się jego przewidywania. Dopiero na Zielone Świąta Marusię zobaczył, jak szli całą grupą na łąkę po tatarak, którym podłogi na święta się wyścielało. Brzózki w zagajniku za jeziorami wycięte już wtedy po obu stronach drzwi przed domami stały i gałązki kasztanów za obrazy i framugi okien w pokojach były wetknięte. Dołączyła do nich, bo kaczenie żółciły się już nad wodą i na grób matki zanieść je chciała. A było ich! Żółciły się wśród soczystej trawy ogromnymi kępami, jaskrawe i duże, obfitość różnorodnego kwiecia zapowiadając, które pokryje łąki latem. Już i niezabudki się też pokazały i wyglądały ciekawie z trawy, patrząc na modre jak i one niebo.

- Wrócisz do szkoły, bo chodzić przestałaś - Zygmunt zapytał.
- A bo ja wiem. Roboty na gospodarce dużo, a matki już nie ma.
- Wróć Maruśka, postaraj się - namawiał.

Wzruszyła ramionami. Zdoroślała jakoś, trochę obca mu się wydała po śmierci matki. Na szkołę i zabawy już czasu nie miała. Jej okres dzieciństwa się kończył i pod ciężarem obowiązków gwałtownie dorosłość musiała. Kury karmić trzeba było co ranka, krowy doić, na trzech chłopów nagotować, prać... Dopiero teraz brak matki odczuła bardziej niż na jej pogrzebie. I jeszcze żeby Jagoda za męża nie wyszła i dziecka nie miała, ale z tej niewielka korzyść w domu była. Kwękała od czasu porodu, dzieckiem się zajmowała a nie gospodarką. Gdy z naręczami kwiatów i tataraku do domów wracali, nawet roz-

mowa z nimi jej się nie kleiła. O czym tu rozmawiać miała? O dojeniu krów, gdy oni o powrocie do szkoły po świętach rozmawiali. Zygmunt co z Marusią się działo nie rozumiał, no, bo i skąd. Obcość Marusi na żal po śmierci matki składał. Z czasem dojdzie do siebie, myślał.

– Jeszcze miesiąc i kąpać się już będzie można. Woda pociepleje... Zawołam ciebie jak będziem szli – powiedział gdy do bramy zabudowań Marczuka doszli.

– Ja pewno czasu nie będę miała.

Dopiero po defiladzie na 3 Maja kąpać się wybrali. Słońce grzało i spocili się maszerując, więc nawet mundurów harcerskich nie zdjęli, tylko wprost nad rzekę poszli. Pierwszy Romek do rzeki nurka dał i zaraz z niej wyskoczył, bo woda tak zimna była, że z miejsca trząść nim zaczęło jak w febrze. Za wcześniej jeszcze na kąpiele, zdecydował. Do połowy maja przyjdzie się poczekać. Nawet Handzi z Nowomyśla nad rzeką nie było, a ona zawsze pierwsza kąpać się w niej zaczynała i jakoś lepiej od innych zimno znosiła. I chociaż kąpać się nie było jeszcze można, kupy dzieci i młodzieży po łąkach się włóczyło. Nawet gimnazjalistów. Dzień był wolny od szkoły i jakoś ni stąd ni zowąd, tradycją się stało, że w nim na pola, łąki i do lasu ludzie zaczynali wychodzić. Zapowiedzią wakacji się stał.

I po tym trzecim maju sensacja miasteczko obiegła, a w tym czasie już o grubej Kaście ludzie zapomnieli i jej dziecko sensacją być przestało. Prawnuczka powstańca z styczniowego powstania jej dostarczyła i ludzie żalowali, że to prawnuczce tak szanowanego człowieka się przydarzyło. Każdy w mieście go znał i kapelusza przed nim uchylał, gdy spotkał. W charakterystycznym granatowym mundurze zawsze chodził, w rogatywce i laską się podpierał. Na defiladach w dniu świąt narodowych przy staroście zawsze na trybunie stał, w otoczeniu najważniejszych w miasteczku dostojników: burmistrza, proboszcza, popa i rabina. W tym roku także. Salutował gdy mijały go sztandary maszerujące pod bęben orkiestry straży pożarnej. Związku Podoficerów Rezerwy, Ligi Morskiej i Kolonialnej, Czerwonego Krzyża, strzelców i proporce harcerek i harcerzy. Roch Wierzbicki się nazywał i jego imię bardzo chłopcom imponowało. Drugiego Rocha w miasteczku nie było, chociaż było kilku Jeremich po księciu Wiśniowieckim, przez miłośników Sienkiewicza nazwanych.

A prawnuczka powstańca mała była, korpulentna i piersista, chociaż dopiero powszechną szkołę ukończyła. Uczyć się nie bardzo chciała i do gimnazjum nie poszła. Stojąc na chodniku w czasie defi-

lady, wszystkich niedawnych kolegów ze szkoły zadziwiła, bo w kapelusik się ubrała, bukietem sztucznych prymulek ozdobiony, pewno nie donoszony przez matkę. Dorosłą udawała. A tak się stało, że pan aptekarz Łupaszko w tym dniu w towarzystwie małżonki na łąki spacerkiem się wybrał. Wzdłuż toru kolejowego droga biegła brzegiem łąki i wielu ludzi chodziło po niej latem, by odetchnąć świeżym powietrzem. Suchą nogą tędy można było przejść i od łąki trawą i kwiatami pachniało. Pan Łupaszko statecznym człowiekiem był, miał okazały brzuszeczek, na którym zawsze gruby łańcuch od zegarka się dyndał i nikt go nigdy bez melonika na ulicy nie widział. Powoli zawsze kroczył, z namaszczeniem, jak w polonezie. Jego małżonka też korpulentna była, też stateczna i powolna. Wszyscy mówili, że są dobraną parą. Gorszyła się też łatwo i byle czym, więc Janek twierdził, że gdyby dowiedziała się, że jej córka chłopakom w szkole za pięć groszy pokazuje co pod sukienką ma, to by ją pewno szlag trafił. A ich Zośka co na pokazywaniu zarobiła, zaraz na lody wydawała. Kto wie czy gdyby jej większe kieszonkowe dawali, to by może pokazywać nie musiała. Przeważnie rodziców winą jest, jak ich dzieci się zachowują.

Otóż pan Łupaszko w towarzystwie małżonki w ten dzień drogą wzdłuż łąki kroczył, gdy zobaczył w trawie głowę z niesforną blond czupryną, nieomylnie rozpoznaną, jako należącą do Mariana Grinbauma, który już do gimnazjum chodził. I może by spacerujący na tę głowę uwagi nie zwrócił, ale Grinbaum ojciec na drugim końcu miasteczka, niedaleko rynku aptekę prowadził i pan Łupaszko go nie lubił jako konkurenta. A co ty tam robisz łobuzie, zaciekał się i w trawę się zapuścił. Marian poderwał się i stał czerwony jak burak. A za nim poderwała się obciągając sukienkę prawnuczka pana Wierzbickiego. Co widział pan Łupaszko z miejsca księdzu opowiedział, który u niego na kolacjach bywał, a później klientom, gdy wpadali do jego apteki.

– Mam nadzieję – mówił – że pies z kulawą nogą do tego Grinbauma nie będzie zachodził, żeby tego rozpustnika Mariana nie miał za co kształcić w gimnazjum.

– Że to taki nawet chrześcijańskiej dziewczynie nie przepuści – gorszyła się pani Bobrowska, żona prezesa miejscowych endeków i wszystkie dewotki gorszyły się razem z nią.

I chrześcijańskiej dziewczynie się zdarza, że wolę Bożą poczuje – na przekór im stwierdzał pan Suchowolski, który endeków nie lubił i gdzie mógł Bobrowskiemu dokuczał.

- Zamiast Maruszkę namawiać, to ty powinien być koło Niuški Wierzbickiej się zakręcić – Janek, po wybuchnięciu tej sprawy, spóźnionej porady Zygmuntowi udzielił.

Zdenerwował się wtedy Zygmunt, ale rację koledze musiał w duchu przyznać.

## 9

Lato się rozpoczęło i ludzie coraz częściej o wojnie zaczęli mówić. Nikt w nią nie wierzył i nawet chłopcy, po krótkim okresie przestali marzyć o bohaterskich czynach. W lipcu niemal cała młodzież miasteczka na obozy harcerskie wyjechała. Do Światia. Niedaleko doń było, kilka chat wioski na zboczu wzgórz Pełczańskich rozrzuconych oknami na lasy patrzyło, opodal Mizocza i historycznego Dermania. Tu w klasztorze wybudowanym przez Bazylego Ostrogskiego zwanego Pięknym, Dymitr Samozwaniec niegdyś nauki pobierał. Okolice były piękne i na piaszczystych gruntach rosły wspaniałe lasy sosnowe. Niedaleko Ikwa leniwie płynęła, do której Słowacki niegdyś tęsknił. Nic tu by być szczęśliwym nie brakowało. Ogromne jezioro zachęcało do kąpieli, po drzewach uganiały się wiewiórki. Młodzież szybko o pogłoskach o wojnie zapomniiała. Nie zapomnieli o nich ich rodzice. Wiezorami przy furtce któregoś z domów się zbierali i toczyli długie dysputy, lub wiadomości wymieniali. Stary Karczuk wpadał niemal co niedzielę na obiad do Szwedziuków i do dysput sąsiedzkich się wtrącał, czasem Marczuk przystawał, a i Szeremeta, który w ubiegłym roku dwadzieścia hektarów od Hulanickich odkupił i najbogatszym gospodarzem we wiosce został. Syna miał, który w Równem do gimnazjum chodził i u swojej ciotki tam mieszkał, a do ojca tylko na święta i wakacje przyjeżdżał. Na ostatnim roku był i Szeremeta bał się, że gdyby wojna wybuchła to chłopaka do wojska zmobilizują.

- Nie ośmielał się Niemcy – pan Bałandziuk, który optymistycznie zawsze na wszystko patrzył, zapewniał. – Anglików i Francuzów też pewno się boją.

- Daj Boże, żeby pan rację miał. Wojna straszna rzecz – wzdychał Szeremeta. Kamień do niego wożono i miał nową oborę budować. Coraz lepiej mu się powodziło. I nawet politycznie się zaangażował. BBWR popierał i na Ukraińską Organizację Wojskową nieraz psioczył,



która najpierw z Pragi a później z Berlina kierowana była i stodoły oraz stogi po polskich majątkach paliła. Jako dobry gospodarz celu tej akcji nie pochwalał i zbyt blisko granicy polsko-sowieckiej mieszkał, by nie wiedzieć jaki jest tam los Ukraińców. Ludzie uciekali przecież, opowiadali o głodzie, biedzie, zamykaniu cerkwi i aresztowaniach.

– Jak wybuchnie, to chociaż stary jestem, zgłoszę się na ochotnika

– Karczuk zapewniał. – Znów bolszewickie głowy będę ciąć.

– Toż z Niemcami, mówią, że wojna ma być – wtrącił pan Karpiński.

– No, to niemieckie głowy – nie spieszył się Karczuk. Z Moskalami miał na pieńku, ale każdego siec był gotów.

Pan konduktor Raczek był zrezygnowanym i głosu w dyskusjach nie zabierał. Wszystko mu było jedno. Jak będzie musiał iść na wojnę to pójdzie, tym bardziej, że ze swą żoną nie był szczęśliwy. Sekutnicą baba była, językiem ciągle mięła i nigdy nie była z niego zadowolona. I w dodatku dzieci nie mieli, którymi zająć by się musiała i wtedy na pytlowanie językiem czasu by jej zabrakło. Nie znaczy to, że tylko z powodu żony pan Raczek gotów był na wojnę iść. Był też gorącym patriotą i obowiązek względem ojczyzny za najważniejszy uważał. Pochodził z rodziny, która tu od wieków siedziała, nieważnej i nic bardzo znanej, ale starej. Jego przodkowie zawsze z majątkami Lubomirskich byli związani, jako ekonomi w nich służyli i dopiero on kolejarem musiał zostać, gdy po rewolucji w Rosji majątki Lubomirskich się skurczyły. Dzieci też pragnął mieć, a szczególnie synów, którzy by nazwisko Raczków dla przyszłych pokoleń zachowali, bo ze swego nazwiska był bardzo dumny. Różni Raczkowie we wszystkich polskich wojnach udział brali, jeden nawet pod Maciejowicami podobno zginął, drugi w Legionach Dąbrowskiego służył, jakiegoś po powstaniu na Sybir zesłano i nawet w powstaniu zabajkalskim udział brał. Ale synów jakoś pan Bóg państwu Raczkom nie dawał, chociaż pan Raczek starał się jak mógł. Niepozorny był, drobny, trochę ruda-wy i wąsik nosił zadzierzyscie w górę zawsze czesany, ale o krwi gorącej i jurnej, aż dziw brał, skąd to się u niego tyle tej jurności w tak małym ciele kryło. Żadnego wieczoru pani Raczkowej nie przepuścił. Sąsiadkom na niego się skarżyła i te głowami kręciły z niedowierzaniem.

– Nie urósł, to pewno mu cały wzrost i siła w te miejsce poszły – pani Bałandziukowa orzekła.

Zdesperowany brakiem dzieci, pan Raczek raz babcią Janka Karpińskiego wezwał i o pomoc prosił.



- Dałaby nam pani jakichś ziółek - powiedział - bo staramy się i nic. Pan Bóg dzieci nie daje. Katarzyna w ciążę mi nie zachodzi i jak teraz nie zajdzie, to za parę lat będzie za stara.

Pani Alicja ziółek jakichś im dała i kazała wodną kurację zastosować.

- Wy panie Józefie w zimnej wodzie siadajcie co wieczora - poradziła - i jajca moczcie, a pani Katarzyna niech w gorącej balii siedzi. Później do łóżka idźcie.

Nic to nie pomogło. Pan Raczek zębami po nasiadówce szczekał i gdy żona tulić się do niego zaczynała, to było mu to obojętne. Wtedy do balii biegł i w ciepłej, po nasiadówce żony wodzie kucał, by się rozgrzać. Później znowu do łóżka włąził. Pewno ta ciepła woda neutralizowała korzyści z zimnej, bo Katarzyna wciąż w ciążę zajść nie mogła. Teraz gdy wojna się zbliżała, może to i dobrze było, że dzieci nie mieli. Nigdy nie wiadomo, co dzieć się będzie.

- Z samolotów bomby będą rzucać, wiemy co w Hiszpanii Niemcy wyrabiali, a my wojsko wozić będziemy - troszczył się pan Karpiński, przy którejś tam rozmowie z sąsiadami.

- Ano niebezpiecznie będzie, a widział to kto bezpieczną wojnę - zgadzał się Szwedziuk. - Co komu sądzone. Pod Berlin nasi się pewno zapędzą... Jak nie zabiją bomby, to człowiek świata kawał zobaczy, jak posiłki będzie podwozić.

- Z miesiąc człowieka pewno w domu nie będzie.

Te przypuszczalnie długie pobyty poza domem, gdyby wojna wybuchła, więcej od wojny teraz Karpińskiego martwiły. Lokatora do wolnego pokoiku przyjął i bał się żonę na dłuższy czas z nim pozostawić. Zazdrosny był o nią niemal chorobliwie. Gdy u kogoś bywali, zawsze po powrocie awanturę jej robił. To za długo na tego czy owego patrzyła, to na balu kolejarzy za wiele razy z tym i owym tańczyła, to za blisko do niego się przytulała... Zawsze jakaś przyczynę do zazdrości znalazł. Trzeba przyznać, że jego Wiera bardzo piękna była. Zgrabna, piersista, o cerze różowej jak u dziewczyny i kruczych włosach, które do pasa jej opadały. Takie same czarne brwi miała nad dużymi oczyma, zawsze szklącymi się jak w gorączce. Zakochana też była w mężu i wbrew rodzicom za niego wyszła. Gdzieś pod Kopytkowem jej rodzina dość duże gospodarstwo miała i gdy im powiedziała, że za kolejarza wyjść chce, a w dodatku Polaka i katolika, myśleli, że oszalała. Pogodzili się z tym po pewnym czasie, ale męża córki nie lubili. Szczęśliwym małżeństwem byli, tylko awantury często

w ich domu wybuchały z powodu zazdrości Karpińskiego. A dlaczego o lokatora zaczął być zazdrosnym, nikt dojść nie mógł. Przystojniejszym był przecież od niego. Wysoki, szczupły o blond włosach, które zawsze niesfornie na czoło mu opadały, o oczach uderzająco niebieskich, które i uważnie, i poważnie patrzeć potrafiły, ale przeważnie roześmiane były, bo pan Karpiński miał wesołe usposobienie. A jego lokator był niski, przysadzisty i małowówny, raczej brzydki, więc skąd ta zazdrość u Karpińskiego się wzięła, zrozumieć było trudno. Z Polesia gdzieś przyszedł i sztuki samodiału ze lnu sprzedawał. Zygmunt na ojca nalegał, by mu na spodnie kupił, bardzo wtedy modne i „tenisowymi” nazywane, ale ojciec już na jego gimnazjalny mundur się wykosztował i nie miał pieniędzy.

Gdyby pan Bałandziuk natomiast o żonę był zazdrosny, nikt by się nie dziwił. Bo niskim był, z pokaźnym brzuszkiem i łysy jak kolano, pomimo, że dopiero po czterdziestce. I oczy miał wylupiaście, które pod okularami jeszcze bardziej wylupiaście wyglądały. Wydawało się, że jest starszym niż był w rzeczywistości. A jego żona, pomimo, że mu już dwu synów dała, wyglądała jak dziewczyna. Postawna, ruchliwa i robota w rękach jej się paliła... I śpiewać lubiła. Za najnowszymi tangami przepadała i gdy bywała w miasteczku, to z pięciogroszowymi arkusikami z ostatnimi przebojami chóru Dana czy War-sa wracała, a później na całą okolicę ją było słyszeć, gdy pracując w ogródku śpiewała. Piękny głos miała. Bawić się też lubiła. Ciągała męża po znajomych na przyjęcia imieninowe i na wszystkie zabawy w Polskim Domu. Żadnego tańca nie przepuściła, chociaż z męża żaden tancerz był i szybko się męczył. Gdy nieraz ciężko sapiąc na krzesło opadł wdzięczny za chwilę odpoczynku, ona go już do polki ciągnęła. Jak nie mógł, to z tym, który jej pod rękę się nawinął, tańczyła. Najczęściej z komendantem straży pożarnej, który kawalerem był i tańczył jak baletmistrz, albo z Mieciem Goldbaumem. Ławnikiem miejskim był i zakład fryzjerski prowadził. Z elegancji był też znany i zawsze w lakierkach i jedwabnych skarpetkach na zabawy przychodził. Plotkarz i kobieciarz był z niego i podobno ktoś widział, że panią Bałandziukową pod schodami na balkon w szyję całował.

– Wojna nie wiadomo z czego, czasami wybucha – stary Marczuk raz powiedział. – Jak ma być, to będzie i my nic na to nie poradzimy... Boże pomyśl – później westchnął i przeżegnał się trzy razy.

Dwu synów już po wojsku miał i wiedział, że gdyby zaczęło się, to ich na pewno do wojska zmobilizują.

**I** zaczęła się wojna. Nie z Niemcami, ale pomiędzy panem Ziółkowskim i panem Raczkim. Właściwie to już wcześniej się zaczęła, jeszcze w czerwcu, w dzień Bożego Ciała, ale dopiero teraz doszło w niej do bitwy i rozlewu krwi. Od wielu lat bowiem pani Raczkowa kwiaty na ołtarz w dniu Bożego Ciała przynosiła, ten który przed domem pana Ziółkowskiego stał. O przywilej ustawienia ołtarzy przed ich domami, wszyscy mieszkańcy miasteczka od lat się ubiegali i awantury o to były, bo to honor wielki. U pana Ziółkowskiego ołtarz zawsze najładniejszy był, więc przywileju jego ustawiania ksiądz rok po roku mu nie odbierał i wielu żał o to do niego czuło. Więc i w tym roku uhonorowani właściciele domów ołtarze budowali, a ludzie na nie kwiaty zewsząd znosili, żeby broń Boże nic zabrakło. Pani Raczkowa tradycyjnie już do Ziółkowskich swoje odniosła i pomogła nimi ołtarz ustroić. Nawet dwa kryształowe wazon-y pożyczyla i ułożyła w nich czerwone mieczyki, które wybrała spośród kilkudziesięciu kwitnących w jej ogródku, bo były najbardziej udane. Później ustawiała wazon-y po obu stronach podwyższenia, na którym monstrancję ksiądz miał postawić, gdy tu przyjdzie z procesją. Zlustrowawszy uważnie swą pracę, zadowolona z efektu, do kościoła pobiegła.

Gdy przy biciu dzwonów i śpiewie chóru ruszyła procesja na miasto, pani Raczkowa w pobliżu baldachimu sic, znalazła, pod którym ksiądz podtrzymywany z jednej strony przez starostę, a z drugiej przez burmistrza, monstrancję niósł. Gdy doszli do ołtarza przed domem Ziółkowskich, panią Raczek mało szlag nie trafił. Ujrzała, że jej mieczyki w kryształowych wazonach u stóp ołtarza stoją, a na ołtarzu zaś bukiety nasturcji. Żeby róże, żeby lilie to Raczkowa by to może zniosła, ale ordynarnych nasturcji to nie. Już za procesją nie poszła, tylko poczekała aż ksiądz skończy modły i odejdzie, a wtedy do ołtarza przypadła. Zdjęła zeń wazoniki z nasturcjami i wraz z wodą wychlusnęła na ulicę, a swoje bukiety mieczyków postawiła na dawne miejsce. Widział to Ziółkowski, który jak raz wrócił po zanieśieniu do domu posrebrzanych świeczników, których jak oka w głowie pilnował. Chwycił jeden z wazonów i chlusnął na ulicę mieczykami. Pani Raczek starała się uratować drugi i zaczęła się szarpanina. W jej trakcie wazon upadł na chodnik i rozleciał się na drobne kawałki. Pani Raczkowa wpadła w szal. Podniosła miotłę mieczyków

i wysmagała nimi Ziółkowskiego po twarzy. Gromada ludzi już wtedy na ulicy przystanęła popatrzeć i rechotała od śmiechu.

W panu Raczkę zawrzało, gdy mu żona co się stało opowiedziała, ale dopiero w sierpniu Ziółkowskiego spotkał, gdy przez park miejski szedł. Tędy najkrótsza droga do felczera Porębskiego była, a pan Raczek cierpiał na nadkwasotę i czegoś poważniejszego się obawiał.

– Kiedy mi za kryształowy wazon zwrócisz? – zapytał, nie mówiąc nawet „dzień dobry”.

– Odczep się kucyperdo – zawrzało w Ziółkowskim i jak mógł najboleśniej Raczkę obraził.

W konduktorze lew się obudził. Trzasnęła niespodziewanie przeciwnika pięścią w nos i krew się z niego sączyć zaczęła. Ziółkowski ruszył ku niemu. Wysoki był, barczysty i Raczkę opuściła odwaga. Zaczął uciekać. Pędził na krótkich nóżkach między drzewami, a Ziółkowski za nim. Dzieci, które na trawniku w piłkę grały ruszyły za Ziółkowskim, dopingując go do pośpiechu. Wkrótce po całym mieście co widziały rozniosły. Epilog sprawy w październiku w sądzie grodzkim miał się rozegrać i całe miasto na rozprawę czekało.

Tymczasem wspaniały sierpień się złocił i na brąz opalone dzieci z obozów wróciły. Jeszcze kilka dni do końca wakacji pozostało i starały się każdy z nich wykorzystać. Całe dnie na łąkach i nad rzeką spędzały. Raz nawet Marusia od pracy się oderwała i Zygmunt się ucieszył, ale już wspólnego języka z towarzyszami dziecięcych zabaw znaleźć nie mogła. Gdy idąc ku rzece mijali rów obrośnięty wierzbami, Zygmunt nie wytrzymał. Chwycił dziewczynę za rękę.

– Schowajmy się – szepnął.

– A po co?

– To nie wiesz?

– Ot, durny – wzruszyła ramionami i poszła dalej.

I nie pomógł Zygmuntowi nawet jego nowy mundurek gimnazjalny. Tego wieczora po raz pierwszy go włożył i pod bramę gospodarki Marczuków poszedł. Nawet ukraińskiej piosenki dla Marusi się nauczył i jak zobaczył, że z rzeszotem w ręku ze stodoły wychodzi, zaśpiewał:

*Albo wozmu utoplu sia,  
albo wozmu zabiju sia,  
nechaj ludę toto znajut,  
szczzo z kochania umerajut...*

Maruśka bliżej podeszła, kurom ziarno z rzeszota sypiąc. Śmiała się, więc na podwórze wszedł i okręcił się przed nią na pięcie.



- Widziałas?
- Gimnazjalista teraz z ciebie.
- Przyjdź do sadu jak się ściemni. Przy dziurze w płocie będę czekał - teraz już pewny był, że ją oczarował.
- Ja nie na pokaz mam. Oj, dzieciuch z ciebie choć gimnazjalista - zaśmiała się i poszła do domu.

Zbliżały się wypadki, w czasie których nie było czasu myśleć o dziewczętach i zabawach. Zmienacka przyszły. Niespodziewanie. W słoneczny dzień, gdy łąki sianem i kwieciami pachniały i pszczoły między nim się uwijały. Dzieci na trawie nad rzeką leżały i patrzyły jak Handzia pluska się w wodzie. Jak zwykle wyjść się jej z niej nic chciało. Słońce prażyło i leniwa senność wszystkich ogarniała. Nic mogłoby to lato jeszcze kilka miesięcy potrwać? I wakacje? Ale wszyscy wiedzieli, że to ich ostatni wolny dzień, że za dzień, za dwa trzeba będzie iść do szkoły. Gdzieś w pobliżu bocian nagle się rozklekotał, jakaś dziewczyna rozśpiewała się na polu i daleko jej głos popłynął, niemal aż do lasu za Nowomylskiem. Im głów nawet nie chciało się podnieść.

I nagle ucichły wszystkie głosy, nawet brzęczenie pszczoł jak gdyby zmęczyły się i miód zbierać przestały. Cisza zapanowała taka, jaka przed nadchodzącą burzą czasami się zdarza. Tylko jakiś polny konik zdawało się na swych skrzypkach grać, uwziawszy się tę ciszę zakłócić. Za delikatnie jednak, by mu to się udać mogło. I w tej martwej ciszy to granie coraz głośniejsze jednak się wydawało, natarczywsze, niepokojące... Dzieci wtedy dopiero uświadomiły, że to nie polny konik gra. Odwróciły się na plecy. Na niebieskim, czystym niebie zobaczyły samolot. Gdzieś wysoko, wysoko leciał. Wielkości komara się wydawał, tylko, że głośniejsze od komara bzyczał. Zaczął zataczać koła, obniżać się... Długo to trwało, dużo czasu zajęło, jak gdyby lotnik nim lecący nie bardzo się spieszył. Bzyczenie miało czas w głośny warkot motoru się zamienić. Tak głośny, że kaczki na jeziorze spłoszyły, które nagle niespodziewany rejwach podniosły.

Jak na komendę dzieci przysłoniły rękoma oczy. Nawet Handzia na wznak się obróciła, ale chłopcy nic zainteresowali się jej gołym brzuchem. Samolot znalazł się już nad ich głowami. Romek oczom nie wierzył. Na skrzydłach samolotu widoczne były czarne krzyże.

- Niemcy! Pewno wojna wybuchła - podnieconym głosem powiedział Zygmunt.



**R**ozpoczęła się nauka w szkołach. Ale jaka ta nauka mogła być, gdy na stacji kolejowej zatrzymywały się pociągi z wojskiem i tłum na peronach zawsze stał witając je i żegnając. Gdy panie kuchnie polowe obsługiwały i wydawały żołnierzom herbatę i pieczywo. Gdy panny z opaskami Czerwonego Krzyża na rękawach rozdawały papierosy i czekoladę. Gdy tyle się działo i ochotniczki pracujące na stacji, parzące herbatę i roznoszące wzdłuż pociągów tace z bułkami, niczyjej pomocy nie odmawiały i nie pytały im pomagających, czy ty może nie powinienes być w szkole. Chłopcy mundurki harcerskie przywdziali, chociaż Zygmunt i Romek powinni byli włożyć gimnazjalne z numerem szkoły na tarczach rękawów. Jakoś każdy potrzebę przywdziania mundurku czuł gdy wojna wybuchła, który świadomość gotowości i że się w niej udział bierze dawał. Nikt nie chciał być w sytuacji, że gdy nasze wojska dojdą do Berlina, on nic będzie mógł powiedzieć, iż do zwycięstwa przynajmniej w małym stopniu sienie przyczynił.

Coraz częściej chłopcy ze szkół znikali. Harcerki też na peronach się pokazały i bardziej przystępne się jakoś zrobiły. Nawet te z gimnazjum, trochę starsze. Jak się nad stołami z bułkami pochylały odstawiały im na guziki zapięte z przodu mundurki i chłopcy szturchali się wtedy porozumiewawczo łokciami w boki. Młodzież pomagała paniom z różnych komitetów, pracującym na stacji. Roznosiła po wagonach herbatę, bułki i owoce, które ktoś pod stację furami podwoził. „Za tydzień w Berlinie” krzyczała za odjeżdżającymi pociągami.

Pan Szwedziuk jakiś pociąg gdzieś powiózł i tydzień go już nie było. Pani Maria martwić się zaczęła o niego i kilka świec przed obrazem Matki Boskiej w kościele zapaliła. A wtedy o bombardowaniu dróg i ostrzeliwaniu pociągów pogłoski zaczęły się rozchodzić i panią Marię jeszcze większy niepokój o męża zaczął gnębić. Któregoś dnia gruchnęło, że Niemcy już są pod Warszawą. Jak to? Nikt zrozumieć tego nie mógł. Pan Raczek twierdził, że to niemiecka propaganda, że dywersanci wiadomości te rozprzestrzeniają. Zaczęto wszędzie dywersantów węszyć i poszukiwać. Niejednemu niewinnemu, który radiowe wiadomości powtarzał wtedy się dostało, bo ludzie na nich z pięściami się rzucali. Wreszcie nie można ich było już ignorować. Wojsko z zachodniej Polski zamiast na froncie być, nagle na Wołyniu się znalazło. Niektórzy z wypytywanych żołnierzy pomimo, że gdzieś

na Śląsku ich zmobilizowano, jeszcze bitwy nie widzieli i przerwano ich z miejsca na miejsce. Wreszcie pociągi z uchodźcami zaczęły na dworzec przybywać. Furami po domach miasteczka zaczęto ich rozwozić lub chwilowo w budynkach szkół, teatru i kin rozmieszczać. Rodziny, które większe mieszkania miały, zabierały ich stamtąd w gościnę.

Tych o dywersje już posadzić nie było można. Zbyt wielu ich było. O bombardowaniach zaczęli opowiadać, o ostrzeliwaniu dróg, o trupach w przydrożnych rowach. A gdzie są sojusznicy. Co robi Anglia i Francja? Tysiące ludzi na placu rynkowym pewnego dnia się zebrało. Dziesiątki biało-czerwonych flag łopotało ponad tłumem. Na trybunie wszystkie najważniejsze w mieście osoby stały, gdy burmistrz przemawiał. „Sojusznicy – wołał wielkim głosem – „Czas decyzji nadszedł. Żądamy Francjo obiecaney w traktatach ofensywy! Anglio, gdzie jest twoje lotnictwo? Czas rozpocząć bombardowanie Berlina”. Żądamy ofensywy! Żądamy bombardowań! – tłum skandował. Żądamy. Żądamy...

Pani Maria płakała w tłumie stojąc. Kryśka trzymała się spódnicy matki i ryczała na cały głos, nikim się nie krępując. Ojciec nie wrócił jeszcze, a pan Raczek powrócił skądś z wagonami podziurawionymi kulami. Miał szczęście, ale to uświadomiło ich o niebezpieczeństwach panu Szwedziukowi grożących. A zaraz po demonstracji pociągi z wojskiem znów na dworcu się pokazały, na Lwów jadąc. Dawny entuzjazm w serca ludzi wstąpił. Warszawa się broniła, Niemcy na przedmieściach Lwowa zostali zatrzymani. Żołnierze zapewniali, że ruszy kontrofensywa. Że popędzą Niemców, że zatrzymają się dopiero w Berlinie. Kto mógł piekło bułki dla żołnierzy i wciąż napływających uchodźców. Ludzie żywność na stację znosili, panie z Czerwonego Krzyża pracowały z poświęceniem, upadały z nóg. Młodzież znikła z domów na całe dni i wracała do nich by tylko przenocować. Pomagała przy parzeniu herbaty, przy roznoszeniu tac z bułkami, służyła za przewodników do wyznaczonych mieszkań uchodźcom.

Połowa września już była, gdy wrócił pan Tomasz Szwedziuk. Schudł, zmizerniał, oczy mu się zapadły. Nic nie chciał opowiadać o tym, gdzie był i co widział. Najadł się i poszedł spać. Niemal dobę spał, a gdy wstał i zjadł śniadanie, zaczął pakować swoją torbę, którą zawsze ze sobą w podróż zabierał.

– Co ty robisz – nie wytrzymała pani Maria.

- Do pracy muszę się zameldować.
- Co ty? Dopiero wróciłeś i odpoczynek ci się należy.
- Wojna jest Marysiu. Po wojnie odpoczywać będę.

I poszedł. Romka duma ogarnęła, tylko, że za kilka godzin ojciec powrócił. Niepotrzebny był, bo lokomotywy dla niego nie było. Dopiero wtedy opowiedział, że pod Warszawą jeździł. Wojsko wioził, ale do samej stolicy nie dotarł. Samoloty niemieckie tory bombardowały i z karabinów maszynowych ostrzeliwały. Zerwane szyny reperowano i w polu stać musiał. Gdy nadlatywali Niemcy po rowach wszyscy się kryli. Trupy w rowach pozostawały. Na drogach tysiące uchodźców widział. Kolumny samochodów i wozów kilometrami się ciągnących. Te także samoloty ostrzeliwały i tłum w panice po polach się rozpierzchał. Barbarzyńcy! – unosił się i pięści zaciskał. Kto to widział, żeby cywilów mordować? Co to za wojna taka? Pod Kijowem w 1920 roku byłem i czegoś podobnego nie widziałem.

- Żeby ich pan Bóg skarał – pani Maria oczy ku niebu wzniosła.

- Pan Bóg, Marysiu, po stronic silniejszych zawsze staje – z goryczą w głosie szepnął, aby dzieci tego co mówił nie słyszały. Ale Romek usłyszał i w rozterkę wpadł. Zawsze ojcu wierzył i teraz chciał, tylko przeciwne to co powiedział było temu, co mu przez całe życie matka i ksiądz wpajali. A jak ojciec ma rację, niepokoiło go, to należało dojść do wniosku, że modlitwy nie mają żadnego sensu, jak się słabszym jest. Gdy kładł się tego wieczora do łóżka, jak zwykle jednak pacierz odmówił. Tylko, że automatycznie jakoś, z nawyku już, nie z potrzeby i z wiary w skuteczność modlitwy. Od wybuchu wojny o zwycięstwo się modlił i jego wiara na ogromną próbę została wystawiona.

Następny dzień wstał piękny i słoneczny. Chłopcy nad rzekę postanowili z rana pójść, zanim na dworzec się znów wybiorą. Dużo ludzi w tym czasie miasteczko za dnia opuszczało i spędzało czas na łąkach, w lasach lub na polach. Pogoda wspaniała była i tak pięknego września od lat nie pamiętano. I ktoś kaczkę puścił, że Niemcy cementownię będą bombardować, więc bezpieczniej było w mieście wokół niej rozrzuconym nie być. Dziewczynki z ulicy Granicznej z decyzji chłopców się ucieszyły, bo znikali w tym czasie na całe dnie, a one nudziły się pozostając same. W ich szkole uchodźców umieszczono, więc nawet do szkoły chodzić nie musiały i w jakimś kącie bawiły się lalkami. Woda w Ujściu wciąż jeszcze ciepła była, a po kąpiel

słońce w mig ciała suszyło i grzało jak w lecie. Rozleniwiało, nużyło, do drzemki zachęcało. Nawet ruszyć się nikomu z trawy nie chciało, uganiać się czy bawić w chowanego, do czego Baśka Karpińska zachęcała. Wreszcie z Kryską, siostrą Romka kwiaty poszły zbierać, z których wianki zamierzały pleść. Chłopcy spokój mieli, umęczeni trochę byli. Dwa tygodnie uczciwie na dworcu kolejowym pomagali paniom i teraz odczuwać to zaczęli.

– Romek, a co będzie jakby tu Niemcy przyszli – Janek nagle zapytał.

– Nie przyjdą.

– Ale gdyby...

– Nie przyjdą, nie bój ty się, – Zygmunt się wtrącił. – Sojuszników silnych mamy. Lada dzień w Berlinie będą. My z tej strony, oni z tamtej.

Z ufnością jakoś znowu w przyszłość patrzeć zaczęli. Oczywiście, że niemożliwym to było by Niemcy tu przyszli, aż na Wołyń. Skąd takie głupie podejrzenie Jankowi do głowy mogło przyjść. I to nasze wojsko, takie przecież wspaniałe, takie ukochane, kwiatami w czasie manewrów obsypywane. Nie z jakiegoś nakazu, ale z poczucia dumy, z potrzeby serca przecież, nie da się Niemcom pobić. Zaczęli się nawet martwić, że wojna się skończy i oni za młodzi są, by w niej udział wziąć. Ta, która w 1914 roku wybuchła, to przynajmniej wiele lat się toczyła.

– Jakby za wcześniej ta wojna się nie zaczęła i nas do wojska wzięli, to Marusia by mnie się nie oparła, jakbym w mundurze wrócił – Zygmunt westchnął.

– W każdej książce jest, że dziewczęta chłopców w mundurach kochają. Szczególnie ułanów – Romek przytaknął.

– No to co? – Janek głupio zapytał.

Zygmunt się roześmiał, jakby Janek coś wesołego powiedział. Później spojrzął na niego, ze zdziwieniem, że ten coś podobnego powiedzieć mógł.

– I co, pytasz. I co? Durny ty? Nie musiałbym jej namawiać. Sama by prosiła się żeby za krzaki iść, jak Jagoda z swoim Iwanem w proso – wybuchnął.

– Ale Iwan potrafił i wiedział co robić – Janek nie był w zgodnym nastroju.

– Nic trudnego.



Dziewczęta wróciły z naręczami kwiatów i na obiad czas było wracać. Świerszcze grały w trawie i pachniało sianem. Szczeń skoszonych trawy w podeszwy bosych nóg kłuła. Kilku chłopów nie bardzo się śpiesząc, przewracało grabiami siano. Przystanęli na chwilę, gdy dzieci ich mijały i przeciągnęli się by rozprostować plecy.

– Boh pomahaj – Zygmunt czapki uchylił.

– Diakujem.

Słońce nad głowami stało, gdy przechodzili przez tory kolejowe i rumianek na nich obficie rosnący pachniał tak, że aż w nosie wierciło. Na bóle żołądka dobry, przypomniawszy Janek co mu babcia mówiła. Zatrzymali się przy furtce domu Romka i umówili się, że po obiedzie pójdą pomagać paniom na dworzec kolejowy. Nagle Janek wskazał ręką na wzgórze, na którym proso Marczuka latem rosło.

– Ułani jadą! – krzyknął.

Po wzgórzu, ku drodze jechało trzech jeźdźców. Lanc w rękę nie trzymali, tylko uzbrojeni byli w przerzucone przez plecy karabiny. I nie w zielone płaszcze byli ubrani, ale szare. Marne, małe koniki powoli człapały, nie śpiesząc się, i z zwieszonymi smutno łbami. Romkowi rysunki Orłowskiego się przypomniały, które nauczyciel w jakiejś książce kiedyś pokazywał. Takie same małe koniki przedstawiały i kozaków, czy jakichś Mongołów na nich jadących. Zbliżający się żołnierze rozglądali się podejrzliwie na boki. Dosyć blisko już byli i Romek zdołał rozpoznać czerwone gwiazdy na ich spiczastych czapkach.

– Bolszewicy – uświadomił sobie i ruszył pośpiesznie do domu.

Wpadł do mieszkania z takim pośpiechem, jak gdyby go gonili. Nawet nie przywitał się z panem Karczukiem, który w odwiedziny przyszedł. Za stary już był i do wojska nie chciano go przyjąć. Bolał nad tym bardzo. Romek chciał jak najszybciej podzielić się z matką radosną nowiną.

– Bolszewiki nam na pomoc idą – krzyknął – Już ich patrol wjeżdża na naszą ulicę.

Pan Karczuk zerwał się z krzesła z niespotykanym u niego pośpiechem. Dopadł okna i uchylił firankę. Widocznie jeźdźców zobaczył, bo zbladł i musiał o parapet ręką się oprzeć. Później przeżegnał się szeroko trzema palcami i dużą pięścią w piersi mocno się uderzył.

– Boże pomyłuj – szepnął. – Boże pomyłuj.

Romek nie mógł pojąć jego reakcji, na widok rosyjskich żołnierzy, ani też dlaczego matka nagle płakać zaczęła.



**N**a ulicy przed Domem Polskim, naprzeciwko przejazdu kolejowego, za którym droga na wschód, do Nowomyślska się ciągnęła, zebrał się duży tłum ciekawskich. Na obszernym trawniku kilku żołnierzy sowieckich paliło papierosy, a ich chude koniki starały się skubać krótką, nie tak dawno skoszoną trawę. Grupa polskich żołnierzy siedziała opodal na ziemi, pilnowana przez kilku bojców z długimi bagnetami na karabinach. Tłum mieszkańców miasteczka już zrozumiał, że nie na pomoc Polsce bolszewicy szli, ale Hitlerowi. Wielu widziało leż, jak rozbierali tych kilku żołnierzy, których teraz pilnowali. Ktoś szeptem opowiadał o strzelaninie przy stacji kolejowej i trupach leżących na torach. Sowieccy bojcy patrzyli na zebranych ludzi podejrzliwie, nieufnie, spode łba i czekali widocznie na nadejście liczniejszych oddziałów. Tłum też patrzył na nich wrogo i ponuro. Kilka niewiast płakało całkiem z tym się nie kryjąc. Rozpacz silniejsza była od strachu przed reakcją bojców.

Od miasta ukazała się mała grupka ludzi. Śpieszyli się. Jeden powiewał flagą z której oddarł już biały pas, który mieścił się nad czerwonym. Stanęli zasapani na bruku, tuż przed tłumem stojących na chodniku. Najeżdżąc witać przybyli. Tłum zamruczał złowrogo. Była to biedota na Kupieckiej za rynkiem mieszkająca. Pan Bobrowski głośnym szeptem powiedział aby go najbliżej stojący mogli usłyszeć: „Sami Żydzi. Miał rację Dmowski jak ich obcokrajowcami określał”. Doktora Rozenkaca, który przypadkowo w tłumie się znalazł, po drodze do szpitala, też widok ziomek z czerwoną flagą zdenerwował i z endekiem Bobrowskim pierwszy raz chyba w życiu się zgodził. „Litwaki to, nie nasi, panie Bobrowski. Szmoncesy i hołota”. Chłopców z Granicznej mało szlag nie trafił. Zobaczyli przy fładze stojącego obok ojca Mośka. „I po co ja go chrzcilem i przed piekłem chciałem ochronić” – pomyślał Zygmunt. Jeszcze bardziej go zabolalo, że ojciec Mośka bochenek chleba na talerzu trzymał i czekał, by tym chlebem ruskich przywitać, tak, jak tu rodzinę czy bliskich tylko się wita. Najbardziej jednak obecność w tej grupie aptekarza Grinbauma wszystkich zadziwiła. Aptekę dobrze prosperującą prowadził, dom ładny miał, żonę w futra stroił... Żle mu się nie powodziło.

Na przejeździe pierwszy czołg się pokazał. Za nim drugi... trzeci... Cała kolumna ich jechała. Warczały motory, czarnym dymem pluły

jak jakieś legendarne smoki. Tłum zafalował, ludzie wyciągnęli szyje. Żydzi z flagą ruszyli do przodu i pierwszy czołg musiał się zatrzymać. Ojciec Moška ucałował go i podał bochenek wychylonemu z wieżyczki czołgiście. Młody lewtenant przełamał go na cztery części, trzy podał siedzącym w czołgu towarzyszom, a czwartą zaczął z apetytem zjadać. Głodny był widocznie, bo szarpał duże kęsy zębami i połykał je nie żując. Ten z flaga krzyknął „Niech żyją” i zawtórowało mu jeszcze kilka głosów. Krótkie to było powitanie, bo lewtenant machnął ręką i kazał witającym usunąć się z drogi. Czołgi ruszyły w głąb miasta.

W parę minut później, za czołgami ukazała się kolumna wojska. O bruk uderzyły buty o brezentowych cholewach. Nie w nogę szli i bezładnym węzłem, którego koniec gdzieś za domami po drugiej stronie przejazdu ginął. Długie bagnety na karabinach błyszczwały w słońcu i chwiały się nad spiczastymi czapkami żołnierzy, to w lewo, to w prawo. Nogi maszerujących plątały się w długich płaszczach i zmęczenie było widoczne na tępych twarzach muzyków zabranych z dalekich kołchozów. Jadący na koniu przed kolumną oficer zobaczył stojący przed teatrem tłum i odwrócił głowę. „Zapajom rebiata” – krzyknął przez ramię. Idący w pierwszym rzędzie żołnierz posłusznie rozpiął wiszącą mu na piersiach harmonię i rozciągnął ją na długość ręki.

*Hej, taczanka rostawczanka,*

*nasza gordość i krasa – ryknęli bez entuzjazmu żołnierze.*

Wśród tłumu stał z ponurą miną powstaniec Wierzbicki. Z karpawych oczu łzy mu płynęły i skrzyżowane na lasce ręce się trzęsły. Ożywił go nagle ryk kilkuset gardzieli, bo podniósł kij w górę. „Ludzie!” – krzycze zaczął – „Bezbożna Azja nas zalewą Do broni!”. Z tą podniesioną laską ku maszerującym bojcom zaczął się rwać, ale kilku ludzi chwyciło go pod pachy i odciągnęło za róg gdzie skrył ich wysoki płot. Czas najwyższy to był, bo jeden ze stojących na trawniku oficerów sowieckich zobaczył starca jak ten laską wygrażał, roztarł butem wyrzuconego papierosa i rozpinając kaburę rewolweru zaczął przepychać się przez tłum. Przybyły oddział już zatrzymywał się przed teatrem i na komendę rozsypał się po trawniku. Zmęczeni żołnierze walili się na trawę, kręcili papierosy, siadali pod ścianami budynku i nie krępując się spuszczaali spodnie. Do grupy jeńców siedzących na trawie, dwu bojców doprowadziło złapanego gdzieś polskiego oficera. „Ordieronosiec”, przebiegło wśród odpoczywających boj-

ców. I wtedy podbiegł do niego Mosiek. Zerwał mu z piersi Krzyż Walecznych.

- Skończyły się wasze czasy - krzyknął.

- Maładec - pochwalił go któryś z bojców.

- Zęby mu skuje - powiedziała do kolegów Zygmunta i ruszył do domu. Za gardło go ścisnęło i bał się, że się rozpłacze. Nie chciał by koledzy jak płacze go widzieli. I jak przypuszczał, awantura go w domu czekała.

- Gdzie ty się włóczysz? Niebezpiecznie jest i lepiej w domu siedzieć. I tak dosyć zmartwień mamy, by jeszcze o ciebie się martwić - matka na niego napadła.

Siedzący przy stole w kuchni ojciec wkładał do blaszanego pudełka zdobyte gdzieś pod Kijowem medale, a później poszedł zakopać je w ogrodzie. W sam czas skończył, bo za chwilę na podwórze przyszło kilku żołnierzy sowieckich. Poinformowali panią Marię, która dobrze po rosyjsku mówiła, bo w Smoleńsku do gimnazjum przed rewolucją chodziła, że wartownika przy studni pozostawia, z której będzie korzystać wojsko skoszarowane w wagonach stojących na torze za tartakiem. Zostawili żołnierza który przy płocie stanął i zaczął kręcić papierosa. Inni na podwórze Karpińskich przeszli, a później do Bałandziuków. Przy wszystkich studniach na Granicznej wartowników pozostawiali Romek z Kryską wyszli popatrzeć. Wartownik kiwnął na nich ręką by podeszli i rozmowę usiłował nawiązać, ale nie bardzo go rozumieli. Tyle tylko, że wojsko boi się by polscy panowie wody nie zatruli, stąd te warty przy studniach. A później gdy pani Maria do komórki po coś wyszła, żołnierz na cynowe dachy domów wskazał i westchnął.

- Ot, durne te Polaki - powiedział. - Tyle blachy zmarnowali, a z niej wiadra przecież można było zrobić.

- Wiader u nich pewno nie ma - stwierdziła pani Maria powtarzając mężowi to, co powiedział bojec.

I ten żołnierz stał przy studni też następnego dnia jakby o nim zapomniano, Nikt go nie zmieniał i nikt jedzenia mu nie przynosił. Pani Marii żał go się zrobiło. Kłopotu nie sprawiał. Stał godzinami o płot przy studni oparty, lub przysiadł na klocek do rąbania drzewa i tępo patrzył przed siebie. Typowy chłop z jakiejś zabitej wioski, który poza rodzinną wioską nigdy nigdzie nie był. Teraz pewno gdzie jest i co się wokół niego dzieje nie bardzo rozumiał. Talerz zupy i pajdę chleba mu wyniosła, a gdy talerz i łyżkę odnosił, to czapkę zdjął i stanął na progu mnąc ją w rękę,

– Jak chłop pańszczyźniany przed dziedzicem – zgryźliwie określił to pan Tomasz.

Znowu z dziećmi rozmowę starał się nawiązać. Nudził się pewno, co nie dziwne.

– A twój ojciec kto – pytał.

– Kolejarz, maszynista – powiedziała Kryśka.

– Maszynist znaczytsa – zrozumiał, a później głową pokręcił. – Taka młoda a już wrac nauczylaś – nie wierzył jej.

– Jej Bogu – Romek się wtrącił, Witek zawsze tak przysięgał i w Rosji tego się nauczył, zanim do Polski uciekł, przypomniał.

– Nie może być – wciąż nie wierzył. – Pamieszczyk i burżuj pewno. Nawet u nas, w Sowieckim Sojuszu, maszynisty takich domów nie mają.

Panią Marię, która tym rozmowom przez otwarte okno kuchni się przysłuchiwała, pewno by one ubawiły, gdyby o męża się nie martwiła. Z Raczkim i Karpińskim do parowozowni się z rana wybrał. Chcieli dowiedzieć się kiedy i czy w ogóle do pracy mają się zgłosić. Życie przecież z czegoś będzie trzeba i rodziny utrzymać. Prawie dwa tygodnie okupacji jednak upłynęło, zanim pierwsze pociągi ruszyły.

## 13

**T**ego dnia przyszedł w odwiedziny pułkownik Karczuk. Zatrzymał się na chwilę przy furtce gdy bojca przy studni zobaczył, zawahał się, wreszcie wszedł na podwórze. Żołnierz na niego nawet uwagi nie zwrócił, bo Karczuk obszedł szeroko studnię zanim do domu wszedł.

– Co za czasy – westchnął, zagajając rozmowę. – Że to człowiek ich dożyć musiał.

Później nowinami się podzielił. Aresztowania w mieście się już rozpoczęły. Starostę aresztowano, burmistrza, kilku policjantów, którzy ukryć się nie zdążyli. Tych, którzy w wojsku kiedyś służyli, już zaczęli brać. Tu pan Karczuk głos do szeptu zniżył, ale przedtem na Romka uważnie popatrzył, jakby chciał sprawdzić czy przy nim o takich sprawach mówić można.

– Pewno i mnie aresztują. Dwudziestego roku nie wybaczą, więc uciekać postanowiłem.

– Co pan? A dom, a meble – nie wytrzymała pani Maria.



– Niech wszystko szlag za przeproszeniem trafi. Życie miłsze, a ja tej bolszewickiej swołoczy nic wierzę. Na Lwów ruszam, a później dalej, na zachód.

– Co pan tam będzie robił?

– Może przydam się jeszcze. Warszawa się broni, Hel... Partyzantka jakaś będzie. A bo ja wiem? Pewien jestem tylko, że jak tu zostanę, to mnie rozwalą. Czas nagli.

Serdecznie z nim Szwedziukowie się pożegnali. Tyle lat go znali, tyle lat się przyjaźnili. Czy zobaczą go jeszcze kiedyś? Kryska rozpląkała się jak głupia i uspokoić się nie mogła. Wzruszyła Karczuka. Po jego wyjściu Romek wywołał Janka i Zygmunta i poszli razem na plac tartaczny. Na niedalekich torach kręcili się przy otwartych wagonach ciężarowych sowieccy żołnierze, ale między sztaplami nie popiłowanego na deski drzewa, nikogo nie było. Usiedli na jednym i Romek rozmowę zagał.

– Organizować się do walki z najeźdźcą nam trzeba – powiedział. – Chłopaków z miasta wciągniemy. Dużo nas jest.

– Załączek organizacji we trójkę założymy. Przysięgę napisać trzeba – zapalił się Zygmunt.

– I nikomu, ani mru, mru – zgodził się Janek. – A jak ktoś zdradzi to śmierć.

Zygmunt pudełko papierosów wyciągnął i zaczął częstować. Nie palił i pierwszy raz go z papierosami zobaczyli.

– Sowieckie śmierzdziele – poinformował. – Z bojcem za koperty wymieniałem. Tym, który przy naszej studni stoi.

Krztusili się, starali się nosem dym puszczać i radzili. Te pierwsze w życiu papierosy i palenie ich, nabierało charakteru rytualnego obряду. Podniecenie jakieś dziwne ich ogarniało i niepokój. Gdyby ktoś ich zapytał dlaczego, wytłumaczyć by tego nie potrafili. Może jeszcze nie sprecyzowane przeczucia strasznych dni, które miały nastąpić, mieli. Może podświadomie zdali sobie sprawę, że brzemienna w następstwa zmiana w ich życiu nastąpiła. Że skończyło się ich beztroskie dzieciństwo. Że czekają ich obowiązki i sprawy, do których nie są przygotowani i o których jeszcze nie mieli wyobrażenia. Paląc papierosy dorosłymi zaczęli się czuć, a ich dym stawał się pożegnalnym kadzidłem dla ich dzieciństwa i powitaniem dojrzałości. Ustalili wreszcie, że na początek wszyscy załączą malować orły z napisem „Jeszcze Polska nie zginęła”, które później rozkleją po mieście.

– Trzeba naród na duchu podtrzymać – poważnie stwierdził Zygmunt.

Na strychu, w domu Romka, do rysowania się wzięli. Wszystkie czyste kartki z zeszlórocznych zeszytów zarysowali planując by wyjść na miasto o zmroku i rozwiesić je na płotach. Pani Maria zachodziła w głowę co oni tam robią, ale cieszyła się w duchu, że się gdzieś nie włóczą, bo wciąż było niebezpiecznie. To tu to tam pojedyncze strzały było słychać ubiegłej nocy na ulicach i ludzie po domach woleli siedzieć. Tylko dziewczęta to siedzenie chłopców na strychu denerwowało, bo ani bawić się z nimi nie chcieli, ani wpuścić na strych, by mogły zobaczyć co robią. Gdy skończyli, ulotnili się i nikomu nie powiedzieli gdzie idą.

Zmarnowany dzień to był. Deszcz zaczął nagle mżyć, a później rozpadał się na dobre i z takim mozołem malowane akwarelą orły zaczęły spływać po papierze. Ale kilku kolegów ze szkoły spotkali i zmuszeni zostali w drzwiach kościoła największą „lewę z nimi przeczekać.

- Grubą Kaškę aresztowali - poinformował ich Kazik, który obok jej matki na Widłach mieszkał.

- Za co? - zdziwiło ich to.

- Za współpracę z polską policją.

Pan adwokat Zabiełto, który złośliwy był i z humoru znany, to wymyślił i całe miasto ubawił. Od tej „współpracy” Kaška co wiosny małych policjantów przecież rodziła.

- W celi pod budynkiem policji siedzi. Okienka nad chodnikiem są i zajrzeć można jak chcecie - informował Józek który naprzeciwko budynku policji mieszkał, w domu, w którym jego ojciec zakład szewski prowadził. - Tam teraz Ruskie policjanty są, wprowadzili. Enkawudziści podobno się nazywają i czerwone otoki na czapkach noszą... I naszych ludzi w podziemiach zamykają. Od nas z okna wiedzieć można, jak aresztowanych prowadzą.

Deszcz przestawał padać, niebo się przetarło i jaśniej się zrobiło. Z kasztanów tylko duże krople wody jeszcze opadały i pluskały o powierzchnię kałuż.

- Pójdziemy, kto siedzi zaglądnać - zaproponował Zygmunt.

Ruszyli w kierunku budynku policyjnego. Dość długi był, jedno-piętrowy, podpiwniczony i w tych piwnicach cele aresztu się mieściły. Jak ktoś szarwarku kiedyś nie zapłacił, to tu dwa, trzy dni odsiadywał. Rząd okratowanych okien cel tuż nad chodnikiem się mieścił i kiedyś kucające przy nich rodziny, rozmowy z odsiadującymi szarwark uciwały lub podawały im papierosy i wódkę. Później wesołe śpiewy z cel

dochodziły wieczorami i mieszkający w pobliżu na skargę do policjantów chodzili. Teraz przy budynku stał na warcie żołnierz i kazał grupie chłopców przejść na drugą stronę ulicy. Zauważyli tylko, że szyby okienek za kratami zostały zamalowane na biało wapnem i zamknięte naглуcho.

Ciemność gwałtownie zapadała i chłopcy do domów ruszyli. Ci z Granicznej daleko mieli iść i przeczuwali, że ich czeka awantura, że się gdzieś po nocy szwendają. Zdziwił ich rejwach przed furtką domu państwa Raczków, gdzie wszyscy niemal mieszkańcy ulicy się tłoczyli. W środku grupy zapłakana pani Kowalska stała otoczona ramieniem Raczka. Przy niej jej syn Staszek siąkał zasmarkanym nosem. Znali ją, z widzenia, bo będąc siostrą pana Raczka, przynajmniej raz na tydzień do niego wpadała. Jej mąż policjantem na wsi był.

– Co się stało? – Janek matki zapytał. Ucieszył się, że nawet nie zwróciła uwagi iż tak późno wrócił.

– Pani Kowalskiej męża Ukraińcy zamordowali – poinformowała.

– A mówiłam mu żeby uciekał – chlupała pani Kowalska. – Prosiłam, zaklinałam. Nie posłuchał. Całe życie uparty był. Jak sowieci przyszli to mundur zdjął i w stodole sypiał, „Gdzie pójdę”, mówił. „Między swoimi zostanę i jak w oczy leżać nie będę, to mi się nic nie stanie”. Ot i swoi! Żeby ich i ich dzieci cholera podusiła. Żeby ich ziemia po śmierci wypłuła!

– Nie można tak Janeczko – pan Raczek ja uspokajał.

– Przyszli całą gromadą. Sami sąsiedzi. Ktoś, że mąż w stodole musiał zauważyć. Wywlekli w porzeczeki za domem i zadźgali widziami. O Jezu! – rozszochoła się.

– Cicho, sza...szaaa – uspokajała ja Raczkowa.

– Krzyk jego słyszałam. Strasznie krzyczał. Długo zanim skończył. Wybiegłam jak usłyszałam, że chłopci odeszli. Odnalazłam go. Za porzeczkami w kałuży krwi leży. Pomóżcie państwo – na zebranych błagalnie popatrzyła. – Nie można człowieka pod krzakami zostawić. Przywieźć trzeba, pogrzeb chrześcijański sprawić. Może do kościoła przewieźć?

– A ja do jutra bym to zostawił – nagle Marczuk się odezwał. – Konia i wóz nawet mogę dać, ale nie na noc. Niebezpiecznie. Ludzie mówią, że sowiecka władza dała naszym kilka bezkarnych dni, na rozprawienie się z polskimi panami. A policjantów, niech mi pani wybaczy, nikt nie lubi... Ja bym na waszym miejscu nocą do wioski nie jechał – dodał. Porządny człowiek z niego był.

Nawet pan Raczek rację musiał w duchu mu przyznać, chociaż tego nie powiedział, by siostrze przykrości nie sprawić. Krewniaków Marczuk we wiosce miał i lepiej od nich tu, co myślą wiedział. I w rozterce Marczuk był. Z jednej strony rozsądek mu dyktował, że od Polaków z daleka lepiej się trzymać, z drugiej po przyjeździe wojsk sowieckich spójnię coraz większą z nimi czuł. Tak jak i oni tej nowej władzy się bał. Jak każdy chłop ziemię mu przez ojca pozostawioną więcej niż co innego kochał. Zawsze głód tej ziemi odczuwał i więcej chciałby jej mieć. To, że Jagodzie dwa hektary miał lada dzień oddać, bo jej Iwan gdzieś spod Lublina na piechotę wrócił z wojny cały i zdrow, sen z oczu mu spędzało. A jeszcze bardziej go martwiło to, że dwa tysiące złotych, które w ciągu lat uzbierał i w garnczku pod podłogą trzymał, teraz mogą okazać się nic nie warte. Kilkuletnie oszczędzanie, sknerstwo i ciężka praca, mogą okazać się zmarnowane. A planował, że za te pieniądze pięć hektarów od Szymczuka, który się gwałtownie starzeje, odkupi. I na dodatek o tych jakichś kołchozach ludzie zaczęli mówić. Ziemię podobno do nich zabierać będą. To już Marczukowi w głowie się nie mieściło. Cała nadzieja w Niemcach, nieraz myślał. Żeby tu przyszli i sowietów wypędzili. I za Polskimi porządkami Marczuk zaczynał tęsknić, tylko tego nikomu nie mówił.

Synowie mu o tych kołchozach opowiedzieli, po powrocie z bazaru w mieście. Jakiegoś agitatora tam słuchali, który chłopom dobrodziejstwa sowieckiego systemu tłumaczył i sowiecką konstytucję czytał. O wakacjach na Kaukazie opowiadał, o maszynach, traktorach i ogromnych kombajnach, które i koszą i młóć słoć w snopy wiążą. Słuchający zachwyceni byli, pokąd Stećko z Bogdaszewa pytania nie zadał.

– Duże te kombajny? Szerokie? – zapytał.

– Szerokie – zapalił się agitator – mogą i ze dwadzieścia metrów od razu kosić.

– To nie dla mnie – skrzywił się wtedy chłop.

– A czemu to?

– Na moje pole nie zmieści się taki. Za szeroki...

Agitator się roześmiał z głupoty chłopca. Tłumaczyć zaczął, że wszystkie zagony we wsi w jedno pole połączone zostaną, że miedzy nie będzie między nimi, że wystarczy miejsca i dla kilku kombajnów i obok siebie jechać będą mogły. Posypały się wtedy pytania. Słuchający wyjaśnień tłum chłopów coraz bardziej wrogo na agitatora zaczynał patrzeć. W głowach im się nie mieściło, że nowa władza chce



miedze zaorać. Toż o te miedze najwięcej bójek we wsi było. Więcej niż na weselach. Miedza to świętość przecie była. Jak sąsiad na dwa palce podora, z kłonica do niego się biegło i krew się lała. Więc jak?

## 14

**N**a torach kolejowych ukazały się transporty wywożonych na wschód polskich jeńców wojennych. Do miasteczka dochodziły szerokie tory sowieckie i przed wojną przeładowywano tu eksport z Rosji do polskich wagonów, którymi później jechał na zachód. Teraz z polskich wagonów przeładowywano zwożonych gdzieś z głębi Polski jeńców, do wagonów sowieckich. Nikt ich nie karmił i pierwsi zauważyli to ludzie mieszkający wzdłuż torów. Zaczęli donosić chleb, pomidory, jabłka, wiadra zupy. W tę akcję włączyli się też chłopcy z ulicy Granicznej, a później niemal cała młodzież miasteczka. Stwierdzono bowiem, że węszący wszędzie niebezpieczeństwo i pilnujący jeńców żołnierze sowieccy często nie chcieli dopuścić do wagonów dorosłych, ale tolerowali przy nich dzieci i młodzież. Część młodzieży kwestowała na jeńców po domach, część odbierała od dorosłych przyniesiony chleb i wiadra zupy czy herbaty, oraz odnosiła do wagonów z jeńcami. Towarowe wagony przeważnie stały z rozsuniętymi drzwiami. Ciężka praca to była i chłopcy, szczególnie ci młodszy, wracali wieczorami do domów ledwo powłócząc nogami.

– Ja bym wolał byś ty po torach się nie włóczył, bo to niebezpieczne. Jakiś jeniec ucieknie i gdy bojcy brakującego się nie doliczą, wtedy ciebie zagarnąć mogą. Im wszystko jedno kto, byle liczba się zgadzała – pan Tomasz czasami gderał, ale Romek tym się nie przejmował.

Któregoś dnia wczesnym wieczorem, po odniesieniu ostatniego kosza chleba do odjeżdżającego pociągu, chłopcy usiedli na belkach leżących na placu tartacznym i zapalili papierosy. Wieczór był ciepły i parny. Pewno na deszcz się zanosilo, chociaż chmur na niebie nie było widać. Czerwone jeszcze było na zachodzie i łunę pożaru przypominało, ale już nietoperze się pokazały. Kryska z Baską przyszły żeby braci spotkać i nakryły głowy chusteczkami, bo to wiadomo, że nietoperze mogą we włosy się wplątać. Z miejsca zaczęły grozić, że powiedzą rodzicom iż oni palą. Chłopcy namówili ich po dłuższej perswazji by popróbowwały pociągnąć kilka dymków, chociaż najpierw się opierały i nie chciały. Teraz trudno im było na skargę iść.

- Marczukom żołnierzy na kwaterę wczoraj dali - Kryska poinformowała. - W stodole śpią i Marczuk kłął tak okropnie, że aż wstyd było słuchać, jak z synami do wsi wyjeżdżał.

- Pewno boi się żeby palący ognia nie zaproszyli - Zygmunt powiedział.

Z wagonów na torze stojących śpiew żołnierzy ich doleciał. Nie głośny, nie taki żeby ciszę, która wraz z zmrokiem przyszła zakłócić. Pewno żołnierska piosenka to była, ale tęskna jakaś i zawodząca. Takiej melodii dzieci tutaj jeszcze nie słyszały. Zainteresowała ich. Dziwna była i raczej obca im się wydała. A przecież rozśpiewany tu naród był. I w czasie robót na polach śpiewał i w czasie z robót powrotu. Oswoili się z, pieśniami ukraińskimi, chociaż inne od polskich były. Nie dziwiły już ich, nawet bliskie się stały. Wiatr od jezior lekko powiał i niezrozumiałe słowa pieśni przyniósł.

*Ej, po ulice mietielica mietiot...*

- Pewno o dziewczynach śpiewają - Kryska powiedziała.

- Żołnierze zawsze o dziewczynach - zgodziła się Baśka.

Zygmuntowi nagle przypomniała się Marusia i stwierdził, że w ostatnich dniach o niej nawet nie pomyślał. I nie śniła się już mu po nocach. Nie widział jej od wielu dni i jakoś nie bardzo to odczuł. A tego wieczora Maruśka sama w domu została, bo ojciec z synami do ciotki w Zdołbicy wyjechał, która pomocy w podparciu zapadniętego dachu na oborze potrzebowała. Właśnie zaczęła obierać ziemniaki na kolację, gdy usłyszała głośne gdakanie kur. Zaraz przypomniała co jej ojciec wyjeżdżając nakazał. Dobytku miała pilnować i uważać, bo żołnierze to złodzieje i cudzej własności nie uszanują. A ci sowieccy to jeszcze gorsi, bo komuniści. W Boga nie wierzą i grzechu się nie boją. Strach ją obleciał, że może oni już ich kury różną. Wypadła więc na podwórze i stwierdziła, że gdakanie kury ze stodoły dobiega. Wpadła więc do środka i zatrzymała się przez chwilę, bo ciemno już w niej było i nic nie widziała, Zanim oczy do ciemności przyzwyczaiła, ktoś ją od tyłu dopadł i objęciem unieszkodliwił ręce.

Maruśka zaczęła wzywać ratunku. Krzyczała jak mogła najgłośniej. Usłyszała w odpowiedzi rechotanie kilku żołnierzy. Ten, który obejmował od tyłu, dźwignął ją w powietrze i niósł w najciemniejszy kąt. Wierzgała, starała się wyrwać, ale niewiele to pomagało. Rzucił ją na wymłóconą słomę. Ktoś przytrzymał jej nogi, ktoś drugi ręce, którzyś podwinął do góry spódnicę... Jakiś żołnierz zawalił się na nią i zachichotał jakby coś śmiesznego się działo...

Maruśka już nie wzywała ratunku, wiedziała, że nikt jej nie usłyszy. Płakać zaczęła... Później już tylko zacisnęła zęby by opanować ból. Nie mogła i krzyknęła rozpaczliwie. Odpowiedział jej podniecony rechot trzymających ją bojców. Brutalnie ją krasnoarmiejeć brał. Klamra jego pasa wrzynająca się jej w goły brzuch, ale nic na to nie mogła poradzić. Później już tylko starała się, nie wiedzieć co się, z nią dzieje, nie słyszeć głośniego sapania leżącego na niej chłopca, nie czuć zapachu machorki z jego ust... Wreszcie skończył i następny chłop na niej się, położył... Śmierdział potem dawno nie mytego ciała. Charczało mu w gardle, śmierdziało z gęby nigdy nie czyszczonymi zębami... Maruśce już było wtedy wszystko jedno. Jakiś bezwład ją ogarnął. Jakaś martwica odseperowująca ją od tego co się działo... Od rzeczywistości... Nie krzyczała już, nie broniła się... Czekwała aż skończą. Następny... Następny... Wreszcie nikt się na niej już nie kładł i trzymający wypuścił z uścisku ręce. Przez dłuższą chwilę leżała nasłuchując, zanim zdecydowała się podnieść ze słomy. Wciąż bojąc się, że jej nie puszczą, zaczęła iść w kierunku bladego światła wpadającego przez szparę uchylonych drzwi.

- No, dziewczeczka, nie zabywaj krasnoarmiejców - jakiś cień powiedział przez śmiech i klepnął ją po siedzeniu.

Gdy łkając opowiedziała Marczukowi co się stało, ten wpadł w szal. W pierwszej chwili chciał zamknąć stodołę na skobel i podłożyć pod nią ogień. „Spalę mierzawców” - krzyczał. Synowie rzucili się, by go przytrzymać i ledwo zdołali mu wytłumaczyć, że to głupota swoje palić i że ogień na słomiany dach chałupy gotów się przerzucić. Następnego dnia Marczuk poszedł do miasteczka na skargę. Wrócił z dwoma oficerami. Ustawili w rząd żołnierzy kwaterujących w stodole i kazali przyprowadzić Maruśkę. Nie chciała z chałupy wyjść, wstydziła się, że będzie musiała za dnia jej dręczycielom w oczy patrzeć. Wreszcie ojciec za rękę ją przyciągnął.

- No, poznawaj dziewczeczka - oficer zachęcał. - Który to?

- Pewno wszyscy - wyszeptwała. Pod ziemię chciała się zapaść. - Ciemno było... Twarzy nie widziałam...

- Jak nie widziała, to trudno - starszy z oficerów powiedział. - Trudno wszystkich karać, bo niewinnego skrzywdzić można.

Wychodząc przez bramę na ulicę, roześmiali się.

- Pewno zachciało się jej, a później jak dogodzili, to wystraszyła się - jeden powiedział.

– Tfu – drugi splunął – tak to z babami jest. Najpierw dają, a później żałować tego zaczynają. I nie uwierzę, żeby żadnego poznać nie mogła.

Żołnierzy z kwatery u Marczuka jednak zabrali i to w czas bo ten zaprzysiągł, że im gardła nocą poderżnie i może by to zrobił.

W ciągu jednego dnia cała ulica już wiedziała co Marusi się stało, następnego całe miasteczko i sąsiednia wieś. I panika zaczęła ludzi ogarniać, bo coraz więcej podobnych wypadków się zdarzało. Żołnierze zegarki też zaczęli przechodniom na ulicy zdejmować i kto wyjść musiał, nauczył się zostawiać je w domu. Baśce i Kryśce matki zabroniły wydalać się poza podwórze, chociaż dziećmi były. Zygmunt cała sprawa najbardziej bolała. Trochę nawet do Marusi żal czuł, chociaż to co się stało nie było jej winą. Za to, że taka porządna była, nie koleżeńska. Jemu pokazać nawet nie chciała, a bojcy co chcieli z nią robili. Od tego strasznego wieczoru Maruśka nigdzie się już nie pokazywała, spojrzeć ludziom w oczy się wstydziła i poza własne podwórze nie wychodziła. Tylko pani Alicja na prośbę Marczuka ją odwiedziła i jakichś ziółek dała, żeby dziewczyna w ciążę nie zaszła. Mądra była. Zastrzegła się, że ich skuteczności nie gwarantuje. Kurę za fatywę wzięła i umówiła się, że jak ziółka pomogą, to dostanie drugą.

Zygmunt przez kilka dni nie mógł się zdecydować czy ma nadal w Marusi się kochać, czy też o niej zapomnieć. Wreszcie doszedł do wniosku, że po tym wszystkim nie będzie nigdy miał odwagi zaproponować jej, by mu pokazała. Zdesperowany zaczął szukać spotkania z Zośką aptekarżówną i pewnego dnia umówił się z nią na randkę w parku, bo z miejsca pójść nie mogła. W ogonku po chleb stała. Zadowolony był z tego późniejszego spotkania, bo Zośce już kępka włosów urosła nie gorsza pewno niż u Marusi. Za cukierka, o które już bardzo trudno teraz było, pogłaskać nawet mu je pozwoliła. Wyznała też, że ze wszystkich chłopaków w szkole on najbardziej się jej podobał i że dla niego jest gotowa na wszystko. Zygmunt z miejsca zaproponował, że może by popróbowali tak jak Jagoda z Iwanem w prosie, co podobno bardzo przyjemnym jest, ale się nie zgodziła. Jak lepiej się poznamy, powiedziała. Pochopnie obiecał wtedy, że pół kilo cukierków z Równego jej przywiezie. Żydowska fabryczka tam wciąż pracowała i jak się parę godzin postało w ogonku, to kilo cukierków jeszcze można było kupić. Cukru w sklepach już nie było, więc ludzie z całej okolicy, odległych nawet miasteczek i wsi po te cukierki do Równego jeździli,



Otworzono szkoły. W tym samym czasie koleje też ruszyły i wezwano kolejarzy do pracy. Romek z Zygmuntem do gimnazjum poszli, Janek z dziewczętami do powszechnej. W budynku gimnazjum pan Bałandziuk od kilku dni już pracował, przygotowując go do otwarcia. Teraz w drzwiach stał i wchodzącą młodzież dozorował. Tych ze starszych klas znał z ubiegłych lat. Miał świetną pamięć i każdego imię pamiętał.

– Nowe porządki teraz – do mijającego go syna powiedział i ręką machnął. – To już nie to, co było.

Oczywiście, że nie takim jak kiedyś to gimnazjum było, bo zaprowadzano nowe porządki i pod okupacją takim samym jak kiedyś być nie mogło. Wielu nauczycieli w nim brakowało. Kilku na wojnę poszło i nie wróciło, kilku zagrożonymi się poczuło i uciekło bądź na stronę niemiecką, bądź ukryło się w jakimś innym mieście, kilku już aresztowały władze sowieckie. Z tych powodów dwie powszechne szkoły złączono w jedną i uczni najstarszych, siódmych klas włączono do gimnazjum. To ucieszyło Zygmunta i Romka, bo w ten sposób Janek w gimnazjum się znalazł. Stary dyrektor gdzieś się zapodział w czasie wojny, a nowy aż spod Kijowa przyjechał. W parę dni później dołączyli do niego żona i syn Igor, który do tej samej klasy co Zygmunt i Romek zaczął uczęszczać.

Nowy dyrektor w wyszarżałym, biednym garniturku gorzej od woźnego Bałandziuka wyglądał i Marian Blum, którego ojciec zakład krawiecki koło rynku miał, gdy go zobaczył, to na ziemię splunął.

– Za taką robotę to mój ojciec by czeladnikowi w ucho przywalił, a z takim materiałem gdyby klient przyszedł, to by go z zakładu wypędził. Żaden szanujący się krawiec, tego by nie dotknął – powiedział. A on na garniturach się znał i jego mundurek wspaniale był przez pana Bluma skrojony i leżał na nim tak, jakby syn na pokaz mody miał iść.

Rodzina dyrektora dostała mieszkanie na ulicy 3 Maja, po Niemcu rzeźniku, który za Bug uciekł i tylko stół w nim zostawił i łóżko, bo resztę sprzedał. Garnczków nawet nie przywieźli i jego żona nie miała w czym gotować. Ten i ów z sąsiadów po garnczku im pożyczył i dyrektor ich zapewnił, że jak tylko bagaże z Kijowa nadejdą, to zaraz je zwróci. Mijały miesiące i bagaże jakoś nie nadchodziły, chociaż dy-

rektor z rodziną lepiej ubrani chodzić zaczęli, bo kupowali łachy od ludzi, którzy w trudnościach się znaleźli. Najczęściej od rodzin aresztowanych.

W swojej klasie chłopcy samych znajomych spotkali. Nawet Mośiek w niej był, tylko każdy wiedział, że sowietów na przejeździe witał i już go Mietkiem nie nazywał. W czasie przerw na uboczu stał, bo nikt ani rozmawiać, ani grać w futbola z nim nie chciał. Po pewnym czasie z Igorem się zaprzyjaźnił. Całe szczęście, że w ich klasie kilku kolegów Ukraińców było, bo nowy dyrektor ukraiński jako język wykładowy w gimnazjum zaprowadził. Ani przedwojenni profesorowie, ani większość uczni tego języka nie znała i dyrektor nadziwić się nie mógł, że może być ktoś na „Zapadnoj Ukrainie”, kto po ukraińsku mówić nie potrafi. Sabotaż polski nawet podejrzewać zaczął, ale gdy zobaczył, że nie tylko Polacy, ale nawet „jewreje” i Rosjanin Koła Szapoznikow po ukraińsku nie mówią, musiał się z tym pogodzić. Przy okazji zabronił Koli nazywać Ukraińców Małorusami i chachołami.

Więc całe szczęście, że w każdej klasie po kilku uczni Ukraińców było, bo dyrektor stanąłby przed problemem nie do rozwiązania. Lekcje w ten sposób toczyć się zaczęły, że ktoś czytał jakiś ustęp z polskiego podręcznika, bo innych jeszcze nie było, a później któryś z Ukraińców tłumaczył go na język ukraiński. Tak, cała klasa nie wyłączaając profesora, nowego języka się uczyła. Koleżeństwa między uczniami to faworyzowanie Ukraińców nie psuło i sowieckie porządki nawet więź między Polakami i Ukraińcami wzmocniło. Razem antysowiecki front tworzyli i razem śpiewali idąc do gimnazjum lub z niego wracając, popularną już wtedy piosenkę.

*Sedyt baba na radni  
i szczytaje trudodni,  
Ne ma sała ni muki,  
za to Stalin na steni.*

Pan Bałandziuk za to na nich bardzo się denerwował i przestrzegał, żeby uważali. Zgodną atmosferę zakłóciła dopiero Ołesia Oho-rodnyk, na którejś lekcji historii. Może pan profesor Ziobro niezręcznie fragment do czytania wybrał, ale nikt nawet na to nie zwrócił uwagi. Więc o obronie Lwowa Zygmunt przeczytał, a Wasyl Olijnik bez mrugnięcia okiem na ukraiński to zaczął tłumaczyć. Wtedy Ołesia na równe nogi się zerwała i zaczęła protestować. Nie tak to było, krzyczała i na Wasyla wsiadła, że zgodził się takie kłamstwa tłumaczyć.

– Odpieprz się – Wasyl jej powiedział i pocziwy pan Ziobro musiał interweniować, że tak do koleżanek mówić nie wypada.

A Ołesia piękną dziewczyną była, o wspaniałej smagłej cerze z różowymi policzkami i o kruczych włosach, które długimi warkoczami na plecach do pasa jej opadały. Takie same ciemne brwi też miała i długie rzęsy, które gdy oczy przymykała, wyglądały jak skrzydła motyla. I zgrabna była. Szczupła, wysoka, o piersiach, które już niemal wyzywająco spod bluzki sterczały. W wyszywanej ukraińskiej koszuli do gimnazjum zaczęła przychodzić, bo jej ojciec, jeden z bogatszych gospodarzy spod Nowomyślska w jakichś ukraińskich organizacjach pracował. „Lniane majteczki” chłopcy na nią wołali, bo już któryś podpatrzeć zdołał, że samodziałowe nosi. Denerwowała się wtedy i w słowach nie przebierała. „A ty kutas złamany” odcinała się od zaczepek kolegów i wszystkie koleżanki za nią się wstydyli. Takich słów w ustach dziewczyny jeszcze nie słyszały.

Podobała się nawet Zygmuntowi, bo wiedział, że ładniejsza jest i od Marusi i od Zośki, ale nieprzystępna była i jakaś za bardzo dorosła. Starsza od innych uczni w jego klasie była może o rok, a u dziewczyny to dużo. Zresztą nie była to sprawa dla niego paląca, bo Zośka już mu powiedziała, że dla niego „jest na wszystko gotowa”. Pewnego dnia więc do szkoły nie poszedł i wybrał się do Równego. Pół godziny tylko pociągami do niego się jechało. Pieniądze miał, bo koperty z kartek wyrwanych z zeszytu kleił i bojcom sprzedawał. Kopert wtedy już za żadne pieniądze nie można było dostać. O wszystko zresztą trudno było, bo sklepy pustkami świeciły. W kilka dni sowieccy żołnierze wszystko wykupili. Wrócił wieczorem i dwu kilo cukierków przywiózł.

Po rublu cukierek zaczął sprzedawać i nawet Igor na nie się skusił, chociaż protestował, że są za drogie. „Ty spekulant”, Zygmunta nazywał, ale jak zjadł kupione cukierki, to do ojca po pieniądze leciał i płakał za lipą rosnącą w rogu gimnazjalnego placu, jak ojciec nie chciał mu ich dać.

Mośka mało szlag z zazdrości nie trafił. Nawet prezerwatyw już nie można było kupić i nie mógł ich od wuja dostawać, by sprzedawać kolegom. Zazdrościł rubli Zygmuntowi i w dodatku jego jedyny przyjaciel Igor, zaczął się od niego odsuwać i starać się pozyskać przyjaźń „spekulanta”. Liczył, że ten mu kredytu zacznie udzielać. Aż któregoś dnia Mosiek przyszedł do szkoły z zapłakаныmi oczyma. W sklepie

jego ojca nic już na sprzedaż wtedy nie było, lokal świecił pustkami i poważanego kupca przyjsie władzy sowieckiej zredukowało do poziomu licznej w miasteczku biedoty żydowskiej. Na dodatek, władze pozwoliły zająć pusty lokal jakiemuś szewcowi.

W końcu października gruchnęła po szkole wiadomość, że ojca Mośka aresztowano. Stał podobno na przejeździe kolejowym i pluł na sowieckie czołgi, które tędy gdzieś jechały.

- Panie Zylgejbom, co pan tak na każdy czołg pluje - pytali rozbawieni ludzie.

- Bo chcę na ten trafić, który ucałowałem, gdy je witałem we wrześniu - podobno powiedział.

Z tego przejazdu zabrano Zyngelbojma do budynku NKWD na Fabrycznej. Całą drogę podobno nowej władzy złorzeczył i prowadzącego go milicjanta najgorszymi słowami wyzywał. Z żalu za skłepem i interesami głowę podobno stracił i instynkt samozachowawczy, który Żydzi tak wspaniale wyrobić potrafili w ciągu długich wieków prześladowań, że stał się ich drugą naturą, Wszyscy mieszkańcy miasta później przez dwa dni o tym tylko mówili i przygoda kupca taką sensacja była, jak kiedyś urodziny dziecka grubej Kaśki. Nawet go nie żałowali, bo pamiętali jak sowieckie wojska chlebem witał.

Gdzieś w tym czasie Zygmunt popróbowował z Olesią bliżej się zapoznać. Część drogi, po której wracał do domu z lekcji, zbiegało się z tą, która dziewczyna do Nowomyślska musiała iść. Któregoś dnia poczekał na nią przed szkołą. Jakiś czas milcząc obok siebie szli i Zygmunt poczęstować ją cukierkami za zdecydował.

- Chcesz cukierka? - zapytał, wyciągając rękę z torbą.

- Nie, diakuju - odpowiedziała po ukraińsku.

- A może książki ci pomóc nieść?

- Czas wże tobi nauczytsia po ukraińsku howoryty - syknęła i Zygmunt odczuł, że dziewczyna traci cierpliwość.

- Co ty taka jakaś jeszcze nie dawał za wygraną i wtedy odpowiedziała już dosadnie, żeby się odpieprzył.

Zanim wrócił tego dnia do domu, Zygmunt usiadł na nasypie kolejowym i zaczął liczyć posiadane cukierki. Ponad dwadzieścia ich jeszcze miał i wiedział, że po rublu za nie dostanie, sprzedając kolegom w szkole. Czas decyzji nadszedł. Z Marusią spotkać się nie było można, bo poza dom nie wychodziła i nie wyglądało na to by z Olesią, która ładniejsza była, przyjaźń jakąś mógł zawrzeć, więc tylko Zośka



mu pozostała. Tej oczywiście pół kilo cukierków pochopnie obiecał i bez nich nie było po co z nią się spotykać. I Zygmunt walkę z sobą stoczył. Nie był pewien czy ruble go bardziej kusily, czy to co mu Zośka obiecała. Kieszonkowego od ojca już wtedy nie dostawał, bo jego pensja była bardzo mizerna i przypomniał, że bilet do kina tylko dwa ruble kosztuje. Kilka pobytów w kinie, to co w torbie miał, gwarantowało. I pewno Zośka w tym rozważaniu by przegrała, gdyby nie Wasyl. Ten, który Ołesi na lekcjach powiedział żeby się odpieprzyła. Janek i Romek patrzeć bowiem na niego z podziwem zaczęli i spod przywódczych wpływów Zygmunta się wymykać.

Okazało się, że Wasyl już z dziewczyną grzeszył, a Zygmunt oczywiście jeszcze nie. W oczach chłopaków o głowę Zygmunta przerastał, który już, przyzwyczajony do roli przywódczej wśród gromady z ulicy Granicznej, nie mógł tego znieść i tolerować. A Wasyl nawet nie krył, że w tym doświadczeniu, o którym chętnie opowiadał, nie on inicjatorem był. Nieważne to słuchającym go się wydawało, ważniejszym, że on już. A zdarzyło się Wasylowi gdy z pielgrzymką w Poczajowie był. W schronisku jakimś dla pielgrzymów pokodem wtedy wszyscy spali na podłodze, opowiadał. Z jednej strony młodszy brat leżał, a z drugiej młodocia z sąsiedniej wioski, której męża do wojska zabrano. Już zasypiał, gdy nagle poczuł rękę, która w spodniach grzebać mu zaczęła. Najpierw wystraszył się i krzyk chciał podnieść, bo myślał, że kieszonkowe mu ukraść chciała, ale jakoś przyjemnie mu się zrobiło, więc czekał co będzie dalej. A sąsiadka za rękę go wzięła a długą spódnice podciągnęła i brzuch obnażyła. Później na siebie go wciągnęła. Bał się Wasyl, że ktoś zobaczy, ale ludzie którzy kilkadziesiąt kilometrów przeszli w ciągu dwu dni, chrapali aż sufit się trząsł. Słuchający pod lipą na przerwie chłopacy, wypieków dostali.

– Nauczyła ciebie?

– Nauczyła. I jeszcze ja z nią później przy stogu na łące się spotykał, pokąd mąż jej z wojska nie wrócił. Przychodziła wieczorami z wioski. Mówiła, że ja jej lepiej od męża dogodził – chełpił się Wasyl, a chłopcy z coraz większym podziwem na niego patrzyli.

Zygmunt chciał nawet wypytać się go dokładnie jak to się robi, ale nie chciał dać Wasylowi tej satysfakcji, że on go uczy tego, co uważał, że chłopak w jego wieku już powinien umieć. Przyznać się zresztą nie chciał Wasylowi, że doświadczenia jeszcze nie ma. Bał się, że ten z niego śmiać się zacznie i całkowicie w oczach kolegów pognębi.

**W** tym czasie niebezpiecznie się zrobiło wychodzić po zmroku na ulice. Jak ktoś wyszedł, to bojcy go zaraz opadali, rewizję robili, przepytawali dokąd i po co idzie. Strzały na ulicach rozlegać się zaczęły po nocach, tak jak pierwszego dnia gdy tu znalazły się wojska sowieckie. Nawet w dzień było widać, że wojskowe patrole nerwowe są, niebezpieczeństwo węszące i wszyscy zaczęli zgadywać co za tym się kryje. Od transportów na torach stojących bojcy chłopaków zaczęli odpędzać, a przed tym chętnie z nimi rozmówki ucinali i handlować próbowali. Nawet koperty ich nie kusiły, którymi Zygmunt do nich powiewał, a to najlepszy towar był, bo każdy żołnierz chciał list do rodziny posłać i nie miał w czym.

Plotki zaczęły między ludźmi kursować. Ukraińcy twierdzili, że już powstała polska partyzantka i pewno gdzieś sowieckich bojców nastrzelała. Ci, którzy z Równego wracali, opowiadali, że tam podobno te niepokoje sowieckich żołnierzy się zaczęły. To tu, to tam zastrzelonego bojca nagle zaczęto co ranka na ulicach miasta znajdować. Po niektórych nocach zdarzało się i dwóch. Na akcję partyzantka to nie wyglądało, a raczej na działalność jednego czy dwu ludzi. Ot, ktoś po nocy z domu wychodzi, zastrzeli jakiegoś żołnierza i wraca do mieszkania. Następnej nocy znowu. Szukaj wiatru w polu. Porachunki z nimi ma, jedni mówili, mści się za jakąś krzywdę, twierdzili drudzy. Jedni cieszyli się że ktoś bojców nareszcie strzelać zaczął, inni twierdzili, że to chwilowo nie ma sensu i do niczego nie prowadzi. I w czasie tych niepokoi wybory ogłoszono, zapowiadając, że ludność wyzwolonych spod pańskiego jarzma terenów wybierze delegatów, którzy o ich przyszłości będą decydować. Na rogach ulic agitatorzy się pokazali i nawoływali by głosować na kandydatów, których nazwiska ogłoszono w miejscowej gazecie i na rozklejonych po mieście afiszach. Później zaczęto ulice w czerwone flagi stroić, jak gdyby jakieś święto narodowe miano w nim obchodzić.

Któregoś dnia Romek z Jankiem przypadkowo rozmowę swoich ojców o tych wyborach usłyszeli.

– Wie pan, że na tej liście jakaś polska kurwa nawet jest. Wasilewska – pan Tomasz powiedział.

– To pan jej nie pamięta? Toż to ta cholera od „Płomyczka”, cośmy go dzieciom kupowali.

Romek chichotał, bo pierwszy raz w życiu takie słowo w ustach ojca usłyszał, a w życiu może po raz trzeci. A i to miało miejsce gdy na rynku się kręcił w dzień targowy i chłopci pokłócili się gdzie który ma stanąć ze swoim wozem.

Tego dnia, gdy chłopcy z Granicznej wracali do domów po lekcjach, przyłączył się do nich Wasyl.

– Wy wiecie, że głosowanie będzie wkrótce i wasi rodzice głosować będą musieli – rozmowę zagał.

– Czemu zaraz będą musieli – Janek pytaniem mu odpowiedział.

– Bo u nich musisz. Listy podobno będą sprawdzać.

– No i co – Zygmunt wtrącił.

– To wy powiedzcie swoim rodzicom, żeby za wolną Ukrainą głosowali. Wtedy tu jak za Polski będzie. Ziemi do kołchozów zabierać nie będą, sklepy się zapełnią i księży nie będą aresztować.

– Toż tu Polska nie Ukraina – Zygmunt się zdenerwował,

– Polska już zawaliła się – zaczął Wasyl tłumaczyć, ale Zygmunt mu przerwał.

– A o Sikorskim ty nie słyszał? Że polskie wojsko jest? Że Anglicy na pomoc idą? Jak przyjdą to i Hitlera i Stalina przepędzą. Ty tylko czekaj!

– Kiedy oni tam przyjdą – Wasyl powątpiewał. – A tymczasem ja bym tam radził głosować za Ukrainą.

Dnie słotne już były i szare. Brudne chmury nad miastem ciągle wisały, a kiedy im się zachciało lały wodę na ziemię. Czasem z rana, czasem w południe, a nieraz, przez całą noc. Brud z domów i ulic zmyły i śmierzdieć przestało w parkach i przydomowych ogródkach, gdzie żołnierze sowieccy swe potrzeby bez krępowania załatwiali. Woda rynsztokami tak obficie płynęła, że górskie potoki przypominały. A gdy deszcz padał, to padał naprawdę obficie. Płachty wody chlustały i życie miasteczka zamierało. Kto nie musiał, z domu nie wychodził. Ludzie mówili, że to ta woda, która w ciągu pięknego lata i wczesnej jesieni gdzieś w zbiornikach niebieskich się zebrała, a teraz wylać się z nich musi. Dachy domów, płyty chodników i kamienna kostka nawierzchni ulic zaczęły się błyszczeć, jakby je ktoś lakierem przeciągnął. I tak przez tydzień było, aż do wyborów. Flagi jak jakieś flaki na drzewcach wisały, lub kleiły się do ścian. Dopiero w dniu głosowania lać przestało i słońce nawet przez chmury zaczęło się przedzierać. Może natura chciała się ulitować nad tymi, których czwórkami będą prowadzić z miejsc pracy do Polskiego Domu, który

obecnie Domem Kolejarzy się nazywał. Stoły w nim już na widowni ustawiono i czerwonym materiałem nakryto. Później duże pudła na kartki wyborcze przywieziono. Chleb też w tym czasie w piekarniach się pokazał i dosyć go dla wszystkich było. Ludzie zanim głosować poszli, wpięrow do sklepów biegli, gdy o tym wiadomość się rozeszła.

Tłumy chłopów szło po błocie, bo ktoś im powiedział, że będą mogli głosować za wolną Ukrainą. Na parkiet to błoto na butach nanieśli i ludzie ślizgali się po nim jak na lodowisku. Pracującym kazano się zebrać w zakładach pracy i sprawdzono listy obecnych. Grupami mieli do głosowania maszerować.

– Na co tata będzie głosować – Romek ojca zapytał, ody rankiem z panem Raczkim do miasta się wybierali.

– Nie głosowanie ważne, ale żeby być jak listę obecnych sprawdzą. Z pracy mogą wyrzucić albo i posadzić, jak nie przyjdiesz.

– A głosowanie głupstwo – pan Raczek dodał. – I tak co zechcą zrobić. Znam ja ich. Sfałszują pewno te wybory.

Dzień wolny od nauki był, bo i nauczyciele głosować musieli, więc chłopcy wybrali się do miasta. Stanęli przed Domem Kolejarzy gdy większy pochód zaczął się fabryczną od centrum miasta zbliżać. Rosyjska orkiestra wojskowa grała marsza, a za nią starając się iść w nogę, posuwał się tłum robotników cementowni. Ktoś zatroszczył się o czerwone flagi, bo niósł je niemal co drugi z idących. Płynął strumień tych flag po ulicy, która nigdy ich tyle nie widziała, łopotwały na wietrze i starały się wyrwać z rąk je niosących drzewca, do których były przymocowane. Po bokach kolumny jacyś ludzie w skórzanych kurtkach starali się wzniecić entuzjazm do czegoś tam, bo wykrzykiwali niezrozumiałe hasła i kilka znudzonych głosów odpowiadał im bladym uraaa. Weszli do lokalu wyborczego, a już na ulicy pokazała się następna grupa i następna. Szli strażacy, kolejarze, nauczyciele... Na ich czele już zachrypnięty, przybyły z Kijowa dyrektor gimnazjum, któremu coraz trudniej było krzyczeć uraa, ale wciąż machający z nieustającym entuzjazmem niesioną flagą. Grupa rodzin przybyłych tu z Rosji, stojąc na chodniku, witała każdą nadchodzącą kolumnę gorącymi oklaskami.

Wtedy Zygmunt zauważył w grupie przyglądających się pochodom dziewcząt Zośkę. Do gimnazjum nie chodziła chociaż mogła i właściwie obijała się, i nic nie robiła. Miała do kupieckiego w Równem po wakacjach iść, ale zamknęły je władze sowieckie i ojciec zdecydował, że poczeka aż skończy się wojna. „Bez tego co ją w so-



wieckiej szkole nauczają, to może się obejść”, mawiał. Nawet ucieszyła się gdy Zygmunt do niej podszedł.

– Cukierki dla ciebie w Równem kupiłem – powiedział.

– No to dawaj.

– W domu je mam. Umówmy się, to za pół godziny przyniosę... Tylko że wszędzie teraz mokro – dodał, by wiedziała o co chodzi.

Zośka wzięła go za rękaw i odciągnęła na bok, by koleżanki ich słyszeć nie mogły.

– Do mnie przyjdź Matka na wieś poszła masło i jajka kupować, a ojciec po głosowaniu idzie do Gajewskich na brydża. Dużo tych cukierków?

– Dwadzieścia dwa. Po rublu je sprzedaję.

Przełknęła ślinę gdy jego odpowiedź usłyszała i odeszła do grupy koleżanek. Zygmunt pozostawił zdziwionych kolegów i z miejsca ruszył w kierunku domu. Na strychu cukierki miał schowane przed bratem i teraz martwić się zaczął, czy myszy ich mu nie pogryzły, bo w matki worku z grochem się zaległy. Ręce mu się trzęsły nie wiadomo czego, gdy z za belki je dostawał i zębami zaczął szczekać. Nastraszył się, że grypa go rozbiera.

Zośka już czekała, gdy zasapany furtkę do jej ogrodu otworzył. Do torebki, którą jej dał z miejsca zaglądnęła i nie czekając na pozwolenie wsadziła do ust cukierek. Łakoma była i przepadała za słodczykami. Latem lodami się zajadała i mogłaby żyć tylko nimi. Z jej przyczyny też najczęściej awantury w domu aptekarza wybuchały. Ciągłe to ojca, to matkę o pieniądze prosiła i nie mogli ich jej nastarczyć, pomimo, że jedynaczką była i rzadko kiedy odmawiali. Potrafiła też przejeść te, które jej dawali na zeszyty czy książki, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Koło sklepu z cukierkami przejść nie potrafiła. Pod sowiecką okupacją nieszczęśliwa była, bo lodów wcale nie można było dostać, a o cukierki było bardzo trudno. Toż nawet cukru tygodniami nikt nie widział.

– Dawno ci powiedziałam, że mnie się podobasz a ty się wcale nie pokazujesz – że się dąsa udawała, ale torebki z cukierkami z ręki nie wypuszczała.

– Jak cukierki zdobyłem, to przyszedłem – Zygmunt się tłumaczył. Bać się zaczął, że Zośka może się rozmyślić i ten Wasyl nad niego będzie się nadal wypinał.

Nie brzydka była z niej dziewczyna. Blondynka o grubym warkoczu, który na plecach jej to w lewo, to w prawo, jak wahadło zegara

chwiał się gdy szła i o buzi okrągłej, różowej, tylko trochę pryszczatej. Oczywiście wiedział, że te pryszcze jej znikną, jak ją jakiś chłopak rozprawiczy. Wysoka też była, szczupła i postawna. Nogi długie miała i przez to „dynda” ją w szkole przezywano. Jej duże, piwne oczy, przypominał, błyszczeć jakoś dziwnie zaczęły, gdy w parku głąskać mu pozwoliła.

– Chodź na strych – powiedziała. – Nikt nas tam nie zobaczy.

Wspinając się po drabinie znowu cukierek w usta włożyła. Zygmunt to zaniepokoiło. Naje się cukierków i gotowa zacząć się handryczyć, po głowie mu przebiegło. I trochę strach go też obleciał. Wiedział czego chce, tylko niejako niepokoił się czy w ogóle potrafi. Może Zośka umie? Zaczął nawet bardzo żałować, że Wasyla nie zapisał.

Zośka cukierkami już się cieszyła, lekkie podniecenie ją też ogarnęło i nie bardzo wiedziała dlaczego wypieków dostała. Jakies przyjemne niepokoje jej ciałem zawładnęły. Bała się trochę, ciekawa była tego na co chłopcu pozwolić się zdecydowała i nawet trochę się wstydziła. Położyła się na jakimś tapczanie, z którego wylazły bebecchy i od kilku lat tu stał. Trzeci cukierek wsadziła w usta i opierając się na łokciach i piętach uniosła siedzenie oraz ściągnęła majtki.

– Zdejm spodnie – zachęciła.

Zygmunt się zawahał. Może by uciekł nawet, żeby przed dziewczyną się nie ośmieszyć, tylko o tym Wasylu wciąż pamiętał i nie chciał być od niego gorszy. I cukierków mu było szkoda, bo gotowa nie oddać, gdyby uciekł. Wstyd mu się też zaraz zrobiło, że guzik u kalesonów mu się urwał i razem ze spodniami opadły na kolana, zanim je ściągnął. Zośka zachichotała nerwowo jak to zobaczyła i sukienkę pod brodę podciągnęła. Brzuch jej się trząsł od tego chichotania i jeszcze jeden cukierek do buzi wsadziła, nie wiadomo czy z łaskomstwa czy też zaambarasowania.

Zygmunt zaniepokoił się, że gotowa się zakrztusić ale zaraz przypomniał jak Iwaś na Jagodzie leżał i z desperackim pośpiechem rzucił się na Zośkę, żeby już tylko dłużej nagim do pasa przed nią nie stać. Ciepła była, stwierdził. Miękka i gładka. Przyjemnie mu się prawie z miejsca zrobiło i zawstydzenie przeszło. O całym świecie zapomniał.

– Ruszaj się w górę i na dół – Zośka szepnęła, a zaraz później jęknęła z bólu.

– Co tobie? – zaniepokoił się.

– Zabolało.

Ciemno w oczach Zygmunta nagle się zrobiło, belki strychu przed oczyma zakołowały i krew uderzyła do głowy. Nie wiedział co się z nim dzieje. Nastraszył się, że mdleje a jednocześnie przyjemność ogromną czuł. Później w panikę wpadł, że się złał i strumienia zatrzymać nie mógł, choć próbował. Zośka wtedy objęła go obu rękoma i nawet torebkę z cukierkami z rąk wypuściła. Pewno nie zauważyła.

– Przyjemnie było? – zapytała szeptem.

– Jak z żadną – powiedział.

– I mnie też jak z żadnym.

Czas dłuższy zejść z niej mu się nic chciało i bał się, że go Zośka od świni zwymyśla jak stwierdzi, że jest mokra. A ona go nie spędzała i nawet o leżącej na warstwie wieloletniego kurzu torbie z cukierkami na chwilę zapomniwała.

## 17

Kilka razy musiał kumplom opowiadać co z Zośką, robił, a im wciąż, było mało. O detale wypytywali, czasami bezsensowne pytania zadawali, a on nie skąpił odpowiedzi i rozkoszował się ich podziwem. Pewno nawet starsi koledzy z gimnazjum więcej im na ten temat powiedzieć by nie mogli. Zresztą swoimi torami chodzili, oddzielnie się trzymali i z tymi z pierwszego roku się nie zadawali. I nic dziwnego, że Zygmunta duma rozpierała i na kolegów z góry patrzeć zaczął. Gdyby ludzie w miasteczku o nim i Zośce się dowiedzieli, sensacją by to się taką samą stało, jak gdy prawnuczkę pana Wierzbickiego na łące z Marianem Grinbaum aptekarz Łupaszo przyłapał. Niezmiernie rzadki to był wypadek, by dziewczyny przed ślubem na intymne zbliżenie nawet narzeczonemu pozwoliły. A jak ktoś kochankę w mieście miał, to szybko o tym ludzie się dowiadywali i językami zaczęli mleć. W małym miasteczku nic się nie ukryło. Nawet jak ze swoją gospożą ktoś zgrzeszył, to długo to tajemnicą nie było. Nieślubne dzieci się nie zdarzały, a jak się zdarzyło gdzieś na wsi księdzu Sikorze, to całe województwo o tym przez kilka miesięcy mówiło. A jak służąca Gajewskich, która za strażaka miała wyjść stwierdziła, że jest w ciąży, to esencji octowej się napiła i swój wstyd na tamten świat zabrała. Zośka też nastraszyła się widocznie swego postępu, bo jak ją Zygmunt spotkał i poinformował, że po cukierki do Równego się wybiera, to powiedziała, że nie jest zainteresowana.

- Więcej ci dam - kuśił.

- Czy ty nie wiesz, że dziecko od tego może być? - zapytała. - Chcesz mi życie złamać?

Oczywiście, że tego to on nie chciał i ciarki mu poszły po plecach na samą myśl, jak by mu ojciec przywalił, żeby to z Zośką się wydało, albo dziecko miała. I pan Łupaszko też. Ksiądz z ambony by pewno wyklął i ludzie palcami by na niego pokazywali. Zośka musiała jednak co się stało jakiejś koleżance opowiedzieć, bo dziewczyny nie potrafią niczego w tajemnicy utrzymać, gdyż Zygmunt zauważył, że koleżanki w gimnazjum, w czasie przerw coś między sobą o nim szeptały i patrzyły na niego ze zgorszeniem. A ruda Ulka, gdy go raz w drzwiach mijiała, to „ty świntuch” nazwała ni z tego, ni z owego. Tylko, że dezaprobaty w jej głosie nie można było wyczytać, a raczej podziw. Spotkał ją, gdy ze szkoły wychodziła.

- Czego ty mnie świntuchem nazwała? - zapytał przez ciekawość.

- Wiem ja czego.

Zygmunt na kolegów czekał ale ona nie odchodziła. Zdziwił się tym trochę, bo z nią się nie przyjaźnił i rudych zresztą nie lubił, od czasu gdy na Mošku się zawiódł. Bał się, że koledzy mogą pomyśleć, że on z nią na nich czeka,

- Czekasz na kogoś - zapytał i zobaczył, że zaczerwieniła się tak mocno, że aż jej piegi zniknęły.

- A przyjemne to - wyjąkała i krew jej mało przez skórę nie trynęła. Ciekawości nie mogła opanować.

Janek z Romkiem nadeszli i Zygmunt nie miał czasu jej powiedzieć, że jak taka ciekawa, to niech Zośki zapyta. Pierwszy śnieg w tym roku zaczął padać, więc ruszyli do domu, żeby zdążyć zanim drogi zasypie. Dużymi mokrymi płatami padał aż do wieczora, ale większość topiła się prawie z miejsca. Nocą oziębilo się jednak i wtedy już tylko prószył. Drobniejsze jego płatki były i nie tak, jak tego pierwszego w dzień mokre. Prószył aż do rana, a i następnego dnia nie przestał. Coraz więcej go było i nawet drogi zakrył, na których nocny mróz błoto ściął. Ze śniegiem wiatry przyszyły nic wiadomo skąd i zimniej niż naprawdę było zaczęło się ludziom wydawać. Pochylali głowy, wtulali je w ramiona idąc, a on pod płaszcze i kurtki starał się wedrzeć i czapki z głów zrywał. A jak dął ulicami miasteczka, to sypki śnieg przed sobą pędził, który wydawał się być ścianą mgły przez którą nic nie widać. Konie ciągnące chłopskie wozy płośliły, w bok się rwały i wpadały na płoty. Marczuka raz z sani w czasie



takiej zadymki zrzuciły i przez dwa miesiące leżał w łóżku z nogą unieruchomioną łubkami. Gipsu już miejski szpitalik nie miał. Marczuk w żywy kamień kłął i sąsiedzi go żalowali. Całe szczęście, że nie w żniwa czy w czasie wiosennych wysiewków tę nogę złamał.

W parę dni biel świat okryła. „Przynajmniej gówna sowieckiego nie będzie widać, bo całe miasto zasrali”, zauważył raz Janek. Biało było jak okiem sięgnąć i śnieg na metr wysoki leżał. Wzgórza za jeziorem jak kopce puchu wyglądały, tylko na ich szczycie las, jak jakaś gruba kreska, czerniał. Zamarznięte jezioro też pokrył i tylko wiotkie i kruche trzciny ponad nim się chwiały, łamiące się gdy wiatr mocniej powiał. Czasami gdy słońce przez, brzemienne chmury się przedarło, a jego promienie po śniegu się ślizgały to błyszcząły na nim krople lodu, jakby ktoś po polach szklane paciorki rozsiał. Domy ogromne białe czapy przywdziały. Z tych blachą pokrytych grube płyty od czasu do czasu się obsuwały, ale na strzechach rosły te czapy coraz wyżej. Na chałupie Marczuka ogromna ta czapa śniegowa była, a na gnieździe bocianów jak jakiś gruby komin wyglądała. Nawet spiczastą wieżę kościoła śnieg oblepił i zielone kopuły cerkwi. W niektóre dni, gdy prószyło i wiatr mocny mgłę płatków wokół szczytu wieży gonił, wydawało się, że z niej dymi i lada chwilę płomienie pożaru się ukażą.

Mrozy przyszły ze śniegiem. Lute, przejmujące, takie jakich najstarsi ludzie nie pamiętali. I wszystkiego już było brak. Nawet opału nie można było kupić, po żywność było trudno przez zaspy na wieś iść i ceny na nią rosły. Stratą czasu do sklepów było chodzić, bo świeciły pustkami. Jak kiedyś, raz w tygodniu jarmark na placu targowym się odbywał, ale zimą i w mrozy mało komu chciało się ze wsi saniami do miasta jechać. Świętego Mikołaja w szkołach już nie obchodzono, jego dzień przeszedł nie zauważony i święty wielu dzieciom zawód sprawił. Janek wiedział już, że iw tym roku nart nie dostanie. Cieszyły go straszne mrozy, bo nawet ci, którzy narty mieli, nie wytrzymywali na dworze dłużej niż pół godziny.

Marczuk jak co roku sąsiadów snopkami i pszenicą na kutię obdarował, które przez syna przysłał, bo sam jeszcze chodzić nie mógł. Ponury Taras był, mało mówny ale kieliszka wódki wypić nie odmówił. U Szwedziuków dłużej posiedział, bo przemarzł zanim do ich domu doszedł.

- Cała wieś na wolną Ukrainę, głosowała - nagle rozpoczął - a okazało się, że my jakiegoś Żyda na delegata wybrali i ten za przy-

łączeniem nas do sowietów we Lwowie podobno głosował. Sfałszowali swołoczy komunisty.

- A co wy nie wiedzieli, że sfałszują? Teraz kołchozy zaczną wkładać, ziemię zabiorą i jeść nie będzie co, tak jak u nich - zrezygnowanym głosem powiedział gospodarz.

- A z tym Żydem to my kiedyś rozliczymy się. W Niemcach cała nadzieja. Pewno nowa wojna będzie.

- Taka sama swołocz, nie łudźcie się.

- Swołocz czy nie swołocz, ale ziemi taki to nie będą zabierać - chłop podniósł się ze stołka i rękawice zaczął wkładać. - I naszego pułkownika Konowalca bardzo szanowali. Wolną Ukrainę jemu obiecali, honorowali go jak w Berlinie był.

- Pokąd jego Ukraińska Organizacja Wojskowa polskie stodoły paliła i niewinnych ludzi mordował. Pacyfikację na wasze głowy ściągnął - pan Tomasz się zdenerwował.

Święta przyszły i nawet pasterka o północy się nie odbyła, bo wciąż niebezpiecznie było po nocy z domów wychodzić. W niedalekim Równem znowu ktoś zaczął pojedynczych żołnierzy strzelać i grupami już tylko pozwalano im na miasto wychodzić. I wakacje świąteczne w szkołach zniesiono. A zaraz po świętach grupa sowieckich nauczycieli przybyła i zwolniono kilku z tych, którzy przed wrześniem w gimnazjum uczyli. Jakaś pulchna i na rudo umalowana nauczycielka sowieckiej konstytucji uczyć zaczęła. Z córką tylko przyjechała, widocznie wdowa.

I ta córka sympatię nagle do Romka zapalała. Nawet ładna była i jak się śmiała to jej dołeczki na policzkach się pokazywały, pomimo zimna w tej samej, trochę za krótkiej spódniczce do szkoły chodziła, bo widocznie z niej wyrosła i innej nie miała. Jak się nachylała, to majtki jej było widać i chłopcy naumyślnie ołówki jej z pulpitu strącali by podnosić je musiała. Trochę cielejące oczy miała i jak na kogoś spojrzała to je jeszcze bardziej otwierała i ogromne się wtedy wydawały. Może jak na szesnaście lat piersi trochę za duże miała, chociaż niektórzy chłopcy twierdzili, że przez to była bardziej ponętna. I zaczęła za Romkiem chodzić, jak ciele za matką. Na przerwach gdzie on siedł, to ona za nim. Przystawała z boku, jak z kolegami rozmawiał i oczu od niego nie odrywała. Nawet koledzy Romka to zauważyli i żartowali, że cichą admiratorkę ma.

- Pan - raz na korytarzu do niego podeszła - a czemu ty mnie unikasz?

Gdy opowiedział kolegom jak go tytułowala, to aż zatoczyli się od śmiechu.

– Zakochała się – Zygmunt stwierdził. – Masz szansę mężczyzną zostać.

– Z sowietką – oburzył się Romek.

– A sowietka to na poprzek ma? I pewno już komunistka, albo do pionierów należy – tłumaczył Zygmunt. – Niewierzająca, do spowiedzi nie chodzi, to drożyć się nie będzie. Marusię to bojcy gwałtem wzięli, masz szansę ruskiej za nią odpłacić.

– Nawet to zasługa dla ojczyzny – Janek rację Zygmuntowi przyznał.

– Mogę ci cukierek na kredyt dać, jak rubla nie masz. Ucieszy się Wiera.

A Zygmunt wtedy już na większą skalę zaczął cukierkami handlować. Umówił się z Mietkiem, który po siedmiu klasach powszechnej do szkoły przestał chodzić i roboty żadnej nie miał, że ten do Równego będzie jeździł i w ogonku po cukierki stać. Sobie ich sprzedaż pozostawił. Uzyskane pieniądze po połowie dzielili. Całe gimnazjum już wiedziało, że Zygmunt cukierki sprzedaje i w czasie przerw ogonek do niego się ustawiał. Romkowi jednak dużo czasu zajęło zanim zdecydował się cukierek dla Wiery kupić. Pogardę i nienawiść do sowietów czuł, tylko gdy o Wierze myślał, to coraz ponętniejsza mu się wydawała. Pomimo, że był przystojny, postawny, miał wspaniałe jak perły zęby i kędzierzawą czuprynę, nigdy jeszcze sympatii żadnej nie miał. Żadna dziewczyna nigdy go nie poprosiła, by jej teczkę do domu pomógł nieść. A mógł się przecież podobać, tylko był bardzo wstydlivy i nieśmiały. Zbliżyć się do niego było trudno i teraz gdy cukierek kupił, nosił go kilka dni w kieszeni, bo nie miał śmiałości do dziewczyny podejść. Wciąż jeszcze, że to przecie sowietka go niepokoiło, ale zaraz pocieszał się tym, co Janek powiedział. Że jeśli mu się uda, to nawet będzie zasługą względem ojczyzny. Wiera sama mu zamiary ułatwiła.

– Pan – zatrzymała go kiedyś na korytarzu. – Może by ty do nas przyjszoł? Patiefon u nas jest.

– Nie mów do mnie pan. Tylko do dorosłych u nas pan się mówi – odburknął.

– Ja słyszała czto ciebia Romek nazywajut, a mienia Wiera. Pryjdi do nas pośle szkoły.

– Charaszo. Na ciebie gościńca – cukierek zdziwionej w rękę wciśniętą i szybko odszedł, bo koledzy nadchodzili.

Gdzieś w końcu stycznia, czy w pierwszych dniach lutego, gdy wracali ze szkoły, chłopcy zauważyli, że w wagonach towarowych stojących na torze, robotnicy wypiłowują dziury w podłogach. Wśród nich poznali ojca Maćka, którego każdy znał, bo był wziętym w miasteczku stolarzem.

– Panie Kulesza – Janek uchylił czapki. – Po co te dziury w podłogach?

A no kazali, to piłujem. Pewno bojcy nimi gdzieś pojadą i scać do nich będą. W towarowych wagonach ubikacji przecie nie ma i używać nie umięją.

Przed wojną ludzie mówili o panu Kuleszy, że jest komunistą i nawet nieprzyjemności z tego powodu miał i na policję go ciągnano. Niewyparzoną gębę posiadał i nie ukrywał tego co myślał. Jakies gazetki skądś dostawał i los robotnika w sowietach wychwalał, jak go ktoś słuchać chciał. Kilku czeladnikom podobno w głowach przewrócił. Teraz mu to przeszło. Tak jak kiedyś na sanację psioczył, teraz zaczął psioczyć na komunę. Szczególnie jak wracał po pracy do domu i mięsa na stole dniami nie widział. Unosił się wtedy i kłął na Marksa i Stalina, oraz każdego wodza komunizmu, którego nazwisko przyszło mu do głowy. Żona uciszyć go nie mogła i trzęsła się ze strachu. I do kościoła zaczął chodzić, tylko, że nie z przekonania ale bo sowieckie władze antyreligijną propagandę rozpoczęły. Na złość im.

– No to Bóg pomagaj – Janek powiedział.

– Jak pomoże, to powypadają przez te dziury.

A Romek tego dnia bardzo się spieszył, bo po raz drugi Wiera go do siebie zaprosiła i chciał matce powiedzieć, że dosyć późno do domu wróci. Dziewczyna mieszkała z matką w dwu pokojach na ulicy 3 Maja, która teraz Stachanowa się nazywała. Pierwsza jego wizyta u niej nawet przyjemna była, więc ta druga go cieszyła. Matki Wiery w domu wtedy nie było, bo do późna w szkole zostawała, ale piec był napalony i w mieszkaniu panowało miłe ciepło. Gdy przyszedł, Wiera zaraz patefon nakręciła i nastawiła jakąś sowiecką płytę. Później do tańca go zaprosiła, ale Romek nie umiał. Z płyty jakaś sentymentalna melodia płynęła, więc rezygnując z tańca stali w miejscu i przytuleni kołysali się w jej takt. Wiera ręce mu nawet na szyję zarzuciła i patrzyła w oczy, jakby czy mu się podoba w nich wyczytać chciała i jej



cielące łzami zaszyły. Coraz przyjemniej było. Romek jej piersi przez sukienkę czuł i myślał czy by ich nie pomacać, bo jeszcze nigdy nie macał i ciekaw był. Bał się jednak, że matce gotowa powiedzieć i ta w piekło mu szkołę zamieni. A później Wiera go pocałowała i „lubu tiebia” szeptać do ucha zaczęła.

Wtedy Romek się wystraszył, że go może na tapczan, który pod ścianą stał zacznie ciągnąć i powiedział, że już musi iść do domu. Z sowietkami nic nie wiadomo. Rozczarowana była, że tak krótko gościł i jak do drzwi odprowadziła to „doświdania, gałubczyk” powiedziała.

Tego kolegom nie powtórzył. Durne jakoś, to „gałubczyk” mu się wydało. A ciekawi byli, pytali się jak tam u Wiery się udało. Ot, całowali my się, tańcowali, odpowiadał i czuł, że są rozczarowani tym co usłyszeli. Dziś znowu do niej się wybierał. Zdeterminowany, postanowił, że już nie ucieknie tak jak za pierwszym pobytem, bez względu na to co się stanie.

Gdy przyszedł, Wiera już się niecierpliwiła, że się spóźnia. Najpierw siedząc na tapczanie o szkole trochę rozmawiali, ale rozmowa za bardzo się nie kleiła, bo Romek nie umiał mówić po rosyjsku i polskie słowa ukraińskimi przeplatał. Wreszcie dziewczyna za rękę go wzięła i do patefonu doprowadziła. Nastawiła płytę. Znowu, jak za pierwszym jego tu pobytem, chwalili się pod dźwięk jakiejś melodii. Ręce mu na szyję założyła i zaczęła nucić o jakiejś „lubwi”, tylko, że on jaka ta „lubow” nie mógł wyrozumieć. Ośmielił się mocniej ją do siebie przycisnąć i ona nie broniła, a nawet oczy przymknęła, jakby nie chciała tego widzieć. Zaczął z sobą walkę. Chciał rękę na jej piersi położyć i nie był pewny, jak dziewczyna na to zareaguje. Całą odwagę starał się zmobilizować. „Bóg mi powierzył honor Polaków”, słowa Poniatowskiego mu się przypomniły. Postanowił wreszcie, że do trzech policzy i wtedy... Złapał się później, że już czwarty raz odliczył, piąty, i szósty... Przypomniął wreszcie, co mu Janek powiedział, że to zasługa będzie jak sowietkę uwiedzie. Zdjął rękę z jej talii. Dla ojczyzny, pomyślał. Co będzie, to będzie.

- Nie miętoś, tylko głąskaj - szepnęła. Całować go nawet zaczęła. Zaraz na kanapę pociągnie pomyślał i poczuł, że mu ciarki idą po plecach ze strachu, że nie potrafi. Toż będzie się z niego śmiać, ta wróg polskiego narodu, przedstawicielka władz okupacyjnych. Że Polacy takie safanduty potem będzie opowiadać. „Bóg mi powierzył honor Polaków... Przez swe nieuświadomienie, tylko wstyd Polsce sprawi.

– Nikt tak jak sowieckie dziewczyny kochać nie potrafi – szepnęła mu do ucha, mocniej brzuchem się przyciskając Wiera.

– Polskie lepiej – obruszył się patriotycznie, chociaż mało na ten temat wiedział.

– Ale sowieckie najładniejsze są – nie dawała za wygraną, może chcąc komplement sprowokować.

– Polki ładniejsze – uparł się Romek.

– Ty polskij nacjonalista – w jej głosie słysząc było, że zaczyna się złościć.

– A ty sowiecka dura.

– Ty mnie durą nie nazywaj. Wiedz, że sowieckie wszystko najlepsze – rozkrzyczała się zdejmując mu ręce z szyi. Myślał, że się wściekła. – I dziewczeczki najładniejsze, i paryni najprzystojniejsi, i muzyka najlepsza, i patiefony...

– I gównu najmocniej śmierdzi – odpowiedział, narzucając już kozuszek. Gdy potem o wizycie u Wiery opowiadał kolegom, orzekli, że trzeba było jej bajdurzenia przemilczeć. Nie na dysputy przecież do niej poszedł.

– Trzeba było jej dogodzić, a później dopiero wyjść – Zygmunt orzekł.

Kłótnia z Wierą swój epilog miała. Wezwano Romka do dyrektora szkoły i ten mu zarzucił, iż Związek Sowiecki będąc u niej obraził. Że twierdził, iż w pańskiej Polsce wszystko najlepsze było i że Związek Sowiecki gównem śmierdzi. Że burżuazyjną i antysowiecką propagandę uprawia. Wyparł się wszystkiego i że to nie prawda, powiedział. Że Wiera to opowiada, bo jej „uchażorem” był i pokłócili się. A dziewczyna nie wybaczy, jak ją „uchażor” rzuci. Częściowo mu widocznie dyrektor uwierzył, bo jak raz piekło tego ranka w domu miał. Zazdrosna żona dowiedziała się, że z jakąś krasnoarmiejką ktoś go widział i żyć mu nie dawała. Palcem więc tylko Romkowi pogroził i „uważaj” przestrzegł. „Już ja ciebie na oku będę miał” – dodał. A Wiera na Wasylu swe uczucia przeniosła, któremu to, że ona sowietka nie przeszkadzało.

I Wasyl zaczął po lekcjach do Wiery chodzić. Pod pachę ją nawet brał jak dorosły, gdy przed szkołą się spotykali, niby żeby się nie pośliznęła na oblodzonym chodniku. Chłopcy w następnych dniach go opadali, ciekawi jak mu poszło.

– No, Wasyl. Opowiadaj.

Ale Wasyl po każdej wizycie u Wiery coraz bardziej się złościł, bo nic do opowiedzenia nie miał.

- Chalery na nią nic ma - kłął. - Na „patiefonie” gra bo tańczyć widocznie lubi. Tuli się, za szyję obejmuje, że kocha szepcze, całuje się, nawet za cycki pozwala macać, ale jak ja ją na tapczan położyć popróbował, to szarpała się i w jajca mnie kolaniem zajechała. „Czewo ty”, zapytałem, a zły już wtedy byłem bo bolało, a ona mnie, że „rebionka bajuś” mówi. Jak boi się, to niech boi się. Na lekcje tańca to ja nie zamierzam chodzić.

Ale poszedł. Tylko nie z Wierą ale jej matką, bo go poprosiła, by jej jakieś książki do domu pomógł zanieść. Myślał, że to wybieg córki, żeby go do ich mieszkania ściągnąć, ale jak przyszli, okazało się, że Wiery nie było, bo do kina poszła.

- Czajem mnie poczęstowała - Wasyl później opowiadał. - A jak my wypili, to patiefon nastawiła i czy tańcować umie pyta. „Nie umie”, powiedziałem, a ona „to nic nie szkodzi”. Dawaj po podłodze mnie ciągać. Taneczna rodzina, ja sobie pomyślał i że do domu mnie daleko. A ona objęła mnie, tak jak Wiera, gdy ja do niej chodził i swoimi harbuzami się przytuliła. I nagle czuję, że ręką mnie zaczyna rajcować, jak ta młodocia w Poczajowie. Tamta oczywiście młodsza była... Zakręcili my się jeszcze ze dwa razy po pokoju...

Śluchający chłopcy wypieków dostali. Otworzyli usta, nadwężyli słuch. Nauczycielka Wasyla uwodziła! O czymś podobnym jeszcze nie słyszeli. Nie bardzo mu nawet wierzyli.

- I co? - kilku naraz zapytało.

- No, i stało się. Przewaliła się na tapczan i mnie za sobą pociągnęła. Jak ja skończył i do domu chciał się wybierać nie puściła. Rękami objęła i „jeszcze, jeszcze” prosi. „Wdowa ja i muzyka nie mam” Pomogła mnie i ja zrobiłem to co chciała, a ona znowu „jeszcze” prosi... Nastraszyłem się. Kto to słyszał żeby nauczycielka tak? Pewno cholera wściekliznę macicy ma i musi. Z domu gotowa nie wypuścić, bać się zacząłem. Ledwo wyrwałem się z jej mieszkania. Śmiała się cholera, jak ja z kozuchem w rękę za drzwi wypadał.

- Pewno wściekliznę ma - przytaknął Wasylowi Zygmunt. Wiadział, że podziw kolegów na Wasyla znów zaczął się skupiać. Chciał Wasyla dokonania pomniejszyć. - Taka musi, to i zgwałciła ciebie. Sam by ty śmiałości do niej nie miał się brać - tak jak ja do Zośki miałem.

- A jaka ta wścieklizna - Janek koniecznie chciał wiedzieć.

- Baby na nią chorują. Taka chora to bez przerwy chce

- I szczęki jej tam wyrastają. Jak chłopak już nie chce, to zębami chwyta i nie puści,

- Bujasz.

- Jej Bohu, że nie – przeżegnał się nawet, chociaż nie był pewien czy to prawda.

Kilku śmiechem wybuchnęło, kilku uwierzyło i ciarki im poszły po plecach.

- A ty Wasyl sprawdzał, czy masz interes w portkach? Może odgryzła – któryś zażartował.

W parę dni po przygodzie Wasyla większa ilość uczni w gimnazjum się nie zjawiła, a i ci co przyszli, na wiadomość co się stało zareagowali pośpiesznym powrotem do domów. Nawet nie wiadomo kto tę straszną wiadomość przyniósł, ale z szybkością błyskawicy wszystkie klasy obiegła i sowieccy nauczyciele oczy wytrzeszczali nie rozumiejąc, dlaczego szkoła nagle opustoszała.

## 19

**N**aszych wywożą, gimnazjum obiegło. Kto? Gdzie? Kogo? Nikt nie wiedział. Podobno osadników ze Stafanówki pod Zdołbicą wzięli z całymi rodzinami. Jakies rodziny w mieście. Nikt, dokładnych wiadomości nie posiadał. Do wagonów na torach ich podobno ładują. Podobno, podobno... Panika wśród uczni wybuchła. Ubierali palta i kożuszki. Śpieszyli się do domów, by z rodzinami być w tym niebezpiecznym czasie. Nauczyciele starali się w drzwiach swoich uczni zatrzymać, ale nikt ich nie słuchał. Klasy opustoszały. Tłum uczni wysypał się przed szkołę i rozpiezchł się we wszystkich kierunkach. Biegli zasapani, byle prędzej dostać się do domów.

Chłopcom z ulicy Granicznej i kilku Ukraińcom ze Zdołbicy najbliżej było do domów po nasypie kolejowym. Gdzieś za przejazdem, koło Polskiego Domu, wojsko zamknęło im drogę. Zaczęło spędzać z torów.

- Nie lzia! Nie lzia! Won – krzyczeli bojcy, zwracając karabiny w ich stronę.

Ruszyli wtedy prowadzącą do tartaku i zasypaną śniegiem drogą wzdłuż nasypu kolejowego. Grzęzli po pas i pomimo siarczystego mrozu spływali potem. Za torami, przez odstęp między wagonami widoczny był sznur sani. Wyładowywano z nich ludzi. Domyślili się, dlaczego pan Kulesza otwory w podłogach wagonów towarowych wycinał. Wiatr niósł w ich kierunku zawodzenie kobiet, płacz dzieci i przekleństwa mężczyzn. Bojcy pohukiwali.



– Dawaj! Dawaj! Skareje!

Nareszcie dobrnęli do tartaku i skręcili w kierunku domów. Cisza na ich ulicy panowała i żadnych śladów płóz na gładkim śniegu nie było widać. Odetchnęli z ulgą. Nikogo tędy nie wywozili. Janek Karpiński wpadł do mieszkania i zastał matkę krzątającą się przy piecu.

– A ty co, nie w szkole? – zapytała.

– Ludzi na Sybir wywożą!

– Nie pleć głupstw – powiedziała.

– Całe tory zapchane saniami i do wagonów ładują. Całymi rodzinami. Dzieci, kobiety...

– Co ty – przerwała. – Gdzieżby w taki mróz? Serca by nie mieli – uwierzyć nie mogła, ale narzuciła chustę na plecy i wybiegła do sąsiadki. Wpadła do pani Marii.

– Słyszała Pani już?

– Romek mi powiedział. Nie do wiary. Żeby to w lutym i w taki mróz. Nie do wiary.

Chłopcy po sprawdzeniu, że ich rodziny są bezpieczne wyruszyli nad tory. Obstawione były tyralierą, żołnierzy i nikogo nie podpuszczano w pobliże wagonów. A już tłum ludzi zaczął wzdłuż nasypu kolejowego się zbierać. Niektórzy poszukiwali rodzin, bo nie zastali ich w domach, inni przyszli po prostu z ciekawości, by sprawdzić prawdziwość wiadomości obiegających miasto. Deportowanych skończono w tym czasie ładować już do wagonów i odjeżdżały sanie, które ich przywozły. W otworach wietrzników pod dachem ukazały się ludzkie twarze. Wzdłuż wagonów szło kilku żołnierzy. Jeden niósł w rękę jakieś papiery, drugi rozsuwał drzwi, dwu włożyło do środka. Uczyli załadowanych ludzi. Zimno trzęsło patrzących, ale nie odchodziło. Pewno nie zdawali nawet sobie sprawy, że byli świadkami jeszcze jednej z ogromu zbrodni komunistycznych, barbarzyństwa, które przejdzie do historii. Wciąż nie wierzyli własnym oczom. Pociąg był długi, z pięćdziesiąt wagonów liczył. Po dłuższym czasie dopiero licząca deportowanych grupa doszła do jego końca. Uspokoilo się, tylko tu i ówdzie z jakiegoś wagonu dochodził uszu stojących płacz kobiet. Odeszła grupa żołnierzy, która stała tyralierką wzdłuż nasypu kolejowego. Kilku pozostałych przechadzało się wzdłuż pociągu. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Czasami przystawali i opierając o pierś karabiny zabijali ręce.

Tłum ludzi stojących wzdłuż torów zaczął nabierać śmiałości i krok po kroku przysuwać się coraz bliżej pociągu. Czym bliżej był,

tym większej odwagi mu przybywało. Odległość kilku metrów już tylko od wagonów z deportowanymi go dzieliła. Jeszcze kilka kroków i rozciągnięty w długi wąż przystanął na odległość głosu od transportu.

- Kto wy?

- Osadnicy... gajowi... - odpowiedziały głosy z wagonów.

- Skąd?

- Z Bogdaszewa... Zdołbicy - zaczęły padać nazwy wiosek rozrzuconych w pobliżu miasteczka.

- Nad ranem przyszli, kwadrans na spakowanie dali... Wszystkich brali. Pani Strzeleńska 80 lat ma i wzięli... Pani Rybacka jest dwa tygodnie po porodzie i z niemowlęciem tu jest...

Ktoś z bochenkiem chleba chciał podejść do wagonu, ale bojcy rzucili się w jego kierunku i odpędzili.

- Nie lzia! Nie lzia! Won - rozkrzyczeli się.

Wymiana informacji między stojącymi wzdłuż pociągu i deportowanymi przybrała na intensywności. Ktoś prosił by zawiadomić rodzinę, że go wywożą, która w mieście mieszka, inny bliskich znajomych... Podawano nazwiska i adresy... Jakaś kobieta martwiła się czy odnajdzie ją jej mąż, którego w domu nie było gdy po nią przyszli, inna martwiła się o brata, którego aresztowano...

Niespodziewanie w kłębach pary przybyła lokomotywa. Doczepiono ją do pociągu. Sapała wciąż jak ogromny smok ze zmęczenia. Co chwila pluła na boki kłębami pary w jakichś atakach niecierpliwości i słup czarnego dymu, który z jej komina po dachach wagonów się kładł, rozciągnął się na długość pociągu. Wreszcie zasapała szybciej, gwałtowniej, obficie parą buchnęła i powoli zaczęły obracać się jej koła. Zadźwięczały bufory wagonów. Pociąg ruszył. Bardzo wolno się toczył. Czas dłuższy minął zanim nabrał szybkości. Na wschód, na Szepietówkę jechał. Stojący wzdłuż toru tłum podniósł ręce na pożegnanie rodaków o nie wiadomym losie. W wietrzniakach wagonów ukazały się jeszcze na chwile zapłakane twarze i machające ręce. Od pierwszego wagonu doleciały słowa „Pod Twoją obronę, uciekamy się święta Boża rodzicielko”. Podchwycili słowa modlitwy ludzie w następnych wagonach, a za chwilę we wszystkich.

Zegnającym deportowanych coraz mniejsze wagony na tle białego horyzontu się wydawały, by w końcu zostać tylko czerwoną kreską na śniegu. Wreszcie i ta zniknęła, tylko czarna plama dymu nad torami pozostała na chwilę, pokąd wiatr jej nie rozwiął. Ludzie do

domów rozchodzić się zaczęli. Nawet nikt nie zaklął, bo przygnębienie wielu ogarnęło i złe przeczucia.

Następnego dnia chłopcy do szkoły poszli. Co mieli robić? W klasach przygnębiająca atmosfera panowała. Przerzedziły się. Zauważyli, że w każdej kilku koleżanek i kolegów brakuje. Na przerwach stojąc małymi grupami wymieniali wiadomości. Milkli gdy Igor, Wiera czy Mosiek w pobliżu się znaleźli. Nagle uświadomili sobie, że o okupacji nie można zapominać. Że okupant to wróg bardziej bezwzględny niż wydawać by się mogło. Że w komunistycznym systemie wiek przed prześladowaniem nie chroni. Przecie dzieci i niemowlęta wywożono. Pięknej Ołesi też w klasie zabrakło. Gdy po kilku dniach nie wróciła, zrozumieli, że to nie tylko Polaków deportacje objęły, ale i Ukraińców. Ci także beztróskę młodości stracili. Spójnia jakaś w obliczu niebezpieczeństwa uczni obu grup połączyła. Razem wypadki omawiali i razem klęli najgorszymi słowami. Dyrektor stwierdził widocznie, że musi się do tych wypadków ustosunkować, bo nikt o nauce nie myślał i dyscyplina szkolna nie istniała. Rozprzegła się całkowicie. Kto chciał i kiedy chciał do szkoły przychodził, lub z klasy w czasie lekcji wychodził.

Któregoś dnia kazał wszystkim pozostać po lekcjach i dłuższy wykład wygłosił. O dobrodziejstwach systemu sowieckiego mówił, o tym jak na koszt państwa kształcić się mogą, a w pańskiej Polsce za gimnazjum płacić musieli. I o wrogach tego systemu, dla których on jest bez litości. O szpiegach i burżuazyjnych prowokatorach. O sabotażystach i o polskich panach i kułakach, którzy krew robotniczą pili jak pijawki, a których teraz wywieziono, by nauczyli się sami na siebie zarobić uczciwą pracę.

Wasył miał tego dosyć. Do domu mu było ze trzy kilometry, a ten tu gada i gada, a na dworze zmrok już zaczął zapadać. Wiedział, że Olesia siostrę dwuletnią miała, którą z nią deportowano, a jego ojciec dwadzieścia hektarów i za przestępcę czy pasożyta się nie uważał. A jak parobków zatrudniał, to im płacił i wdzięczni mu byli, że zarobić mogli. Zapalczywy charakter miał i łatwo nieopanowanym gniewem wybuchał.

– Breszy Iwane no miru maj – rąbnął i powstając z podłogi, na której wszyscy na korytarzu siedzieli, skierował się do wyjścia.

Odważniejsi brawa mu bić zaczęli. Dyrektora zatkało. Z czymś podobnym nigdy się nie spotkał. Coś podobnego w Związku Sowietkim zdarzyć się nie mogło. Tam każdy wiedział co i kiedy powiedzieć

miął prawo. Każdy konsekwencje nieopatrznego słowa znał. Zmieszał się wieloletni wyjadacz partyjny. To co tu, na tym zebraniu się stało więcej go zdziwiło niż grom z jasnego nieba by zdziwił, gdyby w szkołę trzasnął. Przerastało to możliwości jego rozumienia. Toż on do tych swoich uczni mówił to, w co wierzył i co go zawsze nieomylna partia nauczyła, a ten to kłamstwem nazwał. Nie! Tego sowiecki człowiek nie mógł pojąć. Człowiek, który nie zdawał sobie sprawy, że już więźniem tej partii jest i jednocześnie sam sobie strażnikiem więziennym, pilnującym by mu wątpliwości jakieś w duszy się nie zagnieździły. I nie tylko on pojąć wystąpienia Wasyla nie mógł, ale też przybyli z nim nauczyciele. Zaszemrali z oburzeniem. Nikt obowiązującego po zebraniach „internacjonau” nawet nie zaintonował i nie zatrzymywał, jak młodzież zaczęła rozchodzić się do domów.

A następnego dnia pan Bałandziuk wywołał z klasy Wasyla i poinformował go, że dyrektor kazał mu stawić się w jego kancelarii. Ktoś później widział przez okno, że Wasyla wyprowadziło z budynku jakichś dwu mężczyzn. Chłopak już nigdy do gimnazjum nie wrócił, a w parę dni później ktoś przyniósł wiadomość, że nie wrócił też do domu. Wiery matka przez trzy dni z czerwonymi od płaczu oczyma chodziła i nikt nie wiedział dlaczego.

## 20

**J**uż śniegi zaczęły się topić i słońce od czasu do czasu pokazywać. Rzadko to się zdarzało w początkach marca i niewielka korzyść z niego była, bo zimno wciąż dokuczało i stopiony śnieg zamieniał się wieczorem w oka lodu, pokrywające wyboje na drogach. Szaro przeważnie było i szare chmury zakrywały niebo. Ludność miasteczka też zszarzała i ubierała się w co miała najgorszego, by nie prowokować sowieckich żołnierzy, którzy każdego z lepiej ubranych uważali za burżuja i domagali się zegarka. Nawet w niedzielę, gdy tłum wypływał z kościoła, wydać się mogło, że to żebracy z całego Wołynia na nabożeństwo się zjechali. I głodnawo było. Sklepy świeciły pustkami lub zamykały się a ludzie zaopatrywali się w żywność po sąsiednich wioskach. Ale i tu wielu artykułów zaczynało brakować, a to co można było dostać rośło w cenie. Wielu gdzieś pod Lwów na zakupy jeździło, bo koleje zaczęły lepiej funkcjonować, chociaż zdarzały się częste wypadki. Ludzie ze Lwowa znowu na Wołyn przyjeżdżali, łudząc



się, że tu będzie taniej. Strach jak jakaś męcząca i chroniczna choroba na ludzi padł po niedawnych deportacjach i wielu zastanawiało się czy będą dalsze. Szeptem wymieniali wiadomości o tych, których zabrano nocą i już do rodzin nie wrócili. Było ich coraz więcej. Wielu ludzi też zniknęło z miasteczka, szukając bezpieczeństwa gdzie indziej. Najbardziej jednak przygnębiała bezsilność. Nikt swego losu nie był pewien i zmienić go nie mógł. Ziarnkiem między dwoma kamieniami młyńskimi się czuł.

Niepewność jutra i przygnębienie dotknęły też mieszkających przy ulicy Granicznej. Marczuk, Szymczuk i Szeremeta jak co roku pługi i brony zaczęli szykować do wiosennej orki, ale nie czuli tego zapału jaki ich w ubiegłe wiosny ogarniał. Niepewność jutra i ich gnębiła. Nie mogli przewidzieć, czy zbiorą we żniwa to co wiosną zasieją. Coraz uporczywiej krążyły pogłoski o kołchozach i nie byli pewni, czy z trudu ich pracy, kto inny nie będzie korzystał. Aż któregoś słotnego popołudnia pierwsze nieszczęście uderzyło w ulicę Graniczną i zakłóciło jej żłudny spokój,

Romek właśnie ze szkoły wrócił i zastał ojca drzemiącego na tapczanie po powrocie ze Lwowa. Matki w domu nie było, bo poszła na wieś szukać jajek i masła. Ledwo kromkę chleba ze smalcem zdążył zjeść, gdy ktoś do drzwi zapukał. „Psia krew” – pomyślał – „ojca gotów obudzić”. W progu stał młody Ukrainiec, którego nawet znał z widzenia, a który teraz w stworzonej przez sowieckie władze milicji służył.

– Ojciec w domu? – zapytał.

– Śpi.

– To go obudź.

Pan Tomasz sam w drzwiach jadalni stanął, bo widocznie pukanie przybyłego do drzwi słyszał. Milicjant przysunął się ku niemu.

– Towarzyszu Szwedziuk, na milicji was potrzebują. Chodźcie ze mną.

Pod Romkiem nogi się ugięły i krew z twarzy odpłynęła. Spojrzał na ojca, ale on był spokojny i opanowany, jak ktoś przygotowany od dawna już na to, że go aresztują. Nałożył kożuszek, wciągnął buty i pocałował syna w czoło. Wyszedł z milicjantem z domu i nawet się nie oglądnął. Może by Romek za ojcem wybiegł, może by na szyję mu się rzucił, może nie wstydził by się nawet łez, gdyby wiedział, że widzą się po raz ostatni. Ani on, ani ojciec tego nie wiedział i przewidywać przecież nie mogli. I matka długo nie wracała, a jak wróciła na

dworze już wieczór zapadał. Ona lepiej co się stało zrozumiała i chociaż odwróciła się do ściany, by jej twarzy nie mógł widzieć, Romek odgadł, że płacze

Ani tej nocy, ani następnego dnia pan Tomasz do domu już nie wrócił. Jasnym się stało, że go nie wypuszczą i pani Maria poszła na milicję dowiedzieć się gdzie siedzi. Było to stratą czasu. Wyparli się, że go wzięli i nie chcieli udzielić żadnej informacji. Dopiero w kilka dni później wpadł do nich Rysiek, z którym Romek kiedyś na obozie harcerskim był i powiedział, że widział jak kolumnę aresztowanych NKWD prowadziło na dworzec kolejowy i że wśród prowadzonych był jego ojciec. Ktoś krzyknął, że wiozą ich do więzienia w Równem.

Zaczęły się tygodnie w których co kilka dni matka lub Romek jeździli do Równego z paczkami dla więzionego. Przed więzieniem duża grupa ludzi zawsze stała i rejwach oraz tłok przy bramie panowały. Rodziny chciały dowiedzieć się co się dzieje z ich bliskimi lub podać dla nich paczki. O wiadomości było trudno, ale przyjmowano każdą paczkę. Z czasem wiele rodzin się dowiedziało, że ich bliskich w tym więzieniu nie było, a paczki po prostu kradli sowieccy strażnicy więzienni. Romek do szkoły przestał chodzić, bo musiał jeździć do Równego i pomyśleć o jakichś zarobkach. Pomagał tymczasem matce w wysprzedaży mebli, niepotrzebnego ubrania, naczyń i nadmiaru pościeli. Po oddaniu w więzieniu paczki dla ojca, wychodził na miasto sprawdzić co sprzedają w sklepach. Te w których można było kupić jakąś żywność było widać z daleka, bo z miejsca formowały się przed nimi długie ogonki. Jakimś cudem wciąż pracowała żydowska fabryczka cukierków i tłum przed jej bramą zawsze się tłoczył, w której mały kiosk się mieścił i wciąż w nim sprzedawano jaskrawo kolorowane cukierki. Skąd cukier dostawała, gdy od kilku miesięcy nikt go nie widział, było wiadomym tylko władzom okupacyjnym. Romek zaczął kupować cukierki i czasami nie dłużej niż dwie godziny po nie tylko stał. Nieźle na nich zarabiał lub wymieniał na wsi za żywność.

W końcu marca, gdy stał w tłoku przed fabryczką, przysunął się do niego młody chłopak. Z miejsca go poznał, chociaż od zimowych wakacji w Ostrogu nie widział i pomimo, że chłopska barania czapka opadała mu na oczy i zasłaniała pół twarzy.

- Porozmawiamy później, jak od bramy odejdziemy - powiedział do Romka tajemniczo. Nie przywitał się nawet.

Spotkali się, gdy już Romek kupił cukierki. Po przejściu paru kroków przystanęli we wnęce jakiegoś zamkniętego sklepu. Wtedy dopiero Witek rozmowę zagaił.

– Nie mów do mnie Witek, bo ktoś usłyszeć gotów. Igor teraz się nazywam. Igor Kryłow. Tak jak ten co bajki pisał, ale ty tego pewno nie wiesz. Mniejsza z tym – uśmiechnął się – Cieszę się, że ciebie widzę i że ciebie jeszcze nie wywieziono.

– To ty do ruskich teraz przystałeś – Romek nie mógł zrozumieć.

– Żebym ja ci w zęby nie zajechał. Ukrywam się i podobno mnie nawet szukają. Matkę mi swołoczy aresztowali. Że spod komuny uciekliśmy, nie wybaczyli. Mnie w domu jak po nią przyszli nie było – wyjaśnił, ubiegając pytanie rozmówcy.

– A mnie ojca aresztowali. Tu w więzieniu siedzi i paczki mu wożę. Dlatego w Równem bywam – informował Romek.

– Ot, swołoczy – Witek splunął na chodnik.

– A gdzie ty teraz mieszkasz. W twoim mieszkaniu, to już by ciebie cupnęli.

– Na peryferiach, u takiego nauczyciela, który w harcerstwie działał. Na strychu śpię i wziąć się nie dam.

– Jak znajdą gdzie mieszkasz, to i wezmą. Co zrobisz?

– Nie dam się. Do ich rajy już mnie żywego nie zawiozą, obronię się. Rewolwer mam. – Wziął Romka za rękę i na kieszeni swej kurtki ją położył, by ten broń mógł wyczuć i wiedział, że on nie żartuje. – I pomyśl. Gdyby każdy z nas w broń się zaopatrzył, gdy po ogródkach i rowach ją nasi żołnierze wyrzucali. Gdyby każdy z nas nocą wyszedł i jakiegoś bojca zakatrupił, to by już ich tu nie było – oczy Witkowi się zaświeciły.

Romkowi czas już było wracać i na pociąg bał się spóźnić. Umówił się z Witkiem na spotkanie za kilka dni. Pod fabryczką z cukierkami mieli się zobaczyć, bo tam zawsze tłum stał i nikogo to nie dziwiło.

Gdy po powrocie z Równego Romek opowiedział przyjaciółom o spotkaniu z Witkiem, zastanowiło ich to, co powiedział.

– Pewno z jakąś organizacją pracuje. Wywiedzieć się musisz jak znów go spotkasz, bo u nas nic tu się nie dzieje – Zygmunt zadecydował.

– Może to on tych bojców po nocy strzelał w Równem, o czym ludzie swego czasu opowiadali – zastanawiać się zaczął Janek.

– Zaraz on – ofuknął go Romek. – ten harcmistrz u którego mieszka też mógł, są i inni pewno, którzy broń posiadają. Dlaczego zaraz on?

– A czemu nie? Ma rewolwer, to i może.

Witek w umówiony dzień na spotkanie się nie zjawił i Romek się tym zmartwił. Gdy następnym razem do Równego pojechał, to też go nie zobaczył chociaż rozglądał się uważnie i po całym mieście się włóczył. Złapali go zapewne albo zastrzelili, pomyślał z miejsca.

– Ja bym tym się nie przejmował – Zygmunt go pocieszył. – Pewno ważniejsze sprawy miał na głowie, albo bał się wyjść do miasta. Gorszą wiadomość mam.

– Same złe wiadomości teraz.

– Ano tak. Kilkadzieśąt wagonów z dziurami w podłogach znów na bocznicę podstawili. Zaglądaliśmy z Jankiem wracając ze szkoły.

– Wywozić naszych znów będą. A może by podpalić można? – Jak? Jeden wagon podpalisz, a resztę uratują. Wszystkich nie spalisz. Nowe podstawią.

Romkowi przypomniał się pociąg wiozący deportowanych w lutym i słowa „Pod Twoją obronę” unoszące się nad wagonami. Później to, co ojciec kiedyś powiedział do matki, że pan Bóg pomaga tylko silniejszym. Nie chciał teraz przyznać ojcu racji, bo się bał, że ogarnie go beznadziejność i strach.

## 21

**K**wiecień przyszedł i słońce już w najlepsze grzało. Czasami tak mocno piekło, że mgła nad polami się unosiła, jak dymy jesienią na kartofliskach, gdy chłopcy ognie na nich palą. Wszystko schło gwałtownie i nawet po ulicy można było suchą nogą przejść gdy się uważało by nie stąpić w koleiny, w których wciąż błoto się czało. Pola zieleniły się żdźbłami oziminy. Jaskrawa, soczysta była, jak rzeżucha posiana na talerzach, by Wielkanocą baranka z cukru na niej postawić. Na wiśniach kwiaty się rozwinęły. Gałęzie ich białym puchem się okryły i liści na nich nie było widać. A było tych wiśniowych drzew tysiące. Każdy dom otaczały, każdy ogród, wzdłuż dróg stały szeregami kwieciami okryte, pyszniące się mnogością tego kwiecica i pachnące jak wyperfumowane kokoty. Nawet ze wzgórz za jeziorami, miasteczka nie było widać. Tonęło w bieli i tylko z jej morza dachy domów jak pokłady płynących po nim okrętów się wyłaniały i maszty kominów cementowni. I ta mnogość kwiecica jak pierścieniem miasteczko też otaczała i dopiero za nim zaczynała słać się zielen łąk i pól.



Ziemia wołyńska cały zasób powabu mobilizowała, by czarować nimi swych mieszkańców. Rozkochać ich w sobie wydawało się chciała, raz jeszcze zadurzyć na całe życie. Niektórzy mówili, że wiosną najpiękniejsza bywa, inni, że w żniwa gdy złoci się łanami pszenicy, gdy jak kobierzec perski pstrzy się kolorami kwiecica na łąkach. Inni, że jesienią gdy od klejnotów czerwonych jabłek uginają się gałęzie po sadach i stada ptaków Turkoczą skrzydłami nad ścierniskami, gdy pyszni się zlotem i czerwienią każde drzewo, jak kniaziowie jacyś kiedyś w złotogłowie chodzący, jak młodzieńcy do ślubu idące w wyszywanych koszulach, w pękach wstążek i w sznurach koralu. A może zimą, gdy śnieg dziewiczy ją pokryje? Kto wie? Kto rozsądzi?

A bogata była! Czarnoziem ją pokrywał i rodziła obficie. Słoma pszenicy pod ciężarem ciężkich kłosów się tu ugiwała, gałęzie się łamały od ciężaru owoców, soczysta trawa na łąkach pasa sięgała. A w lasach dęby potężne rosły, że każdy z nich Dewajtisem mógłby być i sosny tak wysokie i strzeliste jak najwyższe maszty na okrętach. I pola azalii żółto na niej zakwitały i pachniały tak, że w głowach durzyło i jak nic na świecie pachnieć nie potrafi. Nikomu swego bogactwa nie żałowała. I ludziom go starczało i zwierzętom, i ptactwu, którego tu zatrzęsienie było.

Nic dziwnego, że kochana ta ziemia była i jej mieszkańcy nie żłowali krwi ani mienia, gdy jej bronić było trzeba. Tyle krwi w nią wsiąkło w ciągu wieków, że wyobrazić sobie tej ilości nie można. Ostatni raz jeszcze w 1920 roku, i na każdym cmentarzu, w każdym miasteczku znajdowały się groby tych, którzy jej bronili. Zdarzało się, że rolnik skiby wiosną pługiem odwalając, kości tych co dawniej dla tej ziemi padli wyorywał. A wokół wiosek kurhany trawa porastała, jak symbole do tej ziemi miłości. Wiosną żółciły się mnóstwem kwiatów mleczka, jesienią rumianki je upodobały. Wśród zieleni trawy polacie ich pachnącej siwizny z każdym rokiem bujniej się rozrastały.

Wieczór już piękny się zbliżał gdy Romek na pokryte kwieciami drzewa sadu patrzył, które ojciec sam zasadził i myślał jak on więzieni znosi. Z zadumy wyrwał go Janek, który szedł z wiadrem po wodę do studni.

– Sowiecka ciężarówka drogą ku nam jedzie – krzyknął.

Romek podniósł głowę i spojrzał na drogę. Już ryk motoru było słychać i przez gałęzie wiśni widać, jak samochód podskakuje na wybojach i chwieje się na boki, wpadając do kolein. Matka z Kryską wyszły z domu popatrzeć kto jedzie, bo samochody na tej ulicy pra-

wie nigdy się nie pokazywały. Był już blisko, wreszcie zatrzymał się przed furtką ich domu. Wskoczyło z niego dwu bojców z karabinami w rękach. Weszli na podwórze.

– Sobierajcieś z wieszczami – jeden powiedział. – Tylko szybko. Pojedziecie na pieresilenie.

– Dokąd – matka zapytała.

– Do męża.

Pani Maria wpadła do mieszkania. Zaczęła wrzucać do worków po kartoflach ubranie i pościel, garnczki i zapasy jedzenia. Szybko, bez zastanowienia, bez sensu. Wszystko co pod rękę jej się nawinęło. Poganiała dzieci by dobrze się ubrały, nałożyły buty.

– Skoreje! Skoreje! – pokrzykiwali bojcy.

Romek chwycił narty i bojec zagroził mu drogę. Zdołał go jednak wyminąć i wybiec na podwórze. Podbiegł do płotu posesji Karpińskich.

– Janek – krzyknął – bierz narty. Zawsze chciałeś mieć, a ja so-wietom swoich nie zostawię.

Później zaczął nosić worki na ciężarówkę. Wysoka była i nie mógł ich do niej wrzucić. Jeden z bojców okazał się ludzkim człowiekiem i pomógł. Kryśka tuląc lalkę ryczała w niebogłosy, bojąc się, że na ciężarówkę nie będzie mogła się wydrapać po kole i zostanie. Uspokoiła się, gdy siedziała już przy matce. Ta starała się dowiedzieć od bojców dokąd ich wywiozą. Dobrze mówiła po rosyjsku, ale to niewiele pomogło, bo albo nie chcieli powiedzieć, albo sami nie wiedzieli. Jeden wrócił jeszcze na chwilę na podwórze i przyniósł stojącą pod ścianą siekierę do rąbania drzewa. Podał ją Romkowi.

– Biery, prygadzitsa – powiedział.

– Na Syberię nas wiozą – odgadła matka i zaczęła się modlić.

Zawarczał motor i ciężarówka ruszyła przed siebie. Przy płocie od ulicy stał Janek i pani Karpińska. Machali rękoma na pożegnanie. Zygmunt Bałandziuk wypadł na drogę.

– Pisz tylko – krzyknął.

Jak na komendę ogłądnęli się poza siebie. Wśród bieli kwiecica czereśni czerniał dach ich domu. Z komina szedł dym, bo pani Maria gotowała kolację, w czasie gdy ciężarówka pod dom podjechała. Boże drogi, w panikę wpadła. Czy ja drzwiczki do pieca dobrze zamknęłam? Dom się może spalić. Chwyciła za rękaw siedzącego obok niej bojca.

– Wiernut nam nada. Wiernities.

Wytrzeszczył oczy, roześmiał się. Wariatka ta polska kontrrewolucjonistka, pomyślał. Pani Maria mu tłumaczyła, że dom się może spalić, że nie jest pewna czy drzwiczki do pieca zamknęła i kawałek węgla może wypaść na podłogę. Już nie to, że ich deportują wydawało się jej najważniejsze, tylko by dom ratować. Bojec nie mógł zrozumieć, że większego zmartwienia w tym momencie nie ma. On tego domu nie budował. On nie musiał oszczędzać, ciuć grosz do grosza, odmawiać sobie wszystkiego Przez kilka lat. On nie wiedział ile wysiłku, ile wyrzeczeń ją z Tomaszem ten dom kosztował.

Jego ani wspomnienia ani nadzieje z tym domem nie wiązały. On w nim wielu szczęśliwych lat nie spędził, nad kołyską dziecka w nim się nie pochylał, nie wychowywał w nim dzieci, nie przeżył trosk i radości, nie łączył z nim nadziei szczęśliwej spokojnej i Tomaszem starości. Panika ją ogarnęła o ten dom. Spalić się przecież może. A bojec patrzył na nią osadzonymi głęboko w tępej twarzy rozbarwionymi oczyma i nic nie rozumiał „Z uma zosła” – myślał.

Samochód podskoczył na wyboju i musieli uchwycić się poręczy. Kryśka lalkę wypuściła z ręki i rozkrzyczała się w niebogłosość, ale bojcy dla lalki nie chcieli ciężarówki zatrzymać. Widoczna była jeszcze przez chwilę jak leżała na poprzek koleiny przypominając dziecko po jakimś wypadku. Na wąskiej ulicy w otwartej ciężarówce wojskowej gałązki wiśni biły siedzących po głowach i plecach. Strącone płatki pokrywały deski podłogi i jak confetti czepiały się włosów. Pani Maria urwała jakiś kwiatusek i trzymała go w zaciśniętej dłoni nie wiedząc co z nim począć. Chciała go jako pamiątkę z tej ziemi zachować, na którą może już nigdy nie wróci. Wargi jej się lekko ruszały i Romek odgadł, że się modli. Wiedział, że im te jej modlitwy nie pomogą, bo Pan Bóg jest zawsze po stronie silniejszych. Teraz silniejszymi byli ci bojcy z bagnetami na karabinach, a nie oni. Chciał matce powiedzieć żeby przestała się łudzić. Że jej modlitwy to strata czasu i że ojciec miał rację, gdy tak twierdził. Ust jednak nie otworzył, bo nie chciał sprawić jej przykrości.

## 22

**N**ie pomogły Marusi ziółka pani Alicji. Z dnia na dzień coraz grubsza była. Stary Marczuk gdy sąsiadów spotykał, już nie kłął ale się żalił, że go los tak okrutnie dotknął. Porządny był z niego człowiek i znajomi mu współczuli. Dziewczyna nigdzie się nie pokazywała

i wstydziła się z ludźmi spotkać. Raz tylko Zygmunt ją przy bramie zobaczył, gdy kury na podwórko zapędzała, które na ulicę wyszły. Widząc, że chce uciec przytrzymał ją za rękę.

– No, jak tam Marusia – zapytał.

– To nie widzisz? Nieszczęście. I żeby ja jeszcze temu winna była – rozplakała się.

– Co ty? Po co? Nie płacz – starał się ją uspokoić i chustkę jej podał, by oczy wytrzeć mogła. – Ot, swołocz sowiecka. Kradną, aresztują, wywożą. Romka też już nie ma...

– Wiem – chlipała – Szeremetę też po nocy wywieźli i nawet nikt nie widział. Ukraińca! A mówili, że przyszli nas od polskich panów uwolnić. Ażeby ich podusiło! Życie mi złamali. Kto mnie teraz zechce z sowieckim dzieckiem? Całe życie na chlebie braci przyjdzie się zmarnować.

Zygmunt wyczuł, że wyzalić się chce. Że może nawet wdzięczna mu jest, że jej słucha. Że może w domu z mrukliwymi braćmi i zmar-twionym ojcem rozmawiać o swym nieszczęściu nie mogła, wypłakać i o losie okrutnym porozmawiać. Że ma dosyć i tego niezasłużonego wstydu przed ludźmi i gryzienia się w sobie. Żal mu się jej zrobiło.

– Ja ciebie zechcę – powiedział. Nie z przekonania, tylko aby ją pocieszyć.

– Dzieciuch ty i głupi – uśmiechnęła się przez łzy i poszła za ku-rami

Zygmunt z Jankiem bardzo rzadko w tym czasie do szkoły chodzili. Klasy się w niej przerzedziły, z przedwojennych nauczycieli nikt też już nie został i dyscyplina się rozprzęgła. Tylko te najmłodsze jeszcze regularnie do szkół szły i Stefka Bałandziuka z Basią Karpińską co rana można było zobaczyć jak ku miasteczku po miedzach się włoką. Nieobecny żadne konsekwencje nie groziły. Rozprzęgła się też dyscyplina domowa. Zbyt wiele ważniejszych spraw rodzice na głowie mieli, by za bardzo co młodzież robi pilnować. Zdobycie żywności, każdej kromki chleba wymagało wiele czasu i wysiłku. Zresztą czuli, że ich sytuacja się zmieni i życie tymczasowym torem się toczy. Ta tymczasowość ogromny wpływ na nie miała.

Niegdyś schludnego, zamożnego i kipiącego życiem miasteczka poznać nie było można. Wyludniło się, zszarzało nikt wieczorami w parku nie spacerował, bo było niebezpiecznie i nie piszczwały w nim dziewczęta gonione przez chłopców. Śmierdziało w nim, bo sowieccy żołnierze trawniki zasrali. Kawiarnia Biernackiego zamknięta była



i nie szły do niej gromadnie rodziny po każdej mszy w kościele, jak kiedyś na ciastka. Pod wyszynkami Ropa i Krasuskiego podchmieleni robotnicy nie śpiewali wieczorami, ani chłopci w dni targowe, bo pić nie było co. Niegdyś beztroska atmosfera zamożnego miasteczka znikła bez śladu. Strach na nie padł, ludzie przycichli, przyczaili się, w oczy rzucać się nie chcieli i mówili szeptem, by nie zwrócić na siebie uwagi. Wtulali głowy w ramiona i najchętniej niewidocznymi by się stali. W oczach strach się czaił i podejrzliwość. Na boki spojrzenia czujnie biegały. Może śledzą? Może już po mnie idą?

Zwierza osaczonego miasteczko przypominało. Zwierza, którego wpędzono w jakiś kąt, z którego cofnąć się już nie mógł ani w bok się rzucić, a z przodu sfera ogarów mu drogę ratunku odcięła i on bronić się sił już nie miał i sapał tylko wyczerpany oraz zrezygnowany. W oczach strach mu się tylko czaił i nienawiść. I pomimo wszystko agonię chciał przedłużyć, bo umiowanie życia silniejsze było od wyczerpania, strachu i rezygnacji. Więc zęby szczyrzył i nienawiść straszna podsuwała mu w rozpaczliwej chwili nadzieję odwetu.

Ta atmosfera beznadziejności i tymczasowości młodzieży też się udzielała. Włóczyli się grupami bez celu, próbowali handlować z bojcami i z kim się dało. Wydawali pieniądze na papierosy i kopcili je w wysokiej trawie na łące, bo nikt ich tam nie mógł widzieć. I radzili lub jałowe rozmowy godzinami prowadzili. Planowali sabotaż i napady na żołnierzy sowieckich, które na planach tylko się kończyły. A gotowi byli na wszystko jakiejś akcji i odwagi by im może nie zabrakło, tylko nikt się nimi nie zajmował, nikt nimi nie pokierował. Może za wcześniej jeszcze na to było? Po deportacjach, w dniach niepewności i gdy wciąż dowiadawali się, że kogoś w nocy zabrano. Tymczasem gwałtownie dojrzewali, albo im się tylko tak wydawało. Dorosłeli tak jak umieli, albo może na dorosłość się tylko zgrywali. Ćmili papierosy, nie chodzili do szkoły, zaglądali pod sukienki leżącym z nimi w trawie dziewczętom, a jak ich nie było to o dziewczynach rozmawiali.

I w tym czasie Wiera, która jako Ruska Wiera już była znana, w jakimś chłopaku ze starszych klas się zakochała. Lato było i już po szkole nie tańczyła pod dźwięk patefonu, ale zaczęła na łąkę z nim na spacerować. Tam nie obroniła się i jak później opowiadano „tak ją rozanieliło, że sama majtki zdjęła i o świecie zapomniała”. Pech chciał, że chłopak z rodziną na stronę niemiecką w parę dni później uciekł i Wiera najpierw całymi dniami płakała, a później chłopaków zaczęła kokietować i zmieniać ich – mówiono – „jak rękawiczki”.

- Tak jej zasmakowało - Rysiek Różycki opowiadał, który przez ulice od Wiery mieszkał - że bez tego żyć teraz nie może. Chędożyła by się bez przerwy. Kto się nawinie, to nogi przed nim rozkłada.

- Iiii, nie przesadzaj - ktoś wąpił.

- Mnie w krzaki w ogrodzie kilka razy zaciągnęła. Jak Boga ko-  
cham. Majtek nawet nie nosi, żeby czasu nie tracić.

Trochę prawdy w tym było co mówił, bo Wiera zawsze gronem chłopaków otoczona ze szkoły wracała, gdyż nic tak jak łatwość nie przysparza dziewczynie admiratorów. Nawet lekcje zaczęła opuszczać i na łąkę, tak jak miejscowa młodzież, ze swoimi chłopakami chodzić. Nie ważne to było. Łąka nad jeziorami i rzeką kilometrami się ciągnęła i wystarczało na niej miejsca, by można było swobodnie rozmowy w swoim towarzystwie prowadzić z daleka od Wiery, przy której lepiej było trzymać język za zębami. Tylko w tym czasie oddziały pionierów w szkołach organizować zaczęto, do których nikt się nie palił, pomimo, że czerwone chustki na szyję w nich za darmo dawano. Przy małej ilości chętnych, kierownictwo ich spodziewało się, że przynajmniej młodzież, która z rodzicami przyjechała z Rosji, regularnie na zbiórki pionierów będzie chodzić. A Wiera zaczęła je opuszczać, pomimo, że Mosiek zaczął koło niej się kręcić i oczekiwał na nią przed każdą zbiórką. Widocznie nic ją nie obchodził, bo z Kazikiem, synem wziętego niegdyś zduna na łąkę wtedy przychodziła.

Kiedyś, gdy kto piec musiał stawiać, tylko pana Wodziła do tej pracy angażował. Jak on jakiś piec wymurował, to ten nie dymił, grzał i „cug” w nim taki był, że aż w kominie huczało. A Kazik był wyrośniętym osiłkiem, barczystym, silnym jak niedźwiedź i nikt z nim nigdy draki żadnej nie rozpoczynał, bo nie chciał z krwawym nosem chodzić. Nie za mądrym był i przed wojną w każdej niemal klasie dwa lata siedział. „Ten to potrafi jej dogodzić”, mówili koledzy, którzy go widzieli latem kąpiącego się w rzece. Ktoś nawet podglądał go jak z Wierą w trawę szedł i opowiadał, że dziewczyna „oj, oj” krzyczała, ale Kazik się tym nie przejmował i pompował póki nie skończył. „Dobrze jej tak, sowiecce, niech się męczy” - Zygmunt słuchając opowiadającego powiedział.

Po którejś opuszczonej przez Wierę zbiórce, Wiczysław Fomicz, który pionierami się zajmował, wyznaczył Igora, by jej przypilnował i dowiedział się gdzie dziewczyna się podziewa. Przejęty zadaniem Igor za Wierą i Kazikiem na łąkę się zakradł i na gorącym uczynku ich podpatrzył. Awantura wybuchła Wiczysław Fomicz dłuższą rozmo-

wę z matką dziewczyny odbył. Rozzłościła się bardzo na córkę, ale jeszcze więcej na Kazika i pana Wodziła zaraz poleciała. Ten nie przejął się awanturą i groźbami.

– Jak suka chce, to pies musi – zakonkludował.

A gdy sąsiadka, znana na całe miasteczko plotkara i dewotka raz do niego przypadła i zaczęła oburzać się, że ten zberezeństwa syna z „tą sowietką” toleruje i nie zamknie go w domu, wytłumaczył jej swój pogląd na sprawę tak, że jeszcze bardziej się oburzyła i przestała z nim rozmawiać.

– Widzicie, pani Anielu – powiedział. – Za polskich czasów to te studenty w gimnazjum i po osiemnaście albo dziewiętnaście lat mieli i kobiety aż do ślubu nie próbowali. Wszystkie dziewicami byli, tak jak dziewczęta, bo u nas żadna koza przed ślubem nie ośmieliłaby się... A ta sowietka, pani pół gimnazjum nauczyła i kto tu chłopakom zabroni. Posłuchają to? Wdzięczne jej pewno są. I nie nasza przecie ona, więc co tu się martwić.

Pani Aniela oczy wytrzeszczyła i nie wiedziała co o tym powiedział sądzić. Chyba żartuje z niej?

– Toż niemoralne to, co mówicie panie Wodził – wykrztusiła. – I dziecko z tego bajstrukiem zostać się może. Nawet sowieckie, a taki to niewinne i szkoda.

– Na metryce z kopę ojców będzie można mu wpisać. Będzie miało więcej ojców niż dziecko w chrześcijańskim małżeństwie spłodzone.

Pani Aniela przybladła i słowa wykrztusić już nie mogła. Dopiero w niedzielę księdzu wszystko opowiedziała, a on tylko westchnął. „Takie czasy” powiedział i ręce bezradnie rozłożył.

Kazika jednak wyrzucono ze szkoły i dzieci później za nim biegały, jak szedł po mieście. „Kazik Wodził, sowiecce dogodził” – skandowały, ale on się tym nie przejmował, tylko na odwrót, jak paw się puszył. Ale na łąki już w czasie lekcji nie można było uciekać, bo dyrektor gimnazjum załatwił, że patrole milicji od czasu do czasu na nie się zapuszczały i zaczęły łapać wagarowiczów.

## 23

**G**dzieś w lipcu Marusia dziecko urodziła. Pani Alicja je przyjęła i opowiadała, że jest zdrowe i ładne. Marczuk i synowie podobno klęli najgorszym słowem jak je od położnej wyniosła by pokazać i za bar-

dzo patrzeć nie chcieli. „Czort by go wziął” – Marczuk powiedział. Na klepisko splunął, roztarł butem i westchnął tak żałośnie, że aż jej się szkoda go zrobiło. Nawet do Marusi nie zaszli zobaczyć jak się czuje, a później butelkę odbili i pili na umór, siedząc wokół stołu z minami jak na stypie. „Dwa razy więcej ja bym pani zapłacił za fatywę, gdyby to czortowe nasienie, przy porodzie udusiła” powiedział stary takim głosem, jakoby i do niej żał czuł, a przecież porządny jest z niego człowiek. Że coś podobnego mu do głowy przyszło, zrozumieć nie mogła.

Sąsiedzi na chrzciny czekali, bo nawet bękarta jednak ochrzcić trzeba. Zamiast chrzcin, w jakie dwa tygodnie po porodzie, odbył się jego pogrzeb i Maruśka bardzo nad trumną podobno płakała, ale nikt tego nie widział, bo na pogrzebie tylko najbliższa rodzina była. Wczesnym rankiem Marczuk wozem z trumienką do cerkwi wyjechał, jak gdyby ciekawych oczu sąsiadów chciał uniknąć. Tylko Maruśka obok ojca na wozie siedziała i starszy z braci, który Marczukowi trumnę miał pomóc nieść na cmentarzu. A później pan Raczek głośne krzyki z Marczuków zagrody słyszał, gdy z psem na spacer wieczorkiem wyszedł. Okna otwarte mieli, bo gorąco było i cała rodzina w tej awanturze udział brała. Maruśka podobno brata Iwana od bandytów i morderców wyzywała.

– Na moju hołowu... Na moją głowę, niech to będzie – Iwan podobno kilka razy powtórzył i pan Raczek przysiąc był gotów, że jego słowa wyraźnie słyszał.

– Na twoju hołowu – stary Marczuk przytakiwał.

– Boże pomyłuj – Maruśka później łkała i ojciec jej wtórował. –

– Boże pomyłuj nas.

Pani Karpińska słuchając opowiadania Raczka zgadywał że pewno dziecko Marczukowie zadusili, bo nikt go przecież nie chciał. Może to i lepiej, że tak się stało, powiedziała, bo i dziecko nieszczęśliwe by było i Maruśka. Pani Bałandziukowa z nią się tylko nie zgodziła, gdy wszyscy Karpińskiej przytakiwać zaczęli. Grzech to wielki, twierdziła i dziecko niczemu nie winne. Pewno rację, miała, ale jednak śmierć bękarta wiele problemów rozwiązała i z tym wszyscy zgodzić się musieli. Marczuk później opowiadał, że dziecko nagle zasłało i w czasie snu zmarło, a wszyscy udawali, że mu wierzą.

Lato tego roku piękne było, jak gdyby natura chciała wynagrodzić ludziom nieszczęścia, które ich spotkały, głód, który wielu nawiedzać zaczął i żył po tych, którzy odeszli i nie wiadomo czy wróć. Prażyło



słońce i trawy na łąkach pachniały. Bociany jak zawsze nad jeziorami brodziły po mokradłach. Dla nich niewiele się zmieniło. Pszczoły wśród kwiatów się uwijały, przysiadaly na nich motyle. A zatrzęsienie tych kwiatów było. Główki ku słońcu podnosiły i pyszniły się bogactwem kolorów. Wieczorami żaby kumkaniem znać dawały, że słońce za horyzont się chowa i że dopiero po krótkiej nocy na niebo powróci. Tu na łąkach i nad rzeką zapomnieć o wszystkim było można, dać się oszukać, że nic się nie zmieniło i poddać ułudnej przecież normalności.

Młodzież jak kiedyś chodziła kąpać się w rzece. To „kiedyś” takie niedawne było, a tak odległe się już wydawało. I jak kiedyś Handzię kąpiącą się w brodzie zastawali. Zauważyli, że w majtkach już pluśkała się w wodzie i piersi jej rósć zaczęły. Jeszcze małe były, jak dwie śliwki, ale ubiegłego lata i takich nie miała. Wciąż się cieszyła jak ich zobaczyła i nawet zmartwiła się, że Romka już wśród dawnej gromady zabrakło, ale odczuli, że jakaś niewidoczna bariera między nimi rósć zaczęła. Jeszcze nie mogli pojąć tego i nawet się nad tym nie zastanawiali. Aż któregoś dnia, gdy suszyli się na trawie po kąpieli, Handzia ni z tego ni z owego powiedziała coś, czego po niej się nie spodziewali.

– Lepiej by było, żebyście tu kąpać się nie przychodzili.

– Czemu – Baśka Karpińska zapytała, bo chłopcy nawet nie zwrócili uwagi na to co dziewczyna paple.

– Mnie to tam nie szkodzi – Handzia tłumaczyć zaczęła – ale chłopcy na wsi was nie lubią i odgrają się. Mówią, że to nasza rzeka nie Lachów i, że przy naszej wsi płynie... Że teraz policji nie ma, żeby was broniła. Pobić gotowi.

– W dupie ich mam – Zygmunt się zdenerwował.

Ale gdy któregoś dnia znów do kąpieli przyszli, zauważył, że grupa podrostków ze wzgórza od wsi się zbliża i że mają w rękach kije. Z tuzin ich było, więc zdał sobie sprawę, że Handzia nie bajdurzyła. Za dużo ich szło ku rzece, by można ich było zignorować. Gdy dobiegli do torów kolejowych i poculi się bezpieczni, Zygmunta i Janka ogarnęła złość i wstyd, że tak haniebnie jak zające uciekać musieli. I żał im było tej rzeki, nad którą tyle przyjemnych godzin spędzali niemal co dnia w ciągu lata. Do miejskiego kąpieliska daleko było, bo po drugiej stronie miasteczka się mieściło.

– Coraz mniej nas i pętla na szyi nam się coraz bardziej zaciska – Zygmunt raz do Janka powiedział, z zdumiewającą powagą – W Anglii

nadzieja i w Sikorskim. Jak szybko nie przyjdzie, to wszystkich nas sowieci wywiozą. Nikt nie zostanie... Ukraińcy to wiedzą i głowy podnoszą.

O tym samym pan Raczek z Karpińskim rozmawiał w sadzie stojąc i z miłością na swoje jabłonki patrząc, na których od zielonych jeszcze i nie całkiem nabrzmiałych owoców gałęzie się uganiały. Po-deprzeć je trzeba będzie, pomyślał, bo łamać się zaczną.

- To przez tych cholernych Francuzów my przegrali. Na pomoc nie przyszli, ofensywy nie zaczęli jak myśmy się bili, a teraz w dwa tygodnie się poddali. Napoleon w grobie się pewno przewraca.

- Nie do pojęcia... Ale kto to mógł też pomyśleć, że komuniści fa-szystom na pomoc przyjdą - nie mógł ciągłego zdziwienia ukryć pan Karpiński. - Kruczkowskiego, tego co z Szwedziukiem jednym parowozem jeździł, aresztowali za antyniemiecką propagandę. Tak się kochają cholery. Socjalistą był, lewicowcem, a taki to go wzięli. Na Hitlera najgorszym słowem klął, a okazuje się, że nie można.

- Nic nie można i lepiej język za zębami trzymać.

- Trudno czasami, Ukraińców też zabierają, a cieszyli się jak Polska przegrała.

- Na Niemców czekają, bo ci pewno na Ruskich uderzą. Wszyscy tak mówią. Chłopi kołchozów boją się, to im wszystko jedno kto przyjdzie, byle ziemi nie zabrali. Niektórzy łudzą się, że Hitler im samostijną Ukrainę da.

- A jakże. I Niemcy taka sama swołocz jak Rosjanie. A jakby im dał, to straszne tu czasy przyjdą - westchnął Karpiński. - Ja tam nie boję się, bo żonę Ukrainkę mam. Ale wie pan jak im łatwo jakoś przychodzi ludzi niewinnych rżnąć. Pamięta Pan co się działo, jak tylko sowieci przyszli? Wieleż to krwi przelali, a sowieci przecież i im i nam wróg...

Pan Raczek żółciejącą już papierówkę na drzewie zobaczył i podszedł by ją zerwać. Kwaśna była jak cytryna, o których, że istnieją, już ludzie zapomnieli i pomyślał czy nie można by tych niedojrzałych jabłek kroić do herbaty. Zauważył, że Iwan z Tarasem niosąc grabie na plecach szli grabić siano i skinął głową w ich stronę.

- Boh pomahaj - powiedział.

Nawet nie spojrzeli w jego kierunku. Udawali, że nie słyszą. A może i nie słyszeli? Ponurzy i małomówni zawsze byli i sąsiedzi się często dziwili, że taki dobry człowiek, jak Marczuk, synów całkiem do niego niepodobnych ma.

- No, widzi pan - Raczek na Karpińskiego wymownie spojrział.
- Młodzi, durni i ja bym się nimi nie przejmował.

Parno było i pewno na deszcz się zbierało. Pot im z czoł spływał i rozmawiać się odechciało. Całe szczęście, że wiaterek od łąk zaczął dmuchać przynosząc silny zapach siana. I grzęda maciejki pod oknami domu zasiana pachnieć zaczęła mocniej, bo już wieczór się zbliżał. Liście drżały lekko na jabłoniach przez chwilę, aż do nowego podmuchu wiatru, który coraz silniejszy był. Zakołysał gałęziami i pan Raczek zaczął żałować, że jeszcze ich nie podparł rosochatymi kołkami, które już dawniej przyszykował. Ciężkie od owoców kołysały się to w lewo, to w prawo, jak wahadła zegarów. Bociany z łąk na chałupę Marczuków wróciły na noc i machały skrzydłami śmiesznie wystawiając do przodu długie nogi, którymi na gniazdo starały się trafić, bo je wiatr znosił. A ten rósł w siłę i pewno gdzieś ze wschodu chmurę przypędził, bo na horyzoncie niebo szerniało i ta czerń przysuwała się coraz bliżej. Za chwilę już jak kłębi się, było widać i słyszać gniewne mruczenie grzmotów. Nagle błyskawica ją przeszła złotym zygzakiem, zamalowując na sekundę skłębioną czerń na żółto. Gruchnęło zaraz potem i łoskot po niebie od horyzontu do horyzontu się przetoczył. Wrony na topolach przy domu Szeremety rosnących ze strachu poderwały się z gniazd i wrzawę podniosły. Maruśka na chwilę na progu chałupy się pokazała i wyrzuciła na podwórze kociubę i łopatę do wyjmowania chleba z pieca. Miały dom od piorunów chronić. Ledwo zdążyła, bo za chwilę pierwsze krople deszczu spadły. Duże były i bębniły po liściach tak, że wydać się mogło, że to werbel gdzieś w gałęziach gra. Wkrótce obficie lunęło. Kurtyna wody za kurtyną szła i strumienie po ogrodzie zaczęły płynąć. Pić z nich drzewa korzeniami będą i poić pęczniejące na gałęziach owoce.

## 24

**W** czasie żniw, gdy pola złotem pszenicy się pyszniły i gdy ludzie odetchnęli, bo sytuacja żywnościowa poprawiać się zaczęła i po wsiach łatwiej było coś kupić, popełnił samobójstwo miejscowy organista. Litwinem był z Polką żonatym i pan Stągiewko, który spod Kowna pochodzi, często do niego zachodził na rozmówki po litewsku. W szachy razem grywali godzinami. Tego pamiętnego wieczora, organista powiedział żonie, że do Stągiewków idzie, a gdy do rana nie

wrócił zaniepokoiła się i pobiegła sprawdzić co z nim się dzieje. Okazało się, że u przyjaciela go nie było i wczorajszego wieczora nawet nie zachodził. Z miejsca przebiegło jej przez głowę podejrzenie, że pewno go aresztowali sowietci. Gdy jednak powiedziano jej na posterunku milicji, że go tam nie ma i że nie są nim zainteresowani, oraz żeby sprawdziła czy u kochanki nie spał, wpadła w rozpacz. Ktoś wreszcie ją poinformował, że widział jej męża poprzedniego dnia, jak przy miejskiej studni obok straży ogniowej stał i do obramowania zaglądał. „Z oczu mu źle patrzyło” – podobno. Organiścina sąsiada o pomoc uprosiła, sznur z kotwicą do łowienia wiader, gdy łańcuch się urwały wzięta i zaczęła po dnie miejskiej studni ciągnąć. Organisty w niej nie było. Trzy dni bez wiadomości od niego upłynęły, aż pech chciał, że gdy po wodę do studni przy kościele poszła gospodyni księdza, urwało się z łańcucha wiadro. Zarzuciła więc kotwicę i natrafiła na coś ciężkiego. Zaczęła ciągnąć za sznurek i z wody wyłoniła się twarz organisty. Pod brodę go kotwicą zahaczyła. Wrzask podniosła i sznur z ręki wypuściła. Ludzie nadbiegli, drugi sznur przynieśli i nieboszczyka z wielkim trudem wyciągnęli. W księdzowskiej studni się utopił i ludzie mówili, że wiedział, że grzech straszny popełnia i dlatego w chwili śmierci chciał być w pobliżu kościoła. A pan Stągiewko opowiadał, że przyjaciel bardzo okupację Litwy przez Rosjan przeżywał i coraz bardziej przygnębiony tym był. Rodzinę gdzieś pod Wilnem miał. On też był tym poruszony, bo młodości na Litwie zapomnieć nie mógł. W parę dni później pogrzeb organisty się odbył i pogrzebano go przy płocie cmentarza, gdzie tylko samobójców chowano. Nic prośby żony nie pomogły, by go pogrzebać w poświęconym gruncie. Ksiądz za nic nie chciał się na to zgodzić, chociaż pogrzebowy kondukt prowadził. Niektórzy nawet na to szemrali i mówili, że mógłby ksiądz dla organisty wyjątek zrobić. A ślusarz Paczkowski, który księży nie lubił i do kościoła nigdy nie chodził, nawet twierdził, że ksiądz na nieboszczyku się mści, bo teraz z księdzowskiej studni wody pić nic można.

Nowego organisty za nic nie można było później znaleźć, aż proboszcz zdołał uprosić pana Kozika, który na fortepianie grywał w orkiestrze, gdy kiedyś bale w Polskim Domu urządzano. Bumcyk go wszyscy nazywali, bo jak walczyka grał, to bum, cyk, cyk pod nosem nucił, co mu pomagało takt utrzymać. Kłopot był z nim, bo jakich nut by mu ksiądz nie dał, to on każdą melodię w rytmie walczyka przy końcu grał. Na początku nabożeństwa jako tako mu szło, a później



coraz bardziej to co grał brzmiało jak „Nad modrym Dunajem”. A Kościółkowa, która zebrząc zawsze przed kościołem siedziała, nagle modlitwy recytować monotonnym głosem przestawała, ożywiała się i zadzierając spódnicę pod brodę w takt walca się rzucała. Dzieci tylko na to czekały i wybuchały śmiechem, który aż w kościele było słychać. Nie można było do zgorszenia dopuszczać i obrażony pan Kozik został z posady zwolniony. Nabożeństwa tak smutne od tego czasu były, jak życie miasteczka.

I ledwo ludzie o samobójcy zapominać zaczęli, gdy obiegała miasto wiadomość, że Opałkę aresztowano. Że jego w spokoju nie zostawia, nikomu nawet przez głowę nie przeszło. Co dnia po mieście beczkowozem, w marną szkapę zaprzężonym, jeździł i wypróżniał wiadra spod sedesów drewnianych ubikacji, które w ogrodach stały, a później na pola to wywoził. Zaangażował go do tej pracy magistrat, gdzieś w trzydziestych latach, po sanitarnych rozporządzeniach generała Sławoj-Składkowskiego. W czasie okupacji sowieckiej, nadal to co i dawniej robił. Gównowozem go ludzie nazywali, co go bardzo bolało, gdyż wołał żeby „magistrackim pracownikiem służb sanitarnych” go nazywać. Nikt teraz tego beczkowozu pana Opałki nie reperował i pomimo że często do wojskowej komendantury miasta zachodził, nie chciano mu przyznać żadnych na to funduszy.

A nieszczęście spotkało pana Opałkę, gdy władze sowieckie paradę umyśliły w dniu „oktiabrskiej rewolucji” urządzić. Na wszystkich słupach zawieszono czerwone flagi, a na budynkach urzędów portrety Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. W poprzek ulic napiętymi transparentami z napisami w języku rosyjskim i ukraińskim szarpał wiatr i mało kto mógł je odczytać. Orkiestra strażacka ćwiczyła sowieckie marsze i międzynarodówkę, a muzycanci klęli w żywy kamień, bo wieczorami na próby przychodzić musieli. Wszyscy mieli w tej paradzie brać udział. I sowieckie oddziały, i strażacy, i kolejarze, i pracownicy cementowni, i szkoły czwórkami... Pierwszy raz też pionierzy w czerwonych chustkach na szyjach mieli w niej wystąpić. Mało ich było, więc zaczęto naciskać w szkołach na uczni, by więcej ich do pionierów się zapisało. Zygmunt i Janek wymówili się tym, że daleko mieszkają i na zbiórki im trudno będzie przychodzić.

– Oni nie dlatego – powiedział wtedy Mosiek – tylko bo są Polakami.

Nawet nie „Paliaki” powiedział po rosyjsku, ale „Polaczyszki”. Zygmunta mało szlag nie trafił, ale w szkole trudno było Mośkowi po

mordzie dać, więc odłożył to na później. Dopadł go dopiero po lekcjach. Chwycił za gardło i do płotu przycisnął.

– Już raz obiecałem, że mordę tobie skuję, a ty dalej swoje – zasyczał. Trzepnął go w twarz i poprawił z drugiej strony. – A nie uspokoisz się, to mocniej przyłożę.

Uciekając Mosiek odwrócił się jeszcze i z daleka już wrzasnął: „pożalujesz tego, ty antysemita”.

Aż przyszedł dzień defilady. Znowu więcej chleba w sklepach się pokazało i ogonki przed nimi długie stanęły od samego rana. A w tym czasie ustawiono trybunę na ulicy Stachanowa, która aż do parku i boiska sportowego się ciągnęła na którym biorący udział w defiladzie mieli się zebrać. Niemało ciekawych przy trybunie się tłoczyło i kilku milicjantów oczekiwało na tych, którzy na niej mieli zasiąść. Wreszcie zajechał samochód i wysiadło z niego kilku oficerów i jacyś cywile, widocznie bardzo ważni, ale nikt kto oni nie wiedział. Już dźwięki marsza od parku dolatywać zaczęły, znak że pochód rusza, gdy na ulicy ukazał się beczkowóz pana Opałki. Zza rogu Kościelnej się wyłonił i toczył podskakując na kocich łbach w kierunku trybuny. Koń człapał powoli i nie można go było zmusić do pośpiechu pomimo, że woźnica za lejce szarpał i batem konia po pięcinach ciął. Już zorientował się widocznie, że drogę defiladzie zajechał i starał się jak najszybciej dotrzeć do narożnika ulicy Lenina, by w nią skręcić i maszerującym z drogi zjechać. Do trybuny już się zbliżał i zebrani przy niej śmiechem buchnęli. Burza oklasków zaczęła go witać. Dwu milicjantów wybiegło naprzeciw i trzepnęło konia dłońmi po zadzie, aby się pośpieszył. Ten spłoszył się, szarpnął gwałtownie do przodu i koło beczkowozu zaczęło o krawężnik. Pan Opałka wyleciał łukiem z siedzenia i spadł wśród stojących na chodniku. Rejwach się podniósł. Beczkowóz tymczasem pochylił się ryzykancko na bok i wywrócił, wylewając na ulicę swą zawartość. Bliżej stojący zatykając nosy rzucili się do ucieczki.

Paradę zatrzymano, trybunę przeniesiono na ulicę Kościelną i z godzinnym opóźnieniem pochód przed nią przeszedł. Tylko niešťczęśliwy pan Opałka nie wiedział co ma począć. Beczkowóz jedno koło stracił, więc wyprzągł z niego konia i pocierając ręką bolący bok, pokuszywał w kierunku domu.

– Nie chciałyśta na reperację wozu dać, to teraz macie – mruknął pod nosem. – W dupę mnie pocałujta.

Nie wybaczone mu zepsucia dnia święta klasy robotniczej. Zabrano go jeszcze tego wieczora. Podobno o sabotaż oskarżano. Nie

pomogły wizyty pani Opalkowej na milicji i zapewnienia, że mąż nie sabotażysta i dobry człowiek. Przez kilka dni przed budynkiem milicji wystawała i każdego przechodnia za guzik łapała.

– Czy to sprawiedliwie – pytała zatrzymanych. – Taż jaki on sabotażysta? Taki słabowity był, że i w łóżku nie zawsze korzyść z niego miałam, a tu tera sabotażyste z niego zrobili. Za polskiej władzy, to by tylko sztraf zapłacił... a ci go zara do pierdła. A pan starosta Turkowski, co go tyż aresztowali, to i beczkowóz mojemu kupił i na jego reparacją dawał, a ci nic. Teraz Antosia mówią wina, że koło się, ułamało.

## 25

**P**óźną jesienią list do Zygmunta od Romka przyszedł. Na adres gimnazjum był wysłany i pan Bałandziuk go synowi doręczył.

– Masz szczęście – powiedział – że przyniesiono go, gdy dyrektora nie było, bo by ci go pewno nie oddał i do kosza wyrzucił.

Cud to był swego rodzaju, bo poczta jakby od niechcenia pracowała i każdy doręczony list ludzi cieszył. Wojna, deportacje, aresztowania porozbijały rodziny i każdy niemal mieszkaniac miasteczka kogoś poszukiwał lub od kogoś na wiadomość czekał. A na ulicę Graniczną nawet za polskich czasów listy rzadko kiedy przychodziły i to bardzo spóźnione, bo listonoszom nie zawsze chciało się po miedzach na „koniec świata” wlec. Romek o tym wiedział i dlatego pewno na gimnazjum list zaadresował,

Zygmunt zaraz Janka odszukał i razem list czytać zaczęli. Romek pisał, że na jakimś posiołku o stojących w tajdze sześciu barakach, gdzieś pod Archangielskiem jest. Że przy wyrębie lasu jako drwal pracuje i że ojca tam nie zastali, chociaż бойcy mówili, że połączyć się z nim jadą. Że głód straszny na posiołku panuje i jest ciągle głodny i że ponad miesiąc pociągami jechał, a później barką po Dwinie. Słowami „Do zobaczenia wkrótce” list zakończył i chłopców to zastanowiło. Ma nadzieję, że go puszcza, czy może uciec chce? Tymczasem paczkę postanowili mu posłać i Zygmunt do Równego po cukierki zaczął się wybierać.

Na Janka wtedy trochę się złościł, bo ten coraz mniej czasu z nim spędzał. Zakochał się bowiem w Beacie, która w jego klasie była i głowę dla niej stracił. Do szkoły zaczął wcześniej wychodzić by spotkać ją przed bramą, a po lekcjach torbę z książkami do domu jej od-

nosił. I na przerwach zamiast gdzieś w kąt na papierosa z Zygmuntem pójść, to jej w tłumie szukał. Jak rozmawiała z koleżankami to z boku stał i patrzył na nią smutno, żeby wiedziała iż tęskni, jak nie, to wołało placu szkolnego z nią spacerował. Słowa wykrztusić wtedy nie mógł, bo z dziewczętami rozmawiać nie umiał i czerwony na twarzy taki się robił, że koledzy śmiać się z niego zaczynali.

A Beata jak laleczka wyglądała. Pulchniutka była, malutka, policzki i usta jak malowane miała i oczka niebieskie, żywe, którymi jak na Janka spojrziała, to czerwienił się niby burak i taką minę miał, że Zygmunt twierdził iż wygląda jakby „zaraz w portki narobić miał”. Raz nawet na imieniny do siebie Janka zaprosiła i później opowiadała, że to był najszczęśliwszy dzień w jego życiu. Z tuzin koleżanek i kolegów na tych imieninach było i w pocztyliona się bawili. Beata tak jakoś manewrowała, że jego zawsze wybierała. W szafie wtedy przed wzrokiem ciekawskich się chowali i całowali, aż ich usta boleć zaczęły. Od tego czasu Janek pod domem Beatki godzinami w wolnym czasie stał, w nadziei, że ją ujrzy w oknie, bo rodzice po ulicach jej włączyć się nie pozwalali. Jak kładł się spać, to pragnął by noc szybciej się skończyła i ukochaną znów przed szkołą mógł zobaczyć.

– Całowanie to jeszcze żaden dowód miłości – Zygmunt mu raz wytłumaczył – Beata i innych pewno już całowała, bo dziewczęta całują się dla przyjemności. Jak Zośka we mnie zakochała się, to powiedziała, że jest na wszystko gotowa. I była...

– Cukierki ty jej za to dał – przerwał Janek.

– A jak bym nie dał, to ona na pewno by i bez nich. A ty tam nie wierz jej, bo może chce żeby ty jej torbę z książkami tylko odnosił. Dowód, że kocha niech ci da.

Podejrzenia w sercu Janka zasiał i niepewność uczucia Beatki jak robak jabłko zaczęła mu serce toczyć. Desperackiej odwagi wreszcie raz nabrał i gdy któregoś dnia wracali ze szkoły zapytał ją czy go kocha. Jej różowe policzki zaróżowiły się wtedy jeszcze bardziej i spuszczać oczy ku ziemi powiedziała, że tak. Fanfary w uszach mu zagrały z radości i jeszcze większej śmiałości nabrał.

– I gotowaś dla mnie na wszystko – wypalił, bo mu to, co Zośka Zygmuntowni powiedziała, przypomniało się.

– Oczywiście – niemal niedosłyszalnie szepnęła.

Janek okazji czekał. Aż raz, gdy odprowadził Beatkę do domu stwierdził, że jej rodzice gdzieś wyszli i pomyślał, że teraz albo nigdy. Dziewczynę też widocznie to, że w domu nikogo nie ma, ucieszyło, bo szybko zdjęła płaszcz i zarzuciła mu ręce na szyję.



– Nacałować się możemy, zanim matka wróci – powiedziała.

Janek objął ją niezdarnie rękoma i zaczął popychać ku, w kącie stojącemu, tapczanowi. Ciągłe złączeni w pocałunku upadli nań z taką gwałtownością, że sprężyny pod nimi jęknęły. Janek przypomniał, że Beata mu powiedziała, iż jest gotowa dla niego na wszystko. Sięgnął więc ręką do jej uda. Zaczęła wierzgać. Fochy stroi, pomyślał. Przesunął dłoń wyżej. Odepchnęła go obu rękoma tak silnie, że wyładował na podłozie.

– Ty świni! Ty świni! – powtarzała coraz głośniejsze, sapiąc wściekle. – Widzieć ciebie nigdy nie chcę. Wynos się stąd! – ręką na drzwi wskazała i płakać zaczęła.

Janek wypadł na ulicę i idąc do domu wciąż nie mógł zrozumieć co się stało. Czego ona? Przecież powiedziała, że kocha, i że gotowa na wszystko. I nagle żal go ogarnął, że już nie będzie mógł się z nią spotykać i za to nieszczęście zaczął winić Zygmunta. Złość na niego w nim wzrastała. To on wątpliwości o prawdziwości uczuć Beatki w nim zasiał. Zygmunt nie przejął się miłosnymi kłopotami przyjaciela i nawet w duchu z nich się cieszył. Znowu mogli cały wolny czas z sobą dzielić.

– Jak by ciebie kochała, to by nie wypędziła – spokojnie stwierdził, gdy Janek, co się stało, mu opowiedział. – I nic takiego strasznego ty jej nie zrobisz. Jak nie wie czego chłopak od dziewczyny chce, to jest durna.

Wkrótce Janek przestał się dąsać i zapomniał o Beacie, bo ważniejsze sprawy zaczęły go absorbować, w które Zygmunt go wciągnął. Pewnego dnia w czasie przerwy do Zygmunta podszedł Stasiek Popławski, który w ostatniej klasie gimnazjum już był. Dziwnym mu to się wydało, bo ci najstarsi z młodszymi prawie żadnych kontaktów nie utrzymywali. Schlebilo mu to.

– Chciałbym z kolegą porozmawiać, ale na osobności, żeby nikt nie słyszał – zagaił tajemniczo rozmowę Staszek.

Umówili się, że spotkają się po lekcjach w parku kolejowym. Był to mały ogród przy nasypie po którym tory szły, zarośnięty gęsto starymi drzewami. Mało kto do niego zachodził i nie wiadomo dla czego parkiem szumnie go nazywano. Jak zawsze jesienią ziemia gnijącymi liśćmi zasłana w nim była i czarne, okopcone dymami z w pobliżu przejeżdżających parowozów gałęzie, jak szpony jakichś smoków starały się uchwycić brzuchy szarych i niskich chmur. Pusto tu było i tylko stuk uderzających jedna o drugą gałęzi zakłócał ciszę oraz

sapanie stojących w niedalekiej parowozowni parowozów. Mokra było i jak stąpało się po opadłych liściach, woda pod nimi cmokała. Zygmunt pierwszy tu się zjawił i oparty ramieniem o chropowaty pień drzewa patrzył na dwa oskubane wróble, które kąpały się w kałuży. Nawet nie zauważył gdy Popławski przy nim stanął i sięgnął do kieszeni po papierosy,

– Zapalmy kolego – zaproponował.

Stali przez chwilę milcząc i usiłując puścić dym nosem. W Zygmuncie ciekawość wzrastała, bo domyślał się, że będzie tu miało miejsce coś ważnego.

– Kolega w harcerstwie kiedyś pewno był – rozpoczął Popławski.

– Byłem.

– To i dobrze, bo chyba wielu harcerzy zna, na których liczyć można.

– Znajdzie się ich...

– Kolega zdaje sobie sprawę – Popławski mu przerwał – że to co powiem, to tajemnica i liczę, że kolega milczeć potrafi i patriotą jest. Że zaufać mu można ...

– Kolego – Zygmunt mu przerwał, bo zaczął rozumieć do czego ta rozmowa prowadzi – i ufać mi można i Polak dobry jestem. Nie krążcie dokoła, tylko powiedzcie jasno czego chcecie. I zapewniam was, że to co usłyszę, dalej nie pójdzicie.

– Otóż to i dobrze. Nie będę teraz kolegi wtajemniczał w całość sprawy, bo nie mam prawa i jest na to za wcześnie. Niemcy niemal całą Europę zajęli i być może na Rosję też uderzą. Zapowiada się na to, że wojna kilka lat potrwać może. A tu szereg potrzeb w związku z tym się wyłania. Zaistniała konieczność tworzenia jakichś grup, które by nimi się zajęły. Postanowiliśmy je zorganizować. Mniejsze o to kto. Kolegę mi polecił ktoś, kto w tych sprawach jest zorientowany. Z dawnej kadry harcerskiej... Nie chodzi tu o jakąś walkę czy sabotaż, tylko o coś innego, co później wytłumaczę. Chcielibyśmy, żeby kolega jakąś grupę pięciu czy sześciu pewnych chłopaków zebrał. Takich, którzy i sprytni są i milczeć potrafią. Zdyscyplinowanych ...

Zygmuntowi oczy się zaświeciły. Nareszcie. Toż on od dawna o jakiejs działalności marzył i planował przecież z kolegami sabotaż i walkę z okupantem, tylko na niczym to planowanie się kończyło. Nie wiedzieli co robić i jak, aż wreszcie zdali sobie sprawę, że ktoś inny musi się tym zająć i pokierować. Żal czuli nawet, że jeszcze ich nikt nie wykorzystał, że obijają się i mniej więcej normalne życia prowa-

dzą, gdy wokół nich ludzie giną po nocach i transporty deportowanych na wschód jadą. I nic na to poradzić nie mogą, bezsilni są.

– Kolego, toż jest nas i sami coś robić planowaliśmy, tylko nie wiedzieliśmy co. Kilku zebrać, to żadna trudność – imponowało mu to, że gimnazjalista z najstarszej klasy kolegą go nazywa i schlebiało, że on też do niego w ten sam sposób może się zwracać.

– To dobrze. Tylko nie myślcie, że zaraz sabotaż was czeka czy walka. Drobne zadania ale ważne, będziecie wykonywać w miarę potrzeb. Może tylko organizować się i czekać. Nie zniechęcać się macie, jak dniami całymi a nawet tygodniami nikt was nie będzie potrzebować. Z czasem i w walce może udział brać wam się przyjdzie, ale do tej chwili myśleć jeszcze daleko.

Zamyślił się Popławski na moment i drugim papierosem Zygmunta poczęstował. Wiatr się zerwał i kikutami gałęzi na drzewach zaczął kołatać. Ostatnich kilka mokrych liści zdmuchnął i spadając lekko klasnęły o ziemię.

– Pójdziemy – rozcierając butem okurek Popławski powiedział. – Zaraz ciemno zacznie się robić. A jak już z kilku chłopakami kolega się rozmówi, to niech mi da znać i nazwiska poda. Sprawdzimy ich... Tylko o mnie lepiej im nie mówić. Czym mniej ludzi wie, tym lepiej.

– Rozkaz – Zygmunt powiedział. Spiskowcem i żołnierzem z miejsca się poczuł.

– A z czasem – gdy już przez bramę wychodzili na ulicę Popławski kontynuował – jakieś władze podziemne, które już na pewno są, wszystkie te grupy i komórki w jedną całość zorganizują i duża siła z nich powstanie. Tylko cierpliwości potrzeba i robić tymczasem co się da.

Rękę Zygmunтови podał i rozeszli się w przeciwnych kierunkach. Przy przejeździe kolejowym Janek na Zygmunta czekał i zachodził w głowę gdzie on się podział.

– Gdzie byłeś? – zapytał.

– Potem ci powiem.

Czasu na przemyślenie rozmowy z Popławskim potrzebował.

## 26

**W** tym czasie pod Archangielskiem śnieg tajgę przykrył i koryto zamarzniętej Dwiny wyrównał z brzegiem wysokiego urwiska. Poskręcane wiatrem drzewa rozsadały z hukiem zamarzające w nich

soki. Palba wystrzałów po tajdze szła i więcej ich się wydawało niż było w rzeczywistości, bo echo wśród drzew je powtarzało. Wiatr wiał od rzeki między barakami posiołka i pędził przed sobą śnieg, który o brzeg lasu się dopiero zatrzymywał i rósł w ogromną zaspę, która jakby murem obronnym wewnątrz tajgi chciała otoczyć. Przed ludźmi jej bronić i nie wpuścić ich do środka. A oni szli skuleni co rana, z siekierami na ramionach, przepychali się przez te zasy z takim wysiłkiem przez wiatr budowane i walili stuletnie drzewa, które potrafiły się obronić przed żywiołem, zapuszczając głębokie korzenie w rozlewające się wokół nich latem bagna. Gdzie sosny rozpościerały od niepamiętnych czasów parasole gałęzi, nad szarymi mchami i wysokimi trawami, na których pały się łosie i jelenie, powstawały ogromne łysiny i wysokie sztaple kłód płaczących płynącymi z ich ran kroplami żywicy.

Tego dnia kilku ludzi rozgarniało łopatami śnieg na brzegu lasu, nie opodal dwu na grobach dziecięcych stojących brzoźowych krzyżyków. Wiatr wokół ich zgiętych postaci szalejący, naigrywał się z ich wysiłków, chichocząc wśród gałęzi drzew. Pomimo mrozu plecy ich spływały potem pod watowanymi fufajkami. Na rzęsach płatki śniegu osiadały, by za chwilę stoczyć się kroplami wody po twarzach. Śnieg był głęboki i dłuższy czas zajęło zanim do zmarzniętej ziemi się dokopali. Gdy mech pod nim się pokazał, odłożyli łopaty i wzięli do rąk kilofy. Dwu rąbało nimi ziemię, jeden odgarniał wyrwane jej bryły. Nie głęboki grób wykopali i nie duży. Tyle z niego tylko ziemi wybrali by starczyło miejsca na małą trumienkę i by ją cienką warstwą ziemi z lodem zmieszanej można było przykryć. Mrok już po lesie zaczął się kłaść, gdy skończyli i od strony kilku zasypanych śniegiem po dachy drewnianych baraków Szuryna, ukazała się grupa ludzi. Z przodu dwu mężczyzn szło niosąc na ramionach niedużą skrzynię z nieheblowanymi desek, z tyłu kilka kobiet.

Modlitwy odmawiały, bo wiatr słowa „Zdrowaś Mario” do opartych o drzewca łopat mężczyzn przyniósł. Czapki z nausznikami z głów zdjęli i na spoconych włosach białe płatki zaczęły im siadać. Romek łopatę w śnieg wbił i naprzeciwko idącej za trumną matki podszedł. Pod rękę ją wziął, bo ledwo mogła przez zasy się przejechać. Automatycznie słowa modlitwy powtarzała i oczu od trumny przed nią niesionej nie odrywała. Suche były. Wszystkie łzy z nich wypłakała przy Krysce siedząc po pracy nocami, słuchając jak jej w piersiach gwizdało i patrząc jak konała. Nic jej pomóc nie mogła,



i nikogo wokół setkami kilometrów nie było, by go o pomoc mogła prosić. A gdy patrzyła w zapadnięte oczy dziecka, na jego wychudłe policzki, serce jej pękało, że ta jej jedyna córka gaśnie głodna i głodem zmorzona.

Już do wykopanego grobu niosący trumnę podeszli i złożyli ją w gotowym dole. Ci z łopatami grudy zmarzniętej ziemi z miejsca na nią rzucać zaczęli. Zimno przejmujące dokuczało i mrok coraz gęstszy zapadał. Każdy chciał jak najszybciej do baraku wrócić, zagrzać się i wrzątku się napić. „Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie”, pani Kurczewska rozpoczęła odmawiać. Zęby jej szczękały. Rolę księdza na posiołku na siebie przyjęła, bo wszystkie modlitwy i na każdą okazję na pamięć znała. Zanim trzy razy modlitwę za zmarłą powtórzyła, już trumna ziemią przykryta była i kopczyk mały nad nią usypany. Nie duży, bo i grób był nie głęboki. Mężczyźni nałożyli czapki, postawili kołnierze, kobiety otuliły się chustkami. Zaczęli iść ku barakom, starając się jak najszybciej walonki z śniegu podnosić, bo wiatr przejmujący na ich spotkanie wiał i pod fufajki i chustki chciał się dostać. Szczękali zębami, ale wracać było już łatwiej, bo ci, którzy przynieśli trumnę przetarli ścieżkę przez zaspę. Już przy barakach Romek podziękował obecnym na pogrzebie. Tak zimno było, że nawet nie podał im ręki, bo nie mógł już się zmusić do zdjęcia rękawic.

Dopiero w tydzień później, gdy wychadno mu wypadł, Romek mógł krzyżyk na Kryski grobie ustawić. Dzień był bezwietrzny i śnieg nie padał. Martwota jakaś w powietrzu wisała i chmury niskie i szare niemal na czubach drzew brzuchy opierały. Brzemienne śniegiem były, ociężałe i tylko czekały by mróz zelżał, kiedy będą mogły balast puchu z siebie wyrzucić. Romek zarzucił siekierę na ramię i wychodząc z klitki, w której mieszkał z matką, natknął się w korytarzu na Szeremetę. Ten z miejsca z pomocą mu się ofiarował. Romek nawet nie wiedział, że jego także wywieziono, a zobaczył i poznał dopiero, gdy ich ładowano pod Archangielskiem do barek, by zawieźć Dwiną na posiołek. Ruszyli razem w kierunku lasu, brodząc po wysokim śniegu i uważając by walonek w nim nie zostawić.

– Wszystkich nas w tym Szuryniu w śniegu pochowają – Szere-meta nagle westchnął i na zaspę splunął.

– Kraczesz pan. Przetrzymamy i na swoje wrócimy. I że pana zabrali, do dziś zrozumieć nie mogę. Ukraińców przecie wyzwolić przyszli.

- Głupstw nie mów. A wrócić to by człowiek chciał. Oj, chciałby. Chociażby, żeby z tymi co im pokazywali kogo wywieźć, się rozliczyć.

- Toż listy mieli.

- Mieli, mieli – cierpliwość zaczynał tracić. – Gównu ty tam wiesz. Ale tak jakoś się złożyło, że tylko tych Ukraińców ze Zdołbicy wywieźli, którzy z robotą tego Konowalca z Berlina się nie zgadzali i przeciw Ukraińskiej Organizacji Wojskowej się wypowiadali. Skąd to sowieci wiedzieli?

- Ktoś powiedzieć im musiał.

- A musiał. Przeciwników sowieckimi rękami się pozbyli i na Niemców czekają. A ten który po twojego ojca przyszedł... co do milicji wstąpił. Z daleka ja go poznałem. Wszyscy wiedzieli, że Ukraińskiej Organizacji Wojskowej sprzyja i żeby polskie stodoły, namawiał, palić przed wojną.

Na skraju lasu już byli. Romek brzoźkę wybrał i walić zaczął. Szeremeta gałęzie jej obrabiał jak się wywróciła. Odciepli z niej dwa kawałki, takie, by ramiona krzyża było można z nich złożyć. Szeremeta dłuższy na plecy zarzucił, Romek krótszy i w kierunku baraków zaczęli iść. Pod barakiem dopiero krzyż złożyli związując ramiona drutem, bo gwoździ nie było. Romek wyciosał gładkie miejsce na napis i śliniąc chemiczny ołówek wykaligrafował:

Ś.P.

KRYSTYNA SZWEDZIUK – lat 10.

Chciał datę urodzenia wypisać, ale nie bardzo pamiętał i matki nie chciał pytać, bo mu wstyd było, że zapomniał. Sam już wrócił na grób pod lasem i krzyż ustawił. Nie był nawet pewien czy w dobrym miejscu, bo wiatr zaspą śniegową grób Kryski zdążył zawiać. Wiosną wróci i poprawi. Szedł ku barakom pod wrażeniem śmierci Krysi, którą jeszcze raz przeżył ustawiając krzyż na jej grobie i tego co mu Szeremeta powiedział. Czyż naprawdę zgnoją ich tu wszystkich sowieci i w śniegu pogrzebią? Nie wierzył w to. Pewien był, że to kwestia czasu nim do Polski wróci. Zdał sobie jednak sprawę z tego, że jeśli ten pobyt na Syberii się przeciągnie, to wtedy mało kto niewolę przeżyje. Kiloro dzieci już umarło, ale i starszych choroby i wycieńczenie głodem walić zaczęły. Ten i tamten już ledwo nogami powłóczył. Ogarnęła go trwoga, że jeśli jakiś cud latem się nie zdarzy, to na-

stępną zimę nie przeżyje. Świadomość tego gnębiła go i nie opuszczała przez wiele dni.

Odżyła z dużą gwałtownością, gdy paczka z cukierkami od Janka i Zygmunta nadeszła, przypominając mu, że tam gdzieś daleko, jest inny świat. Nadziwić się że doszła nie mógł i nie tylko on. Sensacją ta nieduża paczuszka wśród zesłańców się stała. Cukierki były mokre, skleity się w jedną bryłę a ich kolory pozlewały się i przypominały żyłkami pokrytą bryłę marmuru. Ale smakowały lepiej niż wtedy, gdy je w Równem kupić było można. Nożem na kawałki je trzeba było ciąć i pity z nimi wrzątek, jak boski nektar smakował.

– Szkoda, że Krysia ich nie doczekała – pani Maria westchnęła.

Te cukierki gorącą wodą popijane najwyżej raz dziennie, by na długo wystarczyły, niemal do wiosny przypominały Romkowi kolegów z ulicy Granicznej i Polskę. A tu marzec się skończył i kwiecień się zbliżał, a wciąż zimno było i śnieg leżał. O pracy na spławie drzewa Rosjanie z deportowanymi pracujący zaczęli przebąkiwać i że wyrąb na bagnach będzie wkrótce niemożliwy. „Część z was tu zostanie, część gdzie indziej na pomoc przy spławie pewno wywiozą na lato” – przypuszczali. Wreszcie słońce się pokazało i grzało dzień po dniu i to coraz mocniej. Pewnej nocy huk potężny śpiących w barakach obudził. Wypadli na dwór nie rozumiejąc co się dzieje. Od rzeki huczało i szumiało, jakby huragan po niej płynął.

– Lody ruszyły – ktoś domyślił się.

Śniegi gwałtownie topnieć zaczęły i tylko w jakimś miejscu grunt odsłoniły, już trawa tam zielenić się zaczynała, a w parę dni później paki kwiatów głowy podnosić. Śpieszyła się natura. Wiedziała, że lata tu są krótkie, że nie wiele czasu ma, by cykl, który co roku powtarzała, zmieścić w czasie trzech tylko ciepłych miesięcy.

## 27

**A** na Wołyniu wiosna już w pełni była. Pierwsze kwiaty na wiśniach rozkwiatać zaczęły jak co roku i pewno, że wojna jest i że wielu z tych, którzy ich owoce jesienią zbierali, już zabrano z domów, które otaczają i być może nigdy już oni do nich nie wrócą, pojęcia nie miały. Kwiecień 1941 roku kąpał się w powodzi słońca. W parku miejskim płaczące wierzby pokryły się drobnymi jeszcze listkami i długie warkocze delikatnych gałązek spływały niemal do ziemi. Ogromne

niby namioty tworzyły i skryć się w nich było można, tylko dojść trudno, bo trawniki mokre jeszcze były i buciki w nich grzęzły. Młodzież tylko na to nie zważała i zbierała się wokół pni wierzb, paląc papierosy i kryjąc się za firankami gałęzi przed dorosłymi. Wczesnymi wieczorami i w niedziele dziewczęta grupami na spacer po alejkach przychodzić zaczęły i włóczęąc się tam i z powrotem kokietowały chichotem grupy kolegów. Czyściej jakoś w parku było, bo ilość żołnierzy w mieście się zmniejszyła, a ci co w nim na kwaterach stali, powoli cywilizować się zaczęli.

Ulubionym miejscem spotkań młodzieży ten park się stał. Nawet Janek z Zygmuntem po lekcjach do niego szli, chociaż było im później daleko wracać do domów. Przeważnie na dziewczęta popatrzeć i by je pozaczepiać przychodzili. A one, bo ciepło już było, w białe cienkie bluzki się ubierały i przez te bluzki piersi im powabnie się rysowały, a u niektórych jak u Agnieszki, córki rzeźnika, czy Frani z Kościelnej to podskakiwały przy każdym kroku i falowały, jak dwa balony napętnione wodą. „Zapnij bluzkę, bo uciekną” – chłopcy za nimi wołali, a one obrażały się i język pokazywały.

Czasami Beatka w parku się pojawiała z koleżankami i Janek ciągnął Zygmunta by za nimi spacerować, w nadziei, że mu wybaczy. Szli więc czasami krok w krok za plotkującymi dziewczętami, ale one nie zwracały na nich uwagi. Janek całusy też Beacie z daleka posyłał, gdy do domu już czas było iść, ale ona tylko tyłem wtedy do niego się obracała i nie reagowała. Zośka też kilka razy w parku się pokazała i Zygmunt ją cukierkami poczęstował. Od czasu do czasu z nim po alejkach się nawet przeszła, ale na jego kuszenia, żeby pod parasolem wierzb się skryć, była głucha. Dopiero w któryś bardzo ciepły wieczór, gdy nikogo już w parku nie było i Janek wcześniej do domu odszedł, o drzewo się oparła i udawała, że śpiewu jakiegoś ptaka słucha. Wtedy Zygmunt zaczął jej szeptać, że ciągle i tylko ją jedyną kocha. Pewno uwierzyła, bo całować się pozwoliła. A gdy już zaczął, to wciąż jej mało tego całowania było i coraz mocniej się do niego tuliła. Całować też nie przestała gdy ręką sięgnął tam, gdzie mu kiedyś głaskać pozwoliła i gdy wreszcie ją do majtek jej włożył.

– O tak. Jeszcze, jeszcze... Tak jest przyjemnie – między pocałunkami szeptała.

Gdy chciał jej ściągnąć majtki, to jednak nie pozwoliła.

– Czemu nie – złościć się zaczynał.



- Dziecka nie chcę mieć i po ślubie to będę dopiero robiła - odpowiedziała. - Po ostatnim razie to ksiądz na spowiedzi tak mnie strasznie skrzyczał, że rozplakałam się. Okropny grzech podobno, przed ślubem to robić.

Jak nie to nie, Zygmunt pomyślał i Zośka przestała chwilowo go interesować. I na księdza też był zły. Dziewczynę mu wystraszył. Jemu nie można, to i innym nie pozwala. „Sam ne ham i druhomu ne dam” - ukraińskie przysłowie mu się przypomniało. Cukierków, którymi Zośkę częstował szkoda mu się też zrobiło. Coraz trudniej było je dostać, bo fabryczka w Równem najpierw już tylko od czasu do czasu pracowała, a od miesiąca w ogóle przestała.

Gdy ostatnio pojechał do Równego, wrócił z pustymi rękoma i dzień zmarnował. Tyle, że spotkał się przypadkowo z Kazikiem, który w Ostrogu na kursie narciarskim kiedyś z nim i Romkiem był. O Witku się wtedy zgadali i Kazik potwierdził, że go aresztowano i poinformował, że w rówieńskim więzieniu siedzi. Sąsiadów, którzy obok domu gdzie się ukrywał podobno ciągal i po tego, u którego mieszkał, w nocy dwu żołnierzy przyszło, ale on już na stronę niemiecką uciekł i dom stał pusty. Sąsiadka przez okno widziała jak się dobijali. Gdy już się zegnali, Kazik do ucha Zygmunta się nachylił i szepnął, że Witka pewno rozstrzelają.

- Eeee, takiego młodego - Zygmunt nie wierzył. - I kto tam to wie.

- Bolszewików bardziej od innych nienawidził, a koledzy mówią, że broń przy nim znaleźli i, że to on podobno bojców po nocach strzelał. Za ojca...

- Plotka pewno - Zygmunt usta wydał lekceważąco. Wstyd mu się trochę zrobiło, że jeśli to prawda co Kazik opowiadał, to są jednak tacy, którzy nie czekają na rozkazy i coś robią. A on? Przecie w Witka wieku jest. I co? Wszystkie jego plany na niczym się skończyły. Tyle, że kilka orłów na płotach rozwiesił, które i tak deszcz zaraz zmył.

Po powrocie z Równego z zdwojoną gorliwością do mobilizowania kolegów się zabrał, według wskazówek Staszka Popławskiego. Właściwie na każdego z kolegów z harcerstwa mógł liczyć, tylko gadułów postanowił unikać. Z kilkoma już dawniej się rozmówił, kilku ostatnio w parku na spacerach upolował. Oczywiście pierwszym został zmobilizowany Janek, bo najbliższym jego przyjacielem był. Z kim nie rozmawiał, temu oczy zaczynały się zaraz błyszczeć z podniecenia i ochoty. Kilka dziesiątków wśród harcerzy można było zmobilizować, a nie tylko pięciu czy sześciu jak Staszek chciał.

Na jednej z przerw umówił się z Popławskim na spotkanie w parku. Idąc spacerkiem po alei opowiedział mu, że żadnych kłopotów nie miał i że chętnych jest więcej niż potrzeba i że może nawet kilka grup zorganizować. Staszek nazwiska kazał sobie podać i powiedział, że po sprawdzeniu kandydatów poinformuje go o decyzji kogoś tam wyżej. Wtedy ci zatwierdzeni przysięgę będą musieli złożyć.

Chodząc po parku minęli się kilkakrotnie z Zośką spacerującą w grupie koleżanek i Zygmunt zauważył, że na Popławskiego kokieteryjnie za każdym razem patrzyła. No wiadomo, o kilka lat starszym od niego był i każdej dziewczynie by schlebiało, gdyby się nią zainteresował. Staszek też tych jej powłóczystych spojrzeń nie mógł nie widzieć i gdy szła po raz któryś naprzeciwko, spojrzał na nią z pewnym zainteresowaniem. Zabolalo to trochę Zygmunta, ale za to, że ten możliwości jakiegoś działania przed nim otwierał, gotów był mu wszystko wybaczyć.

Zygmunt nie wiedział wtedy, że w miasteczku już przed tym istniała organizacja harcerska, która z czasem swym ruchem objęła całą Polskę pod nazwą „Szarych Szeregów”, bo by miał żal, że go do niej nie wciągnięto. Ta, którą teraz tworzone powstawała oddolnie i właściwie bez udziału starszych działaczy harcerskich sprzed wybuchu wojny. Ta pierwsza, kierowana przez nauczycieli i harcmistrzów dowodzących w okresie niepodległości miejscową chorągwią harcerską została prawie z miejsca rozszyfrowana przez władze sowieckie z powodu braku doświadczenia w pracy konspiracyjnej przywódców i gadulstwa zwerbowanej młodzieży. Siatka, całe szczęście jeszcze wtedy nie bardzo liczna, została aresztowana. Aresztowanych przewieziono do więzienia w Równem, gdzie odbył się w 1940 roku ich proces i otrzymali długie wyroki więzienia. Wkrótce po procesie wywieziono ich do łagrów w Rosji. W wyniku tej wyspy na terenie miasteczka nie pozostał nikt ze starszych działaczy harcerskich i nową pracą konspiracyjną zajęli się tym czasem starsi studenci i członkowie drużyny gimnazjalnej. Może niektórzy wiedzieli o wyspie pierwszej organizacji młodzieżowej albo nawet kilku z nich do niej należało, trudno powiedzieć, bo trzymali języki za zębami. Nauczyli się już ostrożności.

W kilka dni później Staszek Popławski kazał Zygmuntowi przyjść po lekcjach do kościoła, który wciąż był co dnia otwarty, tak jak w okresie przed wojną. Pusty był o tej porze. Spotkał go w kruchcie

i zaprowadził przez małe drzwi do ciasnego pomieszczenia, w którym znajdowały się schody prowadzące na wieżę. Wisiał tu na ścianie okazałych rozmiarów krucyfiks i Staszek kazał nie mogącemu już opanować ciekawości Zygmuntowi położyć na nim rękę i wyrecytować przyrzeczenie harcerskie. Ten zrozumiał co to znaczy, chociaż zdziwiło go, że na taką okazję nie napisano jakiegś nowej przysięgi. Gdy skończył, starszy kolega wyciągnął do niego rękę.

– Gratuluję – powiedział. – Jesteś żołnierzem Polski.

Zygmunta duma ogarnęła a jednocześnie zdziwienie, że on tu tylko przysięgę składał. A gdzie reszta? Czyżby nie nadawali się ci, których zarekomendował? Przecież za każdego z nich głową poręczyć był gotów. Sami swoi chłopcy to i gotowi na wszystko. Nie wytrzymał.

– A gdzie reszta – zapytał, – Nie nadają się?

– Nie wasza to sprawa już – uciął ostro Popławski. – Czym mniej będziecie kolego wiedzieć teraz i w przyszłości, tym lepiej. I nauczcie się za dużo nie pytać. – Później mu dłuższy wykład zrobił o potrzebie dyskrecji i o cierpliwym czekaniu na rozkazy.

Zygmunt sam wyszedł z kościoła i nie mógł ukryć radości, która jego serce do pośpiesznego bicia zmuszała. W głowie mu szumiało i nie widział ani szarzyn ulicy, ani kwiatów, które na przykościelnych kasztanach już się rozwijały. Żołnierzem Rzeczypospolitej został i chciał to całemu światu objawić i na głos o tym krzyczeć, ale wiedział, że nie można. Dopiero gdzieś koło cementowni się uspokoił. Skracając drogę do domu szedł obok glinianek, które na jej tyłach leżały. Woda jeszcze w nich stała i szuwały wokół na metr chyba zdążyły urosnąć. Wśród nich bociana zobaczył jak czerwone i patykowate nogi w górę ostrożnie podnosił, stąpając powoli, jak jakiś tabetyk przechodzący przez kałużę. Uświadomił sobie wtedy, że w tym roku jeszcze na łąkach nie był. Ciekawe czy już bociany żaby tam łowią, pomyślał. Pewno tak, bo od kilku tygodni ciepło było. I czy na Marcuków chałupie do gniazda już wróciły? Że też on tego nie zauważył. Dopiero jak na swojej ulicy już się znalazł, popatrzył w kierunku zagrody Marcuków. Wróciły bociany, wróciły. Jeden stał na gnieździe i nogami przebierał jakby coś udeptując, drugi właśnie z patykiem w dziobie nadleciał.

– No, który to z was Marusi dzieciaka przyniósł nie proszony – zażartował i zaraz pomyślał, co też ona teraz robi. Prawie nigdy poza zagrodę nie wychodziła i mało kto ją ostatnio widział.

**W**tajdze pod Archangielskiem pośpiesznie walono ostatnie drzewa. Po bagnach je otaczających już suchą nogą nie można było przejść i lada dzień pracujący w lesie ludzie po kolana w nim grzęznąć zaczęli. Coraz niebezpieczniej było. Wiatry wiosenne wiały i na wpół spiłowane drzewa waliły się gdzie im się chciało, lub w stronę, w którą wiatr, a nie drwał, je pchnął. Rozłupane na pół ich kikuty sterczały z pni jak oskarżenie, że oto jeszcze jedno drzewo zniszczycie i żadnej z niego nie będzie korzyści. Ludzie nieraz szybko ucieczką przed śmiercią czy kalectwem się ratowali, chociaż dla głodnych i osłabionych nie było to łatwym. A Dwina kry już spłynęły ku Białemu Morzu i wszyscy wiedzieli, że lada dzień na spław większość ludzi władze skierują. Z setek wiosek i posiołków nad rzeką leżących odpłyną do Archangielska związane w tratwy tysiące w zimie zrąbanych drzew.

I w tym niemal ostatnim dniu pracy w lesie, nieszczęście panią Marię spotkało. Nie zdążyła z drogi walącej się sośnie uciec, bo jej jedna noga w błocie ugrzęzła. Ludzie rzucili się z drągami, podważyli drzewo i niemal natychmiast spod sosny ją wyciągnęli. Zanim Romek przybiegł, bo niedaleko pracował, już na mchu leżała i nawet się do niego uśmiechnęła, tylko, że krew jej się z ust sączyła. Odwieziono ją saniami, bo tu cały rok nimi się jeździ, zimą po śniegu, a latem po mchu i ułożono na narze w baraku. Doktora na posiołku nie było i komendant nie zgodził się by do rejonowego miasteczka kogoś po niego posłać. O czterdzieści kilometrów było oddalone i ktoś ze dwa dni pracy by stracił, zanim z lekarzem powrócił. Sąsiadki z sąsiednich klitek nią się zajęły. Krew z ust ścierały, zimne kompresy na pierś kładły, by krwotok zatrzymać, ale nic to nie pomagało. Pani Maria z każdą godziną bielszą twarz miała, a po dwu dniach już oddychać jej było bardzo trudno i tą ciągle sączącą się krwią krtusiła. Romek od zmysłów odchodził w lesie ze zmartwienia, bo go do pracy wyganiano jak zwykle i matka sama zostawała.

Gdy wrócił tego fatalnego wieczora, matka już z ogromnym trudem podniosła powieki. Strach jej się w oczach jakiś czał ale ręką na niego zdołała kiwnąć, dając znak by się zbliżył.

Pochylił się nad nią. Przez chwilę oddychała trochę szybciej i warcami poruszała, chcąc mu coś powiedzieć, ale słowa wykrztusić nie



mogła, Wreszcie zablokowało jej strasznie w gardle i przez ten bulgot ostatnie jej słowa ogromnym wysiłkiem wyrzucone zdołał wyrozumieć.

– Ratuj się...

Pochowano panią Marię następnego wieczora, bo komendant posiołka zwolnienia z pracy nie chciał nikomu dać. W pośpiechu, bo ciemność już zapadła. Obecni chcieli jak najszybciej do baraków wrócić i zwalić się na barłogi, skonani całodzienną pracą. Jeszcze krzyż brzozy Romek zdołał na jej grobie ustawić następnego dnia, ho już dostał nakaz wyruszenia na sąsiedni posiołek, do pomocy przy spławie. Z trzydzieści kilometrów do niego było i o świcie trzeba było wyruszyć, by przed nocą zdążyć. Niemal pięćdziesięciu ludzi przez tajgę ruszyło. Wzdłuż Dwiny szli by nie zabłądzić i całą drogę szum wody im towarzyszył. Rzeka była wezbrana, a tu i ówdzie jeszcze kassa lodowa po niej płynęła, pozostałość zmielonej kry. W niektórych miejscach woda na rozlewiskach stała i dużo drogi nadrobili, by je obejść.

W Mielkim czekała na nich przycumowana do brzegu barka i przygotowane w niej prycze. Z miejsca się na nie rzucili. Tak jak stali, w ubraniach. Sił już nie mieli by je zdjąć. Ledwo wydawało się zasnąć, a już ktoś w szynę zawieszoną na słupku zaczął dzwonić, brygadierzy listy obecnych sprawdzać i do pracy gonić. Przybyli dostali po kubku gorącej wody i kromce mokrego chleba oraz dołączyli do miejscowych, już uwijających się nad rzeką. Jedni spychali z wysokiego brzegu pnie drzew do wody, inni wiązali je w pęczki, jeszcze inni formowali z nich chyba ze sto metrową tratwę. Romkowi od drąga, którym spychał kłody do wody, pęcherze z miejsca na dłoniach zaczęły się formować, a następnego dnia pękać. Gdy wrócił wieczorem na barkę, już skóry na dłoniach nie miał, tylko jedną wielką, krwawiącą ranę. Cierpiąc i przeklinając swój los, przypominał co mu matka umierając powiedziała i jednocześnie wstyd mu się zrobiło, że o niej nawet nie pomyślał i, że nie odczuł jej braku. Głód mu doskwierał, zmęczenie obezwładniało i tylko myślał o tym, żeby jak najszybciej zwalić się na pryczę, zasnąć i o głodzie zapomnieć. Matka mu „ratuj się” powiedziała. To jej ostatnie słowa dla niego były i dopiero teraz zrozumiał, że w chwili śmierci o niego się troszczyła. Ale jak ma się ratować? Matka niestety tego mu nie powiedziała. Teraz domyślać się zaczął i w tę drugą noc na kołyszącej się barce na Dwini nie decyzyj ucieczki z tego piekła powziął. Trudności i niebezpie-

czeństwa go nie przstraszały bo wiedział, że tutaj w krótkim czasie szcześnie. Lekceważył nawet trudności i niebezpieczeństwa, których nie mógł przewidzieć i z których w pełni nie zdawał sobie sprawy. W ucieczce więc tylko ratunek nagle zobaczył i jak wprowadzić ją w życie, zaprzętnęło wszystkie jego myśli.

Po tygodniu pracy dowiedział się, że niektórzy z mężczyzn zamierzają w dzień wychodny odwiedzić żony i dzieci na posiołku, z którego przybyli na spław, a wrócić nocą tratwą po Dwinie. Zwalenie kilku drzew i związanie małej tratwy nie przedstawiało wielkiej trudności i liczyli, że prąd ich bez wysiłku nocą do Mielkowa przyniesie i zdążą na rano do pracy. Podobno miejscowy komendant też nic przeciwko temu nie miał. To ucieszyło Romka, postanowił, że uciekanie w następny wolny od pracy dzień, informując wszystkich, że idzie do Szuryna, by odwiedzić znajomych. Liczył, że to ewentualną pogoń za nim odwlecze. W Mielkim będą myśleć, że nie wrócił z Szuryna, a w Szurynie, że jest w Mielkim. Przy łucie szczęścia kilka tygodni może upłynąć zanim władze posiołków się zorientują, że go nie ma, ani tu ani tam. Wiedział, że skoro decyzję ucieczki powziął, to nie należy z nią zwlekać. Jeszcze sił nie wyczerpał ciężką pracą i lato się dopiero rozpoczynało, w czasie którego łatwiej będzie mu spędzać noce pod otwartym niebem. Zaczął kromkę z dziennego przydziału chleba co dnia pozostawiać i suszył je wieczorami na żelaznym piecyku, jako zapas na drogę. Za koszulę udało mu się wymienić u zarządzającej sklepikiem, w którym przydział chleba co dnia się kupowało, kilka kostek cukru, a za drugą u kucharki w stołówce kilka kawałków solonej ryby, z której zupeł niemal co dzień gotowała. Tak zaopatrzony już głodu się nie bał.

Gdy nadszedł oczekiwany dzień włożył zapasy i garnczek jeszcze z Polski przywieziony do worka, przewiesił go na sznurku przez ramię, wziął siekierę, bo tu nikt bez niej do tajgi się nie zapuszcza i ruszył w las. Wiedział, że jak będzie szedł na zachód, to dojdzie do torów kolei łączącej Wołogdę z Archangielskiem. Tam liczył, że na jakiś pociąg uda mu się wsiąść. Przypadkowego z kimś spotkania nie bardzo się bał, bo po rosyjsku już mówił jak Rosjanin, a w fufajce i walonkach nie różnił się też od miejscowej ludności ubiorem. Liczył, że dociekliwemu wyłgać się potrafi. Serce mu biło gwałtownie, gdy po minięciu baraków posiołka między drzewami się znalazł. Nie zna strachu, ale z podniecenia. Jeszcze wrócić mógł, ale nawet o tej możliwości nie pomyślał. Idąc wśród ciszy po miękkim mchu, prawie

z miejsca się uspokoił. Otoczył go szum sosen i zapach żywicy, bo już słońce wysoko stało i ciepło się zrobiło. Po paru kilometrach natknął się na jakąś dróżkę, która nie wiadomo gdzie prowadziła, chociaż wydało mu się, że w dobrym kierunku. Porastał ją szary i suchy mech, po którym lekko się szło w miękkich walonkach.

Już słońce prawie nad głową stało i drzewa krótkie cienie rzucały, gdy zorientował się, że południe się zbliża. Nie czuł zmęczenia. Był upojony wolnością. Pierwszy raz w tym kraju wolnym się poczuł. Nikt go nie popędzał, nikt za nim nie szedł sprawdzając czy dobrze pracuje, brygadierów jak psy kręcących się wokół pracujących nie było widać, komendanta w sklepiu czy w kantynie na ręce patrzącego... Sam był i mógł co chciał robić. Iść lub usiąść pod drzewem i się zdrzemnąć. Nikt go nie skrzyczy i nikt do roboty nie popędzi. Nie do wiary mu się to wydało przez chwilę. Sprawdzić, że to nie sen, musiał. Usiadł pod drzewem i wyciągnął z worka pół suchara. Żuł go powoli, a jak zjadł zwlekał z wstaniem. Czekał, aż ktoś na niego huknie, że tak długo siedzi i zapyta dlaczego do roboty się nie bierze. Nikt jednak nie krzyczał i znowu radość go ogarnęła. Zdał sobie po raz drugi sprawę, że jest panem swojego czasu. Że jak zadecyduje, że ma wstać i ruszyć w dalszą drogę, to jego decyzją to będzie. Jeśli nie, to też.

Siekiera mu trochę ciążyła, więc przekładała ją z ramienia na ramię. Ani strachu nie czuł, ani samotności nie odczuwał. Znużenie lekkie go tylko ogarniało, ale wiedział, że jak najszybciej i jak najdalej od posiołka potrzebuje się oddalić, chociaż wątpił by ktoś go ścigał. Dopiero następnego dnia zorientują się, że go nie ma, a i wtedy nie będą pewni czy w Szuryniu nie pozostał. Cicho było. Siwe brody mchu bez ruchu na gałęziach drzew wisały i jakiś powiew wiatru by się przydał, bo idącemu fufajka do pleców się kleiła. Czasami tylko brzęczenie komarów ciszę mąciło, jak koło jakichś bagien przechodził, czasami gałązka trzasnęła gdy latające wiewiórki z drzewa na drzewo skakały. Pięknym łukiem na tle jasnego nieba leciały, rozpinając błony łączące przednie z tylnymi nogami. Gdzieś pod wieczór już, majestatyczny łosć dróżkę zeszedł i długo było słyszeć trzask deptanego przez niego trustu. Wreszcie tafłę jeziora na prawo od drogi zobaczył, na którym ostatnie promienie słońca się ślizgały i ryby się rzucały z głośnym plaśnięciem, koła na wodzie pozostawiając. Pożałował, że wędkę nie ma i postanowił nad jeziorem przenocować.

Upatrzył uschlą sosnę, która jak kikut wyrastający z ziemi stała, bo już wiatr gałęzie jej strącił i kora z niej oblażała jak węża skóra. Ży-

wicą jeszcze pachniała i wiedział, że palić się dobrze będzie. Kilku uderzeń siekiery wystarczyło by runęła na mech. porąbał ją na krótkie polana, rozpałił ognisko i kawałek solonej ryby na nim ugotował. Smakowała mu bardzo, a wywar z niej na śniadanie do suchara zostawił. Oczy z miejsca mu ciężyć zaczęły i prawie natychmiast zasnął. Cały dzień szedł i daleko już pewno od Miełkowa się oddalił.

Obudziło go poranne zimno. Jeszcze szaro było ale jakiś ptak gdzieś się już darł w niebogłasy i dogasało ognisko. Położył na żarze kilka polan i postawił na nich garnczek. Słona woda o zapachu ryby i suchar postawiły go na nogi. Ruszył rażno, bo po plecach wciąż mu ciarki chodziły. Szedł znowu tajgą do wieczora ciesząc się w duchu, że żadnego człowieka nie spotkał. Spotkanie na tej drodze z ludźmi tylko kłopoty mogło zwiastować.

Po znowu spędzonej przy ognisku nocy zauważył na drodze odciśnięte kiedyś w błocie płozy sani. Odgadł, że do jakiejś wioski się zbliża. Kilka pni świeżo spiłowanych drzew żółciło się w pobliżu i upewniły go, że się nie myli. Postanowił uważać i iść brzegiem drogi, by w razie czego za najbliższe drzewo uskoczyć. Gdzieś około południa wydało mu się, że doleciał go gwizd lokomotywy. Zatrzymał się i nadstawił uszu. Drugi raz zagwizdała. Teraz już był tego pewien. Ucieszył się i jednocześnie zaniepokoił. Wkrótce opuści bezpieczeństwo tajgi i będzie musiał spotkać się z ludźmi. Jacy ci ludzie? Uniknąć ich się nie da. Przypomniął jak pociągami na gapę do Równego wielokrotnie jeździł i pomyślał, że teraz mu się to wtedy nabyte doświadczenie przyda.

## 29

**M**aj przyszedł i majowe nabożeństwa w kościele się zaczęły. Jakoby w przeczuciu nowych nieszczęść tłoczno na nich było, jak nigdy przed wojną. Jednak tak jak przed wybuchem my, uświęconym tradycją już zwyczajem, najwięcej młodzieży na nie przychodziła. Niemal wszystkie dziewczęta z miasteczka w kościele bywały, a i chłopcy więcej by na nie popatrzeć i pozaczepiać, niż żeby się modlić. Stali grupami na placu przed kościołem i obserwowali wychodzące po nabożeństwie dziewczęta. Szły dwójkami przeważnie, bo każda jakąś koleżankę miała i szpalerem stojących chłopaków przejść musiały, by przez bramę na chodnik ulicy się dostać. Udawały, że nie widzą chłopaków, że ci nic ich nie obchodzą i że są zajęte rozmową. Na boki



oczyma jednak strzygły, by zobaczyć który z chłopców na placu kościelnym stoi, lub sprawdzały czy jest ten w którym z cicha się podkochiwały. Z niektórymi do szkoły kiedyś razem chodziły, a teraz kontakt straciły, bo wymieszano szkoły i klasy. Wiele z nich po ukończeniu powszechnej w ogóle już do żadnej nie chodziło i odświeżyć znajomość okazja była. A chłopcy patrzyli i nadziwić się nie mogli, jak te smarkule, które pamiętali, półtora roku wojny zmieniło. Te, które po czternaście lat miały jak powszechną kończyły, już szesnastu dobiegały i wydoroślały. Każdej niemal biust urósł i białe bluzki im podnosił, jakby chciał poświadczyć, że już dziećmi być przestały. Tylko Elka, którą bocianem przezywano, bo wysoka była, chuda i nos długi miała, jeszcze bardziej urosła, ale wciąż płaska pozostała. „Cycki jej do środka rosną” – Zygmunt mówił. O gimnazjalistkach nawet wspominać nie ma po co. Niektóre rozrosły się jak łanie i zady im w za ciasnych spódnicach się nie mieściły, ani piersi pod bluzkami. Niektóre to nawet usta już malowały.

A gdy wszystkie dziewczęta wyszły już na chodnik, chłopaki za nimi iść zaczęli. Dziewczęta wolno kroczyły niby zajęte rozmową i sobą zaabsorbowane, ale coraz szybkie spojrzenia za siebie każda z nich rzucała, sprawdzić czy idzie ten, o którym wiedziały, że się w niej kocha. Tak długi wąż młodzieży aż do parku się ciągnął, a później rozpierzchał się po jego alejach. Zygmunt Zośki wśród dziewcząt szukał, Janek Beaty i ciągle nadzieją się łudził, że mu niezręczność wybaczy. Siostra pretensje do niego ciągle miała, że sama po nabożeństwie do domu musi wracać. Jak ze Stefkiem Bałandziukiem szła, to zawsze włókł się gdzieś w tyle, a ona sowieckich żołnierzy się bała. Nawet pani Karpińska na Janka kilka razy wsiadła, że Baśce w takie czasy samej wracać pozwala, ale co miał robić. Ciągać ją za sobą, gdy z Beatą starał się pogodzić?

Zygmunt zauważył, że Staszek Popławski często w parku bywa, ale nie reaguje całkiem na kokieterijne spojrzenia Zośki, tylko z coraz to innym kolegą, jakieś ożywione dyskusje prowadzi. Któregoś wieczora też i jego przed kościołem zatrzymał i nie czekając aż dziewczęta wyjdą, spacer zaproponował.

– Wojna sowietów z Niemcami może wkrótce wybuchnąć – zagaił, gdy już w parku się znaleźli i nikt ich podsłuchać nie mógł. – Prawie pewne to już jest. I pewno Niemcy w kilka dni tu przyjdą, jak się zacznie. Sowietkie wojska uciekać będą, pokąd gdzieś daleko opór nie zorganizują. Ja wiem, że już kolega i wielu innych niecierpliwi się,

że nic nie robimy, tylko, że jeszcze nie czas. Ale zbliża się, zbliża... A teraz dobrze słuchajcie.

– Słucham – Zygmunt uszy nastawił.

– Broń nam potrzebna będzie. Jak sowieci zaczną uciekać, walać się pewno będzie w rowach i ogrodach, i przy drogach. To będzie jedyna okazja, gdy zdobyć jej większą ilość będzie można. Tu dla was zadanie i pole do popisu. Z miejsca, już teraz miejsce gdzie ukryć ją będzie można musicie znaleźć i przyszykować. Jak będziecie gotowi, o tym miejscu mnie zameldujcie, bo ja chciałbym je znać.

Zygmuntowi zaraz rów spod tartaku wodę odprowadzający się przypomniał. Pod jego podłogę prowadził. Budynek na wysokim fundamencie stał i pomiędzy podłogą a podmokłym gruntem była pustka na wysokość człowieka. Tylko tym rowem można było pod podłogę się dostać, ale woda nim ciągle płynęła. Nikt pod tartak nigdy nie wchodził, bo potrzeby nie było i nikomu się nie chciało. Wilgoć pod nim panowała, błoto leżało i szczury biegały. Raz tylko Zygmunt pod nim był w gorące lato, gdy woda w rowie wyschła, ale szczur, który mu między nogami mignął do dalszych wypraw ochoty go pozbawił. Z miejsca powiedział Popławskiemu o tartaku. Zainteresował go widocznie, bo ten obiecał któregoś dnia przyjść, by mogli razem proponowane miejsce oglądać.

A Zośka widząc, że Popławski nie reaguje na jej powłóczyście spojrzenia, zniechęciła się do niego i zaczęła znowu towarzystwa Zygmunta szukać. Któregoś wieczora z zapłakanymi oczyma na spotkanie przyszła. Okazało się, że jej ojca nocą aresztowali i wywieźli do więzienia w Równem. Zygmunt do domu ją odprowadził i sami w nim się znaleźli, bo jej matka, śladem wielu innych do Równego z paczką pojechała. Wyplakała się wtedy Zośka jego ramieniem otoczona i bliska jakaś w tym czasie, gdy potrzebowała współczucia i pociechy, mu się wydała. Nawet pocałować jej wtedy nie miał śmiałości i tylko w czoło cmoknął przed odejściem oraz umówił się na następny wieczór.

A w miasteczku od plotek kipiało. Wiadomości z zachodu o samych klęskach przychodziły i przygnębiające były. W początkach kwietnia skapitulowała Grecja, w parę dni później Jugosławia. Czekało z obawą na następne. Ale coraz częściej zaczęło się też mówić o ataku Niemców na Rosję sowiecką. Ludzie przyjscia Niemców zaczęli się spodziewać. Jacy oni? To pytanie dręczyć wielu zaczęło. Od reszty Polski odcięci byli granicą i nie bardzo orientowali się co w niej się dzieje. Lepsi oni? Gorszi? Tacy sami? Dogadać się z nimi bę-

dzie trudniej, to każdy wiedział. A że przyjdą, mało kto wątpił. Natężenie aresztowań się zaczęło. Zbyt dużo ludzi o ostrożności zapomniało i językami niepotrzebnie pletło. Ktoś donosił, ktoś szpiegował, ktoś wskazywał gdzie podejrzanych szukać, bo wielu zagrożonych aresztowaniami w domach znajomych i dalszej rodziny nocowało. W małym miasteczku trudno jednak ukryć się było. Każdy jego mieszkaniowiec znał wszystkich przynajmniej z widzenia. I brakować wszystkiego też zaczęło, a i tak już ogołocone sklepy pustkami świeciły. Ludzie wszystko co się w nich ukazało wykupywali z miejsca. Potrzeba czy nie. Wysprzedawali się też z wszystkiego i na wieś na zakupy szli. Każdy gromadził jakiś prowiant.

Na biedotę żydowską za rynkiem mieszkającą widoczny strach padł. Stracili buńczuczność. Kilku milicjantów podobno zdezerterowało, a przed tym do milicji się wkręcić starali. Pod komendą wojskową tłoczno czasami było, bo wielu Żydów zgłaszało się na wyjazd w głąb Związku Sowieckiego, ale niewiele pozwolenia dawano. Ci, co skupem zboża i owoców przed wojną się zajmowali, zaczęli znajomości odnawiać po wsiach i za bezpiecznym miejscem się rozglądać.

Ktoś jeszcze w miasteczku, bardziej od Żydów przyjscia Niemców się bał, tylko nikt o tym nie wiedział. Był nim prezes miejscowych endeków pan Bobrowski, którego ktoś ostrzegł, że go aresztować mają. Zdążył więc uciec z domu i u dalekiej krewnej się ukrywał, która domek na peryferiach miała, stara już była i nikt się nią nie interesował. Może by z spodziewanego przyjscia Niemców teraz się cieszył, gdyż ukrywać się by nie musiał, ale w dzieciństwie kłopot miał i poddano go zabiegowi chirurgicznemu, który stał się przyczyną jego zgryzot i paniki. Sen z oczu strach mu spędzał. Tylko pani Bobrowska wiedziała, że mąż był obrzezany i język za zębami przez cały okres małżeński trzymała. Boże drogi, toż by ludzie uciechę mieli, gdyby się wydało, że prezes endeków jak jakiś żyd jest obrzezany. Toż dopiero by się ludzie śmiali, żarty robili. Z miasta by musiał chyba uciec. A najbardziej by na nim sobie używał pan Suchowolski, bo złośliwą bestią był i endeków nie lubił. Więc pan Bobrowski tak się zawsze bał, żeby jego tajemnica się nie wydała, że nigdy na magistrackie kąpielisko nie chodził, a gdy raz go zmuszono by w rozgrywkach piłkarskich pomiędzy urzędnikami magistratu a zarządem cementowni wziął udział, dwie pary spodenek nałożył. Teraz rodziców przeklinał, którzy na taką operację pozwolili i zastanawiał się jak przed Niemcami się wytłumaczy, jakby kto Żyd sprawdzać zaczęli.

Mosiek też pismo nosem czuł, bo zaczął odsuwać się od Igora, a nawet Wiery, która mu się kiedyś podobała. Nowego towarzystwa w szkole szukał. Nikt się jednak do koleżeństwa z nim nie kwapił. Pamiętano mu jak sowieckie wojsko we wrześniu 1939 roku witał i podejrzewano, że może szpieguje ich i donosi. Raz do Janka nawet podszedł.

– Jak myślisz – zapytał. – Będzie wojna z Niemcami?

– A skąd ja mogę to wiedzieć – ten wymigał się od rozmowy. – Toż przyjaciółmi Związku Sowieckiego są.

– Ale gdyby... To sowiecka armia ich chyba zatrzyma – potwierdzenia swych nadziei szukał, ale Janek odwrócił się i odszedł. Nie chciał z nim w dyskusję się wdawać.

Gdy wrócił na Graniczną zastał ojca opartego o płot i dyskutującego z panem Raczkim na temat, który Mosiek z nim podjąć usiłował. Wracający z pola Marczuk też na chwilę przy nich się zatrzymał i na łopacie się oparł.

– Chwała Bohu – powiedział. – Nie budę tych kołchozów i ziemi nam nie zabiorą.

– A czemuż, to – zapytał pan Raczek, myśląc, że Marczuk jakieś nowe wiadomości przyniósł.

– A bo Niemcy przyjdą.

– Czy aby nie gorsza cholera – pan Karpiński nie wytrzymał,

– Kto ich tam wie jacy oni, ale kołchozów taki to u nich nie ma – chłop upierał się przy najważniejszej dla niego sprawie.

– I czy przyjdą, to też nie takie pewne – Raczek wtrącił. – Ludzie mówią, że na Krecie lądowali. Gdzieś na Śródziemnym Morzu to jest i z Anglikami się widocznie biją. Skąd wojska wezmą żeby i tu i tam?

– Wezmą oni, wezmą – nie dawał za wygraną Marczuk. Chrabąszcze bucieć zaczęły nad głowami rozmawiających i przypomniały Jankowi, że to już koniec maja. W tym czasie do rzeki kąpać się gromadą kiedyś chodzili, zanim Handzia ich przed tym nie ostrzegła i Romka z Kryską na Syberię nie wywieziono. A ciepło już było i woda w Ujściu też zapewne jest jak nagrzana. Pierwszy raz na tę cholerną wojnę zaklął pod nosem, żeby ojciec nie słyszał. Wszystko popsuka. Kolegę dobrego zabrała i kąpieli w rzece nawet pozbawiła. I obozów harcerskich, i porządnej szkoły i przyzwoitego żarcia... Szlag by ją trafił.



**N**ikt, by nie poznał Romka w brudnym, zabiedzonym i o zapadniętych policzkach chłopcu. Waciak wisiał na nim jak na strachu na wróble, a walonki groziły, że rozpadną się lada chwilę i zlecą mu z nóg. Miał jednak szczęście. Udało mu się wskoczyć do pustej budki hamulcowego gdy towarowy pociąg włókł się brzegiem tajgi i dojechać do Wołogdy. Tam już można było kawałek chleba dostać w bufecie i talerz zupy, tylko trzeba było uważać i nie wpaść w oko kręcącym się po stacji i peronach milicjantom. Nie trudnym to było, bo nie różnił się wyglądem od innych podróżnych. Szwendając się później po torach, zobaczył szereg pustych wagonów towarowych na których ktoś kredą napisał „Moskwa”. Domyślił się, że pewno do Moskwy je powiozą, chociaż oczywiście pewności tego nie było. Zapytać kogoś niebezpiecznym mu się wydało. Przyczaił się więc za sztaplem szpał i czekał aż do wagonów przyczepią lokomotywę. Długo czekał i gdy pociąg zaczął się wolno toczyć, wskoczył do pustego wagonu. Ciemno już było. Romek położył się na deskach podłogi i prawie z miejsca zasnął. Obudził się gdy już słońce stało wysoko i światło wpadające przez wietrzniki wymalowało jasne kwadraty na czarnej podłodze. Głód straszny poczuł i oszukał go sucharem chleba jeszcze z posiołka. I wtedy zdał sobie sprawę, że przyjazd do Moskwy jest bardzo niebezpieczny. Któryś z Rosjan opowiadał mu jeszcze na posiołku, że aby zamieszkać w stolicy potrzebne jest pozwolenie, że sprawdzają dokumenty, że roi się w niej od milicji, że sprawdzają papiery podróżnych... Postanowił więc wysiąść przed Moskwą, obejść ją na piechotę i to najlepiej nocami.

Dwa tygodnie mu to zajęło. Z nóg opadał i głodny ciągle był. Nocami starał się przez mijane wioski iść i wielokrotnie uciekać musiał, gdy opadały go psy. Bardziej od psów bał się jednak ludzi, którzy słysząc ich szczekanie drzwi uchylali i pytali: „kto tam”. „Alosza” albo „Kola” odpowiadał i kroku przyśpieszał. Szczęśliwie wystarczało to, bo nikt nie był na tyle ciekawy, by go po nocy gonić. Z jakiej zresztą przyczyny? Spał gdzie się dało i gdy już zmęczenie z nóg go waliło. W jakiejś kępie krzaków, czasami w pordzewiałych wagonach stojących na jakiejś bocznicy nie wiadomo jak długo, raz w budce traktora, który ktoś na polu pozostawił, czasami w jakiejś stodole czy oborze kołchozu, który mijał. Kilka razy mleka udoić mu się udało, czasami

kilka obgryzionych kartofli z koryta świniom ukraść, czasami wreszcie, gdy już z nóg się walił, stukał do drzwi jakiejś chałupy na skraju wioski stojącej, by łatwiej było można uciec i żebrał o kawałek chleba. Dziwiło go później, że prawie nikt mu nie odmówił i gdzie idzie nie pytał. I gdy już tak wyczerpany był i głodny, że było mu wszystko jedno czy go złapią czy nie, doszedł do wioski, przez którą tory kolejowe szły, a przy nich stała mała stacyjka. Wszedł do środka z nadzieją, że może bufet znajdzie i coś do jedzenia będzie mógł kupić. Troje starszych ludzi tylko na peronie zobaczył. Widocznie na pociąg czekali. Z podsłuchanej rozmowy wywnioskował, że mówią po ukraińsku i jadą do Kijowa. Wkrótce pociąg nadszedł i Romek wszedł razem z nimi. Wszystko jedno już mu było. Usiadł w tym samym przedziale i z miejsca zasnął.

Obudziło go szarpanie za ramię. Zobaczył pochyloną nad sobą twarz konduktora.

- Bilet, pożałusta.
- Ne maju - przyznał się po ukraińsku, widocznie zasugerowany językiem, którym rozmawiali jego towarzysze podróży.
- Kak eto, nie imiejesz - dziwił się konduktor.
- Hroszy ne maju.
- Ot, żulik - zdenerwował się i złapał go za kołnierz.
- A de ty jidesz - zapytał wtedy któryś z Ukraińców.
- Do Kijewa, do mamy - skłamał Romek i zaczął udawać, że płacze.

Ukraińcy zaczęli perswadować konduktorowi, by zostawił chłopaka w spokoju, Miejsca w przedziale są i co mu szkodzi, żeby chłopak do matki w nim dojechał. Swoją był. Ukrainiec. Nie chcieli by mu się krzywdą stała pozwolić.

- A wiele ty masz - konduktor wreszcie Romka zapytał.
- Dwadzieścia rubli.
- No, to dawaj.

Siwy nieznajomy poklepał Romka po ramieniu, a później rozsypał sznurek na worku, wy dostał z niego bochenek chleba i połec słoniny. Krając nożem zaczął obdzielać zawartością worka towarzyszy podróży. Romek ślinę przełknął i od jego rąk oczu oderwać nie mógł. Siwy to musiał zauważyć, bo odkroił dużą pajdę chleba i plaster słoniny.

- Na, już - zachęcił.

Na dworcu w Kijowie setki ludzi się kręciło i roiło się od milicji. Uważać trzeba było. Ale bufet był otwarty, herbaty w nim dostać było można i zupełnie sprzedawano tym, którzy mieli jakieś naczynie. Romek swój garnczek nastawił. Kucharka głęboko w kotle chochlą zagarnęła i nalała mu gęstego od kartofli kapuśniaku. Ten kapuśniak postawił go na nogi. Czas było pomyśleć o znalezieniu pociągu idącego do Szepietówki i dalej, za przedwojenną polską granicę. Włóczęg się po torach zauważył towarowy pociąg, na wagonach którego widniały kredowe napisy, informujące, że jedzie do Lwowa. Węgłem był załadowany. Wdrapał się na wagon bez dachu i ułożył się na twardych bryłach. Czuł się bezpieczny. Gdy wreszcie zasapała lokomotywa, koła potoczyły się po szynach a wiatr zaczął wdzierać się pod fufajkę, zaczął z niecierpliwością oczekiwać dnia i słońca. Zesztywniał i szcękając zębami myślał, że skona z zimna. Śmiesznym mu to się nawet wydało po zimie spędzonej pod Archangielskiem. Długo czekał aż słońce wzeszło po nocy, która jak wiek się ciągnęła i coraz mocniej grzać zaczęło. Po południu już było gdy pociąg przejechał jakąś stację i Romek zdołał odczytać tablicę z jej nazwą. Szepietówka. Przypomniawszy, że jego ojciec tutaj przecież przed wojną bywał.

Pociąg minął stację i zatrzymał się przy pompie, by nabrać wody do lokomotywy. Romek walkę z sobą stoczył. Do Polski było już niedaleko. Ale przypomniał sobie, że ludzie opowiadali, że pomimo przyścia na Wołyń wojsk sowieckich, dawna granica jest wciąż zamknięta, że stoją na niej strażnicy i że tak trudno przez nią się przedostać, jak kiedyś. Nastraszył się, że gdy jest już tylko kilka godzin od celu, gotowi go złapać przy przekraczaniu granicy. Przecież sprawdzą pociąg, a ukryć się w wagonach z węglem nie bardzo było gdzie. Postanowił wysiąść i poczekać. Przecież może jacyś polscy kolejarze tu wciąż pociągi przywożą, tak jak kiedyś jego ojciec. A jak przyjeżdżają, to pewno z tej pompy wodę będą nabierać i jeśli nie pomogą, to przynajmniej informacji nie odmówią.

Czekał ukryty za sztapłem zgniłych szpał. Godziny upływały, czas się dłużył, głód doskwierał. Jedna lokomotywa przy pompie się zatrzymała, druga... ale maszyniści rozmawiali ze sobą po rosyjsku. Wreszcie nadjechała trzecia. Romkowi wydało się, że maszynista z palaczem rozmawia po polsku. Rozglądnął się dokoła. Zmrok już się kładł po torach i uciec w nim łatwo było w razie niebezpieczeństwa. Ostrożnie podszedł do kolejarzy.

– Panowie. Wiecie czy dawna granica jest strzeżona?

- A ty kto ? - prowokacji się nastraszyli.

- Polak. Z Syberii uciekłem i do domu wracam. Pomóżcie - już nie ukrywał.

Nie wierzyli. Zaczęli przyglądać się mu uważnie. Jak zmora wyglądał. Wahali się...

- Mój ojciec też maszynistą był. Tomasz Szwedziuk się nazywał.

Toż znałem go - palaczowi twarz się rozjaśniła. - A granicy to strzegą, tak jak dawniej. Nie przejdiesz. I aż z Syberii mówisz uciekłeś - głowę pokręcił, bo nie do wiary mu się to wydało.

- Niech na lokomotywę wsiada - maszynista nagle zdecydował.  
- Pod węglem na tendrze się ukryje. Tylko szybko bo hamulcowi to Rosjanie i zobaczyć mogą.

W kilka godzin później, Romek zdecydował się wychylić głowę z pod okrywających go jakichś szmat i kawałków węgla. W szarzyźnie dogorywającej nocy migwały czarne kształty drzew, które zaczęły mu wydawać się znajome. Zdał jednak sobie szybko sprawę, że to tylko złudzenie, chociaż był pewien, iż pociąg znalazł się już na polskim terytorium. Koła parowozu uderzały miarowo w spojenia szyn, jakoś radośniej niż poprzednio. Zaczął w duchu skandować w ich takt:

*Proszczaj, niemytaja Rossija,*

*Strana rabów, strana gospod...*

Niebo blado się wreszcie zaróżowiło i na jego tle, ponad dalekim horyzontem, ukazał się komin cementowni. Serce zabiło mu mocniej. Był pewien, że się nie myli, że już kilka tylko kilometrów dzieli go od rodzinnego miasta. W kilkanaście minut później zazgrzytały hamulce i pociąg zatrzymał się przy rampie, w miejscu, gdzie kiedyś przeładowywano rosyjski eksport do polskich wagonów. Z torów znajomy tartak był widoczny. Dzień jeszcze nie wstał i w pierwszym świetle poranka krople rosy błyszczały na chwastach porastających nasyp kolejowy. Romek zeskoczył z lokomotywy na tory. Nawet kolejarzom podziękować zapomniał. Wzruszenie nie do opanowania za gardło go ścisnęło i rozpląkał się. Nie mógł tego płaczu czas dłuższy opanować. Stał jeszcze przez chwilę i patrzył w kierunku swojego domu. Kto w nim teraz? Ramiona mu podskakiwały i nie wiedział czy z zimna, czy od piersiami szarpiącego szlochu. Wreszcie zeszedł z nasypu między wysokie sztaple kłód, które jak kiedyś wokół tartaku leżały. Głucho tu było o tej porze. Zatrzymał się przy rowie prowadzącym pod tartak i zdjął waciak. Zaczął się myć. W szarym świetle widział czerń wody, spływającej mu z twarzy na ręce. To od tego węgla, pod



którym przykryty workami siedział. Później na jakiejś kłodzie się położył i szcękając z zimna zębami, czekał aż wszędzie i zacznie grzać słońce. Za łąkami i jeziorem, za znajomymi wzgórzami, na których las rósł, coraz większy szmat nieba nabierał różowej barwy i wiadomym było, że lada chwila złota tarcza po nim się potoczy.

Maruśka zaraz wyjdzie z chałupy karmić bydło i kury. A zaraz później Marczuk z synami zaczął przy gospodarce się krzątać. Teraz pewno już śniadanie dojadają. Bałandziuk też już wstaje, by do gimnazjum iść. Zawsze bardzo wcześniej wychodził. I nagle Romek sobie uświadomił, że jest sam. Że właściwie nie ma do kogo iść, że nikt z rodziny mu nie pozostał, że nikt jego powrotem się nie ucieszy. Że nie ma gdzie mieszkać, gdzie się wyspać... I nic do jedzenia, a głód zaczął mu doskwierać. I że w tej porwanej fufajce na ulicy pokazać się nie może. Nawet o tym nie pomyślał jak z posiołka uciekł. Teraz dopiero świadomość tego do niego dotarła. Że jest obcy na swojej ziemi, do której tęsknił i na której by się znaleźć, tyle strachu i głodu wycierpiał. Wtedy o najbliższych przyjaciółach pomyślał, ale zaraz zaniepokoił się, że może już ich nie ma w domach w których mieszkali. Że może też i ich wywieziono, aresztowano, czy Bóg raczy wiedzieć co z nimi się stało.

Dużego wyboru nie miał. Zaczął iść ulicą Graniczną ku domowi Zygmunta. Ostrożnie szedł rozglądając się na boki i obawiając się, by go ktoś nie zobaczył, chociaż wątpił by mógł poznać. Usiadł pod wapnem bieloną ścianą, zasłonięty od drogi beczką na deszczową wodę, którą pani Bałandziukowa kwiaty w ogródku podlewała. Cekał aż ktoś wyjdzie na podwórze. Długo czekał i domyślił się, że pan Bałandziuk już pewno poszedł do pracy. Nie mógł opanować zmęczenia, czy mu się zaczęły kleić i zaczął drzemać. Obudził go skrzyp otwieranych drzwi i głos Zygmunta.

– Stefan, jak zaraz nie będziesz gotowy, to zostawię i sam pójde.

Romek podniósł się z ziemi. Zygmunt zachnął się i przyglądał się mu przez chwilę nie mogąc poznać.

– Wszelki duch Pana Boga chwali!

## 31

Pani Alicja okiem nie mrugnęła gdy przyszedł do niej Janek z Zygmuntem, zapoznali ją i sytuacją Romka i o pomoc prosić zaczęli. Nawet wzruszyła się, gdy opowiedzieli jej jak stracił matkę i siostrę.

Będąc praktyczną niewiastą, która połowę życia sama sobie doskonale radziła, rozkazy z miejsca wydawać zaczęła.

– O tym, że wrócił nikomu ani mru, mru. Jeden potrafi trzymać zębami, drugi nie. Na tapczanie w kuchni u mnie może spaw i wieczorem niech przyjdzie jak ludzi na ulicy mało. Tylko żeby go nikt nie widział. Sąsiadów ciekawskich i plotkarzy mam. Ubranie jakieś to ty Zygmunt mu musisz dać albo znaleźć bo w fufajce tu chodzić nie może, a czasami będzie musiał przecież z domu wyjść. Zresztą u ludzi coś wykombinuję. A jeść, to czym chata bogata.

Gdy dziękowali, przerwała.

– Do końca wojny tu siedzieć nie może, z tego zdajecie sobie chyba sprawę. Odkarmię go, wypocznie i uciekać gdzieś dalej musi. Tam, gdzie go nikt nie zna. Tu, to go szybko wywąchają. A u was też nie może się ukrywać, bo cała ulica go zna, wie, że deportowano i chłopci przez drogę mieszkają, którym ufać nie można.

Otoczyła go starsza pani serdeczną troską, odkarmiła i wiadra wody na piecu grzała niemal co dzień, bo wiedziała, że w balii godzinami lubił się moczyć zanim kilkutygodniowy brud z niego zeszedł. Ostrzygła go też i naftą głowę wysmarowała, bo wszy mu się zaległy i bała się, że ją nimi obdarzy. Nawet kilka razy wyjść mu pozwoliła do miasta, wiedząc, że jak w więzieniu siedzieć w jej mieszkaniu całymi dniami nie może. A czerwiec już był słoneczny i piękny jak zwykle na Wołyniu. Na ozdobnych jogach wzdłuż ulic rosnących przekwitły różowe kwiaty i ich opadłe płatki na chodnikach leżały bo nikt ich nie zamiętał. Zeschnąć już czas miały i rzadkie wiatry z miejsca na miejsce je przetaczały, jak zimą zaspy śniegu. Ogródki przed domami kokietowały mozaiką kwiatów. Nawet wieczory były ciepłe, a od rozgrzanych za dnia płyt chodników i ścian ciepło jeszcze po zmroku parowało. Na jabłoniach w ogrodzie od podwórza ptactwo w cieniu liści się chowało i wczesnym rankiem śpiewem ludzi budziło. A i cały dzień trajlowały te ptaki, kłóciły się to znów chóralnym śpiewem z ciepłych dni się cieszyły. Romek przy otwartym oknie często siadał i przez cienkie firanki na ludzi idących ulicą patrzył. Ciągnęło go by na ulicę wyjść. Szczególnie niedziele lubił. Tłumy do kościoła chodnikiem szły i wśród idących kolegów i koleżanki poznawał. Niedługo Romek u pani Alicji się ukrywał.

Ktoregoś dnia sąsiadka Wirpszowa ją zatrzymała.

– Jakiegoś chłopca pani ma u siebie. Krewny przyjechał? – Ciekawa wszystkiego była i plotkara na całą ulicę znana.

– Co pani?

– Zza firanki wyglądał mnie się wydawało.

– Pewno Janek, bo często mnie odwiedza. Zaniepokoiło to jednak panią Alicję, co od Wirpszowej usłyszała i podzieliła się swoimi obawami z wnukiem i Zygmuntem. I Zygmontowi zaraz stara kozetka na strychu w domu Zośki się przypomniała. Gdy spotkał ją wieczorem w parku, na bok od grupy koleżanek odciągnął i w sprawy Romka wtajemniczył. Wszystko jej opowiedział, o dyskrecję zaklinając. Jak mu ojca komuniści aresztowali, jak matkę i siostrę pochował i jak z Syberii uciekł. Zośka nawet wzruszyła się jego losem i oczy jej zwilgotniały, a później niemal za bohatera go uważać zaczęła. Zainteresował ją. Sytuacja nawet nietrudna jej się wydała. Matki cały dzień w domu przeważnie nie było, bo albo na wieś po żywność i na handel chodziła, albo do Równego z paczkami dla męża jeździła. I na strych nigdy nie wchodziła, bo nie było po co.

Przez następne kilka dni chłopcy pościel na strych do Zośki zносили, za zgodą matek swoje łóżka ogoławając. Wreszcie kozetka została zaścielona i wczesnym wieczorem, gdy ludzi na ulicach mało było, przyprowadzili Romka do Zośki. O żywności dla niego też pomyśleć musieli. To trudniejszą sprawą było. Zdecydowali się wtajemniczyć w nią kilku kolegów ze szkoły, którzy chętnie pomoc obiecali. I może ta ich tajemnica długo tajemnicą by nie była, bo coraz więcej ludzi o przybyciu Romka wiedziało, gdyby w niedługim czasie nie nastąpiły wypadki, które spowodowały, że już nie musiał się ukrywać.

A Zośkę, gdy zobaczyła ostrzyżonego do skóry i chudego Romka, żał, że jest taki zabiedzony opanował. Ten żal niemal matczynej instynkt w niej rozbudził i zaczęła o niego dbać może bardziej niż pani Alicja. Każdą wolną chwilę z nim na strychu spędzała, kawę z żółędzi parzoną mu nosiła i żadnej okazji nie traciła by pogłaskać po ostrzyżonej głowie, a jak zauważyła, że jest w złym humorze, to go do piersi przytulała. To tulenie z przyjacielskiego coraz bardziej w kobiece, poufale z każdym dniem zamieniać się zaczęło. I Zośce by Romka całować coraz bardziej jakoś się chciało, więc najpierw go w czoło całowała jak na strych przyszła, później w oczy i policzki, a później już ustami jego usta muskać zaczęła. Najpierw lekko, a później już się nie krępowała i przylegała do nich bez żadnych hamulców. I obejmować go zaczęła przy tym wylewie czułości coraz śmielej i czulej.

Aż pewnego dnia, gdy przyszła na strych w cienkiej perkalowej sukience w kwiaty, wydała się Romkowi tak ładna i ponętna, że gdy pocałowała go, to już jej nie puścił. Ust oderwać nie pozwolił i objął

tak mocno, że pisnęła. Gdy zobaczył, że się nie broni, na kozetkę kłaść zaczął. Niezgrabnie do niej się dobierał. Żadnego doświadczenia nie miał.

– Kochasz mnie? – dopytywać się wtedy zaczęła.

– Kocham, kocham – zapewniał. – Co za głupie pytanie?

– Tylko Zygmuntowi nie powiedz, bo zły będzie.

– Nie powiem – zapewnił i Zośka mu wtedy pomogła. Później już normalnym jakoś się stało, że jak Zośka przyszła, to na kozetce się kładła.

– Chcesz – pytała. Chichotała później drażniąc go, że może nie zechce, ale Romek zawsze chciał.

Niepokój go jednak ogarniał, co będzie jeśli Zośka w ciążę zajdzie. I gdy któregoś dnia korzystając z tego, że pani Łupaszko do Równego pojechała i odwiedził go Zygmunt z Jankiem, a rozmowa o dziewczętach się potoczyła, zapytał:

– Co robić żeby dziecka nie mieć? Dziewczyny zawsze się boją, że dziecko mogą mieć.

– Kondomy trzeba używać, tylko teraz ich nie dostaniesz – Zygmunt poradził, chociaż nie domyślał się dlaczego Romek pyta, bo by się na niego rozłościł. – Kiedyś to u Mośka można je było kupić.

– Mnie jeden mówił, że trzeba koniec sznurkiem zawiązać – Janek wtrącił.

– Ot, durny – roześmiali się.

A Zośka zakochała się w Romku na zabój, tylko sobie pewno sprawy z intensywności swego uczucia w pełni nie zdawała. Pierwszą najszlachetniejszą miłością dziewczęcą, taką, która ważniejszą w życiu od wszystkiego innego się wydaje, która też na każdą ofiarę i bezinteresowność jest gotowa. Nic ją oprócz jego towarzystwa nie cieszyło i wydawało się, że czego by zażądał, to by mu nie odmówiła. I coraz częściej zaczynała trząść się ze strachu, za każdym razem gdy kroki żołnierskich butów na ulicy usłyszała, bo strach ją ogarniał, że to może po niego idą. Romek z tego nawet sprawy sobie nie zdawał, chociaż dobrze mu z nią było. Cieszył się jak z nim przebywała i brak mu jej było, gdy na strych przyjść nie mogła. Z jej szczodrości korzystał i wdzięczny jej za nią był. Bliska mu bardzo wtedy się stała, może bliższa od Zygmunta i Janka, z którymi niemal od urodzenia przyjacielskie stosunki go łączyły.

Gdy pewnego dnia Zygmunt go odwiedził i tak długo siedział, że Zośka opryskliwa do niego się zrobiła i ciągle powrotem matki stra-



szyła, bo chciała sama z Romkiem zostać, zaczął plotki buszujące w miasteczku opowiadać. Wszyscy spodziewali się, że Niemcy lada chwila na sowietów uderzą. Prawdy w tych plotkach dużo pewno było, bo skąd by się brały. Ukraińcy na nich podobno już czekają i niemal do powitania się szykują. Nawet ich koledzy szkolni coraz bardziej buńczuczni są, niechętnie już z polskimi przyjaciółmi rozmawiają i nie wiadomo czemu dystans starają się od nich utrzymać. Wołodia, który z nimi ze szkoły do wsi często wracał, teraz oddzielnie się trzyma, a gdy Zygmunt zapytał go dlaczego, odpowiedział, że „co mi tam z Lachami”. I wtedy Zygmunt głos zniżył i szeptem zaczął mówić.

– Jak sowieci będą uciekać, to w broń się zaopatrzymy. Z bronią nikogo bać się nie będzie trzeba. No, i jak Niemcy przyjdą chować się już nie będziesz musiał przed sowietami.

Zośka nagle się rozplakała i uspokoić się nie mogła przez chwilę. Nie rozumieli dla czego. Z jakimś żalem też na Zygmunta spojrzała, jakby jakąś złą wiadomość przyniósł.

– Czego ty – zapytali niemal unisono.

Nie odpowiedziała. Nie mogła im przecież powiedzieć, że jak Romek nie będzie musiał się ukrywać, to ze strychu pewno się wyprowadzi. Że nie będzie go miała co dzień dla siebie, że może nawet o niej zapomni gdy potrzebować już nie będzie, że nowe dziewczyny go interesować zaczną, że... Ucieszyła się gdy Zygmunt odszedł. Ręce Romkowi na szyję założyła, ustami do jego warg przywarła i oddała mu się z taką pasją gwałtowną, że się temu zdziwił. Jak przy jakimś pożegnaniu, jak gdyby to miało być ostatni raz. Pierwszy raz nogami go wtedy objęła i puścić nie chciała, gdy on już miał dosyć. Później domagać się zaczęła, by zapewnił, że ją kocha i nigdy nie opuści. Gdy powiedział, że ją kocha, chciała by powtórzył to i ciągle jej było jego zapewnień mało. „Jeszcze raz to mi powiedz... jeszcze” – domagała się.

## 32

**P**iękna, słoneczna niedziela czerwcową przysła i Janek cieszył się, że zobaczy w kościele Beatę. Szli z Zygmuntem miedzą przez łąny pszenicy i dziwili się, że tak szybko rośnie. Jeszcze kilka tygodni temu do pół łydki sięgała, dziś już niemal pasa. Jak wiaterek ja musnął to wydawało się, że faluje i grzbiety tych pszenicznych fal srebrem się

mienia. Jeszcze kilka tygodni i złościć się zaczną. Weszli na uliczkę sadami przy domach otuloną, która do przejazdu kolejowego prowadziła i przyspieszyli kroku na drewnianych kładkach zastępujących chodnik. Za przejazdem już tylko cementownię trzeba było obejść, by znaleźć się przed kościołem. A na przejeździe jak zwykle kilka wozów stało, czekając aż przejedzie pociąg i podniosą szlaban. Tłum ludzi też przy nim w gromadę się zbił i gwar panował. Kilku gestykulowało w podnieceniu rękoma, jakiś kolejarz bił się ręką w piersi, jakby chciał poświadczyć, że to co powiedział jest prawdą. Zainteresowało ich co się dzieje i przystanęli przy tłumie.

– Co się stało – Zygmunt kogoś za rękaw pociągnął.

– Równe podobno Niemcy bombardują. Wojna!

I nagle zaburczał gdzieś wysoko motor. Ludzie jak na komendę zadarli głowy, konie przywozach uszami strzyc zaczęły. I zanim jeszcze samolot na ogromnym niebie oczy odnaleźć zdołały, gwizd przejmujący przeszył niebo i od strony parowozowni huk ogromny po torze się przetoczył. Kłęby czarnego dymu nad nią ku górze buchnęły i ziemia się zatrzęsała. Tłum w popłochu rozpieczętnął się we wszystkie strony. Konie zaprzężone do wozów stanęły dęba, a później ruszyły na ślepo przed siebie. Rwały z kopyta, tak jak kiedyś konie straży pożarnej, gdy do pożaru pędziły. Na cerkiewnej wieży dzwony się rozdzwoniły i nikt nie wiedział czy na alarm, czy na powitanie Niemców. Wreszcie uspokoiło się na chwilę i ludzie z trawnika przy Domu Polskim podnosić się zaczęli. I wtedy drugi raz gruchnęło.

– Stacja kolejowa poszła – ktoś powiedział.

Czas dłuższy z nosami w trawie leżeli, zanim odważniejsi wstać się zdecydowali. Janek z Zygmuntem obok przedwojennego posterunku musieli przejść w drodze do kościoła i zobaczyli przed nim dwa samochody ciężarowe, do których żołnierze skrzynki jakieś wynosili i grupkę więźniów przez bojców otoczoną. Krzyknęli do nich, że wojna z Niemcami wybuchła. Serca im mocniej zabiły. Uciekają sowietci! W kościele tłok panował. Podniecenie ogólne widoczne było i że zebrani końca nabożeństwa doczekać się nie mogą. Wreszcie się skończyło. Wierni w pośpiechu wypłynęli na ulicę. Cisza na niej senna panowała jak zwykle i jakoby nic nadzwyczajnego się nie działo. Podniecenie zaczęło ustępować ciekawości. Młodzież ku stacji kolejowej ruszyła, zobaczyć jakie szkody bomby na niej wyrządziły. Okazało się, że stała nienaruszona, na białą przed laty pomalowana i tyl-

ko czarne oczodoły po wypadniętych szybach biel ścian plamiły. Po bombie tylko głęboki krater przed nią pozostał, ale parowozownia doszczętnie była zniszczona. Zawalił się na niej dach i po ceglanych ścianach tylko kupa gruzu pozostała. Z poskręcanego żelastwa i dwu wywróconych parowozów para szła i w jej oparach kręciło się bez celu kilku bojców i zafrasowanych kolejarzy.

– Uciekać nie będą mieli czym – nagle Zygmunt głos Mośka poznał.

– Pewno Niemców teraz będziesz witał – Janek od złośliwości nie mógł się powstrzymać, chociaż zdawał sobie sprawę, że na Mośka błady strach pewno padł. Zdenerwowało go, że ten do zmiany okupanta, jeśli Niemcy tu przyjdą, już zaczyna się dopasowywać.

– Eto sabotaż, nie Giermańcy – Igor do rozmowy się wtrącił, bo też popatrzeć co się stało przyszedł. – Gdyby niemiecki samolot tu się pokazał, to naszych setka już przeciw niemu by wyleciała. Rozstrzelali by go na drzazgi, I oni to wiedzą.

– Nie pieprzył by ty – ktoś roześmiał się.

Igorowi oczy od złości się zaświeciły. Z pięściami by na śmiejącego się rzucił, ale zobaczył, że jest większy od niego.

– Ty uważaj, kontrewolucjonisto – pogroził tylko. – Żebyś ja komu trzeba o tobie nie zameldował.

Młodzież, zaspokoiwszy ciekawość, powoli do domów rozchodzić się zaczęła. Spokój, który po bombardowaniu w miasteczku zapanał był jednak tylko spokojem powierzchownym. Przybyłą z Rosji ludność panika ogarnęła. Jedni pakować się zaczęli, inni biura urzędów oblegać domagając się instrukcji. Ale urzędy swoimi sprawami były zajęte. Pakowały akta i nie wiedziały czy nastąpi ewakuacja i czy będzie jakiś dla nich transport. Wielu łudziło się, że czerwona armia po prostu napastników odeprze i jej tanki potoczą się w kierunku Berlina. Na zgnili zachód! Większość Rosjan niepewność jutra jednak ogarniać zaczęła, w coraz większą panikę się zamieniającą. I rozkazy żadne nie przychodziły. Niektórzy nawet samowolnie zaczęli opuszczać posterunki i szukać drogi na wschód. Do wieczora wszyscy urzędnicy z urzędów zniknęli. I gdy Janek powrócił do domu, by rodzicom co widział opowiedzieć, zobaczył, że rodzina sowieckiego kolejarza wyprowadza się z domu Romka, który po jego deportacji zajęła. Z tłumokami w ręku ku torom kolejowym się wlekła. Pan Karpiński, że wojna już wybuchła, na pewno potwierdził, bo rozmawiał

z kimś, kto ma radio i oficjalnego komunikatu z Moskwy słuchał. A następnego dnia dziwne sprawy zaczął się zacząć.

Ogólna panika Rosjan w miasteczku ogarnęła. Na torach żołnierze i cywile z tłumokami przy wagonach się tłoczyli, ale tylko jeden czy dwa pociągi na Szepietówkę odjechały, bo lokomotyw nie było. Rejwach i popłoch panował i nikt porządku nie starał się zaprowadzić. W mieście patrole NKWD się pokazały i nakazywały zatrzymanym młodym mężczyznom zgłaszać się do komendy wojskowej. Gdy wiadomość o tym miasteczku obiegnęła, wszyscy zdolni do wojska na strychach się skryli. Na drogach pokazały się samochody wojskowe i furgony zaprzężone w konie. Wszystkie na wschód jechały, nie na front. Z początku po kilka ich tylko się widziało, pod wieczór coraz więcej. Parę czołgów na ulicy miasta się pokazało i znikło na drodze do Ostroga. Ludność drzwi na głucho pozamykała, nie paliła świateł i długo nikt zasnąć nie mógł. Wczesnym rankiem obudziła ich z bardzo daleka dochodząca kanonada.

Zygmunt przed dom wybiegł. W porannej mgłę, po polach i drodze szły grupy żołnierzy sowieckich. Zmęczeni, ze spuszczonej głowami, ledwo przebiegali nogami. Coraz usiłowali przyspieszyć kroku, ale zaraz później, po wysiłku, który czas dłuższy utrzymać nie byli w stanie, znowu wolno jak przed tym się wlekli. Kilkudziesięciu osobowe grupy ich szły, czasami tylko po kilku, a za nimi ciągnęli się pojedynczy maruderzy. To nie był odwrót. To nie wycofywały się zwarte oddziały. Nawet Zygmunt zrozumiał, że oni po prostu uciekają. Ten i ów oglądał się nerwowo poza siebie, inny spoje łba na boki podejrzliwie patrzył, jakby zdawał sobie sprawę, że nikt ich tu nie lubi. Bali się, że kula za jakimś drzewem ukrytego strzelca dosięgnąć ich może. Pożegnanie okupowanej ludności dla niemiłego okupanta. Kilku przy studni się zatrzymało, by napić się wody.

– Gdzie front – Zygmunt ośmielił się jednego zapytać.

– Kącej tam front, malczyszka – jeden z nich splunął na podwórce i powlókł się dalej.

– Wracaj do mieszkania, bo niebezpiecznie – pan Bałandziuk głowę przez drzwi wychylił.

Zygmunt wiedział, że czas działania nadszedł. Z każdą godziną większy popłoch na drogach i polach panować zacznie. Coraz bezładniej sowieckie wojsko będzie uciekać. Coraz więcej go będzie. W panice każdego ciężaru będą żołnierze się pozbywać. Broń będą rzucać,



poddawać się nadchodzącym Niemcom. A schowek pod tartakiem już był przygotowany, zaaprobowany przez Popławskiego i tylko broni żadnej w nim jeszcze nie było. Stojący przy płocie swojego domu Janek, to samo myślał. Tymczasem na Marczuka patrzył, jak ten przy bramie swej zagrody stał i za głowę się łapał. Kilku kawalerzystów na przełaj po jego pszenicy przejechało i w jej gładkiej powierzchni pozostała końskimi kopytami wydeptana ścieżka połamanej słomy. Kilku innych zatrzymało się, by zmęczone konie pożywić się mogły przed dalszą drogą i nie reagowało, gdy te obgryzały zielone, nie obrzmiałe jeszcze kłosa. Oni tego pola nie zasiali. Marczuka szlag musiał trafiać, ale ust nie otworzył. Bał się. Za głowę się trzymał i ze straszną nienawiścią na uciekających patrzył.

Pan Raczek przy oknie stał, wołał w taki czas z domu nie wychodzić. Niemców przyjsia się bał, ale uśmiechu nie mógł opanować na widok tego co widział. Ręce zacierał.

– Patrz Katarzyna – do żony powiedział, gdy od okna odciągnąć go się starała. – Patrz! Jak zające uciekają. Bez bitwy, bez oporu hołota wieje! Azja na wschód znowu odpływa, a zachciało się jej Europy. Nosem pociągnij, a smród i dziegieć poczujesz. Zawierzili Hitlerowi i pokazał, że takich jak oni przyjaciół, to on w dupie ma. Dobrze im tak. A Niemcy taka sama swołocz, ale wspomnisz moje słowa. Jak przyjdą, to tak jak to bydło na chodnikach srać nie będą. Zapamiętaj co mówię.

Pani Raczkowa radości męża nie podzielała. Przeczucia złe miała i niepokoju pozbyć się nie mogła. Na niepokój zawsze robota jej pomagała, więc poszła do kuchni obierać kartofle na obiad. Z kwaśnym mlekiem miały być, bo Marczuk wciąż mleko jej dostarczał. A pan Raczek czas dłuższy od okna nie mógł się oderwać. Na uciekających bojców chciał się napatrzyć.

– Wieją, jak w 1920 roku. Jak Boga kocham! Tak jak wtedy wieją.

## 33

**N**a strychu wciąż siedzącego Romka, diabli brali. O tym co się dzieje w mieście informowała go Zośka, która ostatnie kilka dni tylko na chwilę do niego wpadała, bo jej matka siedziała w domu bojąc się wyjść na ulicę. Tyle spraw się tam działo, a on nie bierze w nich udziału, ani nawet swej ciekawości nie może zaspokoić. To więcej go

denerwowało niż głód, który mu zaczął dokuczać, pomimo że Zośka dzieliła się z nim wszystkim co jej matka do jedzenia podała. Niewiele tego jednak było. I na dodatek, ani Zygmunt, ani Janek pokazać się nie mogli.

Na trzeci dzień, po bombardowaniu stacji, już było wiadomo, że czerwona armia miasteczka bronić nie będzie. Z komendy miasta i urzędów zniknęły czerwone flagi, zdjęte przez uciekających. A tego ranka urzędy już pustkami świeciły. Na torach kolejowych tłum objętych paniką Rosjan się tłoczył, ale żadne pociągi nie odchodziły i wiedzieli, że zagarną ich Niemcy. Ulice się wyludniły. Mieszkańcy miasteczka w domach się zaszyli. Zniknęli z nich żołnierze i patroli NKWD. Czasami tylko jakaś grupka sowieckich bojców przez miasto się przemknęła śpiesząc na wschód, jakiś oddziałek pośpiesznie przez nie przemaszzerował nie trzymając szyku, wreszcie samochód przemknął nie zatrzymując się i nie próbując zabrać uciekających. Niewiele tego wojska przez miasteczko przeszło. Bombardowań się bało i wołało bocznymi drogami i polami na wschód, do ojczyzny uciekać. Pod wieczór już tylko tu i ówdzie jakiś maruder na ulicy się pokazał i zrezygnowany opierał się o płot, odpoczywając przed dalszą drogą.

Po południu Zośka dopiero na strychu się pokazała, korzystając z tego, że jej matka zdecydowała się wyjść z domu. Sąsiadka poinformowała ją, że w piwnicach magistrackich sowieckie magazyny pozostały i ludzie już mąkę z nich wynoszą. Długo nie wracała i Zośka niepokoić się nawet o nią zaczęła. Te jej niepokoje jeszcze bardziej wzrosły, gdy grę motorów na ulicy usłyszała. Podeszła z Romkiem do lufcika i przywarli do brudnej szybki nosami. Po ulicy toczyło się kilka niemieckich czołgów. Jak na paradzie jechały jeden za drugim, z głośnym warkotem motorów i klekotaniem gąsienic o bruk. Dawały znać, wydać by się mogło, kto tu teraz panować będzie. Kłapy ich wieżyczek były otwarte i do pasa wychyleni dowódcy rozglądali się ciekawie na boki. Na tym i owym, po kilku żołnierzy siedziało, nie dbale paląc papierosy. Widać było, że nie spodziewali się oporu, że bez napotykania na opór już dłuższy czas jadą, tak długi by zacząć lekceważyć przeciwnika. Czerwona armia uciekała przed nimi bez boju.

Z nosami przy lufciku i objętych ramieniem pani Łupaszko ich zobaczyła. Nie zastawszy Zośki po powrocie z miasta, coś ją tknęło by na strych wejść. Z miejsca rozmamłaną pościel Romka na kozetce

zobaczyła i że już wiele dni tu spędził odgadła. Wściekłość ją ogarnęła. Nawet nie zapytała chłopca co tu robi, tylko Zośkę za ramiona chwyciła.

– Co tu się dzieje – krzyknąć histerycznie zaczęła, Zośką potrząsając. – Chłopaka w domu trzymasz?

Zośka nie odpowiadała i panią Łupaszko ogarnęła panika. Że może ta jej córka z tym chłopakiem Bóg wie co wyrabiała. Że może kochanką jego jest. Że może zepsuta już i zgorszona tak, że jej ksiądz na spowiedzi nawet nie wybaczy. Zapłakała z żalu, że męża tu nie ma, bo on by wiedział jak na to zgorszenie zareagować. Raz jeszcze Zośką potrząsnęła.

– Spałaś z nim? Mów, bo zabiję.

– Kocham go – Zośka tylko wyszeptać zdołała.

– Ty suko, ty suko – słów oburzenia pani Łupaszko brakowało. Już wiedziała, że jak go kocha, to nie broniła się jak ją do złego namawiał. Trzasnęła córkę w twarz. Chciała drugi raz, ale Romek jej rękę przytrzymał.

– Won – tylko wykrztusić do niego zdołała.

– Jak wypędzisz go, to i ja z nim pójdę. Kocham go i żyć bez niego nie chcę – wybuchnęła Zośka i drogę do drabiny Romkowi zastąpiła.

Pani Łupaszko sapała przez chwilę wściekle, ale w głosie Zośki było tyle determinacji, że ją to zastanowiło. Uspokoiła się trochę a później szlochać gwałtownie zaczęła. Zośka też już płakała. Serca obu mięknać zaczęły i wrogość ustępowała. Wreszcie rzuciły się sobie w ramiona. Objęły się. Przytuliły.

– A że zakochać się ty mogłaś, to ja dobrze rozumiem. Dziecka tylko się boję Zosiu. Dziecka w takie czasy... I oboje tacy młodzi jesteście. Może ojciec by ci to mógł wytłumaczyć, ale Bóg wie tylko, co z nim teraz.

Ciężka atmosfera w domu Zośki zapanowała i Romek wiedział, że jego pobyt w nim stał się niemożliwy. Całe szczęście, że zaraz po awanturze Janek przyszedł i poinformował go, że rodzina sowiecka, która w jego domu mieszkała uciekła i dom stoi pusty.

– Już chować się nie musisz. Wojska niemieckie do miasta wchodzą. Do swojego domu musisz się wprowadzić, bo ktoś zająć może – nalegał.

Zośka Romka za rękę chwyciła.

– Nie idź – zaczęła prosić. – Czy ci tu źle? Co tam sam będziesz robił? I niebezpiecznie jest.

Z miasta dochodziły trzaski pojedynczych strzałów. Później okazało się, że Niemcy napotykanymi żołnierzami sowieckimi strzelali. Do niewoli brali tylko poddające się oddziały. Przez kilka dni po tym ich trupy na ulicach i po ogrodach leżały, zanim je zebrano i pochowano we wspólnym grobie.

– Nie bądź głupia. Wiecznie na strychu siedzieć przecież nie mogę. I co dnia wpadać będę. Ty też mnie będziesz mogła odwiedzać. I jak długo myślisz, twoja matka będzie mnie tu tolerować? – Romek starał się Zośkę uspokoić.

Nie poznał swojej ulicy, gdy do niej z Jankiem dotarł. Kilka porzuconych sowieckich samochodów wojskowych wzdłuż niej stało, a w pszenicy Marczuka zaryty gąsienicami w ziemię czołg. Z dachu jego chałupy sinożółtą chorągwią wiatr szarpał i bociany straszyły. Zdziwiła go ta chorągiew i zaniepokoiła trochę. Przedtem Żydzi czerwone wywieszali i ludzie z pogardą na nich patrzyli, teraz Ukraińcy swoje. Na powitanie Niemców przecie. Pojąć trudno było, że to każdego okupanta ktoś witał.

Klucz do domu sterczał w zamku, ale nikt go nie przekręcił i drzwi były otwarte. Śpieszyli się uciekając ostatni jego mieszkańcy. Kilka mebli w nim nawet pozostało z czasów gdy w nim mieszkał i jakaś pościel, której uciekająca rodzina nie zabrała. I elektryczna lampka się zapaliła gdy kontaktem pstryknął. Elektrowni nikt w powietrze nie wysadził i ktoś pracował w niej widocznie, jakby nic się nie stało i miasto okupanta nie zmieniło. Najważniejszym chwilowo było, że na swoim znowu się znalazł, niestety sam. Za serce świadomość tego go ścisnęła. Może by go chandra ogarnęła, ale Zygmunt nadszedł i uśmiechnął się radośnie.

– Trzech muszkieterów znowu jest razem – stwierdził.

– Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego – Janek ich maksymę zacytował.

Romek z miejsca o kłopotach z Zośki matką im opowiedział. Całe szczęście, że jak na kozetce leżeli ich nie przyłapała.

– Może by się tak nie denerwowała, gdyby wiedziała, że Zośka za pięć groszy każdemu pokazywała – roześmiał się Zygmunt lekceważąco.

– Pokazywała, ale nie dawała – Romek jakoś twardo stwierdził. – A jak by w ciąży była, to się z nią ożenię. Że kocha mnie mówiła.

Przez chwilę ciężka atmosfera zapanowała. Romek zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie się wygadał, a Zygmunt, który wciąż Zośkę



za swą dziewczynę uważał, odgadł, że jego przyjaciela więcej niż przyjaźń z nią łączy. Cisza przez chwilę zapanowała.

Przerwał ją Zygmunt, który papierosy sowieckie z kieszeni wyciągnął, a gdy zapalił, powiedział:

– Jak cię kocha, to ją sobie miej. Mało to dziewcząt tu jest?

Machnął lekceważąco ręką, a później zaczął opowiadać, jak dużo broni porzuconej przez żołnierzy sowieckich wokół sztapli w tartaku i w rowie wzdłuż nasypu kolejowego się wala. Że w otwartych wagonach, na torze stojących, skrzynki amunicji pozostały i że wart niemieckich jeszcze przy nich nie ma, chociaż już tam byli, bo kilku zastrzelonych bojców sowieckich między szynami leży. Zastanawia się, czy butów im nie zdjąć, zanim kto inny to zrobi. Tandetne są, ale na wsi za żywność będzie można je przecież wymienić. Po krótkiej naradzie ustalili, że za dnia niebezpiecznie jest na tory iść, gdyż ktoś zobaczyć lub poznać ich może. Dopiero jak zmrok zacznie zapadać postanowili tymi sprawami się zająć, a tym czasem ukryć broń, która wokół sztapli leży, żeby jej kto inny nie pozbiarał.

## 34

**N**ie wiadomo skąd, bardzo szybko wiadomość po mieście się rozeszła, że po ucieczce wojsk sowieckich w więzieniu rówieńskim setki trupów pozostały. Podobno nie mogąc więźniów ewakuować, a nie chcąc pozostawić lub wypuścić, strażnicy z NKWD wpadłszy w panikę z karabinów maszynowych ich wysiekli lub wybili wrzucając do cel granaty. Setki ludzi ogarnęła trwoga o najbliższych. Wielu z nich w rówieńskim więzieniu siedziało. A tymczasem sytuacja była płynna, w okolicy wciąż utarczki trwały z grupami uciekających oddziałów sowieckich. Po głównych drogach jechały na wschód czołgi i samochody z niemieckim wojskiem, po bocznych uciekały zapóźnione oddziały Armii Czerwonej. Pociągi nie chodziły, a drogi były niebezpieczne. Pomimo to kilku śmiałków wybierało się do Równego. Romek także postanowił rowerem Zygmunta tam pojechać i sprawdzić czy ojca wśród trupów nie ma. Po drodze do Zośki wpadł, powiedzieć, żeby ani ona ani jej matka do Równego się nie wybierały, bo jest niebezpiecznie, szczególnie dla kobiet i że on tam jedzie i gdyby pana Łupaszkę odnalazł wśród zamordowanych, to da im znać.

Bez przygód dotarł do miasta i nikt go nie zaczepiał, pomimo że go kilka kolumn niemieckich samochodów minęło. Znał drogę do

więzienia, bo paczki ojcu kilkakrotnie do niego przynosił. W otwartej bramie tłok panował. Setki ludzi wchodziło przez nią na obszerny dziedziniec, inni starali się wyjść nią na ulicę. Przepychali się, śpieszyli, ktoś informował, że Niemcy trupów jeszcze uprzątnąć nie pozwalają, a nad tym wszystkim panował dochodzący zza bramy krzyk i płacz wielu niewiast. Romek wepchnął się w strumień starających się dostać do środka i zaczął torować sobie drogę łokciami.

Straszny widok przed nim się otworzył. Ogromny plac więzienia założony był trupami i ktoś ich już w mniej więcej równe rzędy zdążył ułożyć. Dużo ich było, pewno kilka setek. Mężczyzn przeważnie, ale też kobiet i prawie dzieci. Romek nigdy tyle trupów nie widział i niedobrze mu się zrobiło. Czuł, że żołądek mu pod gardło podchodzi. Zaczął się obawiać, że zwymiotuje. Otworzył więc usta i wciągnął kilka głębokich oddechów. Wśród szeregów trupów posuwał się wolno wąż ludzi szukających najbliższych. Romkowi przypomniawszy sobie ogonek do kina przed wojną, który jak tutaj ten wąż, rynek kilka razy obiegał. „Golgota” film się nazywał i kto mógł kilkakrotnie go oglądając się starał. Księża uczniów ze szkół parami na film prowadzili i nic im nie przeszkadzało, że żydowskie kino go wyświetlało.

Wcisnął się w węża posuwających się wzdłuż rzędów trupów ludzi. Przy niektórych klęczały już jakieś kobiety i zawodziły tak strasznie, że posuwającym się ciarki po plecach szły. Powoli szli szurając nogami, krok za krokiem, jak w jakimś makabrycznym tańcu rytualnym. Milczeli. Tu już tylko to szuranie podeszew o ziemię było słychać, płacz kobiet i od czasu do czasu okrzyki rozpaczyste, którzy rozpoznali w zmasakrowanym trupie kogoś z bliskich. Wąż dochodził do końca jednego z rzędów i zawracał, by iść wzdłuż następnego. Tam i z powrotem, tam i z powrotem... Niektóre trupy w kałuży krwi leżały, inne spokojnie jakoś i nawet w którym miejscu kula ich dosięgła, nie było widać. Większość bez butów była i niebieskawe stopy już im obrzmiały. Nieproporcjonalne, za duże do ich ciał teraz się wydawały. I stęchlizna zakrzepłej krwi nad nimi się unosiła, coraz bardziej dokuczliwa się stawała i uciec od niej nie było można. Romka znowu w dołku mdlić zaczęło i ślina do ust się toczyła. Mijał właśnie trupa młodego chłopca, który bezzębne usta otworzył jakby ostatni oddech chciał złapać. I nagle nogi pod nim się ugięły. Poznał Witka Uciekła chłopaka i rosyjskiego raję i dopędzili go czubaryki na Wołyniu. Czy warto uciekać było? Pewno warto, bo kilka lat w wolności przeżył i niewolnikiem nie był.

Ludzie napierali z tyłu i Romek ruszył ojca i pana Łupaszki szukać. Trup leżał za trupem... Jednemu wnętrzości z brzucha wyszły. Pewno go granatem dosięgli. Ktoś nie mógł się opanować i zwymiotował przy nim. Ludzie głowy odwracali i szli dalej. Jak im waliły niespokojne serca, prawie słyszać było. I nagle Romkowi przypomniała się lwowska piosenka. – „Kamień na kamieniu, na kamieniu kamień...” Popróbował inaczej ją ułożyć. „Trup leży za trupem, za tym trupem trup...” Nie, nie wychodziło i nie składało jakoś. Zdał sobie sprawę, że idiotyczne myśli mu pogłowie chodzą. Pana Łupaszkę przez to mało nie minął i ledwo poznał. Brzuch w więzieniu stracił i policzki mu się zapadły. Pewno pół tego co ważył przed wojną. Toż to rozpacz Zośkę ogarnie! Po namyśle postanowił, że jej nie powie iż ojca odnalazł. Co to teraz da, gdyby jej o tym powiedział? Lepiej niech się łudzi, że może ojciec żyje. Tak lepiej będzie... Do końca ostatniego szeregu trupów już dochodził. Pana Kopczyńskiego, nauczyciela z gimnazjum poznał, dwu profesorów z kupieckiego, Terpolskiego i Łętowskiego z powszechniej... Pod ścianą więziennego bloku stało kilku Niemców i z obojętnymi minami patrzyli na mijających ich ludzi. Co myśleli? Jak odczuwali dramat, który przed ich oczyma się rozgrywał? A może do widoku zwalisk trupów już przywykli, bo o ich strasznych sprawkach też przecież po cichu już zaczęto opowiadać.

Ciała kilku kobiet na końcu ostatniego rzędu leżały. Przy głowie jednej, ktoś już kilka kwiatków położył. Jakoś nie na miejscu Romkowi się wydały w tej ponurej jatce. Na szarym cemencie podwórza raziły jaskrawymi kolorami. Nadziei jakiegóż może symbolem czy zapowiedzią były, piękniejszego świata, w który obecnie mało kto wierzył. Harcerka i nauczycielka ze szkoły królowej Jadwigi, która Kryskę kiedyś uczyła, ostatnia niemal leżała. Piękne zęby miała i teraz je widać było w jakimś grymasie nie do odczytania, tylko że krew na nich i w kątach ust zakrzepła. Otwartymi oczyma na niebo patrzyła i wydawało się, że przymrużyła je od słońca. Ostatniego trupa minął i wreszcie mógł z ulgą odetchnąć. Wśród leżących na wycementowanym placu nie było jego ojca. Zwrócił się do otaczających go ludzi:

– Czy to wszyscy pomordowani? Nie wiedzą państwo czy w celach jacyś nie pozostali?

– Nie. Wszystkich na plac wyniesiono – kilka głosów odpowiedziało.

– Jacyś Niemcy z tej ich propagandy ich fotografowali, zanim ludzi tu wpuszczono – jakaś starsza niewiasta dorzuciła. – Tych, co przed nimi tu przyszli, to z miejsca wygnali.

Nadzieja w sercu Romka się zatliła, że może ojciec żyje. Że pewno go wywieziono gdzieś do Rosji jeszcze przed tą masakrą i że te straszne czasy przetrwa. Już późne popołudnie było i zdał sobie sprawę, że wracać już mu czas, bo w nocy nie będzie można. I, że Zośka z matką na wiadomość czekają, że czas im się dłuży i niepokój każdą sekundę w godziny wydłuża. Ruszył w dół ulicą 3 Maja, a później skręcił w Zamkową. Za okazałymi ruinami pałacu Lubomirskich, drogą przez łąki się ścielącą za miasto wyjechał. Pusta była, nie brukowana i wąż kurzu za rowerem się podnosił. Starał się jak najszybciej jechać, by w najkrótszym czasie znaleźć się na znanym terenie.

Woda wyschła w rowach po obu stronach drogi wykopanych, ale trawy w nich wysokie rosły i gdzieniegdzie bujne krzaki wierzby. Strach go lekki ogarnął. W trawie i za krzakami ukryć się było łatwo i to go niepokoiło. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że jeśli w rowie ktoś siedzi, to na pewno nie Niemcy, bo i po co. Czołgami i samochodami jadą, jak na defiladzie. Nie wysiadając, zajmują z nich miasteczka i wioski. Widział ich przecież. Tylko sowiecki maruder mógł się w tej trawie lub krzakach ukrywać i nawet gdyby nie zabił, to rower gotów zabrać. A roweru Zygmunt mu kazał pilnować jak oka w głowie. Drugiego teraz nie kupisz. Gdy minął już Kwasitów, czeską wioskę z browarem, o piwie z którego Szwejk kiedyś marzył i wjechał na brukowaną drogę, którą z dwu stron plantacje chmielu otaczały, jeszcze straszniej mu się tu wydało. Uspokoił się dopiero jak że wzgórze wieżę kościoła zobaczył i kominy fabryki. Od miasteczka tylko ze dwa kilometry go dzieliły.

Już niemal do miejskiego kąpieliska nad stawem dojechał i groblę minął, gdy zauważył wystające z szarych kęp piołunu nogi, odziane w sowieckie buty. Chciał już mocniej nacisnąć pedały i uciec z tego miejsca jak najszybciej, ale wstyd mu się zrobiło, że trupa się boi. Zsiadł z roweru i ostrożnie rozgarnął badyle. Rozpoznał sowieckiego oficera. Twarzą do ziemi leżał i całe plecy pokrywała mu cuchnąca plama krwi. I zaraz serce Romkowi gwałtownie zabiło. Z kabury zawieszanej na pasie rękojeść rewolweru była widoczna. Nie marudził już. Szybko rozpiął kaburę i wyciągnął z niej nagan. Pospiesznie włożył go za koszulę. Uwierał, ale nie był widoczny w jej fałdach. Pamięć go zawodziła gdy później starał się przypomnieć jak na rower wskoczył i nie oglądając się poza siebie ruszył ku miastu, takie podniecenie go opanowało. Koła roweru podskakiwały na bruku a on pędził jakoby stu diabłów go ściagało. Zwolnił dopiero jak między domki ży-



dowskiej ulicy przy rynku wjechał. Do Zośki już nie daleko stąd było. Grupy Niemców po ulicach się kręcące, nawet nie zwróciły na chłopa uwagi. Zanim zapukał do drzwi, swą zdobycz pod siano w klatce dla królików schował. Nie mógł wtedy przewidywać, że ten nagan bardzo mu w przyszłości się przyda.

## 35

**N**adeszła pierwsza niedziela lipca. Polacy chyłkiem do kościoła szli. Na rynku wielka uroczystość się szykowała i ze wszystkich stron tłumy Ukraińców do miasteczka z sąsiednich wsi podążały. Młodzież w większości w stroje narodowe była ubrana. Dorodnym dziewczynom sznury paciorków przy każdym kroku brzęczały i pęki wstążek spływały z ramion do pasa. Wszystkimi ulicami tłum szedł ku rynkowi i czym bliżej było, tym ciasniej. A poprzedniego wieczora już ktoś słupy i płoty afiszami okleił, grożącymi Żydom, Polakom i Rosjanom, windujące Melnyka i jakiegoś Banderę na wodzów ukraińskiego narodu. I flag dziesiątki na wszystkich urzędach zawisły, w których Niemcy i nowa administracja się zagnieździła. Obok niemieckich, czerwonych z czarnymi swastykami, sinożółte. I tych sinożółtych więcej było od tych faszystowskich.

A na kocimi łbami wybrukowanym rynku wysoki ołtarz polowy stał i z ramion ogromnego krzyża spływały ku ziemi draperie w kolorach narodowych Ukrainy. Podnieconych ludzi tłum rósł, tłoczył się, niecierpliwił w oczekiwaniu czegoś nadzwyczajnego. Wierzył, że samostyjna Ukraina z woli Niemców powstaje i wielkiego oszukaństwa nie podejrzewał. Już ludzie stali ramię przy ramieniu, już cały rynek wypełnili, a nowe tłumy płynęły wciąż z bocznych ulic i napierały na tych z przodu. Więcej na rynku zmieścić się już nie mogło i w gardzielach uliczek na plac wychodzących tłoczno też było i do przodu posunąć się nie można. I nagle chór cerkiewny przy ołtarzu stojący zaintonował „Szczе ne wmerła Ukraina”. Tłum hymnu słowa podchwycił i przeniósł do bocznych ulic. Tysiące gardzieli śpiewało. Z przejęciem, demonstracyjnie, głośno tak, że zdawało się, że domki rozrzucone wokół rynku się zatrzęsły.

A za rynkiem w żydowskiej dzielnicy, okiennice na głucho zamknięte były i żywego ducha na chodnikach nie zobaczysz. Mieszkańcy jej przyczaili się, znaku życia nie dawali, już przeczuwali co ich

czeka i zgadywali do czego jest zdolny ten tłum chłopstwa. Trwoga Żydów ogarnęła i czaili się jak szczury pod podłogą płonącego domu, którym ogień możliwości ucieczki odciął.

Uciszyło się i przed ołtarz wyszedł pop siwy i stary, który i carskie czasy pamiętał i polskie. On umiał do wszystkich warunków się przystosować. Dziękczynne modły zaintonował. Złotogłów bizantyjskich szat błyszczał w słońcu na nim i gromadzie duchownych go otaczających. Chór Boga na świadka wzywał tej chwili podniosłej i o błogosławieństwo prosił. Pięknie śpiewał, jak kiedyś w cerkwiach i na wielu uroczystościach, z rutyną wieloletniej praktyki... Stary pop wreszcie rękę podniósł i najbliżej stojący oddechy przyczaili i tylko w bocznych ulicach chwilę szmer pomruku jeszcze trwał oraz szuranie butów o płyty chodników. Uciszyło się wreszcie i pop przemawiać zaczął. Krzywdy rosyjskie i polskie przypominał, a tu i ówdzie okrzykami „na pohybel” grupy ludzi mu odpowiedziały. Zapomniał jak przy starości kiedyś zawsze na trybunie stał, i teraz do nienawiści wzywał. On już nie duchownym był, ale ukraińskim nacjonalistą. Nienawiść w tym tłumie zasiewał i jak skrzypek smyczkiem, tak on swym krasomówstwem na uczuciach tego tłumu grał, do białości nienawiści jego rozpałał do Żydów, Lachów, Rosjan i Czechów. On wiedział czego ten tłum od niego oczekiwał i bał się, by mu flirtu z Lachami nie przypominał. A tłum chłonał każde jego słowo. Od ołtarza pasterz ich dusz ziarno siał, które tylko krwią i śmiercią tysiący zaowocować mogło. Tym kilku, którzy rozumieli co tu się działo, ciarki po plecach poszły.

Wreszcie stary pop znów rękę podniósł i zaczął błogosławić tłumowi chleborobów i Ukrainie. Tysiące ludzi na bruk kolanami padło. Szerokie krzyże spracowanymi rękoma kreślili, dużymi pięściami w piersi się bili, pochylali głowy... Od ołtarza ku czystemu niebu dym kadzideł się unosił... Gdzieś po brzegach tłumu ktoś skandować zaczął: „smert Żydam, Moskałam i Lacham”. Skandowanie podejmowało coraz więcej ludzi. Rosło w sile, coraz głośniejsze było, w grzmot się zamieniło, w wielki ryk tysiący gardzieli. Smert...smert...smert... Ręka popa drugi i trzeci raz krzyż nad nimi kreśliła. Błogosławiła gniew tłumu.

Pan Wojciechowski z lufciku na strychu na to co się dzieje na rynku patrzył. Jego dom frontem do niego stał i były bibliotekarz miejski, że mu okna wylecą się spodziewał. On rozumiał co na rynku się działo, lepiej od tego tłumu na nim zebranego. Wiedział, że wiel-

kie oszukaństwo przed jego oczyma się rozgrywa, którego ci ludzie nie rozumieli i nie rozumieli być może też jego przywódcy. Trzy czwarte tego tłumu czytać nie umiało i nikt w nim pewno „Mein Kampf” nie czytał, chociaż na ukraiński język przetłumaczony został. Nikt planu Hitlera dla Ukrainy nie znał. Wierzyli popu i wierzyli groźbom skandujących. A bibliotekarz już odgadywał do czego ta rozhuśtywana nienawiść doprowadzi i dlaczego nazistom jest potrzebna. On rozumiał grę Niemców i ich zręczność w rozgrywaniu ukraińskiego nacjonalizmu. I pana Wojciechowskiego strach oblatywał na myśl tego co tu dzieć się będzie. On wiedział, że na tej ziemi każda nienawiść okrucieństwem owocuje. Że tu okrucieństwo się roznieca w ponurych duszach czerni, pod pokrywką patriotyzmu. Żyjąc na Wołyniu, temat współżycia tu Polaków i Ukraińców nie raz przemyślał głęboko i rozpacz go ogarniać zaczęła oraz troska o tę ziemi przyszłość. Toż gdy Niemcy wojnę przegrają, a przegrać muszą, tu jar głęboki między dwoma tę ziemię zamieszkującymi narodami pozostanie po tym co już nieuchronnie dzieć się tu będzie. Jak głęboki i szeroki ten jar nienawiści i głupota wykopią? Czy zdołają kiedyś ponad nim ręce sobie podać ludzie tę ziemię zamieszkujący? Niemcy odejdą, a jar z ich podszczucia wykopany pozostanie na drugie, drugie lata. Strach nagle pana Wojciechowskiego opuścił i żal opanował. Żal nad tą ziemią i żal tej dzicy na placu zebranej. Czym i jak drugo płacić będzie za swą ciemnotę i za głupotę swych prymitywnych przywódców?

Tego wieczora Marczuk wziął na stronę pana Karpińskiego, który z bańką po mleko do niego przyszedł.

– Panie Karpiński – powiedział – Ja bym was prosił, żebyście tu nie przychodzili już. I Bałandziukom to powtórzcie. Jak coś trzeba to ja sam przyniosę po cichu, ale wy nie przychodźcie.

Wzrokiem na boki błędził, chcąc uniknąć oczu sąsiada. Widocznym było, że przykra mu jest ta rozmowa.

– A czegoż to – Karpiński nie zrozumiał.

– Takie czasy – westchnął Marczuk. – Takie czasy. Ojca dzieci już nie słuchają. Synowie z Lachami stosunków utrzymywać nie chcą i tacy różni zaczęli do nich przychodzić. Lepiej się z nimi nie spotkać. Po co wam nieprzyjemność. Lepiej nie przychodźcie... Ot co. Tak lepiej będzie.

Wołyń do komisariatu Ukrainy został przyłączony i nowe porządki na nim panować zaczęły. Przy boku wojskowych władz nie-

mieckich powstawała szybko ukraińska administracja. W miasteczku stanowiska od burmistrza począwszy, a na najniższym urzędniku w magistracie skończywszy, objęli Ukraińcy. Powołano też milicję porządkową i zgłosiło się do niej setki ukraińskiej młodzieży. Żydzi otrzymali nakaz noszenia żółtych łat na plecach. Zaczęto wytyczać teren getta. Wtedy po miasteczku zaczęła buszować plotka, że Ukraińcy na posiedzeniu niemiecko-ukraińskich władz administracyjnych w Reichskomisariacie Ukrainy w Równem, zaczęli domagać się, by Polacy nosili na ubraniach znaki rozpoznawcze, tak jak Żydzi. Nie dopuścili do tego podobno Niemcy, dając do zrozumienia, że oni tu są panami i oni kierują polityką narodowościową.

## 36

**W** końcu lipca, jakiś miejscowy Niemiec otworzył w dawnym lokalu Jaczka kawiarnię. Uczęszczali do niej przeważnie oficerowie, niemieccy żołnierze i trochę Ukraińców pracujących w urzędach. Jak była ładna pogoda, to kilka stolików na trotuarze ustawiano i ludzie zmuszeni koło kawiarni przechodzić, przeważnie drugą stroną ulicy ją omijali. Jakieś zaczepki się bali, która nie wiadomo czym mogła się skończyć. Wieczorami głośnie śpiewy pijących w niej było słychać, a później też na ulicy, gdy ją na noc zamykano. Z czasem jakieś niewiasty z żołnierzami w tej kawiarni pokazywać się zaczęły, bo żołnierze przyjaciółki sobie wśród dorodnych dziewcząt ukraińskich znaleźli.

Ktoregoś dnia Zygmunt, obok kawiarni przechodząc spotkał się oko w oko z matką Wierę, wiszącą na ramieniu jakiegoś niemieckiego sierżanta. Stał w miejscu zdziwiony i nie wiedział czy ma jej „zdraswujcie” powiedzieć, czy udać, że nie poznaje. Sama wybawiła go z kłopotu nawet go nie zauważając, bo w oczy przymilnie sierżantowi patrzyła, świata zdawało się nie widziała i chichotaniem odpowiadała na głaskanie przez towarzysza po zadzie. Zygmunta zdziwiło, że jest w miasteczku, bo myślał, że uciekła przed przyjściem Niemców, tak jak przybyły z Rosji dyrektor gimnazjum i szereg sowieckich nauczycieli. Gdy opowiedział kolegom o tym spotkaniu, nie zdziwili się nawet.

- Ot, sowiecka kurwa - Janek usta pogardliwie wyduł. - Przedtem Wasyła uwiodła, choć jej uczniem był, a teraz z niemieckimi żołnierzami się puszcza.



- A może to przez tą wściekлизnę, którą ma. Chora jest i musi - Romek się zastanawiał.

A później to ten, to tamten matkę Wiery z jakimś żołnierzem widział. W kawiarni podobno bywała, do której pana Bumcyka zaangażowano i na fortepianie tam wieczorami grywał. „Oczy czornyje” - nawet śpiewała jak więcej wypila, a później Bumcykowi awantury robiła, bo w połowie śpiewu takt jak zawsze zmieniał i jako szybkiego walczyka zaczynał „Oczy czornyje” bębnić. A później sąsiedzi zaczęli na nią się oburzać. Podobno żołnierzy w domu przyjmować zaczęła i nieraz przed jej mieszkaniem ogonek ich stał. Przechodzące niewiasty zaczepiali i nawet młodym dziewczętom propozycje sprośne robili. Jak nie rozumiały, to na migi. Po całym miasteczku to się rozeszło i niewiasty, słuchając opowiadań sąsiadek, z niedowierzaniem głowami kręciły.

- Że to pana Boga taka się nie boi - jedna wzdychała.

- Toż komunistka, to co jej tam pan Bóg.

A najwięcej pani Wołkowska się denerwowała. Mężowi raz pieniądze i koszyczek dała, posyłając by przydział chleba wykupił. Długo nie wracał, a że starszawy już był i nogami powłóczył, więc się nie martwiła. W dwie godziny później wrócił, z jakimś takim dziwnym uśmieszkiem na twarzy, że aż ją to zastanowiło, ale bez chleba. Ukradli mi po drodze pieniądze, żonę poinformował. Uwierzyła mu. Zdarzały się takie wypadki, więc nawet nie bardzo pomstowała. Aż do przyjścia sąsiadki, pani Korbuszowej.

- Po co to pan Wołkowski z koszyczkiem do tej co z żołnierzami w ogonku stał? - zapytała.

- Co pani - Wołkowska oburzyła się. - Pewno przewidziało się pani.

- Nie przewidziało, bo oczy mam dobre.

I panią Wołkowska szła napadł. Z trzepaczką do dywanów do męża skoczyła. Biła gdzie popadło, a później na tapczanik upadła i zanosła się łzami. Że to on od chleba, o który teraz tak trudno, tę sowiecką dającą wolał, zrozumieć nie mogła.

- Odstawiła ty mnie już od lat - na swoją obronę Wołkowski tłumaczył się - a mężczyzna swoje potrzeby ma.

Gdy później swoim przyjaciółkom o tym opowiadała, współczuły jej i głowami z niedowierzaniem kręciły. Ale gdy odeszła, to Wołkowskiemu rację przyznawały.

- Sama sobie winna - pani Korbuszowa powiedziała.

– A swoją drogą, że to on tak... Nogi mu już wysiadają, a tam jeszcze nie wysiadło.

W tym czasie Janek w ogóle, że z Beatą się przeprosi, nadzieję stracił. Dowiedział się, że w Bolku Dąbrowskim zakochała się, który jako ministrant do mszy służył i na każdym nabożeństwie w kościele bywała. Bolek dużym osiłkiem był i już dawno nie powinien był być ministrantem, bo ponad innych na pół metra wystawał i komża mu ledwo pas przykrywała. Na księdza chciał iść z obowiązków ministranta dlatego nie rezygnował. Siedemnaście lat dopiero ukończył, ale twarz obfitym zarostem już mu się pokryła, bo był brunetem i wyglądał starzej. Matka w krótkie spodnie uwzięła się go wtedy ubierać. W pretensjach była zalotna i uwierzyła, że krótkie spodnie syna odmładzają więc wszyscy będą myśleć, że i ona jest młodsza niż była w rzeczywistości. A że Bolek spokojny jak ciele był, więc nie protestował. I że to w takim cielaku, Beata się zakochała, Janek zrozumieć nie mógł.

– Już ty na Beacie cnoty nie stracisz – Zygmunt widząc, że Janek jest ciągle nie w humorze, powiedział. – Rozglądnij się za inną.

– Łatwo ci mówić.

Janek dalej dzień po dniu z ponurą miną chodził, aż do czasu gdy Romek Wierę spotkał. Zapomniała nawet, jak się rozstali, gdy u niej bywał i ucieszyła się jak go zobaczyła. Po rynku się kręciła w dzień targowy, tak jak i on, w nadziei, że chłopci ze wsi coś na sprzedaż przywiozą.

– Nu, Wiera, a jednak nie najlepsza ta armia sowiecka – ostatniej z nią rozmowy nie mógł zapomnieć.

Nawet nie obraziła się. Koniecznie chciała się dowiedzieć, skąd tu się wziął, bo wiedziała, że do Rosji go deportowano. Głową kręciła z niedowierzaniem, jak powiedział, że uciekł. Piersista się zrobiła, zad jej się rozrósł i znowu w jakąś za skąpą sukieneczną była ubrana, która ten zad jej starała się zakryć, a nie mogła.

– Jak żyjesz? – uważał, że wypadało się zapytać.

– Żyję. Matka dobrze zarabia, tylko skąpa.

– A ty?

– Co tu ukrywać i tak każdy w końcu wiedzieć będzie. Jak trzeba, to też dorabiam. Takie czasy. Inaczej z głodu bym zdechła. Ale ja nie z każdym, tylko jak mnie się któryś podoba.

Romek zaraz o tym spotkaniu Zygmuntowi opowiedział i uradzili, że już dosyć by Janek jak ponura i paląca się do Beaty dziewczyna cho-

dził, że jak sam pieniędzy nie ma, to oni się złożą i niech już kompleksu niższości w ich towarzystwie nie czuje. Tylko jak Janka w swoje plany wtajemniczyli, to uwziął się, że za nic. – Toż ja nie inwalida z dwoma głowami, żebym płacić za to musiał – protestował. Nic nie pomogło. Tak długo mu perswadowali, aż się zgodził.

– Raz poprobujesz, to śmiałości nabierzesz i samemu później łatwiej z dziewczynami ci będzie – Romek mu tłumaczył.

– A we Francji, to podobno jak syn zda maturę to ojciec mu pierwszy raz pobyt w burdelu funduje. To i my tobie. Po koleżeńsku. – Zygmunt poinformował.

Przypilnowali kiedy matka dziewczyny do kawiarni poszła i zapukali do jej mieszkania. Wiera ucieszyła się jak ich zobaczyła, zaprosiła do środka i nawet patefon nakręciła. Wtedy Zygmunt wytłumaczył jej po co przyszli, a Janek słuchając mało w ziemię się nie zapadł. Uciekać chciał, bo mu wstyd było i rozłościł się, że niepotrzebnie jej powiedzieli, że jest prawiczkim. A Wiera nawet porządnie się zachowała. Jakoś ciepło na Janka spojrzała, pod brodą go pogłaskała i powiedziała, że od takiego „gałubczyka” to ona nic nie weźmie i po koleżeńsku mu da. Później za rękę go wzięta i do swego pokoiku poprowadziła. „Nie ma co się wstydić, że ty jeszcze nie próbował. I jak nie umiesz to ja pomogę, nie bój się. Każdy się nauczyć musi” – tłumaczyła łagodnie. Janek coraz bardziej czerwienił się i ledwo nogami włókł. Jak cielę, którego do rzeźni wiodą i ono o tym wie. Nie długo za drzwiami byli i wyszedł zza nich wciąż jak burak czerwony i widocznie zaambarasowany, ale też i zadowolony.

– Delikatny on, jak komar – zażartowała Wiera. – I gorący. Ja myślała, że dopiero zaczyna, a on już skończył.

A gdy wychodzili zapraszała naprawdę serdecznie.

– A jakby któryś z was kiedyś chciał, to i za pół ceny, i nawet na kredyt dam, po przyjacielsku. Takie czasy, że jeden drugiemu pomagać musi.

Gdy wyszli od Wiery, z miejsca zobaczyli, że coś nadzwyczajnego się dzieje. Pustawo na ulicach było, a nieliczni przechodnie chyłkiem, pod płotami, do domów jak mogli najszybciej biegli. Samochód załadowany żołnierzami ulicą z dużą szybkością przeleciał, a zaraz później z za rogu wypadło kilku ukraińskich milicjantów. Ludzi zaczęli zatrzymywać, papiery sprawdzać, z podniesionymi rękoma pod ścianą złapanych ustawiać i rewidować.

– Wracamy do Wiery – Zygmunt zdecydował.

Zdziwienie odbiło się na jej twarzy jak ich znowu zobaczyła ale gdy powiedzieli co na ulicy się dzieje, wpuściła do środka i zamknęła drzwi. Nie wiedzieli co robie. Siedzieć u niej w nieskończoność nie mogli, a wyjść na ulicę się bali. Coś musiało się w mieście stać. Tylko co? Wiera patefon nakręciła, ale tak jak kiedyś herbaty już nie proponowała, bo teraz było o nią bardzo trudno. Zęby zatańczyć nawet nalegała, bo się nudziła ale nikt nie miał na to ochoty Nawet dąsała się z tego powodu. Ostatecznie przysługę im wyświadczyła, więc mogła się spodziewać, że są jej zobowiązani. Gdzieś po godzinie jej matka wróciła i sytuacja się wyjaśniła.

Jakiś chłopak pod kawiarnię na rowerze podjechał, zatrzymał się i wyjął zza pazuchy rewolwer. Zanim ktoś zorientował się co się dzieje, gruchnęły strzały i dwu niemieckich żołnierzy siedzących przy ustawionym na chodniku stoliku padło trupem. Kilku oficerów wybiegło na ulicę z pistoletami w rękach, ale chłopak już zniknął za rogiem. I piekło się rozpętało. Żołnierze, żandarmi, milicjanci ukraińscy po całym mieście biegali, ludzi rewidowali, a chłopak jak kamień w wodę. Wielu młodych ludzi później pod kawiarnię przyprowadzili, ale żaden z tych, który mordercę widział, wśród doprowadzonych winnego nie poznał. Nareszcie uspokoiło się, ale na ulicach pełno żandarmerii i milicji wszędzie się kręci.

Postanowili wracać do domów. Rozumowali, że jeśli ktoś widział zamachowca, to nawet gdyby ich zatrzymano, w nich go nie rozpozna.

## 37

Lato było w pełni i piękne jak zawsze. Nie cieszyło tylko nikogo jak kiedyś. Jeszcze przed wojną zasadzone w parku klomby róż zakwitły z nawyku, bo już ich nikt nie podcinał i nie okrywał chochołami słomy na jesień. Nie pozamarzały jednak jakimś cudem i pyszniły się pęczkami kwiatów tak obfitymi, że ugiwały się pod ich ciężarem gałęzie, a opadłe płatki pokrywały pod nimi ziemię tak, jak kiedyś ulice, gdy dzieci je sypały pod nogi księdza w dniu Bożego Ciała. A pachniały te róże! Jakoby chciały ludziom ich troski i smutki wynagrodzić lub pokazać, że nie mają im za złe, że zaniedbali i rozumieją iż ważniejsze od pamiętania o nich problemy mają. Trawa pod drzewami płaczących wierzb pożółkła od gorąca i raczej jak rżyska niż trawniki wyglądały jej polacie. Jak to w sierpniu, ziemia na której ro-



sła była pokryta pajęczyną pęknięć. W jednym rogu kwadratowego parku, kopiec gliny niedbale usypanej pozostał, pod którym pozbiierane w parku i wokół niego ciała kilku żołnierzy sowieckich pochowano w pośpiechu, zanim dalszych na prawosławnym cmentarzu chować zaczęto. Mało kto teraz do tego parku przychodził, przeważnie ci tylko, którzy nim na przełaj idąc drogę sobie chcieli skrócić. Wczesnymi wieczorami park stał się ulubionym miejscem spotkań niemieckich żołnierzy i ukraińskich dziewcząt z nimi flirtujących.

Zygmunt z Popławskim się w nim tego dnia spotkał niby przypadkiem, bo weszli doń przez przeciwległe bramy. Prawie pusto w dzień tu było i nawet, nie zniżając głosu, Zygmunt mógł zdać sprawozdanie ile broni zdołał z kolegami ukryć pod tartakiem, którą po rowach wzdłuż toru kolejowego zebrali. Popławski widocznie ucieszył się tym co usłyszał, bo po plecach Zygmunta poklepał.

– Tartak chwilowo nie pracuje, bo właścicieli do getta zabrano, ale Niemcy go pewno wkrótce uruchomią, warty wystawią i ludzi dużo przy nim kręcić się będzie. Niebezpiecznie tam zachodzić będzie i teraz też wam zabraniam. Ktoś zobaczyć gotów i czego tam się kręcicie dochodzić zacznie – Popławski powiedział.

– A co z bronią?

– Przenieść ją w inne miejsce trzeba będzie, by dostęp do niej był łatwy. Nie wasza to już sprawa.

– A chciałoby się tak do Niemców puknąć. Nocami można – Zygmuntowi Witek się przypomniał.

– Tylko bez wygłupów. – Popławski huknął – Jakiś narwaniec dwu Niemców zastrzelił i już zaczęli ludzi w mieście brać. Plotka mówi, że pewno rozstrzelają. Co za korzyść z tego, że dwu Niemców mniej? Żeby wam tylko takie pomysły po głowie nie chodziły! Czas jeszcze nie nadszedł.

Przed czym Popławski przestrzegał, Zygmunt zobaczył idącą ulicą Kościelną i w pobliżu kościoła przechodzącą. Na placu przed kościołem duża grupa podnieconych ludzi stała. Wzburzone głosy było słychać i chlapanie kilku kobiet.

– Co się stało? – pierwszą z brzegu stojącą niewiastę zapytał.

– Księdza proboszcza Niemcy wypuścili.

– A to wzięli go?

– A tak. I zachrystiana chociaż już starowina.

Kazik do niego podszedł, z którym razem do powszechnej szkoły chodził. Kiedyś go widział jak z Popławskim rozmawiał i był pewien,

ze ten też został do wykonania jakiegoś zdania przez niego wciągnięty. Nie pytał go jednak o to, bo tyle się już nauczył, w nie swoje sprawy wtrącać się nie należy.

– Cholera by to wzięła – Kazik rozmowę zaczął. – Nabrali Ukraińcy naszych i w celach pod budynkiem Kripo kupa ludzi siedzi

– Jak to Ukraińcy?

– Podobno ten ich burmistrz Zatwarski listę przygotował najwybitniejszych Polaków, których sowieci deportować nie zdążyli. Wczoraj łapanka też była. Z ulicy ludzi ukraińscy milicjanci brali. Kilku Żydów, ale przeważnie Polaków. Księdza też wzięli, tylko Niemcy wypuścić go Ukraińcom kazali. Od wczoraj rowy na gliniankach kopią i ludzie mówią, że rozstrzeliwać będą.

– A odbić to ich nie można? Broń przecie jest... – Zygmunt w język się ugryzł. Zrozumiał, że słowa się mu wymknęły, których powiedzieć nie powinien.

Janek do nich dołączył, który panią Alicję w tym dniu odwiedzał i razem ruszyli w kierunku swych domów, pozostawiając Kazika przed kościołem. Najbliżej im było tyłami cegielni obok glinianek przejść i za nimi tory kolejowe do Lwowa prowadzące przekroczyć. Zygmunt ciekaw był jakie to rowy Ukraińcy tam kopią i po co. Niedaleko uszli, gdy jakiś mężczyzna w ich kierunku idący się pokazał i mijając ich pośpiesznie ostrzegł:

– Nie idźcie tą ulicą chłopcy, bo naszych na glinianki z posterunku nią wożą. Milicji kupa tam się kręci.

Przemogli strach i zapomnieli o rozsądku. Ciekawość ich ogarnęła. Podeszli jeszcze z kilkadziesiąt metrów, gdy zauważyli tyralierkę ukraińskich milicjantów zamykających uliczkę o kilku domach, prowadzącą do glinianek cementowni. Zatrzymali się przy płocie najbliższego domu, zdając sobie sprawę, że dalej iść było niebezpiecznie. I nagle usłyszeli warkot ciężarówki. Pędziła z dużą szybkością, nie zważając, że jej koła podskakiwały na kocich łbach i groziło pęknięcie resorów. Minęła ich zanim twarze stłoczonych na niej ludzi rozpoznać zdążyli. Ci wykrzykiwali swoje nazwiska, pewno by je ich rodzinom podać, ale w ogólnym krzyku trudno było je wyrozumieć. Tylko Prądyńskiego nazwisko Zygmunt zdołał uchwycić i przypomniał sobie, że dwie córki ma, które do tej samej powszechnej szkoły z nim kiedyś chodziły. Na 3 Maja mieszkały i pomyślał zaraz jaki krzyk podniosą, gdy im, co widział, opowie. Pewny już był, że rozstrzelać Prądyńskiego i towarzyszy wieziono.

- Uciekajmy. Niebezpiecznie jest - Janek za rękaw go szarpnął. - Okrężnymi ulicami cementownię obejdziemy.

Szybkim krokiem ruszyli w Narutowicza, ale niedaleko odeszli, gdy jazgot karabinu maszynowego usłyszeli, a później huk i odgadli, że rzuconego granatu.

- Pewno biją się z kimś - Janek uszu nadstawił.

- Nie bądź głupi. Dobijają granatami, tak jak sowieci dobijali w rówieńskim więzieniu.

A co się działo na gliniankach, całe miasto następnego dnia już wiedziało. Najwięcej od Przepkowskich, którzy kilkadziesiąt tylko metrów od glinianek mieszkali, egzekucję przez okna widzieć mogli i pomimo że zamknięte były, słyszeli krew mrozące krzyki i jęki mordowanych. Około dwustu ludzi w tym dniu zamordowano. Ustawianych nad rowami z karabinów maszynowych koszone, rannych krzyczących w rowach granatami dobijano. W biały dzień! Na oczach całej ulicy! Zrozumieć to ludziom było trudno. Na miasteczko strach padł i z wrażenia tego co się stało czas dłuższy otrząsnąć się nie mogło. Przez kilka dni ludzie na ulice wyjść się bali i zamykali się w domach. Przyczajali oddechy, słysząc czyjeś kroki pod oknami domów. Ale życie dalej się toczyć musiało. Do pracy trzeba było iść i żywności szukać. Ludzie śpieszyli się, pod płotami się przemykali, na plotki nikt zatrzymać się nie chciał. Wszyscy jak najszybciej do domów chcieli wrócić i zamknąć drzwi na wszystkie spusty. Nowych łapanek się bali.

Wciąż ciepło i słonecznie było, więc spłynęli potem zanim sapiąc od pośpiechu do Granicznej wreszcie dotarli. Zastali ojców jak na drodze z Marczukiem rozmawiali. Pewno do pracy szli, bo torby z jedzeniem w rękach trzymali. Jak kiedyś, znowu na kolei pracowali, Zdziwiło ich, że Marczuk z nimi rozmawia, bo przecie przychodzić im do zagrody po mleko zabronił. A ten zmartwienie miał i wszystko mu było jedno z kim, musiał się nim podzielić. Synowie do milicji mu wstąpili.

- Poszli, taku ich, i ojca nie posłuchali - zaklął. - A kto na gospodarce teraz będzie pracować? Nic ich nie obchodzi, że ojciec stary, Mundirów im się zachciało i łatwego chleba. I jeszcze Germańcy sztrafem nas obłożyli. Kontyngenty jakieś wyznaczili

- A nie mówiłem, że taka sama swołocz jak sowieci - Karpiński powiedział z satysfakcją.

- Ale ziemi nie zabierają - pomimo wszystko, ziemia wciąż dla niego największym skarbem była.

– Naszych ludzi na gliniankach ukraińscy milicjanci strzelają – Janek się wtrącił. – Z kulomiotu siekają.

– Ty głupstw nie mów – Marczuk naskoczył – Germańcy pewno Żydów krwiopiców, nie naszych chrestyjan za coś karają.

– A Żyd to nie człowiek? – Zygmunt się zdenerwował że Marczuk im nie wierzy.

– Może i człowiek, ale gorszy od sobaki – stary z przekonaniem powiedział. Już idąc w kierunku swej zagrody splunął z obrzydzeniem na ulicę.

Chłopcy poszli do Romka, by wiadomościami z nim się podzielić. Zastali go siedzącego na brzegu łóżka i z głową na dłoniach wspartą. Widać było, że zmartwienie ma. Nawet przyniesiona przez nich wiadomość o egzekucjach na gliniankach fabrycznych nie wyrwała go z zadumy i zdawało się, że ich podnieconych głosów nie słyszał.

– Co z tobą? – Zygmunt wreszcie zapytał.

– Zośka w ciąży. Cholera by to wzięła. W takie czasy!

## 38

**G**dy Zośka powiedziała Romkowi, że jest w ciąży, myślał, że żartuje. Że coś podobnego mogło się stać nigdy poważnie nie podejrzewał, chociaż go ta możliwość czasami niepokoiła. Zresztą nie oparłby się pokusie, a jak ciąży zaradzić, nie bardzo wiedział.

– Głupich żartów nie rób. Skąd wiesz? Przecie brzucha dużego nie masz. – nie wierzył.

– Wiem ja – uparła się. – Dziewczęta wiedzą, bo znaki tego są. Tłumaczyć ci nie będę – zaczerwieniła się.

– Coś my nie tak robili jak trzeba. Inni robią i dzieci nie mają.

– Taka ja mądra jak ty. Matka mnie nic nie mówiła i rozmawiać na ten temat z nią, to ja bym wołała pod ziemię się zapaść. W szkole też nic, na tej biologii... Raz tylko ja byka jak na krowę wlaź na łące widziała, ale myślała, że pojeździć na niej chce. „Gospodarzu”, – do chłopca powiedziałam, „krowę ten byk męczy”. – „A niech męczy panienko”, odpowiedział, „od tego męczenia to cielak będzie”. Co umię to z tobą się uczyłam.

– Pobrać się musimy – zdecydował.

– A jakże. Za młody ty jeszcze i ksiądz ślubu nie da. Trzeba mnie było księdza słuchać. Do studni chyba skoczę albo esencji octowej się napiję.



– Zośka nie żartuj – nastraszył się. – Co ty? Kopytkowska na wiarę z panem Łosiem żyła, wszyscy o tym wiedzieli i nic się nie stało. My też możemy, aż ślub będzie można wziąć.

– Matka mnie zabije – rozplakała się Zośka. – Na ulicę wypędzi. Ze wstydu umrę raczej, niż co się stało jej powiem.

– To ja jej powiem – odważnie postanowił Romek i zimny strach go zaraz opadł. Zaczął żałować, że tak pochopnie się ofiarował.

A później ilekroć Zośkę spotkał, to widział, że oczy czerwone od płaczu miała i bał się, że jej matka to zobaczy i na spytki weźmie. Żał mu Zośki było i zaczął sobie robić wyrzuty, że jest przyczyną jej nieszczęścia. Wtedy mu się kondomy, które Mosiek chłopakom sprzedawał przypomniały i zdziwił się, że o tym nie pomyślał. Zresztą gdzie ich tu teraz dostać? I pan Mięciu mu się przypomniął, który kawalerem był i całe miasteczko mówiło, że z dziewczyną, którą do sprzątania ze wsi wziął, na wiarę żyje. Skąpiec z niego był i ktoś zobaczył jak używane prezerwatywy po umyciu na sznurku do suszenia bielizny w swym ogrodzie rozwieszał. Śmiali się ludzie, ale nie dziwili. Żydem był, chrześcijańską moralnością w życiu się nie kierował, więc dziwić mu się nie było przyczyny. Tylko endek Bobrowski gderał jak zwykle, że to taki dziewczusze chrześcijańskiej nie przepuści i że wszyscy oni tacy, najlepszy dowód co młody Grinbaum z Niuską Wierzbicką wyprawiał. I pan Łupaszko mu wtórował, bo Grinbauma nie lubił i wybaczyć nie mógł, że mu coraz więcej klientów zabierał, bo ceny obniżał.

Teraz gdy Romek w swe nieszczęście kolegów wtajemniczył, trochę go zmartwienia i strach odeszły. Patrzyli na niego z nieukrywanym podziwem. Takiego wypadku jeszcze w miasteczku nie było, żeby chłopak i dziewczyna w takim młodym wieku dziecko mieli. W normalnych czasach sensacją by to na całe województwo było i gazety by o tym pisały. I zaraz o matce Zośki i pomyśleli. Toż wściekanie się Łupaszkowa. W całym miasteczku jako przykładne małżeństwo rodzice Zośki byli znani i za przykład innym je stawiano. Oj, zaczęła mleć ludzie językami, nie przepuszczą gratki. I że to córka takiej porządnej niewiasty takiego coś wypłatała, dziwić się zaczęła. Po kim jej to się wzięło, dochodzić.

– Ty musisz to Łupaszkowej powiedzieć, jak Zośka nie chce – Zygmunt zawyrokował. – Brzuch zacznie Zośce rósć jak tej Jewdochii, gdy ją Iwan napompował, to i tak się domysli. Żarcia prawie nie ma, to, że utyla nie uwierzy.

- Dobrze ci tak radzić.
- Za Bug możesz też uciec - Janek się wtrącił.
- Nie bądź głupi. Zośki w nieszczęściu nie zostawię.
- Nie wolno mu - poparł Romka Zygmunt.

Ze strachem i z ciężkim sercem Romek do pani Łupaszkowej na rozmowę poszedł, chociaż z mocnym postanowieniem, że sprawę ciąży Zośki jakoś rozwiązać należy. Wiedział, że ukryć się tego nie da i lepiej to teraz załatwić, niż czekać aż matka nieszczęścia córki sama się domyśli. Zastał Łupaszkową jak jakieś łachy reperowała na tapczanie w saloniku siedząc. Podniosła na niego oczy, a trochę wyłupiaście miała i zaniemówiła, bo że przyszedł za bezczelność to poczytała.

- Czego? - niegrzecznie go powitała i widząc, że Zośka w drzwiach stoi, do ogrodu kazała jej wyjść.

- Czego? - drugi raz zapytała.

- Zośka w ciąży jest i co robić zastanowić się nam potrzeba - Romek wypalił i z miejsca wiedział, że niezręcznie i nietaktownie. Kamień na sercu leżący jednak przestał mu ciążyć Najgorsze minęło i cofnąć tego co powiedział już nie mógł.

Zdziwiła go reakcja pani Łupaszkowej. Krzyków ataku wściekłości i rozpaczy się spodziewał. Tymczasem matka Zośki tylko ręce na kolana opuściła, oczy wybałuszyła tak, że zdawało się że z soczewek jej wyskoczą i sapać zaczęła jak ryba z wody na brzeg wyrzucona. Poczerwieniała też i nastraszył się, że ją krew załała. Później łzy jej z oczu toczyć się zaczęły i na bluzkę z policzków kapać. Dłuższy czas tak siedziała i Romek nie wiedział co mu począć wypadało, więc stał przed nią i cyklistówkę w rękę miętosił.

- Jezus! Maria! - wreszcie szepnęła.

- Pobrać się nam trzeba i Zośkę kocham - Romek za stosowne powiedzieć uznał.

Wtedy dopiero pani Łupaszkowa się rozkrzyczała. Na cały dom i tak głośno, że aż Zośka jej krzyki w ogrodzie usłyszała i przybiegła, bo nie mogła oczekiwanie na wynik rozmowy Romka z matką już dłużej znieść.

- Ty chyba żartujesz w takiej chwili - pani Łupaszkowa krzyczała. - „Pobrać się nam trzeba”. Słyszeliście coś podobnego. Toż za młodzi jesteście i nikt wam ślubu nie da! O Boże! O Jezu! Że to moja córka nie wytrzymała. Zdawało mi się przecież, że dobrze ją wychowaliśmy z mężem. I do kościoła regularnie chodziła. Kazań wysłuchiwała! Jak to stać się mogło? Toś ty ją zepsuł! Tyś namówił! Pewno nawet co robi nie wiedziała.

- Kocham go - Zośka jej przerwała.

Pani Łupaszkowa oniemiała. Już tylko powietrze ustami gwałtownie łąpała sapiąc przy tym jak w ataku astmy i obfity biust jej falował tak, że pomimo powagi sytuacji śmiesznym to Romkowi się wydało. Dłuższy czas to sapanie trwało i dopiero Zośka go przerwała podchodząc do matki i obejmując ją ramionami. Rozpłakały się wtedy obie i matka Zośkę też rękoma otoczyła. Romek odsapnął. Wiedział, że najgorsze minęło. Popłaczą, podąsają się i pogodzą się z sytuacją. Innego wyboru nie miały.

- Biedna ty. Oj, biedna - pani Łupaszkowa już tylko powtarzać zaczęła, jedną ręką córkę po plecach głaszcząc. Na Romka od czasu do czasu nienawistne spojrzenia rzucała i rozumiał, że jego tylko za nie-szczęście Zośki wini.

Po tej rozmowie pani Łupaszkowa o zaręczynach Zośki z Romkiem po miasteczku opowiadać zaczęła, zaznaczając, że ona tego nie pochwała, bo chłopak nie wiadomo kto i bez rodziny, która by jego życiem pokierowała. Ale co robić? Takie czasy nadeszły. Córka go kocha podobno, a ona przeszkodzie do szczęścia stanąć nie zamierza, chociaż za młodzi są. Później do księdza biegała, by ślubu zechciał młodym udzielić, ale ten odmówił, bo Romek był niepełnoletni i nie miał nawet nikogo, by mu mógł pozwolenia na ślub udzielić. A bez niego, ksiądz odpowiedzialności na siebie nie mógł wziąć. I płacze pani Łupaszkowej nic tu wskórać nie mogły. Ze zgrozą myślała o czasie gdy ludzie o ciąży córki się dowiedzą, a później o porodzie. Pod ziemię zapaść się przyjdzie.

Wkrótce wypadki toczyć się zaczęły, które zmusiły ją do ukrywania Romka w jej domu i innego wyjścia nie było. Bolało ją to, bo o swe dobre imię całe życie dbała, a teraz wiedziała, że po porodzie Zośki ludzie zaczną mówić, iż rozpustę w własnym domu tolerowała. A za to co się stało i ją będą winić.

## 39

**L**istopad przyszedł nagle szary i deszczowy. Przez kilka dni lało niemal bez przerwy. Liście postręcane z drzew pokryły ulice. Śliskie były, ale tych liści nikt nie zamiatał i idąc chodnikiem uważać trzeba było. W rynsztokach kupy gnijących liści się zbierały tak duże, że

woda deszczowa w nich zbierać się nie mogła i rozlewała się dużymi kałużami po jezdni i chodnikach. Z chodników do ogródków przed domami się przelewała i ostatnie, jeszcze zielone badyle dalii i chryzantem w niej gniły od dołu i wywracały się jakby je ktoś podciął. Wreszcie ten stan chodników i ulic Niemcom też zaczął przeszkadzać, więc zaczęli wypędzać kolumny Żydów z getta, w które ich dzielnicę za rynkiem zamienili do sprzątanía. A o losie Żydów coraz natarczywsze pogłosie, krążyć zaczęły, a szczególnie tych z Równego. Dużo ich tam było, może więcej niż połowę mieszkańców stanowili. Gdy Koch w mieście osiadł który Reich Komisarzem Ukrainy został wiadomym się stało, że dnie Żydów w nim zostały już policzone.

Wreszcie deszcz przestał padać i blade słońce się pokazało. Przez kilka dni co rano wytaczało się na niebo i nawet grzać usiłowało. Wysuszyło ulice, tylko w ogródkach przed domami błoto wciąż leżało i kilka dni zajęło zanim skorupą wyschłej ziemi się pokryło. Ludzie poweseleli trochę i więcej ich na ulicach pokazywać się zaczęło. I wtedy przez kogoś przyniesione z Równego wiadomości, podawane z ust do ust, całe miasteczko obieły. Przerazające były. Okropne. Nie do wiary. Niemcy podobno całą ludność żydowską miasta wymordowali. A to miasto każdy tu znał, bo przed wojną z handlu słynęło i setek dobrze zaopatrzonych sklepów. Wszyscy tam na zakupy kilka razy do roku jeździli. Po ubrania i płaszcze, do kuśnierzy futra zamawiać, a dobrzy tam kuśnierze byli. I każdy któregoś ze sklepikarzy tam znał... krawców... kapeluszników... Co roku ich odwiedzał. Uluźbionych miał, bo targować się z nimi mógł i bo lepsze zniżki od nich dostawał. Niektórych sklepikarzy rodziny znał, żony i córki przy kasach w sklepach siedzące... Nie do pojęcia to było, że nikt z tych ludzi nie pozostał, że ich już nie ma. Że już w lepszych czasach po wojnie ich nie będzie. I tych wszystkich sklepów, sklepików i zakładów krawieckich i kuśnierskich. Nie do wiary to się wydawało. Toż ponad dwadzieścia tysięcy Żydów w Równem mieszkało!

Niektórzy w to, co plotka mówiła, uwierzyć nie chcieli. Uparta jednak była. Coraz więcej świadków wypadków w Równem zaczęło wiadomości o nich potwierdzać i co widzieli, opowiadać. Pod wieś Burmaki podobno Żydów z getta pędzono lub wywieziono ciężarówkami i tam z karabinów maszynowych wysieczono. I co najokropniejszym było, że Niemcy te mordy tylko nadzorowali i zaplanowali, ale posłużyli się w nich ukraińską milicją. Tego nikt w miasteczku



zrozumieć nie mógł. Toż ci milicjanci bądź miejscowymi byli, bądź z sąsiednich wiosek. Znać niektóre z swych ofiar musieli, zakupy u nich robić lub z paskarzami jakieś interesy ubijać. Nie chciano temu wierzyć. A jednak prawdą to wszystko się okazało. Szeptem o tym mówiono. O przeszukiwaniu getta przez ukraińskich milicjantów, o krzyku, gwałtach i biciu, o rabunkach, o bijatykach przy podziale łupów, o wyłapywaniu i strzelaniu pojedynczych ludzi na ulicach... A później ci, którzy musieli w Równem być, potwierdzać zaczęli, że Żydów w nim już nie ma. Dwadzieścia kilka tysięcy może ich tam było, a teraz nie ma żadnego. Pomyśleć tylko, że miasto od nich się roіła, a teraz jednego nie zobaczysz. I sklepiu żadnego, i żadnego zakładu kuśnierskiego, czapkarskiego czy krawieckiego. Ani szewca, ani właściciela fabryczki cukierków, która jeszcze pod sowiecką okupacją pracowała... Nic. Całe ulice wymarte, całe dzielnice. Już w piątce pochylonych nad księgami brodaczy przez okna nie zobaczysz, kantora w synagodze śpiewającego przechodząc ulicą Zamkową nie usłyszysz. I rechwachu dzieci żydowskich na ulicach gdy ze szkoły wracają, ani pejsatych chłopaków jak w piłkę grają nie zobaczysz. Bo oni i dzieci wybili. Dzieci też! Jezu kochany! Jak to możliwe? Nawet dzieci!

I w tym strasznym czasie nikt prawie nie zwrócił uwagi, że Zośce brzuch się zaokrąglił i widocznym już wyraźnie było, że jest w ciąży. Najbliższe sąsiadki poplotkowały trochę, ta i owa oburzała się przez kilka dni o Zośce z kumoszkami rozmawiając, wreszcie dały spokój. Ważniejsze sprawy wokoło się działy i strach oraz złe przeczucia po wypadkach w Równem ochotę do plotek wielu odebrały. A w tym dniu Romkowi udało się kosz jabłek z ogrodu na kilka jajek wymienić, więc przyszedł do Zośki, bo jej bardziej potrzebne teraz były niż jemu. I chociaż pani Łupaszkowa z niechęcią na niego patrzyła, zasiedli do kawy z prażonych żołądzi. Rozmowa się nie kleiła, bo nie mogła. W obecności matki trudno było młodym ze sobą rozmawiać. Południe dopiero dobiegało i Romek się zastanawiał czy do Czecha, który był ludzkim człowiekiem i sklepik wciąż na Przemysłowej prowadził, kosza jabłek nie zanieść. Może wymienić za coś się zgodzi lub w komis wziąć, chociaż marne były. Wtedy odgłos kilku strzałów karabinowych go doleciał. Wyszedł przed dom zobaczyć co się dzieje i biegnącego ulicą mężczyznę zobaczyć.

– Co się stało? – zapytał.

– Żydów z getta biorą – odkrzyknął pędzący i znikł za rogiem ulicy.

- Wejdz do środka - Zośka błagała. - Niebezpiecznie jest z domu wychodzić.

Stanęli przy oknie od ulicy. Nadśłuchiwać zaczęli. Ledwo dosłyszalny rejwach od strony rynku dobiegał, jeszcze kilka strzałów trzasnęło i uciszyło się. I w tej ciszy rozległ się, jak głos bębna, głośny tupot butów biegnącego szybko człowieka. Romek uchylił brzeżek firanki. Środkiem jezdni biegł młody Żyd. Poznał go z miejsca. Przed wojną jeździł z ojcem ulicami miasteczka i stare szmaty za igły lub gwizdki kupował. Siwą szkapę mieli, która ledwo wóz ciągnąć mogła i gdy ojciec lejce w rękę trzymał i batem coraz konia zacinał, syn obok wozu siedł i pobekiwał jak kozioł.

- Szmaaaty kupuuuje...

Kozioł go też nazywano, bo bródkę miał jak u kozy nieduża i spiczastą. I głos jak mecząca koza. Pejsy długie mu tylko fruwały jak się na boki oglądał, czy go ktoś nie woła, by szmaty kupił.

„Kozioł” biegł potykając się o kocie łby i widocznym było, że pędzi już ostatkiem sił. Oglądnął się poza siebie i jęknął. Zza rogu ulicy wypadło dwu milicjantów ukraińskich z błyszczącymi tryzubami na czapkach. Podbiegli jeszcze kilka kroków, krzyknęli „stój”, ale Żyd ich nie słuchał. Kroku jeszcze przyśpieszył. Już mijał dom Zośki i lada chwilę mógł skryć się za rogiem ulicy. Widząc to jeden z milicjantów ukląkł na środku jezdni. Przyłożył karabin do ramienia... Gruchnął strzał i prawie jednocześnie drugi. Żyd podniósł ręce do góry jak w jakimś teatralnym geście. Ugięły się pod nim kolana i najpierw powoli, a później coraz szybciej zaczął obsuwać się na plecy. Jego głowa uderzyła o bruk. Leżał teraz z podkurczonymi nogami i z rozłożonymi rękoma jakby niebo nad nim wiszące chciał objąć i do piersi przytulić, tylko mu siły zabrakło. Krew spod niego zaczęła strugą spływać po bruku do rynsztoka. Romek zastygł w bezruchu i dłuższy czas mu zajęło zanim wrażenie tego, co się stało, opanował. Pierwszy raz, jak człowiek morduje człowieka, widział. Zęby mu szczekać zaczęły i ręce jak w febrze się trząść. Ślina wypełniła usta. Nie było czasu tego, co widział, analizować, ale wiedział, że był świadkiem zbrodni, że stało się coś obrzydliwego. Odciągnął Zośkę od okna, zaryglował drzwi i pobiegł do ubikacji. Szarpnęło mu żołądkiem. Zwymiotował niestrawionymi jabłkami, które zjadł na śniadanie.

Kilka godzin niemal w milczeniu u Zośki przesiedział, zanim zdecydował się wyjść na ulicę. Już uprzątnięto trupa Żyda i kilku ludzi na niej się pokazało. Wielu, co się stało, wiedziało. Podobno pod Staro-

mylskiem Żydów z miasteczka mordowano, ktoś informował. Trupy w getcie na ulicy leżące i na rynku, gdzie dopadnięto tych, którzy uciekali, milicjanci na wóz zbierają. Wrzaski straszne ci co blisko mieszkali słyszeli przez kilka godzin i uwodzenie kobiet. Rabin kadysz zaczaj za umarłych śpiewać, jak z getta Żydów wyprowadzano. Romkowi ślina wciąż toczyła się do ust i na mdłości się zbierało. Szedł szybko, potrzebował kolegów by z nimi wypadkami dnia się podzielić i oburzeniem. Przy Domu Polskim już był, gdy śpiew gromady mężczyzn go dopadł. Od Staromylska bezładną kupą szli i już na przejazd wchodzili. Ukraińska milicja. Strach go nie do opanowania ogarnął. Obraz uciekającego „Kozła” mu przed oczyma stanął i krew po bruku płynąca. Skoczył za bzy za niskim płotem rosnące i zaczął dygotać jak w ataku febry. Krzaki już bez liści niewielką osłonę stanowiły.

*Smert, smert Lacham, smert,  
Smert moskowsko-żydiwskij komuni,  
Nam bratiw na oczach katuwały,  
I znuszczałyś nad nany Lachy....*

Kilkadziesiąt podpitych głosów ryczało, starają śpiewać jak najgłośniej. Czerwone podniecone twarze, rozpalone nienawiścią oczy, zaciśnięte pięści. W tych oczach jeszcze zastygłe obrazy konających, w uszach jeszcze krzyk mordowanych ludzi pewno słyszeli, więc zagłuszyć go chcieli śpiewem. Z ochrypłych gardzieli nienawiścią pieśń brzmiała i groźbą dziczy. Wypili już pewno dużo, ale alkohol ani wspomnień ostatnich kilku godzin zatrzeć nie potrafił, ani nienawiści uspokoić. W takt melodii butami o bruk uderzali, wznosili zaciśnięte pięści... Upojeni siłą i oczarowani ochłapem władzy, którą Niemcy im dali nad człowiekiem. Bić go mogli, ograbić, katować, życia pozbawić... Butni, na wszystko gotowi wyglądali. Prymitywni misjonarze czystości ukraińskiej rasy i Ukrainy bez obcego elementu. Czerń szła. Półanalfabeci, którzy zdjęli soroczki europejskiej cywilizacji i nałożyli, nazistowskie mundury. Spod czapek im dymiło i pot po czerwonych mordach płynął. To już nie stróże niemieckich porządków szli, ale banda zbrodniarzy.

Romek patrzył i zaczynał rozumieć, do czego czerń ukraińska jest gotowa. I kim ona jest. I nagle go troska o Zośkę ogarnęła i dziecko, które się tu urodzi.

**R**omek wstał z tapczana stojącego w kuchni i podszedł do okna. Późno jesienne słońce niewysoko stało i starało się przebić przez cienkie chmury. Dzień był jasny, ale szary i ostatnich kilka liści na drzewach jabłoni zasadzonych przez ojca wydawały się ciemne i zielniejsze niż o tej porze być powinno, pomimo że już spłowiwały. Niektóre, tu i ówdzie zbrunatniały, jakoby zdając sobie sprawę, że wkrótce opaść będą musiały. Tylko ich niedobitki na drzewach pozostały. I Romek westchnął. Ogród, kiedyś wypieszczony i zadbany, żaloszny widok teraz przedstawiał. Między drzewami sadu trawa wyrosła i jej szare ździebła chwiały się za każdym podmuchem wiatru. Nasiona z nich się już wysypały i Romek wiedział, że w następnym roku będzie tej trawy i chwastów więcej. Tam, gdzie kiedyś grzędy były, na których jarzyny matka pielęgnowała, teraz zwiędnięta lebioda rośla, której nikt od po nad roku nie wyrывał. Dwa rzędy krzaków porzeczek i malin wzdłuż miedzy od pola Szeremety rosnących wybijające były i toczyły walkę z rosnącymi wśród nich piołunami i pokrzywami. Jeszcze rok i przegrają ją zapewne, zdziczeją i owocować przestaną. Wspaniałe grusze, które dumą ojca były, potraciły gałęzie, bo nikt ich nie podpierał gdy od owoców były ciężkie. Stały ich teraz smutne kikuty, tylko na czubkach młodymi gałązkami ozdobione, jak oskarżenie gospodarza, który do tego dopuścił. Niemal co druga jabłoń usychać zaczęła i na pewno następnej wiosny już nie zakwitnie i nie będzie owocować. Nikt ubiegłej zimy młodym drzewom pni słomą nie obwinał i ich korę poobgryzały zajęce. Romka strach ogarnął, że gdyby ojciec kiedyś wrócił, to mu serce pęknie jak swój ogród zobaczy.

Umył się, ubrał i wyszedł na podwórze. W komórcie na narzędzia kosa jak za dawnych lat wisiała. Nie używana była i rdza zaczęła ją toczyć. Machnął nią Romek kilka razy i stwierdził, że badyłe wciąż pod jej ostrzem się kładą. Podszedł do malin i zaczął zielsko wzdłuż ich szeregu rosnące walić. Zdawał sobie sprawę, że jego wysiłek jest beznadziejny i że nie starczy mu ani czasu ani siły by cały zaniedbany sad wykosić. I po co? Za kilka dni zielska zgniją, za kilka tygodni śnieg je pokryje. Zdawał sobie sprawę ze śmieszności sytuacji, bo kto to widział, żeby ktoś z kosą w listopadzie wychodził. Nie przestawał jednak. Kosił z potrzeby serca i jako gest pamięci dla nieobecnego ojca



swój wysiłek traktował. Pot zaczął mu z czoła spływać, nieprzyzwy-  
czajone do kosy ramiona boleć, ale coraz dłuższa też ścieżka wygolo-  
nych badyli za nim się kładła. Już do końca rzędu malin się zbliżał  
i zaczął zastanawiać się czy wejść w przesmyk, który je od szeregu  
krzaków porzeczek dzielił, gdy przy płocie za nimi szamotanie jakieś  
usłyszał. Pies pewno, pomyślał. Drzewcem kosy rozgarnął piołuny  
i gałęzie. Oniemiał. Ujrzał patrzące na niego, oszalałe ze strachu oczy  
Mośka.

Cisza na chwilę zapanowała, zanim Romek się opanował i jakby  
chcąc się upewnić, zapytał:

- Mosiek? To nie zabili ciebie w getcie? Ten tylko kiwnąć przyta-  
kującą głową zdołał.

- Co ty tu robisz?

- Chowam się... Nie wypędzaj ...

Powiedziawszy to Mosiek rozplakał się. Może ze strachu, może  
z odprężenia i radości, że spotkał kogoś, na którego litość mógł liczyć.  
Łkał czas dłuższy i nie mógł się uspokoić, wciąż wpółleżąc na jakimś  
porwanym płaszczu. Romka w pierwszej chwili ogarnęła chęć, żeby  
mu przypomnieć jak okupacyjne wojska sowieckie witał i jak zapew-  
niał, że „wasze czasy już się skończyły”. Powiedzieć mu, że niech teraz  
wie, jakie te czasy jednak dobre były, ale gorzkie słowa nie przeszły  
mu przez usta. Gdy patrzył na zabiedzonego, z czającym się w oczach  
strachem rówieśnika, żal mu się go zrobiło. Po co ja mu mam wyrzuty  
robić, sam pewno jakim durniem był już zrozumiał, pomyślał. A Mo-  
siek widząc, że Romek milczy i zastanawia się, za nogę go nagle  
uchwycił i zaczął skomleć:

- Tylko mnie Niemcom nie oddaj... Tylko mnie Niemcom nie od-  
daj... Zabijaj...

-Nie bądź głupi - Romek wrzasnął głośniejsz niż zamierzał, bo  
zdenerwował się, że Mosiek mógł pomyśleć iż on jest zdolny do ta-  
kiego świństwa. Zaambarasowany był tym uściskiem ręki Mośka na  
jego nodze. Że się znajdzie w takiej sytuacji nigdy nawet mu przez  
myśl nie przeszło. W teatrze tylko takie sceny się zdarzają, uświado-  
mił sobie. Nie wiedział jak na to zareagować.

- Uspokój się! - niemal szorstko nakazał. - Siedzieć tu wiecznie  
nie możesz. Ukraińcy przez drogę mieszkają i niebezpiecznie jest...  
A jak cię nawet nie wykryją, to z głodu w końcu zdechniesz. Zastano-  
wić się muszę.

Mosiek trochę się uspokoił. Roztarł rękawem łzy na brudnej twarzy, smugi na niej pozostawił. Wciąż patrzył błagalnie i z ziemi się nie podnosił. Romek potrzebował się zastanowić. Miejsca miał w domu dużo, tylko pewno długo to nie potrwa, bo Niemcy się zorientują i jakichś ludzi do niego wsadzą. No, ale to późniejszy problem. Gorzej sprawa z żywnością się przedstawiała. Sam często głodował, a teraz Mośka musiałby wyżywić. Za przechowywanie Żydów kara śmierci też groziła i lekkomyślnością byłoby z jego strony się narażać, gdy o Zośce w pierwszym rzędzie myśleć powinien. I żeby Mosiek jeszcze taką świnią się nie okazał, to decyzja czy mu pomóc łatwiejszą by była. A on przecież odciął się od Polaków. Do sowieckich okupantów przystał. Zdrajcą właściwie był. I czyby mu pomógł, gdyby w takiej samej sytuacji się znalazł? Pewno nie. A szukać przecież go mogą. Może ktoś go widział? Może rewizję zrobią po wszystkich domach w okolicy?

Dziesiątki pytań tłoczyło się w Romka głowie i walkę z sobą toczył. Rozsądek, troska o Zośkę gdyby wpadł, ostrożność mu zalecały. I czemu Mosiek, skoro z sowietami się związał do Wiery czy jej matki o pomoc się nie zwrócił? Czemu do nich się nie zakradł? W złość wpadać zaczął. Wiedział, że odpowiedzi na pytania mu w powzięciu decyzji nie pomogą, że walka, którą toczy w sobie już jest przegrana. Że sam sobie oczy mydli i że wyboru nie ma. Że Mośka jego losowi zostawić nie może. Że gdyby go zostawił, gdyby go wydał, to by do tych idących z Staromyśla bandziorów się upodobnił, do których taką pogardę czuł.

– Widział ciebie ktoś? – zapytał, chociaż wiedział, że gdyby nawet tak, to Mosiek prawdy nie powie.

– Nie. Nocą tu przyszedłem, w dzień z krzaków nie wyłaziłem.

– Drzwi od domu otwarte zostawię i jak zobaczysz, że nikogo wokoło nie widać, to za mną przyjdź.

W krótki czas później już umyty Mosiek siedział w kącie i łapczywie jadł chleb, który jabłkami zagryzał.

– Nic więcej nie mam – Romek powiedział. – O żarcie trudno i nie wiem jak ciebie wyżywić. Jeśli pieniądze jakieś masz, to może kupić by się coś udało.

– Nie mam.

– To źle, bo ja na łasce przyjaciół i znajomych żyję. Czasem coś zahandlować się uda, ale i to rzadko.

Mosiek ostatni kęs przełknął i usta rękawem przetarł. Patrzył na Romka jakoby jakichś pytań od niego oczekiwał. Wreszcie sam mówić zaczął, widocznie na sercu mu wypadki ostatnich dni leżały i po dzielić się z kimś nimi chciał.

– Jehowa mnie w swej opiece ma. Uciec mi, jak na śmierć pędzili, się udało i ciebie spotkałem...

– Kopnąć cię w dupę powinienem i przepędzić. Swołocz z ciebie się zrobiła jak sowieci przyszli – Romek mu przerwał.

– Po co zaraz w dupę? Czy to człowiek pomyłek nie popełnia? I czy to mało ja za swoje wycierpiał? Matkę mi zamordowali i mnie przy niej nie było, jak w jakimś rowie konała. Uciekłem, ale czy powinienem być? Całe życie na te pytania odpowiedzi będę szukał. Ty nie wiesz co w getcie się działo. Ty krzyku nie słyszałeś ani płaczu, ani razów na plecach nie czułeś... Ażeby ich trądem obsypało! Co ja tam robiłem za sowietów, to ty myślisz że ja chciałem? A co mówiłem, to w to wierzyłem? Instynkt samozachowawczy za mnie to mówił. Prześladowania wiele nauczyć potrafią i człowiek do każdych warunków się przystosowuje. Czasem uda się, czasem nie.

– A jak ciebie kiedyś chrzcili, to nie chciałeś, bezpieczniejszym chrześcijaninem byłoby być.

– Ja bym się nie bronił, gdybyś jednocześnie kutasa mi nadsztukować mógł – zachichotał Mosiek, na kilka sekund o swoich nieszczęściach zapominając. – Portki zdejmą i zobaczą jaki ja chrześcijanin. Nie ukryję.

– Ano nie.

Znowu chwilę milczeli. Za oknem nagle drobny deszcz zaczął prószyć i z domu wyjść się Romkowi odechciało, chociaż potrzebował, bo nic do jedzenia nie miał. Parę butów po uciekających sowietach w pozostawionych po nich bambetlach znalazł i na czarną godzinę chował. Teraz pomyślał, że można by je za kartofle czy jajka na wsi wymienić, chociaż niebezpiecznie było.

– A ty tego Symona pamiętasz, którego ojciec w straży pożarnej służył – zapytał nagle Mosiek.

– Pamiętam. Razem w piłkę kiedyś grywaliśmy. A dla czego?

– W milicji ukraińskiej teraz służy. I nie tylko on. I Taras, i Stepan, i Wołodzia... To najmocniej bolało, jak dawni koledzy bili, gdy getto likwidowali. A ten Symon taki porządny był, spokojny. Gdybyś ty wtedy go zobaczył... I dla czego? Do naszego mieszkania wpadł. Drzwi kolbą wywalił. Czerwony na gębie, podпиты, wściekły. „Wycho-

dyty, żydowski parchi” krzyczał. „Raus, raus...” Gdy wujek w drzwiach się potknął to w plecy kolbą go zajechał, matkę kopnął aż na czworaki upadła i podnieść się nie mogła. Skoczyłem pomagać to mnie w kark pięścią zajechał, a później wyciorem bił i bił... Myślałem, że nie skończy i na podwórzu skonam. Poznał mnie i dobrze wiedział, że kiedyś do szkoły razem chodziliśmy. Później inni. Za co? Dlaczego? Tłukli wszystko, łamali, demolowali. A jak pędzili już w kierunku Staromylska – Mosiek oczy zamknął jakby nie chciał wypadków sprzed kilku dni widzieć i łzy mu spod powiek się potoczyły, których zatrzymać nie mógł – to po plecach wyciorami poganiali, a jak ktoś się potknął to dopadali z kolbami. Jęk, krzyk, gwałt... „Konec wam żydiwski sobaki”. Koniec ... I kobiety tam przecież były, ludzie starzy, dzieci... i rabin, który już z osiemdziesiąt lat miał. Dlaczego? Co z tym Symonem się stało? Taki cichy i grzeczny był. A z Wołodzią? Kolegowaliśmy kiedyś i zapoznałem go z Hanką Prusówną jak się do niej palił i śmiałości nie miał. Żeby ich ziemia pochłonęła! Żeby ich syfilis stoczył!

Ktoś zapukał do drzwi. Idąc otworzyć Romek zobaczył, że Mosiek przybladł, trząść się zaczął ze strachu i skurczył się w sobie tak, jakby chciał stać się niewidocznym. Okazało się, że to Zygmunt przyszedł.

- Mosiek u mnie jest – poinformował go Romek.
- Co? Skąd? – nie chciał uwierzyć.
- Uciekł, jak ludzi z getta pędzili.
- Przyszła koza do woza. A za sowietów dupą do Polaków się wypinał – Zygmunt wybaczyć Mośkowi nie mógł.
- Ja wiem. Swołocz był, a pomóc trzeba – Romek westchnął.
- Jak trzeba, to trzeba, ale świństw zapomnieć trudno.

## 41

Niemcy, po długiej zwłoce uruchomili wreszcie tartak i zatrudnili w nim kilkudziesięciu ludzi. Pracę w nim dostali Zygmunt z Romkiem, co szczególnie ucieszyło Romka, bo spodziewał się, że będzie mógł pomóc Zośce. Popławski też uruchomieniem tartaku się ucieszył, gdy od Zygmunta się o tym dowiedział. Liczył, że będzie miał on oko na ukrytą pod nim broń i ułatwi przeniesienie jej na inne miejsce, gdyby zaistniała tego potrzeba. Praca była ciężka, ale przynajmniej pieniądze regularnie za nią dostawali. Szczególnie ważnym to było dla Romka, bo nie mógł liczyć na wsparcie rodziny i nie bardzo miał



czym handlować, chociaż jakoś dawał sobie radę. Teraz Mośka jeszcze musiał żywić, chociaż koledzy jak mogli mu w tym pomagali. A o żywność coraz trudniej było. Niemcy chłopów kontygentami obłożyli i ci nawet jak mieli coś na sprzedaż, to lichwiarskich cen żądali.

Którejś niedzieli Janek po rynku się kręcił, gdzie Ukraińcy zrabowane Żydom rzeczy sprzedawali, bo go Romek prosił by butów jakichś tanich poszukał, gdyż jego się już rozłaziły. Najbardziej podobaty mu się buciki, które wiedział, że z domu adwokata Ćwigiela były zrabowane, bo adwokat potężnej tuszy był i obcasy wysokie kazał sobie podbijać, żeby mu chodzić łatwiej było. I Ukrainka, które je sprzedawała w futro z popielic ubrana była. Tu pomyłki być nie mogło, tylko adwokatowa Ćwigelowa takie futro w miasteczku miała. Zastanawiając się czy buciki Romkowi się spodobają, zobaczył Wierę jak jakieś łachy oglądała. Podeszła do niego i zaczęli rozmowę. Okazało się, że sama dbać o siebie teraz musi, bo matka utrzymanką jakiegoś Niemca została, wyprowadziła się do mieszkania, które jej gdzieś wynajął i znaku życia nie daje. Córką całkowicie interesować się przestała. Janek też wspomniał, że pracy w tartaku dostać mu się nie udało i wtedy Wiera do siebie go zaprosiła, chociaż nie bardzo miał ochotę z nią na ulicy się pokazywać.

– Bratnie my dusze – powiedziała. – Choć pocieszę cię gołubczyk, a później o interesach porozmawiamy. Propozycję dla ciebie mam.

Na tapczan go niemal z miejsca pociągnęła, gdy tylko w jej mieszkaniu się znaleźli.

– Pieniędzy nie mam – powiedział, chociaż czuł podniecenie i ochotę by z gościny u niej skorzystać.

– A czy ja żądam – szepnęła, przytulając się. – Propozycję dla ciebie mam. Prześpisz się ze mną kiedy będziesz miał ochotę, bo ciebie lubię i jeszcze zarobisz, jeśli się na nią zgodzisz. Mnie niezręcznie zimną będzie wychodzić i zarobków szukać. Jak człowiek szczęka zębami, to być czułym trudno i z klientem do łóżka się kłaść. Ot, gdybyś ty zaczął żołnierzy do mnie przyprowadzać, to ja bym zarobiła i miała co jeść, a ty swój procent byś dostał.

– A bo ja wiem... Po niemiecku nie mówię.

– Parę słów się nauczysz. Dużo nie trzeba, a resztę na migi można wytłumaczyć. Zastanów się.

Janek już dalszych rozmów prowadzić nie był w stanie. Bał się, że mu guziki w rozporku poodpadają. Przytulił się do Wiery i do jej piersi sięgnął. Ustami do jej ust przylgnął. Dziewczyna wyczuła co

się z nim dzieje, sama majtki zdjęła, rozpięła go i przyłgnęła gołym brzuchem. Z gwałtownym pośpiechem przewrócił ją na plecy. Ledwo skończył, już znowu ochotę miał.

– Nie tak, nie tak. Inaczej popróbuj – szepnęła gdy znów na nią kłaść się zaczął. – Czekaj, ja co trzeba sama zrobię. Zobaczysz jak to dobrze.

Widocznie chciała mu pokazać jakie rozkosze go czekają, gdyby na jej propozycję się zgodził, Wiera przewróciła go na plecy i położyła się na nim. I wtedy Jankowi przypomniało się, co Wasyl o jej matce opowiadał. Że na wściekliznę jakąś chora i nastraszył się, że to może być dziedziczne. Że jak na nim się położyła, to jak kleszczami uchwycić gotowa i już go nie puści. Że jak wampirzyca jakaś czy wilkołaczka wszystkich soków go pozbawi, żeby nigdy już do innych dziewcząt nie mógł pójść. Swoim niewolnikiem go uczyni, powolnym wszystkim rozkazom na zawsze. Że tylko żołnierzy niemieckich będzie jej musiał dostarczać i to do końca życia jego rolą będzie. Panika go ogarnęła. Zepchnął Wierę z siebie. Zapiął spodnie i przekręcił klucz w zamku. Wybiegł z pokoju i zostawił dziewczynę osłupiałą i nie rozumiejącą co z nim się stało.

Gdy wieczorem kolegom co mu Wiera proponowała opowiedział, roześmiali się.

– Chciała ciebie swoim alfonsem zrobić – Zygmunt stwierdził.

– Jakim alfonsem?

– Tak takich nazywają, którzy z zarobków bladi żyją. Co one zarobią, to im oddają. A Wiera sowiecką bladą się zrobiła.

– Ale po co na mnie włożyła – Janek nadziwić się nie mógł.

– Nienormalna – orzekli. – Całkowita świnią z niej teraz. I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno razem z nią do szkoły chodziliśmy.

– Może w sowietach tak się chędożą? – Mosiek nagle powiedział, chociaż przeważnie siedział cicho i do rozmów kolegów się nie wtrącał, gdy u Romka się zbierali. Coraz bardziej od świata się izolował i w swoich myślach pograżał. Całymi dniami w kącie kuchni siedział skulony, kolana rękoma obejmując i w tym kącie spać się kładł, chociaż cały dom był pusty.

Pierwsze śniegi spadły i znikły. Błotem ziemia się pokryła które z czasem mróz ściał. W kilka dni później śnieg nocami znowu zaczął prószyć ale już nie znikał, bo zimno by było. Rosta jego puchowa pierzyna coraz grubsza, wreszcie świat cały czystością oczy cieszyć zaczął. Czasami słońce się pokazywało i wtedy skrzył się śnieg i świat

jakimś weselszym się wydawał. Tylko o żywność było coraz trudniej i o opał. Do wsi na handel też brodzić po śniegu trudno było. Ludzie marzli po nieogrzanych domach. I Romek zaczął wtedy uschłe jabłunki w sadzie walić, by mieć czym w piecu kuchennym palić. Martwił się, że jak ojciec wróci, to mu tych drzew zmarnowanych gotów nie wybaczyć. W kuchennym piecu tylko palił i w tej kuchni obaj z Mośkiem wieczory spędzali i spać się kładli. A Mosiek nie był towarzyszem którego gdyby miał możliwość wyboru, wybrałby, by z nim mieszkanie dzielić. Coraz bardziej w sobie się zamykał coraz częstsze strachy go opadały. Nadśłuchiwał godzinami czy ktoś po niego nie idzie i na drzwi patrzył. Wydawało mu się nieraz, że już idą po niego i wtedy oczy ze strachu mrużył i kurczył się w swoim kącie. Wreszcie zaczął Romka podejrzewać, że wydać go chce, bo Zygmunt nieopatrznie kiedyś powiedział, że nagrodę za doprowadzonych Żydów Niemcy wyznaczili. To Romka zabolalo, tym bardziej, że z trudem zdobytym prowiantem musiał z nim się dzielić, Zośce coraz większy brzuch rósł i czuł że jej w pierwszym rzędzie powinien pomagać. Wreszcie Mosiek zaczął całymi dniami przy oknie na ulice, wystawać, a pytany dlaczego, odpowiadał, że milicjantów po niego idących wygląda.

To Romka zaniepokoiło, bo ktoś idąc po ulicy mógł Mośka zobaczyć. Rudy był i w oczy to się rzucało. Upominał go by do okna się nie zbliżał, ale wracając z pracy stwierdzał, że upomnienia nic nie pomagały. Nie wiedział jak na niego wpłynąć, bo rozmawiać z nim coraz trudniej było. Tu już nie tylko o Mośka chodziło, ale i o niego. Za ukrywanie Żyda kara śmierci groziła, a on ojcem za kilka miesięcy miał zostać i życia ryzykować nie było mu wolno. Aż stało się... Tak jak się obawiał.

Którejś niedzieli wrócił z wioski, gdzie zdobyte arkusze bibułek do kręcenia papierosów wymienił na kartofle i cieszył się, że z Zośką nimi się podzieli, gdy z daleka zobaczył Tarasa Marczuka, który służył w ukraińskiej milicji, Maruszkę, której od miesięcy nie widział i między nimi wlokącego się Mośka. Po rudej czuprynie z daleka go poznał. Serce mu stanęło. Całą zgrozę sytuacji z miejsca pojął. Wiedział jakie kary za ukrywanie Żydów groziły. Może po sąsiedzku uda się Mośka wybronić i niebezpieczeństwo zażegnać, po głowie mu przebiegło. Puścił się biegiem po wydeptanym śniegu za idącą wolno trojką.

Maruska opatulona w chustki prowadziła Mośka na sznurku z pętlą zarzuconą na szyję. Zdarzało się przed wojną, że prosiaki chłopi

tak na jarmark prowadzili. Za nimi Taras szedł i jak chłopak zwalniał kroku i pochód opóźniał, to go lufą karabinu w plecy szturchał.

– Idy – popędzał.

– Puść, pusty mene, Pusty...Marusia – chłopak od czasu do czasu jęczał, oczy błagalnie to na Tarasa to na Maruškę zwracając. Strach w tych oczach niemal zwierzęcy się czał. I ten strach nogi mu pewno paraliżował, bo ledwo nimi włókł. Później zaczął rękoma podszewkę kurtki odrywać.

– Pusty mene. Hroszi maju, bahato hroszi – rękę z banknotami do Tarasa wyciągnął.

Ten wziął pieniądze i z obojętną miną znowu lufą chłopaka w plecy pchnął.

– Idy – przynaglił.

Wtedy Romek dopędził idących i miejsca zdał sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwo się naraził. Lepiej było ponurego Tarasa unikać, bo nie było wiadomym jak na spotkanie zareaguje, a karabin przecież w rękę trzymał. Za późno już było jednak o tym myśleć.

– Gdzie wy go prowadzicie? – zapytał.

– Na milicję – Maruška odpowiedziała. – Nagrodę za parchów wypłacają.

– Maruška! Toż to twój kolega ze szkoły – Romek nie mógł ukryć zdziwienia, że coś podobnego ta dziewczyna zrobić może. Człowieka na pewną śmierć wydać!

– Ty patrz żeby i tobie się nie dostało – Taras wtrącił do rozmowy i kolnął Moška karabinem, bo ten zwolnił kroku.

– A ty co? I mnie wydasz? Sąsiada? Toż moi rodzice z twoimi na weselu Jewdochii razem pili i twoją matkę chowali jak umarła – zdenrowował się już Romek tak, że przestał ze słowami się liczyć.

– Na Lachów jeszcze nie czas. Gówny ty tam mnie obchodzisz – Taras burknął i znowu Moška do pośpiechu szturchnięciem przynaglił. Romek odetchnął. Maruška mocniej za sznurek szarpnęła, bo już zmarzła i chciała jak najszybciej do miasta dojść. Kilo soli za Moška spodziewała się dostać, a sól było bardzo trudno.

Romek sam na drodze pozostał. Wiedział, że już nic dla Moška zrobić nie może. Po powrocie do domu zaczął swoje łachy pakować. Niewiele tego było i do jednego worka się zmieściły. Postanowił na kilka nocy do Zoški się przenieść, aż sytuacja się wyjaśni. Wyda go Taras, że Żyda przechowywał czy nie? Od tego jego bezpieczeństwo



będzie zależeć. Janka po sąsiedzku poprosił by domu pilnował i uważał czy po niego przyjdą. Jeśli tak, to już tu nie wróci, jeśli nie, to może się zdecydować. Z ciężkim sercem drzwi na klucz zamknął i w kierunku miasta ruszył. Wiedział jaka przeprawa z panią Łupaszkową go czeka, ale wyboru nie miał.

- A jak Łupaszkowa cię nie przyjmie, to może być do Wiery poszedł - Janek zasugerował. - Mnie chciała zatrudnić, to i ciebie przytuli.

- To by się Zośka ucieszyła - oburzył się Romek. - A i ludzie mieliby o czym językami mleć.

## 42

**W**idocznie jakieś resztki sumienia Tarasów, pozostały i pewno Niemcom nie powiedział, gdzie przyprowadzonego Żyda złapał, bo nikt Romka nie szukał, pomimo, że do tartaku do pracy przychodził i łatwo go było znaleźć. Pani Łupaszkowa na mieszkanie go prawie bez sprzeciwów przyjęła, co go zdziwiło. Pewno zdała sobie sprawę, że jak Zośki nie upilnowała, to teraz za późno już jest troszczyć się o to, żeby znowu me zgrzeszyli, gdy jej w domu nie będzie. Córką brzuch już pokaźny przed sobą nosiła i za kilka miesięcy rozwiązania się spodziewała. Romek żałować nawet zaczął, że ze swego domu w takim popłochu uciekł, bo teraz daleko mu było chodzić do pracy. Nawet zaczął przebąkiwać, że może mu trzeba na własne śmiecie wrócić, ale Zośka nie chciała tym słyszeć.

W tym gdzieś czasie pana Bobrowskiego aresztowano. Na kolejną pracę dostał i podobno jakąś broń gdzieś przewoził, tylko nikt nic pewnego nie wiedział. Ktoś tylko widział jak dwu milicjantów ze stacji go prowadziło i słyszał jak grozili, że będzie wisiał.

- Tylko za wysoko nie wieszajcie, żebyście do całowania mojej dupy mogli się dostać - podobno powiedział.

Pani Bobrowska mało nie załamała się ze zgrzyoty. Po różnych biurach biegała ale nikt z nią rozmawiać nie chciał, później sensacja miasto obiegła, bo Bobrowscy córkę mieli, która tuż przed wojną gimnazjum ukończyła. Ładna była, wysoka, postawna o włosach czarnych i takich też brwiach, ale oczach jak niezabudki niebieskich. Podkochiwało się w niej kilku kawalerów, jeszcze większej ich ilości się podobała. Tylko Wanda bardzo dobrze wychowana była, łatwo znajomości nie zawierała i flirty ją nie nęciły. Do czasu gdy porucznika

Wojnowskiego poznała, który w 12 pułku Ułanów Podolskich służył, w Białokrynicy, niedaleko od Krzemieńca. Na urlopie u rodziny był, która z Bobrowskimi od lat zażyłe stosunki utrzymywała. Wanda z miejsca się w nim zakochała i zanim porucznikowi urlop się skończył, już po słowie z nim była. Pewno by za mąż w parę miesięcy później za niego wyszła, tylko, że wojna wybuchła i od tej chwili żadnej wiadomości o nim nie miała. Teraz Wanda w jakimś biurze zaopatrzenia pracowała, bo знаła trochę język niemiecki, którego uczyła się w gimnazjum.

W tym biurze zobaczył ją jakiś gestapowiec i podobno zakochał się w niej na zabój, pomimo, że żonę i dwie małe córeczki miał. Kręcić się koło niej zaczął, ale oczywistym dla wszystkich było, że źle trafił. I gdy zobaczył Wandę z zapłakanymi oczyma po aresztowaniu jej ojca, zapytał się jej, co się stało. Gdy mu wytłumaczyła, zrozumiał, że otworzyła się przed nim możliwość jej zdobycia. Nie owijał sprawy w bawelnę. Powiedział wprost, że postara się pomóc jej ojcu, jeśli ona zostanie jego kochanką. Dziewczyna podobno całą noc krzyżem leżała przed jakimś świętym obrazem, szukając odpowiedzi, co jej począć należy. Z rana podniosła się z podłogi z postanowieniem, że Niemcowi nie ulegnie. Matka jej, w całą sprawę wtajemniczona, podobno pochwałała tę decyzję, chociaż niektóre sąsiadki twierdziły, że pretensje do Wandy miała. Że jednak mogła poświęcić swą cnotę by życie ojca ratować.

I może na tym cała sprawa by się skończyła, gdyby Niemiec na swoim postawić nie postanowił. Zjawił się któregoś wieczoru w domu Bobrowskich z butelką koniaku i kazał pani Bobrowskiej z pokoju się wynieść. Gdy do sypialni poszła, na klucz ją zamknął. Sam z Wandą pozostał, pić zaczął i ją do picia przymuszać. Opierała się i to go zapewne do desperacji doprowadziło.

- Po dobroci chciałbym cię mieć, ale jak będziesz opierała, to wiesz, że siłą potrafię wziąć - powiedział i z krzesła się podniósł.

Wanda wtedy się zerwała od stołu, do kuchni uciekła skobel zasunęła. Drzwi zaczął ramieniem wywalać i dziewczyna zrozumiała, że ratunku dla niej nie ma. Chwyciła za nóż do chleba i w brzuch sobie wbiła. Gdy Niemiec wpadł do kuchni, już na podłodze leżała i krew z niej płynęła. Widocznie wystraszył się, może rzeczywiście w dziewczynie zakochany był, bo lekarza wojskowego zaraz sprowadził, który życie jej uratował. Gdy po kilku tygodniach do pracy wróciła, dowiedziała się, że go do Ostroga przeniesiono. Wkrótce później pana

Bobrowskiego do jakiegoś obozu wywieziono. Ludzie mówili, że od śmierci się wymigał i to, że go nie rozstrzelano temu gestapowcowi zawdzięcza. Oczywiście, nikt nic pewnego nie wiedział, ale tak być mogło.

I całe miasto na dwa obozy się podzieliło, dyskutując czy córka powinna była się poświęcić i życie ojca ratować. Pod kościołem, po mszy w niedzielę te dyskusje przeważnie się odbywały. Większość pań twierdziło, że nie powinna, natomiast pani Kulkowska najbardziej i najgłośniej broniła swego przekonania, że tak. Niektórzy twierdzili o niej, że paru kochanków miała, których po nocach kolejno do domu wpuszczała jak mąż na kilka dni wyjeżdżał, bo był kolejnym. Plotki to były, chociaż bardzo natarczywe, bo nikt jej na gorącym uczynku nie złapał. W czasie jednej takiej dyskusji pod kościołem, pani Wirpszowa się zaperzyła i powiedziała:

– No, tak. Pani by się może poświęciła w takim wypadku, ale porządne dziewczęta inaczej rozumują.

– Co pani przez to chce powiedzieć? Że ja nie porządna jestem? – naskoczyła na nią Kulkowska.

– A skąd ja mogę wiedzieć, czy porządna czy nie – nastroszyła się złośliwie Wirpszowa. – Różnie ludzie mówią.

– Przestańcie panie – pani Łupaszko niepotrzebnie do rozmowy się wtrąciła, gdy obie niewiasty już rozzłoszczone były i ofiary potrzebowały, by na niej swą złość wyładować.

– Pani córeczka to by się pewno nie zastanawiała nawet – Wirpszowa syknęła.

– Jakby jeszcze jeden bajstruk w rodzinie się zdarzył, to tylko weselej by było – Kulkowska dodała.

Pani Łupaszkowa rozplakała się wtedy i przez całą drogę do domu uspokoić się nie mogła. Później na Zośkę naskoczyła.

– Całe życie nikt na nas złego słowa nie powiedział, a teraz przez ciebie oczyma muszę świecić – chlpała. – I męża nie mam, żeby ujął się za mną mógł.

Zośka nie reagowała, bo po raz pierwszy kopnięcie dziecka tego ranka poczuła i tak ją to zadziwiło i wzruszyło że czym innym myśleć nie mogła. Romka w domu nie było, by tą wiadomością z nim podzielić się mogła i jego rękę na swoim brzuchu położyć, by jej radość dzielił. A zaraz później pani Alicja wpadła dowiedzieć się czy wszystko jest w porządku i czy Zośka dobrze się czuje. Romek już od dawna ją prosił by oko na nią miała.

- Nie przejmowałaby się pani tym co ludzie mówią - do pani Łupaszkowej powiedziała. - Macierzyństwo to błogosławiony stan, a poród to cud od Boga ludziom dany. Przy tylu byłam, a zawsze w podziw przy każdym wpadam. A, że młodzi pobrać się chcą jak tylko będą mogli, to i sprawa ich ani taka straszna, grzech wielki. Czas już najwyższy, by ludzie nauczyli się w cudze sprawy swoich nosów nie wsadzać.

- Co tu pani opowiada - nie zgadzała się Łupaszkowa - grzech to śmiertelny do sakramentu małżeńskiego w czystości nie wytrwać. Matka mnie tak uczyła i ja Zośkę. Ale teraz jajko od kury mądrzejsze. Nie wytrzymała.

- Jaki to ten grzech, to ja nie bardzo jestem pewna. Czy to człowieka wina, że to takie przyjemne? - pani Alicja przekornie dyskusję skończyła.

Kawy zbożowej się później napiła i zasiedziała się, bo jej samotność doskwierała i z ludźmi porozmawiać lubiła. W krótkim czasie Romek ze wsi wrócił i butelkę samogonu przyniósł, a gdy dowiedział się, że dziecko kopać zaczęło, na stół ją postawił. Pani Alicja ze smakiem kilka kieliszków wypróżniła, bo wypić lubiła. Ostatnio coraz mniej dzieci po wsiach przyjmowała, a chrzciny tych, których przyjęła już tak huczne jak kiedyś nie były. Język od samogonu jej się rozwiązał i zaczęła opowiadać o swych przygodach, które jej się zdarzyły, gdy dzieci po wsiach przyjmowała. O Skrzypczuku z Bogdaszewa, którego żona rodziła i przed którym ją przestrzegano, że ani chrzcin nie urządzi, ani jej nie zapłaci, bo cała okolica ze skąpstwa go znała. Z miejsca więc, zaraz po porodzie, zapłaty za swą fatygę od niego zażądała. Wykręcał się chłop jak zwykle i wtedy mu powiedziała: „albo płacisz, albo dziecko z powrotem skąd wyszło włożę”. I zapłacił! Głowę odchyliła i śmiała się później tak serdecznie, że wszystkich ochota do śmiechu zaraziła.

- I jeszcze wam jedną historyjkę opowiem - zaczęła widząc, że się śmieją - tylko nazwiska tej niewiasty nie zdradzę bo wciąż w miasteczku mieszka i poważaniem się cieszy. Przez dwa lata ją na bezpłodność leczyłam. Ziółka jej różne dawałam i fortunę ją to leczenie kosztowało. Po pewnym czasie znów do mnie przyszła. „Niech mi pani da jakichś ziółek na spędzenie płodu” - prosi. To ja na nią. Zwarowała pani, mówię. Dwa lata leczyłam żeby pani w ciążę zająć mogła, mówię. Kosztowało to panią, mówię. A teraz jak pan Bóg pobłogosławił, to płód pani spędzać chce? Toż to grzech! I dlaczego, pytam



ją. „A bo widzi pani, to co mam, to nie z moim mężem”, wykrztusiła. O mało diabli mnie nie wzięli. Nie dałam jej ziółtek. Mąż jej nawet szczęśliwy był, jak mu chłopca powiła. I do dzisiaj szczęśliwi są. Dziecko to szczęście i cieszyć się każdym należy.

Te ostatnie słowa pod adresem pani Łupaszkowej pewno powiedziała.

## 43

**G**łodna i mroźna zima ku końcowi się miała. Jeszcze luty się srożył i ludzie zębami szczękali idąc do pracy i w domach po powrocie, ale wszyscy wiedzieli, że w marcu mróz już musi zelżeć. O toczącej się wojnie wiadomości nadśluchiwali, ale myśleli tylko o tym by przetrwać. Byle do wiosny czy lata. Tak samo głodno wtedy będzie, ale przynajmniej ciepło. A później? Później zobaczymy. Jakoś to będzie. A wiadomości nie były krzepiące. Ludzie nareszcie zrozumieli, że wojna nie skończy się ani na Wielkanoc, ani na Boże Narodzenie, jak niektórzy przewidywali, ale potrwa kilka lat. Niemcy stali pod Moskwą i Leningradem, Japonia związała wojną Amerykę i cała niemal Europa pod ciężkim jarzmem niemieckim cierpiała. Jaśniejszym momentem była wiadomość, że Sikorski odwiedził Rosję i że polskie wojsko tam się organizuje. Romka szczególnie ucieszyła, miał nadzieję, że jeśli żyje jeszcze ojciec, to go pewno z więzienia wypuszczono. Tymczasem na Wołyniu ludzie wciąż na wieś na handel chodzili i chociaż spotykali się z wrogością ukraińskiej ludności, handel trwał i handlujących nie napastowano. Wieś także pewnych towarów potrzebowała, których tylko miasto lub handlarze dostarczyć mogli. Coraz więcej przybyszów z Galicji po wsiach pokazywać się jednak zaczęło i ludność do nienawiści do Polaków podburzać. Do Żydów nie musieli, bo i tak nagminny antysemityzm panował po wsiach ukraińskich od wieków, a teraz jeszcze wzrósł, chociaż wtedy już niemal wszystkie getta zlikwidowano. Jeden z takich przybyszy ze Lwowa u Marcuków się zatrzymał.

Na ulicy Granicznej całkowity podział już wtedy nastąpił. Ta strona od miasta nie utrzymywała stosunków z tą od wsi. Nie dlatego, że nie chciała, tylko dlatego, że tamta odizolowała się od niej całkowicie, a jej mieszkańcy nawet na pozdrowienia przy przypadkowym spotkaniu nie odpowiadali. Stary Marczuk był tu wyjątkiem, ale i on

na boki się oglądał czy go ktoś nie widzi, zanim „dobryj deń” odpowiedział. Zdziwiła się więc pani Bałandziukowa gdy Taras do niej pewnego dnia przyszedł, bo nawet w normalnych czasach nigdy w tym domu nie był. Bałandziuk do pracy poszedł, bo posadę sprzątacza w zarządzie miasta udało mu się dostać i Taras widocznie tak czas swoich odwiedzin obliczył, by go w domu nie było. Usiadł nieproszony na krześle w kuchni i na gospodynię spode łba popatrzył.

– Wy Ukrainka, choć za Lacha wyszła – rozmowę w języku ukraińskim zagaił, chociaż po polsku dobrze mówił i wiedział, że w tym domu po polsku się rozmawia – zbliża się czas, że każdy zdecydować będzie musiał, gdzie jego lojalność leży.

– A co moja lojalność ciebie obchodzi – zdenerwowała się Bałandziukowa. – Niemcy ciebie przysłali, czy ty sam taki gorliwiec?

– Inna tu władza, oprócz niemieckiej, dla patriotów ukraińskich jest. I zbliża się czas, że wszystkich czużyńców pozbyć się naród ukraiński będzie musiał. Dobrze wiedzieć, zanim obcego śmiecia Ukraina się pozbędzie, kto nasz, a kto zmoskałał czy opolaczył się.

Bałandziukowa dosyć tego miała. Opanować się już nie mogła i za miotłę chwyciła. Agresywnie ją w rękach trzymała, tak by Wasyl rozumiał, że użyć jej w razie potrzeby się nie zawaha.

– Ot, filozof – rozkrzyczała się. – Widzieli wy go durnia, o którym własna matka, że dureń mówiła. Kto opolaczył się przyszedł rozsądzać, a sam niemiecki mundir włożył. Nie twoje to diło! Won z mojego domu! Szczob tebe traćcia murdowała!

Bardziej zaniepokoiła ta rozmowa Bałandziukową dopiero jak się dowiedziała, że i u Karpińskiej Taras był. A gdy Karpińska kłócić się z nim zaczęła, powiedział jej wprost, że jak chce by za swoją „ukraińską władą” ją uważała, to męża i dzieci pozbyć się powinna. Karpińska najpierw oniemiała, bo że ktoś mógł ośmielić się coś podobnego powiedzieć, w głowie jej się nie mieściło, a później wybuchła.

– A może byś ty mnie powiedział, jak ja ich pozbyć się mam, jak taki mądry!

Wtedy Taras się zreflektował i nastraszył się, że może za dużo powiedział, bo odparł:

– Ot z domu by przepędzić mogła, albo do swoich na wieś wrócić. Prędzej czy później wszystkich czużyńców z Ukrainy i tak przepędzimy.

Gdy Zygmunt o tych rozmowach Popławskiemu opowiedział i zasugerował, by tym z Granicznej broń może wydać na wszelki wypa-

dek, ten sprawę zlekceważył. „Ja bym tam jednym i jak mówisz durniem, nie przejmował się”, powiedział, „a broni ruszyć nie można. Pozwolenie na to bym musiał dostać i pewno nie dadzą”.

Romek o tej rozmowie od Zygmunta się dowiedział i przypomniał po wypadkach, które parę miesięcy później nadeszły. Od tego czasu żał do Popławskiego całe życie czuł. A później gryzł się w sobie, że może powinien był wtedy Zygmontowi oddać swój rewolwer, który bez użytku leżał, chociaż z czasem się przydał. Ale inne sprawy go zaprzątały wtedy i o nich przeważnie myślał. Czas rozwiązania Zośce się zbliżał i każdą niemal wolną chwilę spędzał włócząc się po wioskach, gdzie ubrania pana Łupaszki na żywność wymieniał. Czasami za zgodą pani Łupaszkowej, czasami bez jej zgody. On jeden wiedział, że już ojcu Zośki ubranie me będzie potrzebne. A już marzec się rozpoczął i błoto drogi zalało. Trudno było po nim grząźć kilometrami i zmęczony do domu wracał. Ale bażki już na wierzbach się pokazały i pąki na drzewach obierać zaczęły, więc wiedział, że wiosna się zbliża. Jeszcze kilka tygodni męczarni i drogi przeschną, drzewa kwieciami się pokryją i trawa się zazieleni. Bociany wrócą i zajmą gniazdo na chałupie Marcuków. Zazdrościł tym bocianom nieraz. Tej ich wolności nieskrępowanej. Że odlecieć na zimę mogą, nie głodować i marznąć jak tu ludzie. Że nikt im nie zabrania polecieć tam gdzie łąki zapewne zimą są zielone i jedzenia obfitość. I powrócić, gdy tu już zieleń soczysta i żab zatrzesienie. Czasami ironię losu uświadamiał, że ptakom lepiej w czasie wojny się powodzi niż ludziom.

Gdy wrócił któregoś dnia, w początkach marca z wioski, uginając się pod ciężarem worka kartofli, pani Łupaszkowa w drzwiach stała i niecierpliwie jego powrotu oczekiwała. „Zośka parć dostała”, poinformowała go z miejsca i po panią Alicję biec kazała. Zmęczenie mu przeszło i siły wróciły. Akuszerkę w domu szczęśliwie zastał i całą drogę przynaglał by szybciej szła. Nie potrzebnie się śpieszyli. Wiele godzin upłynęło zanim Zośka chłopaka powiła i mógł go zobaczyć. A przedtem nachodził się ogrodzie do którego go wypędzono, nasłuchiwał się krzyków i strachu się najadł... Że już Zośki nigdy nie dotknie ślubował ze sto razy, skoro tak cierpieć ma, pokąd jej nie zobaczył jak leżała w łóżku jakaś różowa i ze świecącymi ze szczęścia oczyma. Wtedy o ślubowaniach zapomniał. Ładniejszą niż zwykle mu się wydała i jeszcze syna mu powiła. Postanowił, że dziecka nie ochrzci, pokąd ksiądz ślubu im nie da. Sam poszedł do księdza, Łupaszkowej nie chciał posyłać, bo już u niego była i nic nie wskórała. Zagroził pro-

boszczowi, że w cerkwi ślub weźmie. Albo, albo. Pop podobno o metrykę się nie pyta, jak mu się dużo do ręki da.

Siedemnaście lat już ukończył i na osiemnaście mu szło, ale proboszcz o ślubie nawet słyszeć nie chciał. Grózbę się nie nastraszył, skrzyczał go jeszcze i pouczył, że powinien był się zastanowić o konsekwencjach swoich postępów, zanim dziecko spłodził. I poczekać z płodzeniem dzieci aż do czasu gdy dorośnie i się ożeni. Że wojna, to żadne usprawiedliwienie dla rozpusty i dla upadku moralności. Na dodatek, gdy wrócił zły i nie w humorze, Łupaszkowa na niego wsiała, że dziecko koniecznie ochrzcić trzeba i, że nie wolno go poganiem chować. Wystarczy mu udręki i wstydu, że bękartem zostało na całe życie. Zośka też ją poparła, więc dla świętego spokoju uległ im, ale sam do kościoła nie poszedł. Bał się, że znowu gniewem wybuchnie, a nie wypadało.

I gdzieś w tym czasie pan Raczek przyszedł i list pani Łupaszkowej przyniósł od siostry męża, która gdzieś za Lublinem w małym mająteczku z mężem gospodarzyła. Jakiś kolejarz ten list panu Raczkowi przekazał, który na tamtą stronę jeździł. Pisała, że „jeść mają co i dla nich by wystarczyło, gdyby przenieść się tam jakoś mogli, bo słyszała, że na Wołyniu bieda podobno wielka panuje i że jest bardzo niebezpiecznie”. Propozycję tę Łupaszkowa zignorowała, ale martwić się zaczęła jak napisać rodzinie że jej męża aresztowano i co gorsze, że Zośka miała dziecko, chociaż za męża nie wyszła. Tak długo na ten temat wydziwiała, że córka ją uspokoiła, iż sama w tej sprawie do ciotki napisze. I niech się mama już nie piekli.

Straszna atmosfera zapanowała Po chrzcinach, gdy Zośka już przy domu krzątać się zaczęła, każde jej zbliżenie do Romka Łupaszkową do pasji doprowadzało. Nie mogła znieść gdy córka za rękę go wzięta czy przytuliła się do niego. A gdy, nie daj Boże, pocałowała, to fukała tak jak kot, gdy pies do niego się zbliża. Romek to widział, ale Zośka zdawało się nie zauważała. I któregoś dnia, gdy dziecko całą noc niemal płakało, zasugerowała, by Romek do jej pokoju spać się wprowadził. Mógłby jej pomagać i na zmianę z nią do dziecka wstawać, gdy niespokojną noc będzie miało. Matka w szal wpadła, gdy to usłyszała.

– Coooo – wrzasnęła. – Jeszcze ci jeden bajstruk potrzebny? Jednego ci mało? Wstydu całkiem nie masz? Tego co ludzie powiedzą się nie wstydzisz? Na burdel szanowany dom chcesz zamienić? A po moim trupie!!!



- Przyjdzie czas gdy pobierzemy się. Nie będzie mama musiała za nas się wstydzić - Zośka siłąc się na spokój powiedziała, chcąc matkę udobruchać. Nacisk na każde słowo kładła, by to co mówiła dojść do niej mogło.

- Zobaczymy jak to będzie, a tymczasem w jednym pokoju spać nie będziecie, pokąd ja żyję. I lepiej może, żeby Romek z tego domu się wyprowadził. Nic mu już nie grozi, nam tu nie jest potrzebny, a narzeczonym z daleka być może. Ludzie zaczną mówić, że na wiarę żyjecie.

- Jak się wyprowadzi, to razem ze mną. Mamy gdzie - Zośka z miejsca zagroziła i Łupaszkowa widocznie się nastraszyła, bo zamilkła, wybałuszyła oczy i zaczęła sapać tak, jakby maraton biec dopiero ukończyła.

## 44

**D**rzewa, jak to w kwietniu, bielą kwiatów wiśni się pokryły. Śnieg płatków opadłych pod nimi leżał i pokrywał chodniki. Nawet niemieccy żołnierze w tym czasie tacy groźni się nie wydawali. Płatki opadały im na czapki i mundury, gdy po chodniku szli i wyglądali jakby ich ktoś konfetti obsypał i że z czyjegoś ślubu wracają. Ta obfitość kwiatów na drzewach ludzi cieszyła. Za kilka miesięcy gałęzie od owoców zaczną się uginać i głód zaspokoić nimi będzie można. Nieczęsty wiatr chodniki z płatków zamiatał i ich zasy pod płotami układał lub do rynsztoków spychał. Tam żółkły, gnici zaczynały i trzeba było uważać by się na nich nie pośliznąć. W końcu maja dopiero drzewa biel utraciły i tylko soczystymi liśćmi się pyszniły, wśród których ptactwo świergotało. Też pewno aż wiśnie i czereśnie się zaczerwienią czekały. W okresie ich dojrzewania szkody zawsze dużo robiły i strachów na wróble w ogrodach ustawianych nie bardzo się bały. Z każdym dniem słońce coraz mocniej grzało i nawet wieczory już ciepłe i parne były. W taki wieczór, gdy lenistwo człowieka ogarnia, Romek z tartaku wrócił i pod drzewem w ogrodzie usiadł by wypocząć, gdy matka Zośki na niego naskoczyła.

- Zamiast siedzieć, to może chodnik przed domem byś zamiótł, bo ktoś nogę gotów złamać na śmieciach - powiedziała. W złym humorze była, bo w tym dniu znowu list spod Lublina dostała, który ją z równowagi wyprowadził. Rodzina męża do przyjazdu znowu ją zachęcała, ale list zakończyła słowami: „nic dziwnego, że Zośka się wy-

koleiła. Ojca jej aresztowali, który mógł nią pokierować, a w rodzinie męskiej ręki potrzeba”. Fukąła Łupaszkowa gdy te słowa czytała, bo sugerowały, że nieszczęście córki jest jej winą i upilnować jej nie potrafiła. Swą złość teraz na Romku wyładować chciała.

A Romek też nie w humorze po pracy wrócił, bo coraz głośniejsze naciski by na roboty do Niemiec jechać się nasłuchiwał od kolegów i to go niepokoić zaczęło. Podobno siłą ludzi zaczęto już brać i w zarządzie tartaku, że za dużo ludzi w nim pracuje, ktoś mówił. To już niebezpiecznym było i gdyby go zwolniono, mogliby go na roboty wysłać. Kto Zośką i dzieckiem wtedy się zaopiekuje? Gdy mu o zaprosinach spod Lublina powiedziała, zastanawiać się zaczął, czy to nie jest wyjście z sytuacji. Gdyby nawet jemu coś się stało, rodzina Zośki i dziecka bez opieki nie zostawi. Tylko Łupaszkowa domu nie zechce na pewno opuścić, a i wyjazd za Bug ogromne trudności przedstawiał. Myśląc o tym zaczął się bać, że Zośka sama zostać może i chociaż dziecko go cieszyło, wyrzuty sobie zaczął robić, że go spłodził. Głodno było i coraz dalej od miasteczka musiał po wsiach chodzić, by jakąś żywność zdobyć. Z każdym dniem to niebezpieczniejszym też było. Ukraińcy po wsiach z dnia na dzień bardziej wrodzy i zaczął się bać, że z którejś wyprawy nie wróci. Nawet rewolwer z klatki dla królików wyjął i postanowił go zabierać ze sobą, chociaż zdawał sobie sprawę, że jak go zatrzymają Niemcy, to się im nie wytłumaczy i na pewno go rozwalą.

Jak wszyscy niemal tu Polacy osaczonym i zagrożonym się poczuł. Wojna i dwu okupantów zdziesiątkowała element polski na kresach. Tysiące mężczyzn z wojny nie wróciło, tysiące uciekło po niej, setki tysięcy deportowały władze sowieckie, tysiące aresztowali lub rozstrzelali Niemcy. Aresztowania wciąż trwały i zaczęto wywozić na roboty do Niemiec. Kurczyła się ludność polska i otoczona była nieprzyjaznym morzem uprzywilejowanych i współpracujących z okupantem Ukraińców. Coraz bardziej wrogich, wrogości już nie kryjących i w oparciu o protektorów niemieckich coraz bardziej butnych. Nikt jednak nie przypuszczał, że ta wrogość może przybrać takie oblicze, jakie przybrała tej jesieni i wiosną 1943 roku. A Romek, tak jak Popławski zignorował to co mu Zygmunt i Janek o wizytach Tarasa u sąsiadów opowiedzieli. Oni też zresztą brednie durnego Tarasa zignorowali. Przestali je lekceważyć w parę miesięcy później, po tym co panią Alicję spotkało. Gdzieś późnym latem, gdy po chrzcinach dzieciaka, które przyjęła u gospodarza w Bogdaszewie, do domu wróciła.

Zadowolona była, bo dosyć dużo pieniędzy na tacę jej w czasie chrzcina rzucono i w dobrym humorze, bo ojciec dziecka samogonu nie żałował i dużo wypił. Ciemność już zapadła i kawę zbożową parzyć zaczęła, którą z nawyku przed spaniem piła, gdy pukanie do drzwi usłyszała. Zdziwiło ją to, że o tej porze, ale otworzyła je bez zastanowienia. W progu stał Oleś, jej ulubiony chrześniak, a za nim jakichś dwóch wyrostków.

– A ty co tak późno – zdziwienia ukryć nie mogła. Rzadko go zresztą widywała i tylko na Wielkanoc zazwyczaj kraszanki jej przynosił.

Oleś przekroczył próg. Widać było, że podniecony jest i w złych zamiarach przyszedł. Oczy mu niespokojnie na boki biegały, jakby chciał sprawdzić czy kogoś u niej nie ma.

– No, oddaj hroszy Laszka – nie ukrywał po co przyszedł. W podnieceniu głos mu się załamał, chociaż dużo wysiłku go kosztowało, by je opanować i okiełzać strach, który nie chciał by wyczuli jego towarzysze.

– Jaki hroszy – nie rozumiała.

– Głowy nie kręć. A dzisiaj mało to zebrała?

Dwu jego towarzyszy już weszło do środka i zamknęło za sobą drzwi. Pani Alicja zorientowała się, że to nie jest wizyta przyjacielska i niebezpieczeństwo jej grozi. Zaczęła się cofać, rozglądając się za czymś, co mogłoby służyć za broń. Nie miała czasu pomyśleć o strachu. Dwu towarzyszy Olesia wzniosło w górę grube pały ukrywane dotychczas za plecami. Ruszyli do przodu.

– Dawaj hroszy lacka suka – ryknęli unisono.

Pani Alicja zdążyła już chwycić garnczek z parzącą się kawą. Chlusnęła nią w twarz najbliższego wyrostka. Zawył nieludzkim głosem, wypuścił kij i podniósł ręce do twarzy. Dopadł ją ten drugi. Walnął pałą po głowie. Zachwiała się od tego uderzenia i krew zaczęła zalewać jej oczy. Pała opadła drugi raz. Wtedy ugięły się pod nią kolana. Ostatkiem przytomności zobaczyła, że w rękę Olesia błysnął nóż. Świadomość tego zabolą ją mocniej od uderzeń pałą. W tym momencie chłopak doskoczył ją z boku i wbił nóż pod żebra. Gdy już leżała na podłodze, dźgnął ją jeszcze kilka razy.

– A masz. A masz Laszko – powtarzał przy każdym pchnięciu.

Pani Alicja patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Rzęziła głośno i tak przejmujące to rżenie było, że napastnikom ciarki po

plecach poszły. Zdrętwieli na chwilę i ochota by uciec ich opadła. Dopiero wtedy doszło ich uszu nieludzkie wycie i przypomnieli o towarzyszu oblanym wrzaskiem.

– Wyżyje wiedźma i kto ją napadł powie. I oczy Iwasiowi wypaliła, suka.

– Szczo robyty? – Ołeś niepokoić się zaczął.

Na wszelki wypadek ten z pałą walnął raz jeszcze panią Alicję po krwawiącej głowie. Nie przestała rzeźzić. I wtedy zdesperowany Ołeś chwycił ją za włosy, uniósł głowę do góry i pociągnął nożem po gardle. Namęczył się. Niezdarnie to robił. Tam i z powrotem piłował, bo nóż był tępy. Wreszcie bryznęła krew i bulgotać zaczęła w poderżniętej krtani, jak wrzątek gotujący się w garnczku na piecu. Napadnięta jeszcze rękoma za poję marynarki mordującego uchwycić zdołała i zacisnąć na niej palce. Szarpnął się w popłochu, ale palców nie zdołał rozluźnić. Pomógł mu kolega, uderzając pałą po rękach konającej. W popłochu zapomnieli o pieniądzach i o leżącej na stole torbece. Rzucili się do drzwi.

– Ne ostawiajcie – krzyknął Iwaś, który nic nie widział. Chwycili go za ręce. W sam czas zniknęli w ciemnościach, bo już zaczęły otwierać się drzwi zaniepokojonych sąsiadów pani Alicji. Jeszcze żyła jak wpadli do jej mieszkania, ale życie z niej już uciekało w takim pośpiechu, jakby zamierzało pędzić za młodymi zbrodniarzami.

Niemal wszyscy mieszkańcy miasta szli za trumną pani Alicji, gdy odbył się jej pogrzeb. I wiatr się zerwał tego dnia, jakoby ze złości na ludzi, że takich czynów dopuścić się mogą. Łopotał czarnymi chorągwiami i chciał je wyrwać z rąk niosących. Księdzu czarną kapę na głowę zarzucił i biret z głowy zerwał, który przed konduktem po jezdni się toczył, aż pędzący za nim Janek zdołał go uchwycić. Kilkakrotnie dźwigający trumnę zmieniać się musieli, zanim do cmentarza doszli, bo biły w nią podmuchy wiatru i zataczały niosącymi, sprawiając wrażenie, że są po wielu wódkach.

Ludzie szli za nią w milczeniu, z ponurymi twarzami, szamocząc się z niewesołymi myślami. Ani do modlitw księdza swych głosów nie włączali, ani żałobnych pieśni nikomu śpiewać się nie chciało. Przeczucia złe ich opadały. Każdy już wiedział, że to ukraińscy rzeźmieszkowie panią Alicję zamordowali. Rok 1939 im się przypominał, gdy Ukraińcy policjantów i żołnierzy mordowali. Ktoś z sąsiadów słyszał jak uciekając z mieszkania pani Alicji, do pośpiechu kogoś po



ukraińsku nawoływali. I o okrucieństwie tego mordu ludzie szeptali. Kobiety, która nigdy nikomu nic złego nie zrobiła. To zrozumieć było trudno.

W parę dni po pogrzebie pani Alicji zaczęto opowiadać po wsiach, że Polacy młodemu chłopcu z Bogdaszowa oczy wypalili i zemstę zapowiadać. Jeszcze bardziej niebezpiecznie było chodzić na wieś w poszukiwaniu żywności. Niemal wszyscy musieli, chociaż zdawali sobie sprawę, że życiem te wyprawy przypłacić mogą. Pani Łupaszkowa już dawno na handel chodzić przestała, zdając się na Romka, który co niedzielę niemal do Zdołbicy czy Nowomyślska się wypuszczał. Często się zastanawiał, że gdyby mu gardło gdzieś poderżnęli, to czy by tym się zmartwiła, czy może nawet ucieszyła. Sytuacja w domu pomiędzy matką a Zośką i nim coraz bardziej naprężona była.

Gdy się zwierzył z swych kłopotów kolegom, zgodni byli, że Zośkę z dzieckiem pod Lublin odwieźć powinien.

– Tu nie wiadomo jeszcze co ziać się będzie. My radę sobie jakoś w każdej sytuacji damy. A co z Zośką i dzieckiem się stanie, gdy nas do lasu powołają, czy za broń chwycić będziemy musieli? Pod Lublinom przynajmniej jeść będą mieli co i rodzina nimi się zajmie – Zygmunt perswadował.

– A jak matka się uprze, że domu nie ostawi?

– To pal ją diabli. I jej łatwiej będzie jak bez Zośki i dziecka zdecydować się tu zostać.

– Ty za nią odpowiedzialny nie jesteś, tylko za Zośkę i dziecko – Janek wtrącił.

– Mnie też wyjechać stąd się nie chce – Romek powiedział i smutno mu się zrobiło na samą myśl, że miasteczko musiałby opuścić. Kilka tygodni z Syberii do niego szedł i jak o raj o nim marzył, gdy pracował pod Archangielskiem.

– Zośkę odwieziesz, a sam wrócisz. Coraz mniej nas tu jest i samym nam uciekać stąd nie można. Kto tej ziemi bronić będzie, jak obrońców i tych, którzy tu od wieków mieszkali zabraknie? Wrócić musisz – Zygmunt z przekonaniem powiedział.

45

**W** piękną, upalną niedzielę, gdy słońce już ku zachodowi się przetoczyło, pozostawiając na czerwono zamalowane niebo i głośnie kumkanie żab od jeziora po polach się niosło, Bałandziuk i Raczek

stali leniwie oparci o furtkę przy domu Karpińskiego i dzielili się z nim najnowszymi plotkami. W koszulach z zawiniętymi rękawami tylko byli, które lepily im się do pleców. Od spalonej słońcem ziemi ciepło się unosiło i wciąż gorąco w powietrzu wisiało, więc ich rozmowa nie była ożywiona i wolno, jakoby od niechcenia się toczyła. W taki dzień o kłopotach ludzie zapominali i o wojnie, która gdzieś daleko wciąż trwała, a pomimo to, miała taki ogromny wpływ na ich życie. Idący od pola ku domowi Marczuk na chwilę ich uwagę przykuł. Już blisko był i rozglądnął się na boki, jakby sprawdzając czy go ktoś nie widzi. Uspokoił się widocznie, bo zatrzymał się przy sąsiadach. Zdjął z ramienia motykę i oparł na jej drzewcu spracowane ręce.

– Dobry dzień – pozdrowił.

– Dobry dzień – odpowiedzieli unisono. – Co słyszać? Marczuk odchrząknął z widocznym zakłopotaniem. Wydało im się, że nie wiedział jak rozmowę zagać.

– Co za czasy? Co za czasy – westchnął na wszelki wypadek i przetarł dłonią spocone czoło, – Poradzić wam coś chcę po sąsiedzku, panowie... Tylko żebyście nikomu tego co usłyszycie nie powtarzali... Nikomu...

Natężyli słuch bo cicho mówił i nie bardzo rozumieli o co mu chodzi, chociaż zdali też sobie sprawę, że zapewne ważnym to być musi.

– Już to, że z wami rozmawiam na nieprzyjemności narazić mnie może, nawet od własnych synów. Takie czasy. Tylko, że ja milczeć nie mogę, bo bym później do śmierci wyrzuty sumienia miał. Przestrogi chciałbym wam udzielić i nie lekceważcie jej. Wyprowadźcie się wszyscy stąd do miasta. Niebezpiecznie być teraz Polakiem na uboczu. I żony, i dzieci zabierzcie. Uciekajcie stąd... – To powiedziawszy odetchnął z ulgą, jak po spełnieniu jakiegoś trudnego obowiązku. – Buwajcie zdrowi.

Marczuk motykę na ramię zarzucił i odszedł pośpiesznie, jak gdyby chciał ich pytań uniknąć. Pozostawił sąsiadów w osłupieniu. Oniemieli na chwilę, nie bardzo mogąc zrozumieć co dziadygę napałdło.

– Groził nam Marczuk – pierwszy pan Raczek się odezwał po chwili – Widzieliście chachoła?

– Oj, czyżby – powątpiewał Bałandziuk. – Raczej przestrzec przed swoimi rodakami chciał. Przecie porządny zawsze z niego był człowiek.

– Synów musiał się nasłuchać i tego Galicjusza co u nich siedzi. Pewno coś wie – zaniepokoił się Karpiński.

– Strachy na Lachy – lekceważąco Raczek ręką machnął. – Co nam zrobić mogą? W dupę najwyżej pocałować. I niby dlaczego? Jaką krzywdę my im wyrządzili? Po sąsiedzku tyle lat żyjemy. Bywaliśmy u nich i oni u nas. Razem nieraz piliśmy. Więc o co chodzi?

– Z tą czarną masą nigdy nie wiadomo, a jest jej cała wioska – Bałandziuk nie podzielał optymizmu sąsiada. – Do wszystkiego ją poderwać można. Toż większość z nich analfabetami jest, których po Rosji i Austrii odziedziczyliśmy Czerń to. Hajdamaki. Potencjonalne rezuny... A ta ich inteligencja, którą w polskich szkołach wychowaliśmy? Czy w dwadzieścia niecałych lat zdołaliśmy przerobić ją na Europejczyków? Bóg raczy wiedzieć. A do czego ich ten pop, po przyjeździe Niemców na rynku nawoływał, gdy modły dziękczynne odprawiał? A przecież dobrze mu się powodziło, przy starości się kręcił, na akademiach wszystkich bywał i do pierwszego rzędu się pchał. Zdawał sobie sprawę jak jego słowa czerń zrozumie. Przecież to człowiek inteligentny.

– Nie nasze to zmartwienie. Ruskie tu najpierw przyjdą zanim kto inny i oni się zajmą Ukraińcami, jeśli dalej po stronie Niemców angażować się będą. Tak jak nami w 1940 się zajęli. A nam przetrwać to wszystko jakoś trzeba. Ot co! A na to co Marczuk mówi, to ja bym za bardzo uwagi nie zwracał – Raczek starał się całą rozmowę zbagatelizować.

– Domów nie zostawimy, bo Marczuk nas postraszył. – Karpiński potwierdził to, co oczywistym dla każdego było. – Ot, ostrożnym trzeba być. Kto wie, co jakiemuś szowiniście do głowy przyjdzie. Okna i drzwi na noc dobrze zamykać.

Jaskółki nad głowami śmigać im zaczęły. Tam i z powrotem, jak gdyby bez żadnego celu. Nisko latały, zapowiadając deszcz. A przydałby się. Ziemia na grzędach spękana była i nać na burakach z braku wody zaczęła się kłască. Tylko koper rósł na grzędach wysoki i obfity, bo słońce lubi i susza mu nie przeszkadza. Pachniał teraz odurzająco tak, jak pachnieć potrafi dopiero co otworzona beczka kiszonych ogórków, które wiechciami kopru przykryto. I ten zapach kopru mieszał się z zapachem maciejki, której obfitość w ogródku Karpińskich rosła.

Janek z Zygmuntem z tartaku w międzyczasie nadeszli i przystanęli na chwilę by rozmowy ojców posłuchać. Zaniepokoiła ona

szczególnie Zygmunta, bo stwierdził, że broń, którą ukrył z kolegami pod tartakiem zniknęła i zgadywał, że Popławski w tym palce maczał. Z jednej strony pretensje do niego miał, że go w to nie wtajemniczył i do żadnej pracy podziemnej nie wciągnął, która musiała przecież trwać, co jako brak zaufania odczuł; z drugiej pewien był, że siebie i Janka powinien był w broń zaopatrzyć, po tym co usłyszał, a teraz jej nie było. Marczuka się nie bał, ale jego synów tak. A i cała wioska, takich Tarasów ponurych jak Marczukowy, tylko o kilometr oddalona była. Nawet co z Maruszką się stało przestał rozumieć. Odmieniła się dziewczyna całkowicie, a koleżanką przecież ze szkoły była i kochał się w niej kiedyś. I teraz nieraz pomyślał, że skoro Romek z Zośką się związał, czy nie powinien zbliżenia z Maruszką szukać. Niestety, gdy przypadkowo się spotkali, rozmawiać z nim nie chciała. „Czego ty taka” – zapytał ją kilka razy. „Rozeszły się nasze drogi” – odpowiadała. „Odczepysz!” – A jak Baśka Karpińska z Stefką poszła, jak co roku, zapytać czy mogą czereśni narwać w Marczuka sadzie, to przepędziła ich z podwórza, od „zasranych Lachów” wyzywając. Baśka zrozumieć tego nie mogła i zapłakana do domu wróciła. Karpińska wtedy na nią wsiadła.

– Żeby ty mnie do tych chamów więcej nie chodziła – zapowiedziała.

– Czemu? Zawsze my u Marczuków czereśnie i wiśnie zbierali – przez szloch upierała się Baśka.

– Wtedy Marczukowie sąsiadami byli, a teraz cholera ich wie co.

A czereśnie w tym roku obrodziły jak rzadko, a że słońce grzało dzień po dniu, jakby nigdy grzać przestać zamiaru nie miało, więc prawie na czarno dojrzały i słodkie były takie, że pszczoły na nie się rzuciły. I gdy Zygmunt któregoś wieczoru ulicą wzdłuż sadu Marczuków szedł i Maruskę z wiadrem jak owoce zrywała na drzewie zobaczył, przystanął by parę słów z nią zamienić. Wciąż go jej stosunek do niego dziwił, bo nie znajdował dla niego wytłumaczenia. Jeszcze raz kontakt jakiś z nią postanowił nawiązać. Zadarł więc głowę i oczy od niskiego już słońca dłonią przysłonił.

– Maruska. Powiedz ty mnie jaką krzywdę ja tobie zrobiłem, że nagle tak jak wroga mnie traktować zaczęłaś. Sąsiedzi my przecie. Razem do szkoły chodziliśmy i kąpać się nad rzekę. Co się zmieniło? Wrogów dziś dosyć mamy. Po co nam wrogami być bez przyczyny?

– Odczep się – warknęła. – Durny ty? Nic nie rozumiesz? Toż ty dla mnie taki okupant i wróg, jak dla ciebie Niemcy. Skończyły się wasze czasy! Szczob was traćcia wszystkich wymurdownała!



Zygmunt oniemiał. Tej nienawiści wyczytanej w jej głosie nie mógł już całkowicie zrozumieć. Że Ukraińcy jakiejś „samostijnoj” chcieli, to wiedział. I nie miał nawet nic przeciwko temu, chociaż nie tu, ale gdzieś dalej na wschód tę Ukrainę widział. I nie od niego ta „samistijna” przecież zależała, więc o co chodzi. I chociaż Ukraińcy na służbę u Niemców szli, on do Maruśki o to pretensji nie miał. Była dla niego tylko dziewczyną z sąsiedztwa. W żart postanowił całą tę przykrą rozmowę zamienić.

– Maruśka – zadarł głowę do góry.

– Czego znowu?

– Jak na czereśnie wyłazisz, to majtki ubieraj. Cipę ci stąd widać, a kiedyś jak prosiłem to nie chciałaś pokazać.

– A żebyś ty oślepl!

Wcisnęła spódnice między kolana i rzuciła w Romka garścią czereśni. Jej Oczy taką nienawiścią znowu błysnęły, że zdecydował się odejść. Chęć do rozmowy i żartów mu odpadła. Wciąż jej nienawiści nie mógł zrozumieć i zaczął podejrzewać, że od zgwałcenia zmysły częściowo postradała. Postanowił jej więcej nie zaczepiać. A w kilka dni później Anka go po nabożeństwie przed kościołem zatrzymała i powiedziała, że ktoś z nim chce się widzieć, żeby z miejsca poszedł do parku i czekał przy klombie z różami. Więcej nic powiedzieć nie chciała, a Zygmunt zastanawiać się zaczął kto to być może, a jednocześnie dlaczego koło Anki wcześniej się nie zakręcił. Z harcerstwa ją pamiętał, tylko, że wtedy mała i piegowata była, a teraz zgrabną dziewczyną o pięknych oczach przykrytych długimi rzęsami i kształtnych nogach. Nawet jej te piegi zniknęły i tylko kilka wokół trochę zadartego noska pozostało. Tak go zainteresowała, że o rozmowie z Marušką z miejsca zapomniał. Zresztą niewiele już go od ostatniego spotkania obchodziła, chociaż jako do towarzyszki lat dziecięcych sentyment do niej czuł.

46

**W** parku pustawo było o tej porze. Kwitnące na klombie róże obsypywały się i ziemię pod nimi pokrywała gruba warstwa różnokolorowych płatków. Pachniały odurzająco, tak, jak czeremchy tylko pachnieć wiosną potrafią, czy żółte azalie w maju. Zygmunt przystanął przy klombie i czekał na tajemniczego nieznanomego. Patrzył jak wróble kąpią się w kurzu spieczonej ziemi, nie zwracając na niego

uwagi. Wreszcie zerwały się i frunęły na pobliską wierzbę, spłoszone krokami nadchodzącego mężczyzny. Wysoki był, smukły i nie więcej niż trzydzieści lat sobie liczył.

– Zygmun? – zapytał raczej by swe wątpliwości rozwiązać, niż z potrzeby, bo nikogo innego w pobliżu nie było.

– Tak.

– Na pewno kolega domyśla się po co został na to spotkanie ze mną proszony? Rozpoczęła się organizacja na tym terenie Związku Walki Zbrojnej Polskiego Wojska i wskazano mi kolegę jako na godnego zaufania. I przy zbieraniu broni dobrzeście się spisali, przeszedł na wy. Czy chcecie do Związku przystąpić i złożyć przysięgę przysięgę, która nałoży na was duże obowiązki i oczywiście narazi na pewne niebezpieczeństwa.

– Czekałem na to od dawna.

– Mieszkacie w części miasta zagrożonej przez Ukraińców. Z myślą o tym zagrożeniu zorganizowano na tym terenie pluton Wygon, do którego zostaniecie po złożeniu przysięgi włączeni. Dowodzi nim Lach. Tymczasem tyle tylko potrzeba wam wiedzieć. Gdzie i kiedy złożycie przysięgę, zostaniecie w odpowiednim czasie zawiadomiony. No i nie muszę chyba przypominać, że o tej rozmowie nikt nie ma wiedzieć. Ani ojciec, ani nawet matka. Każde nieopatrzone słowo komuś aresztowaniem albo śmiercią grozi.

– Rozkaz wyprężył się Zygmunt.

Gdy nieznajomy odszedł, nie mógł opanować radości. Nareszcie. Nareszcie coś się dzieje. I Zygmunt uświadomił, że jak jest pluton, o którym mężczyzna z którym rozmawiał mu wspomniał, to muszą być też inne plutony a nie tylko ten jeden, że tworzą kompanie, bataliony... Że jakaś spójnia, będzie łączyć tu wszystkich Polaków, że świadomość tego nie pozwoli im już więcej czuć się osaczonymi przez wrogów i w razie zagrożenia będą się przecież razem bronić. We wspianym nastroju ruszył ku miastu bo przed pójściem do domu chciał odwiedzić Romka i Zośkę. Już wychodząc za bramę parku zobaczył z daleka spacerującego po alei nieznajomego i idącego w jego kierunku Janka. Z miejsca domyślił się, że przyjaciel na spotkanie z nim idzie.

Romka zastał w złym nastroju. Pani Łupaszkowa nie dawała mu spokoju i miał coraz większe trudności z wyżywieniem Zośki i dziecka. A w tym czasie już był zakochany w Zośce bezgranicznie. To co zaczęło się jako młodzieńczy romans, po urodzeniu dziecka rozkwitło

w najpiękniejszą miłość. Bywa tak, że dziecko łączy nową, wzmożoną miłością pary, których pierwsza miłość już wygasła, bywa też, że staje się przyczyną niesnasek kochanków. Nie w tym wypadku. Urodziny dziecka wzmocniły uczucie Romka. I szczęśliwe to uczucie było, bo dzieliła je Zośka. Trzęsła się ze strachu o niego za każdym razem jak wychodził do pracy i cieszyła się każdym powrotem tak, jak gdyby go przez rok nie widziała. Nie wyobrażała już sobie życia bez niego, tak jak i on bez niej. A sytuacja ich była coraz bardziej trudna. I coraz trudniej było im maskować swe uczucie przed Zośki matką. Pilnowała by broń Boże nie doszło między nimi do jakiegoś zbliżenia z czujnością godną lepszej sprawy. Wszystko też robiła by ich poróżnić i wmusić w córkę niechęć, którą sama do Romka czuła, winiąc go za wszystkie swoje nieszczęścia i „nieszczęście” Zośki.

W tej niemożliwej do wytrzymania atmosferze pierwsza zbuntowała się Zośka. Zabrała któregoś dnia pościel Romka z tapczana i przeniosła ją do swego pokoju. Gdy tego wieczora znaleźli się w nim razem, pani Łupaszkowa dostała ataku szału. Miotła się pod ich drzwiami, wyzywała najgorszymi słowami zaklinała do opamiętania, groziła karą Boską, wreszcie zamilkła i nie odezwała się do nich słowem od niemal dwu tygodni. I może wtedy wyprowadziliby się do domu Romka, gdyby ten już nie wynajął go dwom rodzinom z Kopytkowa, które nie mogły dłużej znieść szykan zamieszkujących wioskę Ukraińców. Żałował teraz tego, ale było już na żal za późno. Worek kartofli i kilka kilo mąki, które za mieszkanie dostał, już dawno zostały zjedzone. Słuchając żalów kolegi Zygmunt powiedział:

– A ja bym na twoim miejscu zabrał Zośkę z dzieckiem i wyruszył pod Lublin. Niech Łupaszkową diabli wezmą.

– Jak tu z dzieckiem w taką podróż się wybrać? Tutaj przynajmniej mieszkać gdzie mamy, a tam nie tak znowu pewne, że nas dobrze przyjmą. Na łaskawy chleb... I granicę do gubernatorstwa niełatwo przejść.

– Poproszę Karpińskiego żeby między kolejarzami popytał jak z tym przejściem – Zygmunt się ofiarował

– Przez okno do Zośki pokoju wchodzę, żeby przez dom nie przechodzić i jej matki nie spotykać.

– To już niepotrzebnie – wtrąciła Zośka.

Po wyjściu od Romka, Anka Zygmuntowi zaraz się przypomniała i zaczął zastanawiać się gdzie ją spotkać. Do jej domu pójść nie wypa-

dało, chociaż wiedział gdzie mieszka bo gotowa po porostu zapytać po co przyszedł. Wiedział, że pewno była w jakiejś organizacji zaangażowana, bo mu wiadomość by poszedł na spotkanie do parku przekazała i świadomość tego jakąś bliższą mu ją uczyniła. Przechodząc koło kawiarni Szwarca, pod którą ktoś Niemców w ubiegłym roku zastrzelił, zobaczył stojącą Wierę i ominąć już jej nie mógł. Zauważył, że brzuch jej się zaokrąglił i odgadł, że była w ciąży.

– No, jak tam? – zapytał.

– Masz ochotę? – pytaniem na pytanie odpowiedziała.

Czasu nie mam – wykręcił się, by jej nie urazić. – A to dziecko to czyje?

– Jak rój pszczoł cię pokąsa, to jak tu znaleźć tę od której spuchłeś – zaśmiała się. Ale niewesoły był ten jej śmiech i jakiś wymuszony raczej mu się wydał.

– Szkoda mi ciebie Wiera, chociaż ty sowietka i nikt tu was nie zapraszał – powiedział szczerze.

– Ot, durny – odwróciła twarz i widział, że łyzy z niej otarła.

W kilka tygodni później, ktoś Zygmuntowi powiedział, że Wiera zmarła i że odbył się jej pogrzeb, na którym nikogo poza dwoma grabarzami nie było. Podobno ciężę przerwać jej jakaś babka się zgodziła, a gdy dziewczyna zaczęła krwawić, nastraszyła się i uciekła. W kilka dni później leżącą w kałuży krwi dziewczynę ktoś znalazł i zawiadomił policję. Jej matka nawet na pogrzebie nie była. Może nie powiedziano jej o nim, bo na pogrzeb córki pewno by przyszła, pomimo, że swojemu losowi ją zostawiła.

Gdy Zygmunt o tym co słyszał opowiedział Jankowi, ten tylko westchnął.

– Taki to kurewski los – stwierdził.

– Szkoda jednak dziewczyny. Nie jej to wina, że jej życie tak się potoczyło.

– Ano nie... Żeby o tym wiedział, to pewno na pogrzeb bym poszedł. Sowietka, a jednak człowiek. I koleżeńska była. Mnie za darmo dała.

– I jakoś to nie w porządku, tak młodo jak pies zdychać. Co innego w walce, na polu bitwy. To zrozumieć łatwiej – Zygmuntowi rozmowa z nieznanym w parku się przypomniła i udziału w jakiejś akcji już zaczął oczekiwać.



Jesień już szła a Romek na ucieczkę z Zośką pod Lublin nie mógł się wciąż zdecydować. Znosił złe humory Łupaszkowej i często zastanawiał się, czy to nie lepsze od niewiadomej, która był wyjazd. I czy wolno mu Zośkę i dziecko na niebezpieczną podróż narażać. Ale i na Wołyniu przecież nie było bezpiecznie. Coraz więcej ludzi łapano i na roboty do Niemiec wywożono, ale pokąd pracował w tartaku miał nadzieję, że to go nie spotka. Nawet ze wsi ludzi brano i Ukraińcy szemrać zaczęli. Rozeszły się pogłoski, że najbardziej zagrożeni do lasów uciekają i te roją się od różnych band. Czym bliżej zimy było, tym wiadomości z frontów wojny lepsze. Najpierw o klęskach Niemców i Włochów w Północnej Afryce rozeszły się pogłoski, później o lądowaniu wojsk amerykańskich na afrykańskim kontynencie. A gdzieś w listopadzie o utknięciu armii niemieckiej pod Stalingradem. Niemcy już nie szli naprzód w zwycięskim pochodzie, ale stan ich posiadania zaczął się kurczyć. Ludzie każdej nadziei przetrwania się czepiając, wielkie znaczenie do tych wiadomości przywiązywali. Ale wiadomości z bliższych terenów, tych które najbardziej ich dotyczyły w obecnej chwili, dobre nie były.

Na ścianach domów, płotach i drzewach wsi oraz miasteczek zaczęły pokazywać się napisy nawołujące do mordowania Polaków i hasło: „Ukraina dla Ukraińców”. Zaczęły się mnożyć zabójstwa pojedynczych osób i rodzin, a idący do ukraińskich wsi na handel czynili to z całą świadomością, że narażają się na śmierć. Wielu nie miało wyboru. Musiało ratować rodziny od głodowej wegetacji. Chodził do Myska, Bogdaszewa i Zdobicy też Romek, chociaż Zośka go często zaklinała by tego nie robił. „Wolę z głodu zdechnąć, niż ciebie stracić” – mówiła. Uspokajał ją jak mógł. Zapewniał, że mu się nic nie stanie. Że ostatecznie rewolwer ze sobą zabiera i, że obronić się w razie czego potrafi. Nie bardzo mu wierzyła. Oczekiwała każdego powrotu z zastygłym sercem, a gdy wracał zarzucała mu ręce na szyję, tuliła się i płakała z radości. Widząc to pani Łupaszkowa odwracała głowę, trzęsła się ze złości i sapała tak, że na całe mieszkanie było ją słychać. Nie zwracali już na to uwagi, zaabsorbowani sobą. Gdzieś w połowie listopada jakiś kolejarz przywiózł wiadomość, że pod Łuckiem Ukraińcy wymordowali wieś Obórki. Z początku nikt w to uwierzyć nie chciał, ale pierwsze doniesienie kolejarza zaczęli potwierdzać inni.

Wreszcie któryś z kolejarzy spotkał w Łucku świadka wypadków w Obórkach. Opowiadał, że jakaś ukraińska banda z lasu przy pomocy miejscowych Ukraińców obórczan wyrznęła. Nikomu podobno z życiem ująć nie pozwolili. Wymordowano kobiety, starych i nawet dzieci. Mieszkania ograbiono, zabrano żywiec i puszczono gospodarstwa z dymem. Podobno rąbano ludzi siekierami, kłuto widłami, rżnięto nożami, niemowlęta na widłach do ognia wrzucano... W to uwierzyć wielu znowu nie chciało. Od lat po sąsiedzku z Ukraińcami żyli, bywali u nich, a oni w ich domach, po żniwach razem w karczmach pili. Nie mogli uwierzyć, że ci sąsiedzi tych z Obórek do czegoś podobnego zdolni byli. Toż jeśli by w to uwierzyli, to i swoich sąsiadów, że do podobnych czynów są zdolni, musieliby podejrzewać. Kuzynów wreszcie, bo spokrewnieni przecież z niektórymi byli.

– Nie uwierzę – raz pan Bałandziuk do sąsiadów powiedział. – Niech co chcą ludzie opowiadają, a ja taki to wiary temu nie dam. Ot, takiego Marczuka weźmy. Czy ktoś uwierzy, że on komuś z nas gardło może poderznąć?

– On nie. Ale czy za jego synów, Tarasa czy Iwana, pan gotów poręczyć? – zapytał Raczek.

– Ano właśnie – Karpiński wtrącił – Toż to czerń, panowie. Jak któryś przypadkiem miedzę podorał na dwa palce, to z kłonicami na niego się rzucali. A tam okazja grabieży była. Chciwość chłopską okazja zaspokoić. Kozuch skrać, a może konia czy krowę. Oj, ja bym tam tego co opowiadają nie lekceważył. A co z Żydami wyprawiali, pan już zapomniał?

– Jak uwierzę w te doniesienia, to wiarę w ludzkość stracę – upierał się przy swoim Bałandziuk. – A Żydów to oni zawsze nienawidzili. I za Chmielnickiego rżnęli, i za hajdamaczyzny, i za Petlury...

– A nas to lubią – z przekąsem przerwał mu Raczek.

– A tego ich popa pan nie słyszał, co mówił na rynku jak Niemcy przyszli? Czy chrześcijanin to mówił, czy dzikus afrykański? Zastanów się pan. Jak duchowny do takich spraw nawołuje, to co tu o masie chłopskiej mówić? Każdemu z hajdamaczyzną się marzy. To nie jak u nas „Pan Tadeusz” ich narodowym poematem jest, ale „Hajdamacy” Szewczenki. Czytać większość nie umie, ale każdy wie jak Gonta własnym dzieciom nożem po gardle dał, bo katolikami zostały. U tego ich wieszczka narodowego, słowa potępienia tego czynu pan nie znajdziesz. Straszne czasy idą – westchnął Karpiński.

- Strzec się nam trzeba - doszedł do wniosku Raczek - Wiedział Marczuk przed czym nas przestrzegał.

Po wiadomości o rzezi w Obórkach Romek postanowił rozpocząć starania o pozwolenie na wyjazd z Zoską i dzieckiem do Generalnej Guberni. Niechętnie zdecydował się na ten krok, ale uważał, że pierwszym jego obowiązkiem jest zabezpieczenie losu najbliższych. Złożył odpowiednie podania i papiery w Gebietskomisariacie w Równem i czekał, aż mu prośbę załatwią. Sprawa nie była łatwa i powiedziano mu, że jej rozpatrzenie potrwa czas dłuższy. Na nielegalny wyjazd nie mógł się zdecydować, zdając sobie sprawę na jakie niebezpieczeństwo naraziłby Zoską i dziecko. Kolarze, wśród których zaciągnął języka, nie zachęcali do takiego kroku. Granica pomiędzy komisariatem Ukrainy a Gubernią była strzeżona nie tylko przez Niemców ale też przez Ukraińców. Tym nie radzili wpaść w ręce.

Gdy którejś zimowej niedzieli, Romek siedział z Zośką w kuchni przy otwartych drzwiczkach do pieca, w którym sycząc dopalały się mokre gałęzie uschłej w ogrodzie jabłoni, wpadł do nich Zygmunt. Zrozpaczony był. Ukraińskie Kripo aresztowało Ankę. Tę, która zawiadomiła go o spotkaniu z nieznanym w parku, a później zaczęła mu się bardzo podobać. Kilka tylko razy udało się mu później zamienić z nią parę słów pod kościołem i wreszcie umówić na randkę. Zanim się spotkali, już dowiedział się, że zdjęto ją z pociągu do Równego. Zgadywał, że pracowała w organizacji i przypuszczał, że była łączniczką, a aresztowano ją w czasie wykonywania jakiegoś zadania. To nie wróżyło nic dobrego. Ludzie opowiadali, że ukraińskie Kripo masakrowało swoje ofiary i z jego rąk mało kto odchodził żywy do więzienia gestapo. Kripo zajmowało teraz dawny budynek posterunku policji. Ludzie nie lubili obok niego przechodzić. Z podziemi, przez zabite deskami okienka dobiegał na ulicę zwierzęcy ryk katowanych ludzi. Nawet idąc po drugiej stronie ulicy było go słychać. Czasami te przejmujące wycie z bólu było słychać przez całą dobę. Za dnia i po nocy. Ludzie sąsiednie domy zamieszkujący, spać nie mogli i nawet latem okien nie odmykali.

- Może ją wypuszczą - Romek kolegę próbował pocieszyć.

- Nikogo jeszcze podobno nie wypuścili, to i nie puszczą jej - Zygmunt głowę na rękach oparł.

Miał rację. Nie wypuszczono jej, ale przeżyła i ktoś widział jak zmasakrowaną wpychano do samochodu odwożącego badanych do więzienia gestapo. Ale jeszcze gdy była w rękach Kripo, zginął Po-

pławski, który pracował wtedy w firmie budowlanej „Josef Jung-Solingen”, którego kierownikiem był inżynier Hermann Grabę, członek partii hitlerowskiej, ale jednocześnie pomagający polskiemu podziemi. Świadkowie opowiadali, że gdy przyszło po niego dwu kripowców, wyskoczył przez okno biura i zaczął uciekać przez sad, w kierunku płotu, po przeskoczeniu którego znalazłby się na ludnej ulicy. Kripowcy podbiegli do okna, oparli karabiny na jego parapecie. Gruchnęły strzały. Popławski padł od kul w plecy, już gdy płot przekakiwał. Plotka zaczęła łączyć jego śmierć z aresztowaniem Anki. Może tortur nie wytrzymała i naprowadziła Kripo na jego ślad, przypuszczali ci, którzy wiedzieli, że należał do organizacji. Plotki to były, bo nikt jak to było naprawdę nie mógł wiedzieć. W każdym razie, na Popławskim urwała się nitka, która mogła doprowadzić do następnych aresztowań. Wielu ludzi odetchnęło z ulgą.

## 48

**W**ielkanoc prawosławna nadeszła po zimie, która jak zmora się ciągnęła i zdawało się, że nigdy się nie skończy, i po pierwszych smutnych oraz błotnistych miesiącach wiosny. Dzwony biły cały dzień na wieżach cerkwi miasteczka i bicie od okolicznych wsi też dolatywało. Tłumy ludzi w kierunku cerkwi szły odświętnie ubrane. Dziewczęta w pięknych ukraińskich strojach, parobcy w szerokich, kolorowych szarawarach i wyszywanych soroczkach. Ten i ów z kokardą w żółtosinych kolorach na piersiach. Zza okien, odchylając ostrożnie firanki patrzyli na tłum przewalający się chodnikami mieszkańcy miasteczka. Niepokój ich ogarniał. Czy aby po nabożeństwie podpite chłopstwo rozejdzie się do domów spokojnie. A dzwony grały radośnie. Te duże buczały jak huculskie trąbity, te małe i drobne świergotały jak gromada ptaków, które już z ciepłych krajów powracać zaczęły.

A od bramy na plac cerkiewny wiodącej aż po drzwi cerkwi, pod kasztanami, które szpaler tworzyły i już liśćmi pokryć się zdołały, siedziały, jak zwykle, jak od dawien dawna w każde święto, rzędy żebraków. Szerokim krzyżem się żegnali, przekrzykiwali się odmawiając modlitwy i błogosławiąc tych, którzy nie odmówili im jałmużny. Obnosili się swoim kalectwem, by wzbudzić litość. Obnażali kikuty utraconych nóg i rąk, potrząsali kulami, przewracali białkami ślepych oczu. Wśród nich, pod największym kasztanem, siedział otoczony



gromadą słuchających stary lirnik. O białej brodzie patriarchy, blade oczy ku niebu jak w jakimś natchnieniu wznosił i od czasu do czasu to korbą liry poruszał, to jej struny kościstymi palcami pieścił. Czasami deklamował śpiewnie, czasami głos w śpiewie natężał. Po każdej zwrotce „hej” – powtarzał i przerwę robił, jakoby słuchaczom czas na zadumę dając. A otaczający go zasłuchani byli, oczarowani tym co słyszeli, od czasu do czasu też hej, za lirnikiem powtarzane z piersi im się wyrывało. W tym hej, echa zapatrzenia w przeszłość słyszeć było i marzenie by ta przyszłość wróciła. W tym hej tęsknotę za hajdamacką przeszłością wyczuć było można

*Jak ta chmara, hajdamaki  
Umań obstupyły  
Opiwnoczy; do schid słoncia  
Umań zatopyły – Hej!*

*Zatopyły, zakryczały:  
„Karaj Lacha znowu!”  
Pokotyłyś po bazaru  
Kinni narodowi – Hej!*

O hajdamakach lirnik śpiewał, o rzezi w Humaniu. Dziad wiedział co ten tłum usłyszeć chciał, czym go oczarować i jak do hojności przymusić. A gędzba chłoneła każde jego słowo, oczarowana sławą hajdamacką, obrazami morza krwi i pożogi pożarów. Mołojecką sławą i tym jak to hajdamacy hulali. Hej! Hej, gdyby to raz jeszcze te czasy wskrzesić. Raz jeszcze z Lachami pohulać. Hej! Hej!

*Poszli wzdłuż bazaru,  
I obydwaj zakrzyczeli:  
„Kary Lachom, kary!”  
I karali: strasznie, strasznie  
Umań podpalili – Hej!  
Ni w budynku, ni w kościele,  
Nikogo nie stało...*

Hej! Hej! Z aprobatą tłum słuchających ponuro huknął. Lirnik mocniej struny szarpnął.

*Ściany rozwalili, –  
Rozwalili, do kamienia,  
Księży rozgromili,  
Scholastyków w studniach,  
żywcem potopili – Hej!*

Dzwony głośniej i radośniej na Zmartwychwstanie Pańskie bić nagle zaczęły. Lirnika zagłuszyły i spłoszyły ptaki. Wrony ponad cerkiew się wzbily i bijąc skrzydłami wrzask ze strachu podniosły, jakoby te dzwony przekrzyczeć chciały. Dziad oczy ręką przysłonił i patrzeć na nie zaczął z niepokojem. Wróżyć potrafił ze znaków na niebie i ziemi. Przyszłość po wsiach przepowiadał młodocycom i młodojcom. Zнали go z tego i że zawsze sprawdzało się to co mówił. Więc i zebrani wokół lirnika zaczęli za nim na niebo patrzeć i na te wrony krążące bez celu i kraczące, jak sępy nad padliną. Sypnęli dziadowi drobnych do czapki na trawie leżącej. „Przepowiadaj” – zaczęli lirnika prosić. Co ich czeka, chcieli wiedzieć i dlaczego te wrony tak kraczą i nie uspokoją się. Nasłuchali się o sławie hajdamackiej i chcieli wiedzieć czy i ich czeka. „Przepowiadaj” – napierali się parobcy. „Przepowiadaj”.

Lirnik natchnione oczy w górę wzniosł. Dzwony na chwilę zamilkły i cisza zapanowała. Tłum oczekiwał słów starca w trudnym do opanowania napięciu. Jak serca parobków mocniej biły prawie słychać było, jak krew pulsuje w skroniach. Czekali... Czas się dłużył. Napięcie wzrastało. Lirnik nagle strunę liry szarpnął gwałtownie i jęknęła jak ptak w chwili konania, gdy go kula myśliwego dosięgnie.

– Wrony czarne. Czarne wrony. Czemu skrzydłami – bijecie? – Dziad pytać zaczął, oczu od stada nie odrywając. – Gdy do okna się dobijacie, czyjąś śmierć zwiastujecie w chacie. Ale dlaczego nad nami wy skrzydłami bijecie? Czyjąś śmierć zapowiadacie? I czemu was aż tyle?

Zamilkł. Pełna napięcia cisza znowu zapanowała. „Lacham ta śmierć” – ktoś szeptem ciszę przerwał. „Tak, tak Lacham” – kilka głosów podchwyciło. Lirnik oczy zamknął i rękę w górę wzniosł. Chude palce jak szpony rozczepił. Szszsz – ktoś niespokojnie uciszył.

– Morze krwi widzę – mocnym głosem mówić zaczął – Czyja ta krew? Czy Kaina czy Abła? Nie poznasz. Czerwono przed oczyma, strumieniami płynie... Robak oczy trupom toczy. Czyje to trupy? Czyja to krew?

Znowu zamilkł na chwilę. Rękę opuścił. Zamkniętym oczyma w przyszłość patrzył. Wreszcie za struny liry szarpnął. Załkały przejmująco, aż słuchającym ciarki po plecach poszły.

– Kurhan wysoki widzę. Nad Dnieprem ten kurhan stoi, bo woda pod nim płynie i o porohy się rozbija.

– To Ukraina – któryś z parobków szepnął.

– Szaaa – przywołał go do porządku drugi.

– Śmierć jak w białym całunie nad stepami leci, widzę. Jak do okien zagród się dobija, widzę. Kosą jak zagarnia, widzę, i swoje żniwo kosi... Płacz po Ukrainie aż ku niebu płynie. Głód zęby szczyrzy, widzę. I pochód duchów jak ku kurhanom idą... Sami kozacy sami mołojcy, sami wojacy... Oczy pospadane mają, widzę. Jak łańcuchy dzwonią im na rękach i kajdany na nogach słyszę. Jak potępieńcy jęczą... Pohulali kiedyś, pohulali a teraz Bóg ich od siebie odtrącił. W tiurmach idą zgnojeni... Bohaterzy czy zbrodniarze? Trawa na kurhanie uschła... Rzeka pod nim płynie, a trawa wciąż sucha. Woda od łez w niej słona. Czyje te łzy chrześcijanie? Czyje? Tych z którymi pohulali nasi mołojcy czy tych co hulali?

Złe przeczucia słuchających ogarnęły. Straszno wielu się zrobiło, inni nieswojo się poczulili. Co ty tu pleciesz, pytać chcieli, ale się bali odpowiedzi lirnika.

– Głupstw ty nam nie mów – zdenerwował się pierwszy Iwan Perebenda, duży osiłek ze Zdołbicy, barczysty i silny jak niedźwiedź, ale nie bardzo mądry.

– Samogonu napił się stary przy świętach, to i bredzi – kilku parobków mu przytaknęło.

Ruszyli rozczarowani w kierunku cerkwi, chociaż nabożeństwo w niej już ku końcowi się zbliżało. Lirnik sam pod kasztanem za chwilę pozostał. Kilku bliżej siedzących żebraków, patrząc na niego, drwiąco uśmiechać się zaczęło. Nie widział tego. Wciąż na strachem ogarnięte stado wron na tle błękitnego nieba patrzył, w zapamiętaniu jakimś nienaturalnym i coraz więcej łez spod powiek po twarzy mu się toczyło. W końcu roztarł je ręką i westchnął.

– Żeby was mój narodzie Bóg tylko nie przeklął – powiedział sam do siebie.

Dzwony rozzwoniły się radośnie. Duże i małe, i te najmniejsze. Biły i biły Chrystusowi na zmartwychwstanie. Tysiąc głosów w cerkwi huknęło i radosne słowa przez drzwi wypłynęły na przycerkiewny plac.

– Chrystos wskres! Chrystos wskres!

## 49

Już nie było tajemnicą, że pod Stalingradem Niemcy ponieśli sromotną klęskę i myślący ludzie wiedzieli, że ta klęska będzie miała ogromny wpływ na dalszy bieg wojny. Zaczęła rozprzegać się admi-

nistracja niemiecka. Nie od razu. Z początku nieznacznie, później z każdym dniem coraz szybciej. Trudniej było egzekwować kontyngenty żywności po wsiach. Któregoś dnia w końcu marca, mieszkańcy miasteczka zauważyli, że znikły z ulic patrole ukraińskiej milicji. Butni, ciemni i nieobliczalni, byli przez wszystkich znienawidzeni. Ucieszano się tym, ale nikt nie umiał wytłumaczyć co się z nimi stało, tym bardziej, że ich zniknięcie zaskoczyło nawet Niemców. Na służbie u nich pozostali tylko Ukraińcy pracujący w administracji cywilnej i służbach bezpieczeństwa. Oni też nie chcieli, czy nie umieli wytłumaczyć zniknięcia milicjantów. Każde nawet dziecko jednak wiedziało, że ta ich dezercja z szeregu sojuszników Niemiec musiała być przez kogoś nakazana i zorganizowana, bo wszyscy zniknęli w jednym dniu. To zaczęło niepokoić tak Niemców jak i Polaków, gdyż zniknęli z bronią.

– Ukrainiec z karabinem, to tak jak ludożerca z dobrymi zębami – skomentował wiadomość pan Raczek w jednej z rozmów z sąsiadami. – Taka sama dzicz, tylko z nowoczesną bronią bardziej niebezpieczna.

Nic dziwnego, że pan Raczek był zdenerwowany i oburzony. Przed kilku tygodniami obiegła miasteczko wiadomość, że w początkach lutego Ukraińcy wyróżnili Parośl. Znowu mówiono o nie spotykanym bestialstwie i znęcaniu się nad kobietami i dziećmi. Wszyscy mieszkańcy wsi zostali podobno wytępieni do nogi i okrucieństwo mordów wstrząsnęło nawet Niemcami. Oni to bowiem o tej rzezi przynieśli pierwsze doniesienia.

– Do lasów pewno poszli – zastanawiał się Karpiński. – Z Niemcami bić się nie będą, bo za dużo ich w administracji pozostało i listy podobno do Hitlera po wsiach podpisują, prosząc o stworzenie ukraińskiego legionu. Masowo podpisują i po stronie Niemców widać chcą walczyć, bo nadejścia Ruskich się boją. A Niemcy pewno ten ich legion im stworzą, bo armatniego mięsa potrzebują.

– Że się boją, to nic dziwnego. Z Niemcami kolaborują i Ruski, jeśli przyjdą, raz uciekać do lasu. Mogli poczekać. Mnie się zdaje, że coś innego za tą ich ucieczką się kryje. Tylko co? – zastanawiał się Bałandziuk.

– Że pan jeszcze pyta, po Obórkach i Parośli. Nas pewno będą rżnąć i grabić. Ot co! Dzicz to.

– Nie wierzę – Bałandziuk się uparł – Nie uwierzę. Chrześcijański to naród przecie i do cerkwi chodzi.

W tym co mówił pan Raczek było dużo racji. I pan Bałandziuk nie pokładałby tyle nadziei w chrześcijaństwie sąsiadów przez ulicę,



gdyby mógł zrozumieć istotę ukraińskiego nacjonalizmu. A ten dojrzał jak ropień na terenie, który Polska starała się wciągnąć od wieków w orbitę europejskiego humanizmu. Bronił się przed nim, bo obcy był jego prymitywnej naturze. Związał się z Niemcami, gdy i oni zbłądzili z drogi cywilizacji europejskiej i cofnęli się w średniowiecze. Tylko, że wśród nacjonalistów ukraińskich, po klęsce armii niemieckiej w Afryce i pod Stalingradem, następował podział na dwa odłamy. Jeden przestawał wierzyć w zwycięstwo Niemiec i organizował się do czystki etnicznej na terenach wschodniej Polski, drugi wciąż wierzył w gwiazdę wojny Hitlera i w braterstwie broni chciał krwią na polach bitew nierozzerwalnie przypieczętować sojusz ukraińsko-niemiecki. Zorganizowana akcja listów do Hitlera ofiarująca stworzenie ukraińskiego legionu miała służyć temu sojuszowi i w okresie gdy armia niemiecka zaczynała ponosić klęski, kusiła go dostarczeniem świeżego armatniego mięsa.

A wiosna była już w pełni. Słońce co dnia wschodziło jasne i gorące, i pomimo trosk oraz głodu poweseleli ludzie. Pod rządami Niemców schludność do miasteczka powróciła i zapomniano o smrodzie i brudzie w nim pod okupacją sowiecką panującym. Znowu, jak kiedyś przed wojną, właściciele domów na ulicę co rana z miotłami nakazane mieli wychodzić. Pasy trawy chodniki od jezdni oddzielające już się zazieleniły od dawna, a rosnące na nich drzewka głogu pokryły się pękami białego i różowego kwiecia. Duże kiście drobnych kwiatuszków bitą śmietaną przypominały i czasy, gdy nakładało się ją obficie na talerze truskawek czy poziomek, których tu zatrząsienie było. Zdarzały się już dnie tak gorące, że ludzie cienia szukali. Często stojąc na placu kościelnym, gdzie po nabożeństwie parafianie nowinki wymieniali, z wdzięcznością myśleli o tych, którzy zatroszczyli się, by go kasztanami obsadzić. Z pięćdziesiąt lat już miały te drzewa i potężne ramiona rozpościerały prawie od płotu do ścian kościoła, a z drugiej strony pół jezdni osłaniały. Zielone już były, dużymi i soczystymi liśćmi pokryte. Wśród tych liści kandelabry białych kwiatów stały, jakby je ktoś między tymi liśćmi specjalnie poustawiał, tak jak świece na bożonarodzeniowej choince w lichtarzykach. Wróbli masa w nich przed gorącym się kryła i ćwierkały tak głośno, że ludziom w rozmowach przeszkadzały.

Pod ścianą kościoła wysoki jak tyka Bolek Dąbrowski stał, a przy nim patrząca mu w oczy zakochanym wzrokiem Beata. Denerwowało to Janka, bo wciąż mu się podobała, więc spozierał od czasu do czasu

w ich kierunku i diabli go brali. Uwzięła się na tą tykę dziewczyna i oczarować zdołała. Ludzie mówili, że słowie już są i pewno po wojnie się pobiorą, pomimo, że nawet proboszcz podobno niechętnie na ten romans patrzył. Bolek na księdza się szykował i do seminarium miał po wojnie pójść, a teraz zrezygnował. A Beata mu tylko do łokcia gdzieś sięgała i Janek usta pogardliwie wydymał, gdy o nich z kolegami rozmawiał. „Żeby się nie przełamał na pół, jak do całowania jej się będzie brać”, mówił. „Nie bój się ty, dadzą sobie rady”, któryś z kolegów kiedyś powiedział i Janek rozmawiać z nim przestał. Co prawda ruda Ulka zaczęła koło niego się kręcić i zbliżenia szukać, ale nie mogła Beaty mu zastąpić, bo rudych nie lubił. I jeszcze jak tylko słońce się pokazało, to nos zaczynał jej się łuszczyć, wargi pękać i cała piegami się pokrywać. Jak tu z taką się całować? A ochotna była.

I wtedy Zygmunt zaczął z nią się spotykać. Nawet nie wiedział jak to się stało. Raz czy dwa parę słów zamienili, wreszcie od niechcenia zaproponował jej by się spotkali, a ona skwapliwie się zgodziła. Kilka razy między sztaplami cegieł, które po budowie kościoła pozostały i na wysokość człowieka ułożone były, o zmroku z nią się spotkał i wycałował, pokąd ich ksiądz stamtąd nie przepędził, bo przystanął za cegłami za potrzebą, jak z niesporów na plebanię wracał. W parku musieli się spotykać od tego czasu, bo na łąki niebezpiecznie było iść. Oczywiście, że żadna miłość ich nie łączyła i łączyć nie mogła, bo Zygmunt o Ance wciąż pamiętał. Tylko przypominał, jak Ulka dopytywała się go „czy to przyjemne”, po tym co z Zośką mu się udało i zaczął liczyć, że jak jej teraz wytłumaczy, że tak, to ona nie bardzo będzie się opierała. Że jak taka ciekawa, to pewno też już się zdecydowała, tę ciekawość zaspokoić.

## 50

Gdzieś w tym czasie, banda ludzi wyszła z lasów i otoczyła rozległą wioskę pod Włodzimierzem. Ściskając w rękach karabiny ostrożnie rozglądali się na boki, wszędzie węsząc nieprzyjaciela. Zmrok już zapadał i po deszczowym dniu buty grzęzły w gęstej, gliniastej mazi. Człapiąc w niej podzielili się na kilkuosobowe grupki, obeszli wszystkie obejścia, sprawdzając czy są w nich sami swoi, a później rozmieścili się tyralierką wśród opłotków otaczających sady. Wystawili strażę na przedpolu i rozestali na wszystkie strony patrol.

Mała ich grupa udała się do chałupy sołtysa, największej, zamożnej i z daleka widocznej. Obstała dom i zabudowania gospodarcze. Jeden wszedł do środka. Zobaczył gospodynię, wysoką i silną babę w średnim wieku, która o przybyciu kogoś ważnego była powiadomiona od rana.

W świetle naftowej lampy krzątała się przy piecu. Para szła z garnków i pachniało pieczenia wstawioną do duchówki. Duży stół kuchenny przykryty był białym płóciennym obrusem, na którym stały czekające na przybycie gości talerze i szklanki. Na środku stołu w szkle butelek z samogonem mrugało zachęcająco światło lampy. Gospodyni była odświętnie ubrana w czystą koszulę z wyszywanymi rękawami i widocznie przejęta ważnością gości, których miała podejmować. Ręka jej się trzęsła, gdy wyjmowała z garneczka pierogi z mięsem, by sprawdzić czy już się ugotowały. Odwróciła głowę, gdy do kuchni wszedł ogromny chłop o tępej twarzy bandyty.

– Gotowe wszystko? – zapytał.

– A gotowe, gotowe, Żydoriz – uśmiechnęła się przymilnie. – Tylko goście się spóźniają.

Bała się go. Uchybić w niczym nie chciała, tylko dogodzić gościom we wszystkim, żeby byli z niej zadowoleni, gdy już przyjadą. Toż jej dom uhonorowali, decydując się u niej na ważne rozmowy zjechać. Zaufaniem ich się cieszyła, bo i jej Stiepan nie małą wśród nich szyszką był i sotnią dowodził. A Żydoriz, osobisty kat atamana Eneja, został tu przysłany, by wszystkiego doglądać. Fama sławy mołojeckiej go poprzedzała i nie tylko gospodyni go się bała. Każdy wojak z lasu przed nim spodniami trząsł. Ślepo posłuszny Enejowi, każdy rozkaz bez wahania wykonywał i okrucieństwa podobno przyjmność mu sprawiały. Barczysty chłop, o rękach jak łopaty, lubił się siłą popisywać. Gdy przyszedł czas Wołyn z nasłańców żydowskich oczyszcza, on kul nie marnował. Nożem rznął. Chwytał za włosy i ciach po gardle. Następnego, i następnego Żyda na łono Jehowy wysyłał. Z Żyda po Żydzie kolejno życie z krwią spływało. Żydorizem go wtedy towarzysze przezwali i dumny był z tego. Za swój pseudo-bojowy to przezwisko przyjął. A jak siłą chciał się popisać to głowę ofiary między dłonie brał i ścisnął nawet za bardzo się nie natężając. Świadkowie opowiadali, że najpierw kruszonych kości trzask wtedy było słychać, a później krew mu spomiędzy palców tryskała. I Żydoriz śmiał się z uciechy, a jeszcze głośniejszy gdy ofiara nogami czas jakiś wierzgała, jak pajac, który ktoś pociąga za sznurek. „Zabić Żyda,

to tak jak zabić wesz", znane powiedzenie Kłyma-Sawura wtedy cytował, które wszystkie sownie obiegiło, a towarzysze patrzyli nań z podziwem. Enejowi był jak pies oddany. Najsilniejszego Żyda mógł mu na stole przytrzymać, gdy ten swoje jakieś tam eksperymenty medyczne robił. Enej bowiem, zanim został dowódcą Ukraińskiej Powstańczej Armii na południowym Wołyniu, jako lekarz pracował i Petro Olijnik się nazywał.

Tętent kilku koni za oknem się rozległ i Żydoriz podskoczył by drzwi otworzyć. Mrużąc oczy do mieszkania wszedł ataman Enej. Średniego wzrostu był, szczupły, czerniawy i o semickim nosie. Wtajemniczeni mówili, że ten jego semicki wygląd tak go bolał, że w antyżydowskich ekscesach się wyżywał bardziej od innych, by pokazać, że Żydów nienawidzi i że swój wygląd jakiemuś żydowskiemu dziadkowi czy żydowskiej babci nie zawdzięcza. Kto tam prawdy dojdzie?

- Ne prijihały szcze? - do gospodyni się zwrócił.

- A ne prijihały. Pospizniałyś - ręce w fartuch wytarła i nałała mu do szklanki samogonu.

Zaraz później koła wozu zaturkotały za oknem i za chwilę weszli do kuchni oczekiwani goście. Przywitali się z Enejem. Usiedli przy stole, nalali samogonu do szklanek i kazali gospodyni podawać kolację. Zaczęła pośpiesznie ustawiać blachę z pieczenia wyjętą z duchówki, pierogi na miskę wykładać, kiszzone ogórki... Gdy skończyła, Żydoriz wyszedł wraz z nią do sąsiedniego pokoju i zamknął za sobą drzwi na skobel. Czterej mężczyźni siedzący przy stole zostali sami. Łapczywie jedli. Widać było, że są głodni i z daleka przyjechali. Dłuższy czas tylko ich łakome mlaskanie było słychać.

Wreszcie skończyli i usta dłońmi przetarli. Siedzący pod ikoną, z udrapowanym wokół niej wyszywanym ręcznikiem, przedwcześnie siwy Roman Kłaczkowski odchrząknął, dając znać, że odprawę czas rozpocząć. Usta dłońmi raz jeszcze przetarli i natężyli słuch. Przecież to sam prowidnyk Obozu Nacjonalistów Ukraińskich i dowódca Ukraińskiej Powstańczej Armii na Wołyniu miał im coś ważnego zakomunikować. Roman Kłaczkowski! Sam „Kłym Sawur”. Coś nadzwyczaj ważnego chciał powiedzieć i dla tego przecież ich zebrał. Coś tak tajnego, że na piśmie przez gońców nie mógł tego przekazać i wszystkich dowódców okręgów wojskowych Wołynia na odprawę zebrał. Po prawej jego ręce siedział „Rudyj” - Jurij Stelmaszczuk, po lewej „Dubowyj” - Iwan Łytwynczuk, naprzeciwko pierwszy z tu przybyłych, czerniawy Petro Olijnik.



Kłaczkowski odchrząknął i zaczął spokojnie analizować sytuację militarną Niemiec, wyrażając przekonanie, że ostatnio zmieniła się zasadniczo i należy się liczyć z tym, że Niemcy mogą przegrać wojnę. Uważał za błąd, że melnikowcy coraz bardziej z nimi się wiążą i chcą organizować ukraińskie oddziały wojskowe, które zapewne zostaną rzucone na front i niepotrzebnie się wykrwawiają. Przestrzegł, że jeśli fortuna Niemiec się nie poprawi, to należy obawiać się powrotu na te tereny wojsk sowieckich, a nawet Polaków, gdyby alianci zdecydowali się na uderzenie z Afryki na Bałkany. Sytuacja naszych oddziałów stała się bardzo trudna – stwierdził Kłaczkowski. – Atakując partyzantów sowieckich i walcząc na froncie po stronie Niemiec, będziemy z nimi coraz bardziej się wiązać i w oczach aliantów zachodnich uchodzić za sojuszników Niemiec, którymi dotychczas byliśmy. Czas na ostrożność i separację naszych interesów od interesów Niemiec. Jeśli Niemcy wojnę przegrają, alianci potraktują nas jako swoich wrogów. Nadszedł czas na tworzenie pozorów, że z nimi nie współpracowaliśmy. Gdybyśmy jednak, z drugiej strony rozpoczęli walkę z Niemcami, automatycznie wspieralibyśmy Moskwę, która jest od wieków naszym ciemiężcą. Zapadła więc decyzja władz OUN, że cały nasz wysiłek militarny należy skupić na trzecim froncie, jakim będzie czystka etniczna na Zachodniej Ukrainie. Trzeba nam nowych okupantów Zachodniej Ukrainy, gdyby do nowej okupacji doszło, powstać przed taktem dokonanym, który na ich decyzje będzie miał zasadniczy wpływ. Ktokolwiek by tu przyszedł, musi zastać te tereny zamieszkałe tylko przez ludność ukraińską. Żydowski problem już rozwiązaliśmy, czas rozwiązać polski. Żadnych Polaków nie tu już wtedy być. Jesteśmy w szczęśliwej sytuacji. Element polski został tu wydatnie osłabiony przez deportacje sowieckie i aresztowania niemieckie. Ani Niemcy, ani Moskale ich bronić nie będą i czystka jest dla obu na rękę. Polskie podziemie jest związane w walce z Niemcami i niewiele nam może zaszkodzić.

Kłaczkowski przestał mówić i rozglądnął się po zebranych, by sprawdzić jak przyjęli to co powiedział. Atamani milczeli. Zgadywali, że to nie wszystko i że teraz zapewne wyda im rozkazy wynikające z analizy sytuacji, którą im przedstawił.

By cel o którym mówię osiągnąć – Kłaczkowski przerwał ciszę i każde słowo z naciskiem zaczął wymawiać, by jego ważność podkreślić – musimy przeprowadzić wielką akcję likwidacji na Zachodniej Ukrainie polskiej ludności. Należy wykorzystać tego celu osła-

bie nie niemieckiej administracji i liczyć na to, przy niepowodzeniach na froncie wschodnim, armia niemiecka nie będzie chciała, ani nie będzie miała sił akcji UPA i ludności ukraińskiej przeciwdziałać. Tej bitwy nie możemy przegrać i za każdą cenę należy wymieść z wszystkich terenów operacyjnych ludność polską, tak jak wymieściliśmy żydowską i to zanim wycofa się z nich armia niemiecka. Żadnej słabości czy pobłażliwości w tej bitwie nie można nam okazać, bo tego wymaga nasza racja stanu. Pamiętać musimy, że każdy Polak, który z tej bitwy z życiem ujdzie pozostanie naszym wrogiem. Że każde dziecko na mściciela wyrośnie. Że każda kobieta będzie mogła mścicieli rodzić. Polskie wioski powinny zniknąć z powierzchni ziemi wraz z ich mieszkańcami. Teraz rozumiecie dlaczego nie można było przesłać wam w tej sprawie instrukcji i musiałem je wydać ustnie. Tajemnica tej czystki musi być ściśle przestrzegana. Muszę tylko podkreślić, pany atamany – kończył Kłaczkiwski – że macie czas rzetelnie się do tej akcji przygotować, wyznaczyć kurenie do poszczególnych rejonów, zmobilizować naszą ludność i Kuszczewy Wid-dyły. O gotowości przygotowań i postępach akcji czystki, nakazuję natychmiast meldować.

Stelmaszczuk szklanę z samogonem wzniośł. Za jego przykładem uczynili to inni. Brzęknęło szkło, odchyłili głowi łyknęli jednym haustem.

– Za zwycięstwo! Lacham smert!

Podniecenie ich ogarnęło, tak jak myśliwego nieraz ogarnia przed polowaniem. Gdy już oczyma duszy zwierza widzi na muszkę jego strzelby idącego, a później, po wystrzale, jego mgłą śmierci zasłonięte oczy. Nareszcie! Czekali przecież na taki rozkaz. Nie raz już sami, bez rozkazów, tylko z ochoty dzikiej pohulali z Lachami. Już nie hajdamacka sława ich mamiła, ale morze lachkiej krwi i czerwone kury oświetlające Wołyń od Polesia po wzgórze Podola. Pohulać chcieli, tak jak kiedyś hulał Gonta i Żeleźniak. Jak hulała pijana czerń kozacka w ubiegłych ciemnych wiekach i jak one ciemna. W tym podnieceniu, w zadurzeniu tym co ich czeka, nikt nie zauważył, że Kłym-Sawur już o samostijnoj nie mówił, że planów wielkiej Ukrainy, od Kazachstanu po Kraków, przed nimi nie rozwijał. Te sprawy już przegrane były. Z każdą kłeską Hitlera stawało się to bardziej jasnym.

Łatwynczuk wstał od stołu i na podwórze wyszedł. Wrócił z kilku oficerami. Enej przywołał z sąsiedniej izby Żydoriza. Odprawa była skończona. Czas na uciechy przyszedł. Czas wojakom się odprężyć.

Samogonu w brud na stole stało. Pili na umór. Zaczerwieniły się twarze, pot po nich zaczął płynąć, z głów zaczęło parować. Kłaczkowski którąś już tam z kolei szklanę w górę wznosił.

*Smert, smert Lacham, smert,*

*Smert moskiwsko-żidiwski komuni* – zaintonował.

Noc już późna na dworze panowała, chmurna i bez jednej gwiazdy na niebie. Mgła wieś okryła, wyjątkowo zimna i przejmująca. Na jej skraju, za ostatnimi opłotkami wartownicy rozpalili ognisko. Ci co ich zmienia drzemali na słomie w stodole Hrycuka. Enej kilka butelek kazał Żydorizowi im zanieść. Poweseleli. Samogon grzać zaczął.

*Kaukaz i Karpaty usi – ce naszi hranyci,*

*Moskwa i Warszawa – worożi stołyci* – jakiś tenorek zaciągnął. Kilka mołodyc ze wsi do stodoły zaglądnęło, zobaczyć jak wojaki się bawią... A oni też już je zauważyli. Wciągnęli do środka. Samogonem poić zaczęli. Zachichotały z ochoty. „Bałanda” zrabowaną gdzieś harmonię rozciągnął. Kilku młodych parobków w ręce klasnęło. Melodia kozaka w strzechę uderzyła. Mołodycie na środek klepiska skoczyły. Nie wytrzymały. Zaczęły drobić nogami. Zakręciły się z ochotą, zafurczały spódnicami. Te w górę jak otworzone parasole się uniosły i obnażyły gołe łydki i uda. W wojakach krew zawrzała. Skoczyli do mołodyc. Zakręcili w koło, aż pisały z uciechy i strachu, że w ścianę się zatoczą. U-cha – skory do tańca Jurko ochotnie krzyknął. U-cha! – kilka głosów mu odpowiedziało.

Jurko w prysudy podochocony się rzucił. Kołem szedł. Nogi do przodu wyrzucał, po udach dłońmi się bił. Kilku innych w jego ślady się rzuciło. Nie dadzą się Jurkowi zawstydzić. U-cha – Handzia pisała. Zakręciła się, zawirowała jak wrzeciono. Cycki jej z bluzki wyskoczyć chciały, podskakujące w gwałtownych oddechach. A Bałanda harmonię rozciągnął na długość ramion. Grał, jak nigdy grać przedtem nie musiał. Nogami przytupywał, sam ochotę w taniec się rzucić miał. Poczzerwieniały twarze tancerek i tancerzy. Pot zaczął spływać po czołach, koszule do pleców lepić i w ustach schnąć.

Ktoś w dno butelki stuknął. Korek wybił. Do mołodyc z butelką podskoczył. Bałanda grać przestał. Butelka kołem od ust do ust szła. Handzia pierwsza na słomę się rzuciła. Odpocząć potrzebowała. Pierś jej gwałtownie falowała i od alkoholu przyjemnie w głowie kołowało. Jurko popatrzył na nią kątem oka i oblizał się jak kot, na przyduszoną łapą mysz patrzący.

**M**ajowy dzień wstał słoneczny i pachnący kwiatami. Romek z ochotą tego dnia z łóżka się zerwał i jakoś rażno mu się szło do tartaku. Pięknie było i wczesnym rankiem jeszcze nie tak gorąco by idący człowiek potem spływał lub otwartymi ustami powietrze musiał łapać. Już cementownię minął, Dom Polski i przejazd kolejowy, gdy zobaczył drgające na niebie cienkie smugi dymu. Widoczne były ponad tonącymi w zieleni drzew domami przedmieścia, gdzieś w okolicach tartaku. Zaniepokoiły go. Nastraszył się, że może tartak płonie i bez pracy zostanie. Jak Zośkę i dziecko wtedy utrzyma? Przyśpieszył kroku. W parę minut minął ostatni dom przedmieścia i przed nim rozpościerały się już tylko zielone o tej porze pola, jeszcze niewysoko wyrosłej pszenicy. Gdzieś za nimi drewniany budynek nie tkniętego ogniem tartaku było już widać, a na prawo od niego kilka cienkich smug dymu zza drzew sadów rosnących przy Granicznej się unoszących. Odgadł, że z dogorywającego już pożaru. Serce mu stanęło na moment. Wiedział już, że to dogorywają domy na Granicznej. Zaczął biec miedzą w ich kierunku.

Minął wreszcie sad zasadzony przez ojca i stanął jak wryty. Ściany domu, który jego rodzice takim wysiłkiem wybudowali, były czarne od dymu. Z okien frunęły iskry dogorywających belek dachu i podłóg. Ręce mu opadły i nogami nie mógł ruszyć czas dłuższy. Czarna rozpacz go ogarnęła. Długie minuty minęły zanim się opanował i rozglądnął na boki. Zobaczył dymiące resztki domów Karpińskich, Bałandziuków i Raczków. Po polskiej stronie ulicy Granicznej, już żaden dom nie stał.

Ruszył na ulicę, po której jacyś ludzie się kręcili. Dziwnym trafem w spalonym płocie uratowały się słupki i furtka. Zamiast ją obejść, z nawyku, jak tylekroć kiedyś, otworzył furtkę i zamknął za sobą na haczyk. Kilku mężczyzn, którzy tu z przedmieścia nadbiegli, stało zbitych w gromadę i dzieliło się spostrzeżeniami. Dalej grupa kobiet przy domu Bałandziuków szlochając, odmawiała modlitwy. Przy wypalonej ruinie, kilku niemieckich żandarmów się kręciło.

– Co się stało? – zapytał najbliższego z gapiów.

– Ukraińcy domy nocą podpalili – odpowiedział. – Ot, było.

– A gdzie ci co w tych domach mieszkali? – Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że o kolegach i ich rodzinach nie pomyślał i, że ich wśród gromady zebranych na ulicy ludzi nie widzi.



- A tam za malinami ich Niemcy ułożyli - odpowiedział pytany i na ogród Bałandziuków ręką wskazał.

Romek ruszył w wskazanym kierunku. Serce mu łomotało. Najgorsze przecucia go ogarnęły i zaczął się bać tego, co obawiał się, że zobaczy.

- Nie puszczaj tam ciebie - ktoś za nim krzyknął.

Ujrzał stojącego na podwórzu Bałandziuków starego księdza Sumiennickiego. Rozmawiał z kilku policjantami. Gdy go dojrzał, dał ręką znak by się zbliżył

- Mieszkał tu i nazwiska pomordowanych będzie mógł zweryfikować - Niemcom wyjaśnił.

Policjanci widząc, że zwalnia kroku, przywołali go kiwnięciem ręki. Poprowadzili w kierunku rzędu malin, z których Bałandziuk był tak dumny. Na wysokość człowieka urosły i równym szeregiem. Pod sznurek przecież były sadzone. Wzdłuż nich, głowami do bujnym liściem okrytych krzaków, ułożone leżały ciała ludzkie. Zobaczył z miejsca, że z ognia były wywleczone. Miały osmalone włosy i ubrane były w bieliznę o powypalanych w niej dziurach... Pod Romkiem nogi się ugięły. Baśka Karpińska leżała z podwiniętą pod brodę koszulką i rozprutym brzuchem, z którego jak kłębowisko węży wypływały wnętrzności. Romek nachylił się, urwał dwa duże liście łopuchu i przykrył ją nimi, nie mogąc znieść okropności tego co widział. Za nią leżał z rozłupaną siekierą głową Janek. Za synem Karpińska. Strasznie zmasakrowana była i brakowało jej odrąbanej ręki.

- Gdzie jej ręka - zaczął się denerwować i pytać na migi towarzyszącego mu Niemca. - Gdzie ręka? - martwił się jakoby to najważniejszym teraz było. - Jak bez ręki ją pochować? - w panikę wpadł.

Karpińskiemu głowę uderzenie obuchem siekiery widocznie rozwaliło, bo ledwo go można było poznać. Bałandziukowi obie ręce na skrawkach skóry się tylko trzymały i jednym okiem wciąż otwartym na niebo patrzył. Bałandziukowa leżała z pochyloną na bok głową, którą mało nie odwaliło cięcie siekierą w szyję. Rączkowa obuchem w twarz dostała i tylko po kolorze osmalonych włosów rozpoznać ją mógł. Za nią Zygmunta położono. Ciało wielu pchnięciami wideł miał pokłute i twarz zastygłym grymasem bólu wykrzywioną. Otwartymi oczyma wciąż na niebo patrzył, jak gdyby w nim ratunku szukał. Romek pochylił się i usiłował je zamknąć, ale powieki zamknąć się nie dawały. Niemiec zapisujący podawane nazwiska pchnął go lekko w ramię, by się pośpieszył. Rączka cięcie siekierą pół

twarzy pozbawiło. Na pozostałej jej części pół zawsze do góry podkręconego zadzierzyście wąsika się uratowało i Romek nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Zawsze ten jego wąsik, go bawił. Stefka Bałandziuka tylko wśród leżących pod malinami nie było. Wyciągnięto go w parę godzin później ze studni. Wśród trupów nie odnaleziono też lokatorów zamieszkujących dom Romka. Dopiero jak dogasł ogień, który jakimś cudem nie strawił w sieni podnoszonych drzwi do piwnicy, ktoś je uchylił i zobaczył zbitą w gromadę grupę ludzi. Wszyscy udusili się dymem. Dopiero wtedy też ktoś zwrócił uwagę, że skobel do drzwi był zasunięty od zewnątrz i domyślano się, że zasunęli go napastnicy.

Wychodząc z podwórza Bałandziuków, Romek dopiero wtedy zauważył, że zza wiśni otaczających chałupę Marczuków dym się unosi i że ponad nimi słomiany dach nie wystaje. Domyślił się, że i ich chałupa spłonęła. Prawie naprzeciwko domu pana Raczka stała i iskry z niego się unoszące w czasie pożaru, musiały na słomiany dach chałupy Marczuków opaść. Nad miejscem gdzie stała, dwa bociany niespokojnie krążyły wkoło i wkoło, nie rozumiejąc pewno co z ich gniazdem się stało. Idąc za Romka wzrokiem, jeden ze stojących na ulicy gapiów powiedział:

– Te bociany następnej wiosny pewno już tu nie wrócą.

– A po co miałyby wracać – zgodził się Romek. – Graniczna istnieć przestała. Durne by chyba były.

## 52

**W** swoim sadzie stał oparty o szorstką jabłoń zgarbiony Marczuk. Wyblakłymi ze starości oczyma na zgłiszcza chałupy patrzył i żał go za serce ścisnął, że tyle lat przeżył i doczekał takich strasznych czasów. Całe życie ciężko pracował, grosz do grosza składał by ziemi kawałek dokupić, w tej chałupie wiele lat z żoną przeżył szczęśliwie i dzieci się dochował. A teraz co? On już tej chałupy nie odbuduje. Synowie do lasu uciekli. Wrócili tylko na noc, by sąsiadów wyróżnać, którzy im krzywdy żadnej nie wyrządzili. Czy na żniwa wrócić? – zatroszczył się. On już tego, co wiosną wysiali, zebrać nie zdoła. Starość siły go pozbawiła. Dary Boże zmarnują się jak wszystko. Ziemia, którą przez tyle lat własnym potem i potem żony skropił, odłogiem stanie. Zachciało się im... a żeby ich traćcia mурdowała. Na starość ich ojciec w stodole musi spać, albo z bydłem w oborze. Z głodu zimą przyjdzie

się zdychać. A Maruśka taka sama swołocz. Nie wytrzymała. Poleciała z bandą. Dobro kradzione zaczęła znosić, chociaż uczciwości ją uczył. I co z tego dobra które naniósł? W chałupie razem z ich dobrem splełono. Bóg ich pokarał! Tego Marczuk był pewien.

Kościaste palce w pięści zacisnął i wzniosł je ku niebu.

– Za co? Dlaczego? – pytał natarczywie, jakby odpowiedzi się spodziewał. – Dlaczego? Całe życie ja nikomu nic nie ukradłem, nikomu krzywdy nie zrobiłem. Więc za co mnie tak Hospod karzesz?

W parę godzin później, stojąca za drzewem Maruśka ukradkiem patrzyła, jak przywieziono z miasta pośpiesznie zbite skrzynie i ciała pomordowanych sąsiadów do nich ludzie składają by odwieźć do kościoła w miasteczku. Dopiero wtedy uświadomiła, że wśród nich są ciała jej towarzyszy lat dziecięcych, które jej najszcześliwszymi też były. I wtedy nagle zrozumiała zgrozę tego co się stało i w czym udział brała. Strach ją opadł. Nie kary Boskiej się bać zaczęła, ale mar, które ją po nocach nawiedzać pewno będą. Szeroko otwartych oczu i bólem wykrzywionej twarzy Zygmunta z ciemnych kątów na nią patrzących i wyciągniętych w błagalnym geście o litość drobnych rączek Basi, które całe życie będzie widzieć w każdym śnie. Nastraszyła się, że obrazów tego co widziała nigdy nie zdoła zapomnieć i, że jej każdy moment życia zatrują. Że już nigdy szczęśliwą być nie potrafi. I tak jak przeczuwała, nagle wspomnienia tej strasznej nocy ją opadły. Jeszcze świeże były. Głuche odgłosy siekier rąbiących ciała usłyszała, krzyki bólu i rżenie konających. I te białe, białe, wybałuszone oczy Zygmunta na nią ze zdziwieniem patrzące, gdy na podłodze leżał i krew mu z ran płynęła na kilim, który jej się podobał i zabrać chciała. Po raz drugi złość do niego wtedy poczuła, że na ten kilim się zawałił i krwią pobrudził. Przypomniła jak zadarła spódnicę i brzuch goły do niego wypięła. „Patrzaj! Zawsze popatrzeć chciałeś” – powiedziała szyderczo, a Taras ryknął śmiechem i śmiali się czas dłuższy ci co z nim przyszli w poszukiwaniu młodojeckiej sławy. A Zygmunt jeszcze rękę unieść zdołał i za nogę ją chciał uchwycić. Iwan widłami dźgnął... Wystarczyło, by ręka opadła.

Gdy Romek w tym dniu wrócił do domu około południa, Zośkę ogarnęło zdziwienie, że nie jest w pracy. Słuchając opowiadania co w nocy się stało i że ani Zygmunt, ani Janek już nie żyją, głową kręciła i uwierzyć nie mogła. Wreszcie zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się, zdając sobie sprawę z tego co przeżywa. Odepchnął ją może zbyt szorstko. Potrzebował samotności, czasu na decyzje i na ustoj-

sunkowanie się do tego, co się stało. Na strych poszedł, pozostawiając Zośkę zaniepokojoną jego zachowaniem. Czas dłuższy na nim przesiedział i szedł dopiero po kilku godzinach, gdy już mrok zaczął zapadać.

– Po pogrzebie, zbierzecie z matką manatki i pojedziecie pod Lublin – stanowczo powiedział.

– Jak to pojedziecie? A ty? I pozwolenia z Giebietskomisariatu nie ma.

– Bez pozwolenia wyruszyście. Kupa ludzi pewno do Guberni po ostatnich tu wypadkach będzie uciekać, więc i wy z nimi się zabierzecie. Już ja takich znajdę. Jak potrzeba do granicy też sam odprowadzę. A ja zostać się muszę. Do lasu czas mi pójść.

Zośka rozplakała się. Otoczył ją ramieniem i serdecznie przytulił. Po głowie zaczął głaskać.

– Nie płacz Zośka. Nie można. Zrozumieć popróbuj. – Zaczął perswadować. – Mnie nie można uciekać. Pozostać tu muszę. Rozumiesz przecież, że muszę. Śmierć matki, siostry, przyjaciół obowiązkami na mnie nałożyła takie, że się boję, że im nie podołam. Ciężko mi będzie z wami się rozstawać i nie staraj się jeszcze cięższym tego rozstania robić. I wiesz przecież, że wrócę do was po wojnie, odszukam, nie ostawię. Pobrać się z tobą chcę i pobiorę...

Tego wieczora, gdy Zośka do łóżka się położyła, Romek wyszedł do ogrodu. Noc ciepła była i niebo iskrzyło się gwiazdami. Spać mu się nie chciało i w złym nastroju był. Nagle uświadomił sobie, że pozostał bez rodziny i bez najbliższych przyjaciół. Że oprócz Zośki nikt bliski mu już nie pozostał. To nie tylko żal w nim potęgowało, ale zaczęło go też przerażać. A zaraz później złość nie do opanowania ogarnęła, że gdy jego przyjaciele lat dziecięcych w skrzyniach na zimnej posadzce w kościele stojących, na jutrzejszy pogrzeb czekają, ich mordercy śpią spokojnie w wygodnych łóżkach i pewno wyrzutów sumienia nawet nie mają. Przypomniało mu się zaraz, że do domu, tylko o dwie ulice oddalonego od tego w którym mieszka, przychodzi do Kseni, córki felczera, barczysty Ukrainiec z Kripo i nocą u niej spędza. Całe miasteczko o tym wiedziało, bo sąsiedzi widywali go często jak od niej rankiem wychodził. Zła fama o nim krążyła i Romka podejrzenie opadło, że w znęcaniu się nad Anką pewno udział brał. Przypomniał jak Zygmunt jej żałował i nagle pomyślał jakby przyjaciel się ucieszył, gdyby ten kripowiec kulą w głowę dostał.



Nie zastanawiał się więcej. Podeszedł do klatki na króliki i wydo-  
stał spod słomy rewolwer. Królika w klatce już od dawna było. Zjedli  
go któregoś głodnego dnia, pomimo, że Zośka zaklinała się iż tego  
mięsa nie dotknie. Sprawdził, nie wiadomo po co, czy są w magazyn-  
ku naboje, których nigdy przecież nie wyjął i włożył rewolwer za ko-  
szulę. Ruszył w kierunku domu Kseni. Buty w ogrodzie pozostawił by  
jego kroków nie było słychać, więc cicho szedł. Niebezpiecznie było  
i wiedział, że może natknąć się na jakiś patrol. Znał to miasteczko  
jak własną kieszeń, więc trzymał się blisko płotów, gotów w każ-  
dej chwili któryś z nich przeskoczyć. Ogrodami przy domach można  
było uciec wtedy na równoległą do tej, po której szedł ulicę. Skręcił  
w 3 Maja. Pamiętał, że w czwartym domu od rogu mieszka Ksenia.  
Zaczął się modlić by kripowiec był u niej.

Przy domu felczera rosły ogromne krzaki bzu, więc rozgarniając  
gałęzie przedarł się przez nie pod okno. Wydoł z koszu rewol-  
wer i stwierdził, że trzęsą mu się ręce. Odczekał chwilę, aż się uspo-  
koi i opanuje podniecenie. Wtedy zapukał w szybę.

– Kto tam? – po dłuższej chwili zaspány głos się odezwał.

– Taras – starał się basem mówić.

– Jakij Taras?

– Marczuk.

– Jakij Marczuk? – za szybą zamajaczyła męska postać. Romek nie  
czekał aż kripowiec otworzy okno. Nacisnął cyngiel. Później drugi raz,  
na wszelki wypadek. Wśród ciszy nocnej huknęło na całą ulicę, jakby  
ktoś z armaty wystrzelił. Wydało mu się, że brzęk wypadającego  
z framugi szkła całe miasto na nogi postawi.

– Boże, mij Boże – załkała Ksenia.

Romek rzucił się do ucieczki. Biegł jakby mu ktoś skrzydła przy-  
prawił. Ostrożności już żadnej nie zachowywał i zapomniał, że po  
huku wystrzałów nocne patrole niemieckie być może jemu naprzeciw  
ze wszystkich stron biegną. Miał jednak szczęście. Dopadł swego  
ogrodu i jednym susem przesadził płot Jeszcze na tyle miał przy-  
tomności, by ukryć w klatce rewolwer. Wtedy usiadł na klocek do  
rąbania drzewa i starał się uspokoić. Dłuższy czas mu zajęło zanim  
przestał sapać. Dłużej zanim serce przestało walić tak, jakby z klatki  
piersiowej chciało się wyrwać. Strach zaczęły zastępować podniece-  
nie i radość. Wiedział, że Zygmunt tam skądś na niego patrzący, na  
pewno śmiercią kripowca się ucieszył.

Tłum wiernych nie mógł pomieścić się w kościele. Wszyscy niemal mieszkańcy miasteczka na pogrzeb się stawili i tłoczyli się też na placu kościelnym i na ulicy przed nim. Wielu wzdłuż ulic z kościoła na cmentarz prowadzących szpalerem na kilka osób głębokim stało, oczekując na orszak pogrzebowy, by do niego dołączyć. Ten pogrzeb wielką manifestacją żałoby i solidarności Polaków się stał. Niemcy nie przeszkadzali. Jakiś ich patrol bocznymi ulicami kościół obszedł i skręcił gdzieś w Narutowicza. Tuzin skrzyń zbitych naprędce z nieheblowanych desek szeregiem przez środek kościoła, od kruchty do ołtarza stał i ludzie je kwiatami zasypali. Po ulicy szedł szmer głosów oczekujących aż ruszy kondukt pogrzebowy. Długo już czekali, bo długo trwało zanim ksiądz Sumiennicki modły odprawił, wszystkie trumny okadził i święconą wodą pokropił. Wreszcie dzwon zaczął bić i ludzie szyje wyciągnęli. W drzwiach kościoła ukazał się nad głowami najbliższych stojących kołyszający się na boki krzyż, a za nim czarne chorągwie. Tłum ukląkł jak na komendę i wtedy ujrzał księdza w czarną kapę ubranego, otoczonego gromadą ministrantów w kom-  
zach.

I nagle piersiami zebranych ludzi wielki szloch szarpnął. Zaczęto wynosić trumny. Chwiały się na ramionach mężczyzn, którzy w nogę szli. Kołysały się jak kołyska dziecka, gdy ją ręka matki czy ojca porusza, jakoby tych w środku chciały do wiecznego snu ukołysać. Dużo tych trumien było. Jedną z kościoła wyniesiono... drugą... trzecią... Tłum czekał na ostatnią. Liczył je i coraz większa zgroza go ogarniała. Na niektórych kwiaty na nie rzucone leżały bezładną kupą i za każdym krokiem niosących spadały na ulicę, moszcząc drogę przed następnymi. Ksiądz wyczuł niepokój zebranych i zaintonował „Salve Regina”. Podchwycili słowa pieśni najbliżsi, później rozlały się ponad tłumem głowami i dotarły do tych stojących najdalej.

Za trumnami ciągnął się wąż kilku tysięcy ludzi. Skończyli śpiewać i tylko szuranie butów o kocie łby jezdni było słyszeć oraz tu i ówdzie szloch wrywający się z piersi kobiet. Powoli żałobnicy szli, ledwo nogami poruszając w tłoku. Ci stojący na chodnikach dołączać zaczęli i pochód rozciągnął się na długość kilku ulic.

Na cmentarzu, starymi morwami obrosniętym, ogromny zbiorowy dół na trumny czekał. Kilku mężczyzn na zmianę cały dzień go

kopało. Po bokach żółciły się zaspy gliny, a jej grudy staczały się na groby, dawniej w pobliżu dołu pochowanych. Ogromne te zaspy były. Na drzewach, wśród liści ptactwo świergotało i pan Antoni, który grabarzem był i nie jeden dół na tym cmentarzu wykopał, uśmiechnął się szepcząc do siebie.

– Do wiecznego snu im będą co dnia kołysanki śpiewać.

Później na dłoń splunął i zatroszczył się, że mu taki duży pęcherz na niej wyrósł. A w tym czasie już kondukt pogrzebowy w bramę cmentarza zaczął wchodzić. Mruczenie odmawiającego modlitwy księdza już było słychać i między słupkami bramy pierwsza trumna się pokazała. Pod Romkiem nogi się już ugiwały. Nie dał się zmienić i Zygmunta trumnę całą drogę niósł. Tyle dla przyjaciela mógł już tylko zrobić i nie chciał by kto inny w ostatniej dla niego posłudze go zastąpił. Tylko ruda Ulka go denerwowała. Szła obok niego płacząc całą drogę i co chwilę za łokieć go łąpała, bo potykała się na kocich łbach. Bał się, że przez nią równowagę straci.

A gdy czoło konduktu w bramę cmentarza wchodziło, jego koniec o długość kilku ulic był wciąż oddalony. Ustawiono więc trumny na nasypach gliny i ksiądz czekał aż reszta konduktu na cmentarzu się znajdzie. Wreszcie morze ludzi od płotu do płotu cały cmentarz zalało. Ksiądz na nasyp wszedł, by z daleka go zobaczyć było i rękę podniósł. Cisza grobowa zapanowała. Dalej stojący szyje wyciągnęli i natężyli słuch.

– Ziemio Wołyńska! – głos ksiądz Sumiennicki podniósł by na całym cmentarzu go było słychać. – Kwieciami wiśni umajona i kwiatem czeremchy pachnąca. Ziemio piękna i szczodra, ziemio chleborodna i bogata. Ziemio Słowackiego, który pięknnością twą oczarowany, w swych poematach ciebie opisywał. Ziemio po której Ikwa płynie, rzeka jego tęsknot. Ziemio Czackiego i Kraszewskiego, i ziemio chrztu bojowego Kościuszki. Ziemio chleborobów, poetów i bohaterów po której ich kurhany są rozrzucone. Oddajemy ci ciała twoich dzieci, które na Wołyniu się urodziły i na nim żyły. Życiem spokojnym, bogobojnym i pracowitym. Ukochali cię, więc przyjmij ich łaskawie i bądź dla nich lekka.

– Nie dożyli starości. Ich dzieci nie dożyły wieku dojrzałego. Nie zwały ich choroby ani głód. Nie zginęli na polu walki z jakże częstym tu najeźdźcą. Po nocy dopadł ich zdradziecki sąsiad, któremu żadnej krzywdy nie wyrządzili. Padli od razów siekiery, pchnięć noży i wideł. Okrutną śmierć mieli. Nie przygotowani na nią. Śmierć nagłą i nie-

spodziewaną. I straszną! Na konanie i mękę własnych dzieci patrzeć musieli. Słyszeć ich krzyki bólu i chrapliwy ostatni oddech krtani krwią zalanej. Tę ich śmierć tylko do śmierci patrona Kresów, świętego Andrzeja Boboli porównać możemy. Też w męczarniach zginął, bo ze skóry go obdarto i jak oni, nikomu krzywdy nie zrobił. Pewno stał przy nich w chwili konania i być może niebo im ukazał.

– Ziemi Wołyńska, piękna i żyzna. Przekląć cię dziś może byśmy chcieli, że i dla dziczy jesteś tak hojna, jak dla nas byłaś. Ale dzicz nie jeden raz już nad tobą panowała. Zalewała cię jak fala koszmaru i odpływała. Pokój Boży zawsze jednak znowu tu powracał. I na pewno jeszcze raz powróci, bo nic nie jest starym w historii i niezbadane są wyroki Boskie. Sursum Corda! – Ksiądz krzyknął tak głośno, że ptaki na drzewach się spłoszyły i kwilić na chwilę przestały. – Sursum Corda! W tej chwili klęsk i rozpacz, nie wolno nam tracić nadziei. Nie wolno nam przestać kochać tej ziemi, która dla nas jest nie mniej polska od Mazowsza czy Kujaw. I gdy niejeden z was zemstę chciałby może nad tymi trumnami zaprzysiąc, zastanówcie się. Na kim chcielibyście się mścić? Winnych mordu nie znajdziecie zapewne. Nie wolno nam zaprzysięgać zemsty tym, którzy nie wiedzą co czynią. Którym słowo Boże jest obce i dorobek europejskiego humanizmu. Których własni duchowni do Boga zbliżyć nie potrafili. Nie wolno nam stoczyć się do ich poziomu i złoczyńcami jak oni zostać...

– Ale zapomnieć nam też nic wolno o męczeństwie naszych sióstr i braci, którzy swą krew w rzekę ofiarnej krwi za polskość tej ziemi w ciągu wieków przelanej włączyli. Życ muszą w naszej pamięci tak, jak żyć wiecznie będą w obliczu Boga. A kto zapomni o nich i kto zapomni o tej ziemi pięknej i tragicznej, na której zginęli, o tych Bóg zapomnieć gotów...

– Na kolana bracia i siostry! – ksiądz znowu głos podniósł, jakoby rozkaz pułkowi wojska wydawał. – Zanim za dusze pomordowanych zaczniemy się modlić, pomódlmy się za tych, którzy ich pomordowali, bo nie wiedzieli co czynią i otchłanie piekielne ich pewno pochłona. Módlmy się za nich i by czasy straszne w których żyjemy skończyły się jak najszybciej i pokój Boży na tej ziemi znowu zapanował. A ten pokój wróci. Na pewno wróci, bo dobro zawsze zło zwycięża. I nie może tak dłużej być, by dzicz nożem i widłami problemy sąsiedzkie rozwiązywała jak w dzikiej Afryce. Wbrew wskazaniom Boskim by to było. Na kolana więc siostry i bracia!



Ksiądz na glinie ukląkł i ręce w górę wznosił. Ostatnie promienie słońca niebo na czerwono zaczęły malować i krwawą posochą po twarzach ludzi się kłaść, jak jakaś wróżba czasu, który miał nadejść. Tłum niepokojem zaszemrał. Może to nie słońce. Może czerwony kur już okoliczne wioski trawi? Jakaś wrona z pobliskiej morwy się zerwała i zakrakala złowieszczo nad cmentarzem krążąc, jak wróżba śmierci. Kilka innych do lotu się podniosło jej śladem, w czern ubrane płaczki żałobne. Szloch pierśmi wielu szarpnął, gdy ksiądz szeroki krzyż kreślił na swej piersi. Temu i owemu ręka się zatrzęsała, gdy poszedł za jego przykładem.

W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego...

Romek zacisnął szczęki z taką siłą, że nabrzmiały mu żyły na szyi i krew do twarzy uderzyła. Mimo woli zaciśniętymi zębami zaczął zgrzytać i stojąca obok Ulka spojrzała na niego z niepokojem. Nienawiść i rozpacz straszna w nim wzbierała. Słów księdza nie słyszała. Krew w uszach pulsowała tak gwałtownie, że pomyślał iż zaraz mu głowę rozsadzi. Zemsty ogromną potrzebę czuł i zemstę mordercom towarzyszy zabaw dziecięcych zaprzysięgał. Ten kripowiec ubiegłej nocy zastrzelony, już mu nie wystarczał. Nie modlił się jak inni. W sprawiedliwość Boską wiarę utracił. Przypomniały mu się słowa ojca, że „pan Bóg jest zawsze po stronie silniejszego”. Nie po stronie Baški, jeszcze dziecka przecie był w tę straszną noc majową, ale po stronie tych z siekierami i widłami. Już gdy kilku mężczyzn brało za sznury, by trumny do dołu spuścić, pochylił się i położył rękę na skrzyni z ciałem Zygmunta. „Nie zapomnę” – szepnął i słuch natężył. Łudził się wbrew rozsądkowi, że przyjaciel mu powie iż zemsta już tylko go ucieszyć może.

– Odsuń się – Ulka za rękaw go pociągnęła. – Trumny do grobu chcą złożyć.

Tegoż autora:

- \* *W Zdołbunowie zakwitły kaczeńce*, AWR, Londyn 1986.
- \* *Białe noce i czarne dni*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1987. II wydanie Nortom, Wrocław 1995.
- \* *Z Chamsinu w mgłę*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1987.
- \* *Jutro wczoraj przegrane*, Unikorn, Londyn 1988.
- \* *Piołuny losów*, Rytm, Warszawa 1991.
- \* *But pod welonem*, w odcinkach „Dziennika Polskiego”, Londyn 1992.
- \* *Smak miodu*, Wydawnictwo Kurpisz, Poznań 1994.
- \* *Smak chleba i popiołu*, Wydawnictwo Kurpisz, Poznań 1997.
- \* *Tajkury – wioska która była miastem*, Caldra House, Londyn 1997.
- \* *Zło nie trwa wiecznie*, Caldra House, Londyn 1997
- \* *Evil does not last for ever*, Toronto, Kanada 1998.



## OŚRODEK „WOŁANIE Z WOŁYNIA”

Od 1997 roku Ośrodek „Wołanie z Wołynia” zajmuje się publikowaniem książek wydawanych przez „Wołanie z Wołynia” – pismo religijno-społeczne ukazujące się na Ukrainie od 1994 roku. Wokół pisma skupionych jest kilka osób, które wzięły na siebie trud dokumentowania najnowszej historii i ukazywania aktualnych problemów Kościoła Katolickiego na Ukrainie, ze szczególnym uwzględnieniem Wołynia i diecezji łuckiej. Zainteresowania naszej redakcji obejmują także: sytuację wierzących w społeczeństwach krajów postsowieckich, kontakty katolicko-prawosławne, wysiłki ekumeniczne, stosunki polsko-ukraińskie, kultura i osiągnięcia myśli filozoficznej Ziemi Wołyńskiej, wybitni Wołynianie. Równocześnie z pismem ukazuje się seria wydawnicza: Biblioteka „Wołanie z Wołynia”. W latach 1997–2018 wydaliśmy przeszło 100 tytułów.

### ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY!!!

#### **Dotychczas nakładem Ośrodka „Wołanie z Wołynia” ukazały się:**

T. 1. „Хресна Дорога”, Острог 1997.

T. 2. Br. Adrian Wacław Brzózka, *Milczące cienie*, Ostróg 1997.

T. 3. О. Ян Попель, „Розмови про молитву”, Білий-Дунаєць 1997.

T. 4. O. Remigiusz Kranc OFMCap., *W drodze z Ostroga na Kołymę* – pod red. ks. Witolda Józefa Kowalowa i o. Józefa Mareckiego OFMCap., Biały Dunajec-Kraków 1998.

T. 5. О. Єдвард Станек, „Педагогічні принципи Вчителя з Назарету”, Білий-Дунаєць, 1998.

T. 6. Tadeusz Kukiz, *Wołyńskie Madonny i inne obrazy sakralne z diecezji łuckiej*, Biały Dunajec 1998.

T. 7. Ks. Witold Józef Kowalów, *Zmartwychwstały Kościół cz. 1, Diecezja łucka 1989–1998: odrodzenie Kościoła Rzymsko-katolickiego w obecnym dekanacie rówieńskim*, Biały Dunajec 1998.



T. 8. О. Альбін Яноха OFMCap., „Отець Серафим-Алоїз Кашуба (1910–1977)”, Білий-Дунаєць, 1999; O. Albin Janocha, OFMScap., *Ojciec Serafin Alojzy Kaszuba (1910–1977)*, Biały Dunajec 1999.

T. 9. Ks. Witold Józef Kowalów, Ks. Michał Stanisław Głowacki „Świętopełk” (1804–1846). *Folklorysta i współorganizator powstania*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.

T. 10. Ks. Witold Józef Kowalów, *Sursum corda. W górę serca. Wybór artykułów prasowych z lat 1992–1997*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.

T. 11. Krzysztof Kołtun, *Szelest róży*, Biały Dunajec–Ostróg 1999.

T. 12. С. Михайлина Алекса РМ, „Слуга Божий Архієпископ Зигмунт-Щенський Фелінський (1822–1895). Син Волинської Землі”, Білий-Дунаєць, 1999.

T. 13. О. Андрій Зволінський, „Ясько”, Білий-Дунаєць–Остріг, 1999.

T. 14. О. Ієронім Варахим OFMCap., „Духовний силует Слуги Божого О. Серафима Кашуби OFMCap.”, Білий-Дунаєць–Остріг, 2000; O. Hieronim Warachim OFMScap., *Duchowa sylwetka Sługi Bożego O. Serafina Kaszuby OFMScap.*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 15. Ostróg. *Ilustrowany przewodnik krajoznawczy*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 16. Ks. Władysław Knapieński, *Sprawa o Kościół w Ostrogu na Wołyniu*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 17. Leon Karłowicz, *Nie zostawiajcie mnie tu... Obrazy z życia deportowanych do Kazachstanu*, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 18. О. Иоанн Павел Мухарский OFMCap., „И ты утверждай своих братьев. К Великому Юбилею 2000 года”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 19. Галина Гандзілевська, „Чекатиму тебе...”, Biały Dunajec–Ostróg 2000.

T. 20. Krzysztof Rafał Prokop, *Sylwetki biskupów łuckich*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 21. *Listy z Kozielska burmistrza miasta Ostroga*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 22. Ks. Władysław Bukowiński, *Do moich przyjaciół*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 23. *Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 24. Krzysztof Kołtun, *Wołyńska litania*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 25. Ks. Witold Józef Kowalów, *Szkice z dziejów kościelnych Ostroga i okolicy*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 26. Romuald Wernik, *W Zdobunowie zakwitły kaczeńce*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 27. Ks. Andrzej Kwiczala, *Dzieje parafii rzymskokatolickiej w Ostrogu na Wołyniu (1939–2000)*, Biały Dunajec–Ostróg 2001.

T. 28. Богдан Колосок, “Кафедральні споруди Луцька. Історико-архітектурне дослідження”, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 29. Maria Przybylska, *Karawana ze Wschodu*, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 30. О. Ієронім Варахім OFMCap., “Апостол Церкви Мовчання. О. Серафим Кашуба OFMCap.”, Білий-Дунаєць–Остріг, 2002; О. Hieronim Warachim OFMCap., *Apostoł Kościoła Milczenia. O. Serafin Kaszuba OFMCap.*, Biały Dunajec–Ostróg 2002.

T. 31. Ks. Kamil Kantak, *Juliusza Słowackiego życie i idee religijne*, Biały Dunajec–Ostróg 2003.

T. 32. Krzysztof Rafał Prokop, *Biskupi kijowscy obrządku łacińskiego XIV–XVIII w. Szkice biograficzne*, Biały Dunajec–Ostróg 2003.

T. 33. О. Hieronim Warachim OFMCap., *Каплицька Одысея через Подоле і Волинь*, Biały Dunajec–Ostróg 2004.

T. 34. Marek A. Koprowski, *Wołyń dzisiaj*, Biały Dunajec–Ostróg 2004.

T. 35. “Старий Кривин: дослідження та матеріали з історії Південно-Східної Волині”, вступ, нарис, упорядкування Тарас Вихованець, Ігор Тесленко, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 36. Krzemieniec, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 37. Ulas Samczuk, *Wołyń*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 38. “Стародруки Речі Посполитої XVI–XVIII ст. у зібраннях Музею книги та друкарства м. Острога і Волинського краєзнавчого музею. Каталог”, Луцьк 2005.

T. 39. Stanisław J. Kowalski, *Powiat buczacki i jego zabytki*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 40. *Materiały do dziejów diecezji łuckiej. Relacje o stanie parafii i dekanatów 1941–1944*, oprac. Maria Dębowska, Biały Dunajec–Lublin–Łuck–Ostróg 2005.

T. 41. О. Kasjan Korczyński, *Katedra kijowska*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 42. Інна Шостак, “Луцько-Житомирська римо-католицька дієцезія наприкінці XVIII – у першій половині XIX століття”, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 43. Adrian Wacław Brzózka, *Zawieszeni w czasie*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 44. Ks. Witold Józef Kowalów, *Memores Domini. Pamiętający o Panu. Wybór artykułów prasowych z lat 1998–2002*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 45. Swietłana Pyza, *Życie heroiczne i myśl ojca Serafina Kaszuby*, Biały Dunajec–Ostróg 2005.

T. 46. Tomasz Kempa, *Akademia i drukarnia Ostrogska*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 47. Henryk Dąbkowski, *Polesie – moja mała Ojczyzna. Wybór artykułów prasowych z lat 1989–2000*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 48. Paweł Grabczak, *Seminaria duchowne łucko-żytomierskiej diecezji w latach 1798–1842*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 49. *Biesiada Krzemieniecka*, zeszyt 1, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 50. *Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół*, cz. 2, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 51. Michał Rudzki, *Notatnik wołyński*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 52. Ks. Władysław Bukowiński, *Wspomnienia z Kazachstanu; O. Serafin Alojzy Kaszuba OFMCap., Zapiski z Kazachstanu*, Biały Dunajec–Ostróg 2006.

T. 53. *“Стародруки Речі Посполитої XVII–XVIII ст. у Волинських книгозбірнях. Каталог”*, Луцьк 2006.

T. 54. *Biesiada Krzemieniecka*, zeszyt 2, Biały Dunajec–Ostróg 2007.

T. 55. Krzysztof Rafał Prokop, *Biskupi kamienieccy od średniowiecza do współczesności. Szkice biograficzne*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.

T. 56. Teresa Tyszkiewicz, *Archipelag śladów Boga*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.

T. 57. Józef Dunin Karwicki, *Wędrówka od źródeł do ujścia Horynia*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.

T. 58. Br. Adrian Wacław Brzózka OFM, *Sny utraconej ziemi*, Biały Dunajec–Ostróg 2007.

T. 59. Jan Paweł II – Йоан Павло II, *Tryptyk rzymski – Римський триптих*, Biały Dunajec–Ostróg 2008.

T. 60. Marek A. Koprowski, *Między Bugiem a Styrem*, Biały Dunajec–Ostróg 2008.

T. 61. *Różaniec w życiu biskupa Adolfa Piotra Szelażka – Розарій юммі Єпископа Адольфа-Петра Шелюнкежа*, oprac. s. Sabina Irena Gumkowska CST i s. Beniamina Karwowska CST. Biały Dunajec–Ostróg 2008.

T. 62. Adam Hlebowicz, *Biło-żowta Ukrajina (Biało-żółta Ukraina)*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.

- T. 63. Jan Fitzke – *Z Wołynia 1936–1939*. Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 64. *Biesiada Krzemieniecka*. Zeszyt 3, „Liceum Krzemienieckie 1920–1939”. Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 65. Ks. Stanisław Szczypka, *Z Żytomierza na Podhale*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 66. Данута Ленік – Danuta Lenik, *Зі сходу на Захід... – Ze Wschodu na Zachód...*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 67. Tatjana Jurczenko, *Duchowość misyjna kapłanów pracujących w ZSRR po II wojnie światowej*, Biały Dunajec–Ostróg 2009.
- T. 68. *Kalendarz «Wołania z Wołynia»* 2010, Biały Dunajec–Ostróg 2010.
- T. 69. Marek A. Koprowski, *Podolskie klejnoty*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.
- T. 70. Ks. Władysław Bukowiński, *Historia nauczycielką życia*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.
- T. 71. Ks. Zygmunt Chmielnicki, *Kartki wspomnień*, oprac. Maria Dębowska, Biały Dunajec–Ostróg 2010.
- T. 72. Krzysztof Rafał Prokop, *Arcybiskupi haliцьcy i lwowscy obrządku łacińskiego. Szkice biograficzne*, Biały Dunajec–Ostróg 2010.
- T. 73. О. Ян Попель, „Розмови про молитву”, Білий-Дунаєць-Острого, 2011.
- T. 74. Jan Nowak, *Rekolekcje z ks. Władysławem Bukowińskim*, Biały Dunajec–Ostróg 2011.
- T. 75. Marek A. Koprowski, *Od Humania do Krzemieńca: Irena Sandecka*, Biały Dunajec–Ostróg 2012.
- T. 76. Maria Kielar-Czapla, *Ojciec Ludwik Wrodarczyk OMI. Portret duchowy*, Biały Dunajec–Ostróg 2012.
- T. 77. Feliks Jasiński, *Kronika. Losy Polaków parafii Kąty, powiatu krzemienieckiego, województwa wołyńskiego w latach 1939–1945*, Biały Dunajec–Ostróg 2012.
- T. 78. *Materiały do wołyńskiego słownika biograficznego*, pod red. ks. Witolda Józefa Kowalowa, Biały Dunajec–Ostróg 2012.
- T. 79. Krzysztof Kołtun, *Wołyńska litania*, Biały Dunajec–Ostróg 2012.
- T. 80. Anna Jakubczyk, *Rodzina Józefówki w Żytomierzu*, Biały Dunajec–Ostróg 2013.
- T. 81. Ryszard Mieczysław Klisowski, *Wybrane wiersze wołyńskie*, Biały Dunajec–Ostróg 2013.
- T. 82. Stanisław Kardaszewicz, *Dzieje dawniejsze miasta Ostroga, Materyały do historii Wołynia*, reprint-przedruk wydania z roku 1913. Biały Dunajec–Ostróg 2013.



T. 83. Marek A. Koprowski, *Na gruzach Marchlewszczyzny. Skazani za polskość*, Biały Dunajec-Ostróg 2014.

T. 84. Дев'ятниця за посередництвом Слуги Божого о. Владислава Буквинського – *Nowenna za przyczyną Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego*, Biały Dunajec-Ostróg 2014.

T. 85. Рахела Шинделевич, *Красота, которая привела меня к Богу*, Biały Dunajec-Ostróg 2014.

T. 86. Józef Dunin Karwicki, *Jak to in illo tempore bywało. Kartka z drugiej połowy 18 w., wyjęta z papierów rodzinnych domu Duninów-Karwickich*, Biały Dunajec-Ostróg 2014.

T. 87. Krzysztof R. Prokop, *Polscy biskupi dominikańscy*, Biały Dunajec-Ostróg 2014.

Słownik polskich biskupów wywodzących się z Zakonu Kaznodziejskiego.

T. 88. Antoni Malczewski, *Maria. Powieść ukraińska*, Biały Dunajec-Ostróg 2014.

T. 89. O. Ryszard Stolarczyk, *Początki karmelitańskiej misji w Kijowie*, Biały Dunajec-Ostróg 2015.

T. 90. Józef Ignacy Kraszewski, *Okruszyń. Zbiór powiastek, rozpraw i obrazków*. Tom I-III., Biały Dunajec-Ostróg 2015.

T. 91. Romuald Wernik, *Habit i nagan*, Biały Dunajec-Ostróg 2015.

T. 92. Ks. Feliks Sznarbachowski, *Początek i dzieje Rzymskokatolickiej Djecezji Łucko-Żytomierskiej, obecnej Łuckiej, w zarysie*, Biały Dunajec-Ostróg 2014.

T. 93. Józef Ignacy Kraszewski, *Rzym za Nerona. Obrazy historyczne*, Biały Dunajec-Ostróg 2015.

T. 94. Romuald Wernik, *Nie wróć bociany na Graniczną. Opowieść kresowa*, Biały Dunajec-Ostróg 2015.

T. 95. Józef Ignacy Kraszewski, *Wieczory wołyńskie*, Biały Dunajec-Ostróg 2015.

T. 96. Stefan Kamiński, *Lata walk i zamętu na Ukrainie 1917-1921*, Biały Dunajec-Ostróg 2015.

T. 97. Stefan Szajdak, *Wiersze wybrane*, Biały Dunajec-Ostróg 2015.

T. 98. Adam Zelga, *Arcybiskup Zygmunt Szczęśny Feliński 1822-1895. Szedł do świętości, tracąc, ufny Bożej Opatrzności*, Biały Dunajec-Ostróg 2015.

T. 99. *Wykład obrzędów kościelnych na święta całego roku*, Biały Dunajec-Ostróg 2015.

T. 100. Ks. Vitold-Yosif Kovaliv, *Restaurare omnia in Christo*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 101. „Wołanie z Wołynia”, 1994–1995 – reprint, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 102. Józef Ignacy Kraszewski, *Ulana*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 103. Józef Ignacy Kraszewski, *Ostap Bondarczuk*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 104. Józef Ignacy Kraszewski, *Jarym*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 105. Wincenty Romanowski, *Kainowe Dni*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 106. Józef Włast, *Opowiadania historyczne. Z dziejów okolicy Słuczy i jej dopływów*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 107. Feliks Trusiewicz, *Duszohubka*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 108. Ks. Bolesław Żyliński, *Wspomnienia z państwa antychrysta*, Biały Dunajec–Ostróg 2016.

T. 109. Ks. Jarosław Rudy, *Krzyż pośród krzyży. Theologia crucis w pasterskiej posłudze wiary Biskupa Jana Olszańskiego*, Biały Dunajec–Ostróg 2018.

T. 110. S. Julia Świdarska PCM, *Doktor ze Lwowa. Ks. Henryk Mosing (1910–1999). Lekarz, pedagog, duszpasterz*, Biały Dunajec–Ostróg 2018.

**Wymienione książki można zamawiać  
pod następującymi adresami:**

**Ośrodek „Wołanie z Wołynia”  
skr. poczt. 9, 34-520 Poronin  
<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>  
e-mail: [vykovaliv@gmail.com](mailto:vykovaliv@gmail.com)**

**lub**

**“Волання з Волині”  
вул. Князів Острозьких, 4а  
35800 м. Остріг, Рівненська обл.  
Україна**

**«Wołanie z Wołynia»**  
**Pismo religijno-społeczne**  
**Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej**

To tytuł dwumiesięcznika, który wydajemy w diecezji łuckiej. Pismo to jest redagowane przeze mnie w rzymsko-katolickiej parafii pw. Wniebowzięcia NMP w Ostrogu na Wołyniu. Na łamach **«Wołanie z Wołynia»** zamieszczamy m. in. rozmaite opisy, relacje i wspomnienia dotyczące przeszłości wołyńskiej ziemi, kościołów i duszpasterzy. Celem tych tekstów jest uchronienie przed zapomnieniem chociaż części wołyńskiego dziedzictwa. Zwracam się do wszystkich ludzi pochodzących z Wołynia, którzy osiedlili się w różnych częściach Polski i Za Granicą, aby nadsyłali swoje wspomnienia, refleksje, spostrzeżenia lub materiały do opublikowania ich w dwumiesięczniku **«Wołanie z Wołynia»**. Mile widziane będą także zdjęcia dawnych duszpasterzy kościołów.

**ks. Vitold-Yosif Kovaliv**  
**vel ks. Witold Józef Kowalów**

Zainteresowanych współpracą z redakcją naszego pisma proszę o kontakt listowny w Polsce:

**ks. Witold Józef Kowalów**  
**vel ks. Vitold-Yosif Kovaliv**

**skr. poczt. 9, 34-520 Poronin**  
**<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>**  
**e-mail: [vykovaliv@gmail.com](mailto:vykovaliv@gmail.com)**

**lub telefoniczny w Ostrogu:**  
**tel./fax +380 (3654) 2-26-42**









\* 23. XII. 1926

† 16. II. 2011

**ROMUALD WERNIK** urodził się w Zdołbunowie na Wołyniu, skąd w 1940 roku został deportowany, przez okupacyjne władze sowieckie pod Archangielsk. Po „amnestii” wstępuje do 5 Dywizji Kresowej. Z Armią Polską w ZSSR ewakuuje się na Bliski Wschód. W Palestynie kończy gimnazjum Junackiej Szkoły Kadeckiej. Po wojnie przybywa do Wielkiej Brytanii i studiuje historię sztuki na uczelni angielskiej. Bierze czynny udział w życiu politycznym i społecznym emigracji. Pisuje artykuły o sztuce i komentarze polityczne dla prasy polonijnej na całym świecie, a od 1990 roku także w Polsce. Jest autorem pamiętników z pobytu w Rosji i okresu wojny, oraz szeregu książek o tematyce kresowej. W 1995 roku otrzymał nagrodę Fundacji płk. J. Sochackiego. Mieszkał w Londynie.

